

TRACY ANNE  
WARREN



*Mifosny  
fortel*



Romani historyjny

**TRACY ANNE WARREN**

**MIŁOSNY FORTEL**

Tytuł oryginału: The Wife Trap

*Lady Jeannette jest załamana.*

*Zamiast brylować na salonach stolicy, musi wyjechać*

*na prowincję. Taką karę wyznaczyli jej rodzice*

*za romans zakończony skandalem.*

*Okazuje się jednak, że i wieś ma swoje uroki.*

*jednym z nich jest flirt z przystojnym architektem.*

*Rozkapryszona dama jest przekonana,*

*że doskonale panuje nad sytuacją. I nawet nie podejrzewa,*

*że nowy znajomy jest niezupełnie tym, za kogo się podaje...*

*Irlandia, czerwiec 1817*

Lady Jeannette Brantford wydmuchwała nos w chusteczkę. Złożyła starannie kawałek jedwabiu z rządkiem wyhaftowanych konwalii i wytarła dwie świeże, spływające po policzkach łzy.

Powinnam wreszcie przestać płakać, upomniała się w myślach. Ta nieznośna męka musi się skończyć.

Podczas podróży morskiej wydawało jej się, że panuje nad uczuciami. Poddała się okrutnemu losowi. Jednak tego ranka, kiedy wsiadła do powozu zmierzającego do majątku kuzynostwa, na nowo przyjrzała się swemu położeniu. Świadomość, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, przygniotła ją niczym głaz, którymi usiana była dzika irlandzka kraina.

Jak rodzice mogli zrobić mi coś takiego? - jęknęła w duchu. Jak mogli być tak okrutni, żeby zesłać mnie do tej zapomnianej przez Boga głuszy? Wielkie nieba, nawet Szkocja byłaby lepsza. Ma przynajmniej tę zaletę, że leży tuż obok Anglii. Podróż do Szkocji byłaby długa, ale Irlandię dzieliło od domu całe morze!

Jednak mama i papa okazali się nieugięci, za nic nie chcieli od-stąpić od decyzji zesłania jej tutaj. Po raz pierwszy w ciągu dwudziestu jeden lat swojego życia nie zdołała ich ułagodzić prośbami, przymilaniem się ani płaczem.

Nie miała nawet przy sobie swojej wypróbowanej pokojówki, Jacobs, która w tej sytuacji mogłaby uczynić jej życie znośniejszym.

Nawet jeżeli oszukała Jacobs co do swojej tożsamości, kiedy zeszłego lata postanowiły z Violet zamienić się rolami, nie usprawiedliwiało to dezercji. A fakt, że rodzice Jeannette ukarali ją za ten skandal wygnaniem do Irlandii, nie stanowił wystarczającego powodu, żeby Jacobs poszukała sobie innego pracodawcy. Gdyby naprawdę była oddaną służącą, nie wahałaby się towarzyszyć swojej pani. Jeannette wytarła kolejną łzę i spojrzała na siedzącą naprzeciwko nową pokojówkę, Betsy. Chociaż miła i łagodna, była zupełnie obca. W

dotatku brakowało jej doświadczenia. Musiała się jeszcze wiele nauczyć o zajmowaniu się strojami, układaniu włosów i najnowszej modzie.

Jacobs miała to wszystko w małym palcu.

Jeannette westchnęła.

Och, cóż, przyuczenie Betsy da jej jakiś cel w nowym życiu. Na myśl o „nowym życiu” w jej oczach znowu się zakręciły łzy.

Sama. Była tak rozpaczliwie samotna.

Powóz zatrzymał się gwałtownie. Zsunęła się z ławki, o mało nie spadając na podłogę w obłoku spódnic.

Złapała ją Betsy, albo raczej podtrzymały się nawzajem i usadowiły z powrotem na swoich miejscach.

- Wielkie nieba, co to było? - Jeannette poprawiła kapelusz, który zsunął się jej na oczy.

- Wygląda na to, że w coś uderzyliśmy, milady. - Betsy się odwróciła, żeby popatrzeć na ponury krajobraz za oknem. - Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Powóz zakołysał się, kiedy woźnica i lokaje zeskoczyli na ziemię; na zewnątrz rozległy się męskie głosy.

Jeannette zgmiotła chusteczkę w dłoni. A niech to. Co się znowu stało? Jakby nie dość było kłopotów.

W chwilę później w oknie ukazały się pomarszczona twarz i przygarbione ramiona woźnicy.

- Przykro mi, milady, chyba utknęliśmy.

Jeannette uniosła brwi.

- Co masz na myśli?

- To ta pogoda, milady. Deszcz zmienił drogę w trzęsawisko.

Trzęsawisko? Wsysające wszystko bagna? Stłumiła jęk i siłą woli powstrzymała drżenie warg.

- Będziemy próbowali z Jemem i Samuelem ruszyć powóz - ciągnął

woźnica - ale to może potrwać. Czy zechciałaby pani wysiąść, podczas gdy my...

Rzuciła mu tak zaszokowane spojrzenie, że aż umilkł.

Czy temu człowiekowi brakuje piątej klepki? A może jest ślepy?

Czy nie widzi jej pięknej, jasnoczerwonej sukni podróżnej? Ani modnych skórzanych trzewików, które kazała specjalnie ufarbować na ten sam kolor przed wyjazdem z Londynu? Najwidoczniej brak mu rozsądku i wycucia stylu. A może zbyt surowo go oceniała? Jaki mężczyzna zna się, ostatecznie, na damskiej modzie?

- Wysiąść? Gdzie, w to błoto? - Pokręciła energicznie głową.

- Poczekam tutaj.

- Powóz może się przechylić, milady. To niebezpieczne.

- Nie martw się o moje bezpieczeństwo. W powozie będzie mi dobrze. Żeby było wam lżej, możecie

wylądować kufry. Nie życzę sobie jednak, żeby się pobrudziły albo uszkodziły. - Machnęła dłonią w rękawiczce. - Betsy może wyjść, jeśli ma ochotę.

Betsy wydawała się zmieszana.

- Na pewno, milady? Nie powinnam pani opuszczać.

- Już dobrze, Betsy. I tak nie masz tu nic do roboty. Idź z Johnem.

Poza tym, pomyślała Jeannette żałośnie, to nic nowego. Przyzwyczaiałam się ostatnio, że wszyscy mnie opuszczają.

Siwowłosy mężczyzna spojrział łagodnie na służącą.

- Lepiej chodź ze mną. Odprowadzę cię w bezpieczniejsze miejsce.

Betsy wyszła z powozu i stanęła w możliwie suchym miejscu.

Drzwi berlinki starannie zamknięto. Służący wylądowali bagaż, a potem zabrali się do wydobywania kół z koleiny.

Minęło pół godziny. Nic się nie zmieniło. Jeannette mocno trzymała się siedzenia. Od silnego kołysania, gdy ludzie i konie usiłowali wyciągnąć powóz z pułapki, robiło jej się lekko niedobrze. Z

okrzyków złości, które rozlegały się od czasu do czasu, wywnioskowała, że ich trud poszedł na marne. Koła zagłębiły się tylko bardziej w błoto.

Wyciągnęła z torebki świeżą chusteczkę i otarła czoło z potu.

Słońce i wiatr przegnały chmury, ale nie osuszyły traktu. Popołudniowy żar, niezwykle w tych stronach nawet w środku lata, wisiał w przesyconym lepłą wilgocią powietrzu.

Przynajmniej przestała płakać. Szczęśliwa okoliczność, bo niezręcznie byłoby zjawić się u kuzynostwa - o ile kiedykolwiek tam dotrze - z zapuchniętymi i zaczerwienionymi oczami. Sama świadomość tego, co musieli myśleć o jej wygnaniu, dostatecznie ją upokarzała. Nie chciała witać się z nimi, wyglądając gorzej niż zwykle.

Do powozu wpadła mucha, tłusta, czarna i paskudna.

Jeannette skrzywiła się z obrzydzeniem. Machnęła w stronę owada chusteczką, w nadziei, że wyleci przez okno. Zamiast tego mucha zawróciła, kierując się prosto ku niej. Pisnąwszy głośno, Jeannette po raz drugi usiłowała przepędzić ją chusteczką.

Mucha przeleciała, brzęcząc, koło jej nosa i wylądowała na ramie okna. Przezroczyste skrzydełka lśniły w słońcu. Zaczęła się przechadzać po malowanym drewnie na cienkich jak włos owadzych nóżkach.

Jeannette sięgnęła po wachlarz. Poczekała chwilę, przesuwając kciukiem wzdłuż połączanej ramki z kości słoniowej. Gdy stworzonko przystanęło, trzepnęła je wachlarzem.

W jednej chwili owad zamienił się w czarną plamę. Zadowolona z tego drobnego zwycięstwa, przyjrzała się uważnie wachlarzowi, bojąc się, że uszkodziła delikatną konstrukcję pręcików; bardzo go lubiła.

Zerknąwszy jeszcze raz na zgniecionego owada, otrząsnęła się ze wstrętem, po czym szybko wyrzuciła zwłoki za okno.

- Masz celne oko, dziewczyno - odezwał się łagodny męski głos, dźwięczny i melodyjny jak irlandzka ballada. - Nie miała szans, ta mucha. Czy tak samo radzisz sobie z prawdziwą bronią?

Zaskoczona, odwróciła głowę; obcy mężczyzna przyglądał się jej przez okno po przeciwnej stronie. Silnym ramieniem podtrzymywał

ramię okienną.

Jak długo tam stał? Najwyraźniej widział jej starcie z muchą.

Był wysoki i szczupły, z krótko obciętymi, falującymi ciemno -

kasztanowymi włosami, jasną cerą i przenikliwymi, błękitnymi jak polne kwiaty oczami. Pojawiły się w nich iskierki, kiedy na nią patrzył. Nie próbował nawet ukryć ciekawości. Jego wargi wygięły się w uśmiechu.

Diabelsko przystojny.

To zdanie pojawiło się nieproszone w jej głowie. Nie mogła odmówić mu urody. Serce zabiło jej mocniej, a pierś zafalowała pod materiałem stanika.

Wielki Boże!

Nie chcąc przyznać się, że nieznajomy wzbudził jej zainteresowanie, zaczęła wyszukiwać niedoskonałości w jego rysach. Coś co uczyniłoby go niegodnym jej uwagi. Czoło miał kwadratowe i raczej prostackie. Nos odrobinę za długi - podobny do dzioba sępa - brodę o twardym zarysie, wskazującą na upór. Wargi zbyt cienkie.

Całość jednak robiła przyjemne wrażenie. Każda kobieta zwró-

ciłaby na niego uwagę. Wręcz promieniował magnetyzmem, co sprawiało, że sama jego obecność rodziła grzeszne myśli.

Grzeszne, w istocie. Westchnęła z żalem, jako że mężczyzna z pewnością nie był dżentelmenem. Zwyczajny, prosty strój - płócienna koszula, chustka na szyi i brązowy kubrak - oraz brak manier, zdradzały plebejskie pochodzenie. Wystarczyło spojrzeć, żeby go ocenić, kiedy opierał się o drzwi powozu niczym rozbójnik.

Zesztywniała, uświadomiwszy sobie, że to zupełnie możliwe. Cóż, jeśli chciał ją obrabować, nie sprawi mu satysfakcji, okazując strach.

Zdarzało jej się wybuchnąć płaczem, ale nie należała do tych, co z byle powodu wołają o sole trzeźwiące.

- Potrafię się bronić - oświadczyła twardo. - Bez trudu wpakuję ci kulę w głowę.

Co za kłamstwo, pomyślała, uznając, że najmądrzej będzie nie wspominać o tym, że nigdy w życiu nie strzelała ani nie ma w powozie pistoletu. Tylko woźnica miał broń.

Gdzie on się właściwie podziewał? Miała nadzieję, że ani on, ani pozostali nie leżą gdzieś związani.

Oczy łotrzyka rozbłyły ze zdumienia.

- Jaki masz powód, żeby do mnie strzelać?

- A co mam myśleć, gdy obcy mężczyzna zaczepia mnie w moim własnym powozie?

- Może chcę ci pomóc.

- W czym? W rabowaniu moich rzeczy?

Zmrużył oczy, patrząc na nią z mieszaniną rozbawienia i irytacji.

- Podejrzliwe z ciebie dziewczątko. Od razu uznałaś, że jestem złodziejem. - Pochylił się ku niej. Miał lekko ochrypły głos. - Nawet gdybym nim był, uważasz, że posiadasz coś aż tak wartościowego, żebym się na to skusił?

Bezwiednie otworzyła usta; serce zabiło jej żywiej z niepokoju, zdradziecki rumieniec oblał policzki.

- Tylko stroje i parę klejnotów, nic więcej. Są w kufrach na ze-wnątrz.

- Gdybym pragnął kosztowności, już bym je miał. - Wpatrywał się w jej oczy, po czym powoli przeniósł wzrok na jej usta. - Ja natomiast chciałbym tylko jednego...

Wstrzymała oddech, kiedy przerwał. Czyżby chciał jej? Zamierzał

się wkraść do powozu i zdobyć kilka pocałunków? A może jeszcze coś innego? Jeśli tak, powinna krzyżeć, wpaść w panikę. Ale czekała jedynie, z łomocącym sercem, co powie dalej.

- Tak? - przynagliła, niemal szepcząc. Uniósł kącik ust w górę.

- Żebyś zabrała swój śliczny tyłeczek z powozu tak, żebym razem z twoimi ludźmi mógł wyciągnąć go z błota.

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiała znaczenie tych słów.

Chyba coś źle usłyszała. Czy on naprawdę powiedział: „zabrała tyłeczek z powozu”?

Zesztywniała.

Co za tupet! Nigdy dotąd nie zwracano się do niej w tak prostacki, lekceważący sposób. Za kogo on się miał?

- Jak się nazywasz, człowieku?

- Och, proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się wcześniej - powiedział, prostując się. Był bardzo wysoki. Przytknął dwa palce do czoła.

- Darragh O'Brien, do usług.

- Darragh? - Zmarszczyła brwi. - Co za dziwne imię. Teraz on z kolei się zirytował.

- Nie jest dziwne, ale irlandzkie. Wiedziałybyś o tym, gdybyś dopiero co nie przyjechała z Anglii.

- Skąd pan to wie?

- Cóż, na pierwszy rzut oka widać, że jesteś Angielką i nigdy jeszcze nie byłaś na tej ziemi.

Mógł to wywnioskować z ich krótkiej rozmowy, nieprawdaż?

- A zatem, dziewczyno, wiesz, jak się nazywam. A jak ty masz na imię? I dokąd się udajesz? Twoi ludzie nie chcieli mi tego powiedzieć.

- I bardzo dobrze, bo moje plany to doprawdy nie pana sprawa, zwłaszcza jeśli istotnie jest pan łotrem.

- Ach, teraz jestem łotrem? Nie tylko złodziejem?

- To się okaże. Parsknął śmiechem.

- Masz ostry język. Tnie do kości i największym zbrojmom każe uciekać na koniec świata.

- Jeśli to prawda - odparowała z drwiącym uśmieszkiem - co pan tu jeszcze robi?

Uśmiechnął się bezczelnie, najwyraźniej rozbawiony.

- No cóż, nie zwykłem uciekać przed niebezpieczeństwem. I nie mam nic przeciwko pakowaniu się w interesujące tarapaty.

Uniosła brew na tę replikę. Chciał powiedzieć, że ona stanowiła

„tarapaty? No, jeśli się nad tym zastanowić, może i tak było.



- Zatrzymałem się, żeby pomóc - oznajmił. - Przejeżdżałem obok, kiedy zobaczyłem ten żaloszny wypadek. Pomyślałem, że twoim ludziom przydałaby się jeszcze jedna para rąk.

No właśnie. A gdzie się podziewa służba? Podejrzliwość wróciła.

- Gdzie są moi ludzie?

- Tutaj. - Wskazał ręką. - Tam, gdzie byli przez cały czas.

Przesunęła się na ławce i wychyliła przez okno. Zobaczyła wszystkich czworo: woźnicę, dwóch lokai i pokojówkę, skupionych przy jej bagażu na kawałku suchej ziemi. Przypominali rozbitków na małej, bezludnej wyspie - spoceni i strudzeni - ale nic nie wskazywało, żeby bali się o swoje życie.

- Zadowolona?

Cmoknąwszy z irytacją, usadowiła się w poprzedniej pozycji.

- A więc ja się przedstawiłem. A jak ty masz na imię, dziewczyno? -

Pochylił się w jej stronę, opierając muskularne przedramiona na ramie okna.

- Nazywam się Jeannette Rose Brantford. Lady Jeannette Rose Brantford, nie „dziewczyna”. Wolałabym, aby więcej nie zwracał się pan do mnie w sposób tak poufały.

Ta wyniosła odpowiedź wywołała jeszcze szerszy uśmiech na jego twarzy. Sposób, w jaki jego oczy zaśmiały przy tym, przyprawił ją o przyspieszone bicie serca.

- Lady Brantford, tak? - powiedział przeciągle. - A gdzie jest twój lord, pan małżonek? Wysłał cię w samotną podróż?

- Jestem w drodze do posiadłości kuzynów na północy od Waterford, koło wsi o nazwie Inis... Inis...  
- Urwała, grzebiąc rozpaczliwie w pamięci. - Och, nie pamiętam, Inis - coś - tam.

- Masz na myśli Inistioge, tak?

- Tak, chyba tak. Zna pan tę wieś?

- Bardzo dobrze.

Nadal miała co do niego wątpliwości. Mógł być rozbójnikiem lub kimś przyzwoitym. Miejscowym gospodarzem, dzierżawcą, a może kupcem. Chociaż nie mogła sobie wyobrazić - przy tym jego niepokromionym, aż nadto śmiałym usposobieniu - żeby Darragh O'Brien komuś służył.

Jeśli znał wieś w pobliżu majątku kuzynów, oznaczało to, że niemal dotarła do celu. Bogu wiadomo, jak bardzo chciała znaleźć się już na miejscu, żeby wreszcie wysiąść z powozu i wytrześć spódnicę.

- Zatrzymam się u kuzynów - powiedziała. - I jeszcze jedno. Co prawda to nie pańska sprawa, ale

tytuł przysługuje mi z urodzenia, nie z racji zamążpójścia. Jestem niezamężna.

Jego oczy rozblęły żywiej.

- Niezamężna, dziewczyno? Wiedziałem, że Anglicy to głupcy, nie zdawałem sobie sprawy, że są na dodatek ślepi.

Zadrżała. Opanowała się natychmiast, przypominając sobie, że O'Brien - choćby nie wiadomo jak pociągający - nie należał do mężczyzn, których dama z jej pozycją mogłaby brać pod uwagę, szukając małżonka.

- Już mówiłam, żeby nie zwracał się pan do mnie „dziewczyno” -

zauważyła zduszonym głosem. Nie zabrzmiało to groźnie.

- Tak, tak właśnie powiedziałaś. - Uśmiechnął się, wcale nie -

skruszony. - Dziewczyno.

Potem zachował się w sposób najbardziej zdumiewający - mrugnął

do niej. Śmiałe, bezczelne mrugnięcie wywołało w niej falę gorąca, przelewającą się z gwałtownością wody spuszczonej z tamy po deszczu.

Gdyby miała skłonności do czerwienienia się, tak jak siostra bliźniaczka, miałyby teraz policzki czerwone jak maki. Na szczęście jednak, 'w przeciwieństwie do siostry, Violet, nie zwykła się czerwienić na każdą przypadkową uwagę. Była to zresztą jedna z niewielu cech, które je dzieliły.

Uznała, że przyczyną tej zdumiewającej reakcji był letni upał.

Musiał jakoś wpłynąć na jej już i tak przeciążone zmysły. W Londynie nie zaszczyliłaby tego człowieka drugim spojrzeniem... Cóż, drugim może tak, ale trzecim na pewno nie!

- Chodź - powiedział O'Brien, stanowczym tonem. - Pogawę-

dziliśmy sobie, ale teraz muszę cię wyciągnąć z powozu.

- Nie zamierzam wychodzić. Może mój woźnica o tym nie wspomniał, ale uzgodniliśmy, że zostanę na swoim miejscu, dopóki berlinka nie ruszy.

O'Brien pokręcił głową.

- Będiesz musiała wysiąść. Chyba że chcesz zamieszkać w powozie. Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, koła są pogrążone w błocie i twoi ludzie nie są w stanie wypchnąć powozu z tobą w środku.

- Jeśli chodzi o moje bezpieczeństwo, niepotrzebnie się pan troszczy. Nic mi się nie stanie.

Najwyżej zrobi mi się niedobrze, pomyślała.

- Chodzi o coś więcej niż twoje bezpieczeństwo, choć to też ważne.

To kwestia twojej wagi.

- Mojej wagi? Co pan ma na myśli? - Jej brwi podskoczyły do góry.

Śmiałym, oceniającym spojrzeniem omiółł jej postać, od róna kapelusza po czubki trzewików.

- Nie chcę powiedzieć, że jesteś gruba, ani nic w tym rodzaju. Masz ładną, kobiecą figurę. Ale nawet kilka kilogramów robi różnicę, jeśli chcemy ruszyć powóz, zamiast dać mu się pogrążyć głębiej w błocie.

Usiadła, nie mogąc wydobyć głosu. Jego bezczelność przekroczyła wszelkie granice! Rozprawiać o jej wadze i figurze prawie na jednym wydechu! Cóż, dżentelmen nigdy by się nie ośmielił. Ale ten człowiek nie był dżentelmenem. Był barbarzyńcą. Mówił tonem, jakim mógłby rozmawiać o przeniesieniu żywego inwentarza z jednej zagrody do drugiej.

Upłynęła długa chwila, zanim odezwał się ponownie.

- Oczywiście, jeśli wolisz, możesz zostać w środku. Pojadę do twoich kuzynów i zawiadomię ich, że potrzebujesz pomocy. Nie sądzę, żeby to zabrało więcej niż cztery, pięć godzin.

Pięć godzin! Nie mogła siedzieć tak długo w powozie. Może przesadzał, chcąc ją podstępem wywabić na zewnątrz. A jeśli nie? A jeśli jej upór, żeby zostać w berlince, doprowadzi do tego, że utkną tu na dłużej? Za cztery czy pięć godzin zapadnie noc!

Zadrżała na samą myśl! Bóg jeden wie, jakie okropne stworzenia mogą się czaić w pobliżu, gotowe wypełznąć po zmroku z nor. Czy w Irlandii są wilki? A może żyją tu jakieś równie niebezpieczne bestie.

Głodne, które chętnie pożywiłyby się młodą damą.

Powstrzymała z trudem drżenie głosu, próbując przekonać go kolejnym argumentem.

- Jeśli to prawda, dlaczego pan mi o tym mówi, a nie woźnica?

Sądzę, że gdyby rzeczy się miały tak źle, sam by mnie o tym zawiadomił.

- Zbierał się na odwagę, żeby ci to powiedzieć, kiedy przejeżdżałem. Nie chciał przekazać ci złych wieści, więc zaproponowałem, że ja to zrobię.

Zerknęła na rozciągający się dookoła ocean błota.

Zerknęła na rozciągający się dookoła ocean błota.

- Gdzie miałabym zaczekać? Z pewnością nie spodziewa się pan, że będę siedziała na swoich

kufkach na środku tego bagna. Słońce zrobi ze mnie sucharek.

W jego oczach pojawił się szelmowski błysk.

- Nie martw się. W pobliżu znajdzie się trochę cienia i jakieś odpowiednie miejsce.

Szczerze w to wątpiła, ale jaki miała wybór? Mogła opuścić powóz albo spędzić tu wieczór, sama i pozbawiona opieki.

O'Brien rzucił jej współczujące spojrzenie. Zdawał sobie sprawę z jej rozterki. Otworzył drzwi berlinki.

- Chodź, oszczędź swój upór na inną okazję. Oboje wiemy, że im szybciej wysiądziesz z powozu, tym szybciej potem ruszysz w drogę.

- Czy ktoś panu już powiedział, że jest pan impertynencki? -

Podniosła się niechętnie.

Zachichotał.

- Raz czy dwa, dziewczyno. Zabierz wszystko, co ci potrzebne i chodźmy.

Wahała się przez długą chwilę, po czym schyliła się po torebkę, leżącą na ławce. Ledwie to zrobiła, wsunął ręce do środka i podniósł ją.

O mało nie upuściła torebki, kiedy wyciągnął ją na zewnątrz. Pisnęła.

Tulił ją do masywnej piersi i niósł bez trudu, jakby ważyła nie więcej niż piórko. Jego bliskość ją oszołomiła. Nozdrza drażniła woń świeżego powietrza, koni i jakiś inny, niemożliwy do opisanego, cudownie męski zapach.

Ostrożnie przechyliła głowę, żeby głębiej odetchnąć tą wonią.

Zamknęła oczy i przez króciutką chwilę miała ochotę wcisnąć nos w zagłębienie jego szyi. Pozostała jednak sztywna w jego ramionach, nie zapominając o błocie, które otaczało ich jak śliskie, brązowe morze.

- Niech pan się nie waży mnie puścić - upomniała go, podnosząc skraj spódnicy, żeby się nie zamoczył.

Posuwał się uparcie naprzód. Błoto pod jego butami mlaskało wstrętnie, jakby grzęzawisko chciało go za wszelką cenę zatrzymać. Byli w połowie drogi do miejsca, z którego obserwowali ich służący, kiedy O'Brien zachwiał się, niebezpiecznie. Krzyknęła, obejmując go rękoma za szyję, aby się uchronić przed upadkiem.

Natychmiast odzyskał równowagę i kroczył dalej tak pewnie, jakby nic się nie stało.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, w gardle jej zaschło.

Minęła chwila, zanim uświadomiła sobie prawdę. Spojrzała na niego.

Uśmiechał się kpiąco, co tylko potwierdziło jej podejrzenia.

- Drań. - Uderzyła go w ramię. - Zrobił pan to specjalnie.

- Pomyślałem, że warto cię trochę rozweselić. Krzyczysz cienkim głosikiem, zabawnie, jak dziewczyna, wiesz o tym?

- Jestem dziewczyną, a to wcale nie było zabawne. - A gdyby się przeliczył i rzeczywiście ją upuścił? Wzmocniła uścisk.

Roześmiał się.

Gdyby zdawał sobie sprawę, kim ona jest, nie śmiałby się ani jej nie drażnił. W Anglii, przed skandalem, przywykła, że dżentelmeni spełniali każdą jej zachciankę. Bogaci wyrafinowani mężczyźni rywalizowali ze sobą o możliwość zaspokojenia jej kaprysów. Przez dwa kolejne sezony była Niezrównaną Królową Mody. I obiecała sobie, że zostanie nią ponownie, gdy tylko jej rodzice się opamiętają. Już wkrótce mama za nią zatęskni, a papa ochłonie z gniewu. Oboje uświadomią sobie, jaki straszliwy popełnili błąd, wysyłając ukochaną córkę na prowincję.

Ale zanim to nastąpi, będzie zmuszona znosić nieprawdopodobne upokorzenia takie, jak przenoszenie w ramionach nonszalanckich, irlandzkich prowincjuszy w rodzaju O'Briena.

Służący zbili się w milczącą gromadkę. O'Brien postawił ją między nimi. Betsy natychmiast stanęła u boku pani, za co Jeannette była jej ogromnie wdzięczna. Służąca próbowała nieśmiało wyjąć jej z rąk torebkę.

O'Brien się odwrócił.

- Zostawia mnie pan? Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Tak. Muszę pomóc twoim ludziom przy powozie.

- Ale obiecał mi pan cień i wygodne miejsce do siedzenia. Położył

dłonie na wąskich biodrach i rozejrzał się przesadnie dookoła. Potem spojrzał jej w oczy.

- Przykro mi to mówić, ale jedyny cień można znaleźć tam, na tej polance. - Wskazał ręką na małą kępkę rosnących osobno srebrnych świerków. - Przypuszczam, że grunt jest tam równie błotnisty, jak tutaj.

Jeśli masz parasolkę, poleciłbym służącej, żeby trzymała ją nad twoją głową dla ochrony przed słońcem. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, nie obiecywałem ci wygodnego siedziska. Przycupnij na jakimś mocnym kufrze. Jeśli nie, to masz zdrowe nogi. Po tylu godzinach spędzonych w powozie na

pewno marzysz, żeby je rozprostować.

Po tych słowach ruszył w stronę przekrzywionej berlinki. Jeden po drugim służący poszli za nim. W nieruchomym, gorącym powietrzu słychać było jednostajne bzyczenie owadów na polach.

Jeannette stała bez ruchu, zdumiona. Nie wiedziała, czy tupać nogami ze złości, czy wybuchnąć płaczem.

Nie, nie sprawi mu takiej satysfakcji!

Co za drań.

I pomyśleć, że jej się podobał.

Wiedząc, że nikt na nią nie patrzy, wysunęła język w stronę pleców O'Briena. Po tym akcie dziecinnej zemsty poczuła się lepiej i rozejrzała się, aby znaleźć coś do siedzenia.

Darragh Roderick O'Brien, jedenasty książę Mulholland, razem ze służbą poszukiwał płaskich kamieni i gałęzi, które mogłyby posłużyć do wyciągnięcia powozu z błota.

Zerknął spod oka na lady Jeannette i uznał, że jest złośnicą. Dumną i upartą, można by powiedzieć. Przypominała mu królową Maeve ze starej celtyckiej legendy - zapalczywą, gwałtowną i zdecydowaną na wszystko. Mógł sobie wyobrazić, jak wysłała armię, żeby sprowadziła dla jej kaprysu wspaniałego byka, tak jak przed wiekami postąpiła królowa Maeve. Lady Jeannette była w każdym calu tak samo bezwzględna i śmiała.

Jednak nie była silniejsza od jego woli. I podobnie jak nieustraszony mityczny bohater Cuchulainn, który rzucił wyzwanie królowej Maeve, on sam nie wahał się stawić czoła lady Jeannette.

Spotykał już wcześniej podobne do niej kobiety - zepsute, wyniosłe angielskie piękności, przekonane o swojej wyższości. Inny mężczyzna mógłby się obrazić. I, zapewne, zrobiłby to każdy inny, ale on nie należał

do takich, co łatwo wpadają w gniew. Nie trzymał też w sobie urazy, w każdym razie, o ile ktoś sobie na to dobrze nie zasłużył.

Poza tym, lady Jeannette była tylko dziewczyną, młodą i niepewną siebie w dziwnej, nieznannej krainie. Pewnie się bała. Choć musiał

przyznać, że tego nie okazywała. Pamiętał, jak odważnie się zachowała, kiedy sądziła, że jest złodziejem. Nie mógł sobie wyobrazić żadnej innej, znanej sobie kobiety, która potraktowałaby go w ten sposób. Otwarcie zagroziła, że wpakuje mu kulę w głowę, jeśli zajdzie potrzeba. Wierzył, że dotrzymałaby słowa, i cieszył się, że nie jest zbójem. Lady może była nadto śmiała, ale jej słowa i zachowanie świadczyły o prawdziwej odwadze i mógł ją za to jedynie podziwiać.

Jeannette Rose. Śliczne kobiece imiona, równie cudowne, jak niezwykła była kobieta, która je nosiła. Ale lady, tak jak róża, miała niebezpieczne kolce. I wcale ich nie ukrywała. Mężczyźni musieli uważać, żeby jej źle nie ocenić, bo inaczej mogli się pokaleczyć do krwi.

Była prawdziwą różą, myślał z uśmiechem. Piękna, ale z ostrym języczkiem, dokładnie tak, jak jej powiedział. Nawet teraz czuł, jak pałą go słowa, które wypowiedziała w powozie.

Na ogół nie przejmował się niewiastami, które śmiało mówiły to, co myślały. Jakże mogło być inaczej, skoro wyrósł w domu pełnym kobiet o gwałtownym temperamencie. Kobiet, które już dawno nauczyły go szanować ich cięty dowcip i śmiać się razem z nimi. Oczywiście, czasami można było wyjść z jednej czy drugiej potyczki zwycięsko, jeśli umiało się robić uniki.

Róża była właśnie taka i musiał przyznać, że świetnie się bawił, pojedynkując się z nią na słowa.

Zerknął przez ramię i zobaczył, jak siedzi, sztywno wyprostowana, na kufrze, a służąca rozkłada parasol nad jej głową. Uświadomił sobie, że nie miałby nic przeciwko kolejnej utarczce. Jako

dojrzały mężczyzna, nie miałby nic przeciwko wielu innym rzeczom, które mogliby razem robić.

Była śliczna. Jej kremowa cera przypominała dojrzałą brzoskwinię.

Włosy, bujne i jedwabiste, miały bladozłoty odcień jak młoda pszenica.

Jasne, lśniące oczy były jak niebieskozielone fale ciepłego południowego morza. Owładnęło nim pożądanie, kiedy przypominał sobie, jak niósł ją w ramionach, delikatną, kobiecą. Pachniała słodko, jak kwiaty jabłoni, i świeżo, jak skoszony wrzos pogodnego wiosennego dnia.

Bez dwóch zdań, pomimo uporu i ciętego języka, była słodką kobietką. Łatwo byłoby ją pocałować. Przycisnąć usta do jej warg na kilka zapierających dech w piersiach chwil. Oczywiście, kiedy nadeszłoby otrzeźwienie, pewnie złapałaby parasol, albo cokolwiek innego co ma pod ręką, i uderzyłaby z całej siły.

Uśmiechnął się na tę myśl, odegnał tęsknoty i wrócił do pracy.

Po kilku minutach przyłączył się do pozostałych, dźwigając ciężkie kamienie. Położywszy je na suchym spłachetku ziemi, zrzucił kubrak i podwinął rękawy. Czekala ich przeprawa z pogrążonym w błocie powozem.

Na szczęście miał na sobie najgorsze ubranie. Pasjonował się architekturą i akurat dziś odwiedzał pobliskie kamieniołomy w poszukiwaniu budulca do renowacji wiejskiej rezydencji, którą się obecnie zajmował. Ubrał się więc stosownie na tę okoliczność.

W przeciwieństwie do angielskich arystokratów oraz wielu irlandzkich przedstawicieli klas wyższych, nie uważał, że praca hańbi. Że życie dżentelmena powinny wypełniać rozrywki, bywanie w towarzystwie, ćwiczenia fizyczne - niewymagające zbytniego wysiłku -

oraz odrobina spraw majątkowych i polityki, dla urozmaicenia. Co prawda, on sam nigdy nie pławił się w luksusie. Jakiś czas temu szkatuły rodziny okazały się niemal puste. Udało mu się utrzymać majątek Mulholland w stanie nienaruszonym dzięki rozumowi, pracy i sile woli.

To, czego się wówczas nauczył, nadal mu służyło i wciąż czerpał z tamtych doświadczeń. Kochał swoją pracę, szczycił się osiągnięciami i wiedział, że nie ma niczego wstydliwego czy poniżającego w tym, że ktoś całym sercem oddaje się zadaniu. Nawet jeśli musiał pobrudzić sobie przy tym ręce.

Ułożyli kamienie i gałęzie pod kołem i zajęli miejsca wokół

powozu.

Darragh pchał ze wszystkich sił, zaciskając szczęki i napinając mięśnie.

- Panie O'Brien, chcę zamienić z panem słowo.

Głos lady Jeannette rozległ się gdzieś z tyłu za nimi, z lewej strony.



Przez chwilę sądził, że się przesłyszał, ale zaraz znówu się odezwała.

- Gzy pan mnie słyszał, panie O'Brien?

Na Chrystusa, naprawdę wróciła, żeby marudzić. Czego, do diabła, mogła chcieć? Czy ta kobieta nie ma oczu? Wszyscy są zajęci wyciąganiem berlinki z błota.

Przymknął powieki, starając się nie zwracać na nią uwagi i sku-piając się na pchaniu powozu. Jego dłonie przesunęły się odrobinę po malowanych drewnianych bokach berlinki i przez krótką, pełną nadziei chwilę, miał wrażenie, że powóz ruszył.

- Hm, panie O'Brien, mówię do pana. Wypuścił powietrze z płuc. -

Jestem teraz zajęty, dziewczyno.

Ociekając potem, rozgrzany i ubłocony Darragh zmienił pozycję, ale wiedział, że okazja minęła. Tłumiąc przekleństwo, odwrócił się, posyłając jej wściekłe spojrzenie.

Podeszła bliżej, uważając, żeby nie wdepnąć w błoto.

- Jak długo to jeszcze potrwa? To czekanie jest nieznośne i moja cera bardzo na tym ucierpi. - Na jej twarzy malowała się rozpacz, kiedy uniosła rękę, kierując palec w rękawiczce w stronę nosa. - Betsy mówi, że mój nos poróżwiał okropnie.

Zerknął na nią i pomyślał, że nawet z tej odległości nos wydaje się biały i w dobrym stanie. Betsy powinna się nauczyć zachowywać opinie dla siebie. A lady Jeannette przestać robić z igły widły.

- Przykro mi - powiedział, siląc się na cierpliwość. - Jeśli wrócisz na miejsce, za chwilę wypchniemy powóz na drogę.

Jeannette zmarszczyła brwi.

- Nie wygląda pan, jakby było panu przykro. - Co?

- Z powodu mojego nosa. W gruncie rzeczy sądzę, że kpi pan sobie ze mnie.

Spokój zaczął go powoli opuszczać. Próbował się jeszcze opanować.

- Nie kpię z ciebie. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i idź

posiedzieć na swoich kufrach.

Podeszła na tyle blisko, na ile pozwalał pas suchej ziemi, zatrzymując się parę kroków od berlinki.

- Traktuje mnie pan jak dziecko. Zapomina się pan! Proszę przyjąć do wiadomości, że jestem córką księcia.

A ja jestem księciem, o mało nie warknął Darragh. Uznał jednak, że prościej będzie przerwać bezsensowną sprzeczkę i wrócić do pracy.

- Wybaczy pani, jeśli powiedziałem coś, co się pani nie spodobało.

Proszę się odsunąć, żebyśmy mogli wyprawić powóz w dalszą drogę.

Nie czekając na odpowiedź, skupił się na zadaniu.

Na rozkaz woźnicy konie pociągnęły berlinkę, podczas gdy Darragh i pozostali mężczyźni pchali, ile sił w mięśniach. Darragh krzyknął ochryple, ręce mu drżały. Jeszcze jedno porządne pchnięcie, pomyślał. Jeszcze centymetr lub dwa.

Nagle koła się poruszyły, wyrzucając w powietrze strumień błota.

Berlinka potoczyła się naprzód, na suchą drogę.

Rozległy się krzyki i wiwaty. Darragh uśmiechnął się szeroko, przyłączając się do pozostałych mężczyzn, którzy się poklepywali nawzajem po plecach, pełni radości i dumy.

Miłą scenę zakłócił wrzask - piskliwy, przenikliwy, kobiecy.

Darragh odwrócił się i zamarł.

Lady Jeannette stała, drżąc na całym ciele, z maleńkimi dłońmi zaciśniętymi u boków, z twarzą i suknią pokrytymi błotem. W pomarańczowej sukni, usianej karmelowymi plamami, przypominała mu kota. Nawet kapelusz się nie uchwalił. Dumne strusie pióra zwisały żałośnie, jak pęk zwiędłych kwiatów.

Na końcu jednego z piór kołysała się niebezpiecznie grudka błota.

Nagle oderwała się, lądując z mokrym plaśnięciem na czubku nosa, o który przed chwilą tak się niepokoiła Jeannette. Jej oczy, koloru morskiej wody, otworzyły się szeroko, na twarzy pojawił się wyraz najgłębszego przerażenia.

Śmiech połaskotał go w gardle. Nie mógł się powstrzymać.

Służący, którzy do tej chwili stali niemi i osłupiali, poszli w jego ślady. Jeden z lokai parsknął głośno, po czym zgiął się wpół ze śmiechu.

W ciągu paru sekund wszyscy zaczęli się wić, rozbawieni do łez. Nawet Betsy zakryła uśmiechniętą buzię dłonią, biegnąc pani z pomocą.

Jeannette była jednak zbyt rozzłoszczona i zmieszana, żeby skorzystać z uprzejmości pokojówki. Darragh miał wrażenie, że Róża może lada chwila stanąć w płomieniach.

Wiedział, że nie należy jej drażnić, kiedy czuje się upokorzona, ale taka okazja mogła się więcej nie

zdarzyć.

- Moja pani - powiedział - czy chciałabyś, abym cię zaniósł do powozu? Musi być na tobie jakieś miejsce, które nie jest pokryte błotem.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałby już martwy. Jej wzrok przeszył go niczym sztylet. Widział, że myśli nad stosowną ripostą, ale nagle zmieniła zdanie. Podnosząc brodę dumnym gestem królowej, odwróciła się od niego.

- Załadujcie natychmiast bagaż - rozkazała służbie. - Nie życzę sobie dalszego opóźnienia.

Ruszyła po błocie w stronę powozu, jakby była na przechadzce w parku.

Poszedł za nią. Czekał, aż obie z pokojówką wsiądą do powozu, a woźnica zamknie drzwi.

Uśmiechnął się do niej przez okno.

- Przyjemnie było panią poznać, lady Jeannette Rose Brantford.

Mam nadzieję, że spotkamy się któregoś dnia.

Jej nadąsana dolna warga zadrżała.

- Prędej piekło zamarznie - powiedziała, zasuwając firankę przed jego twarzą.

Przez następnych parę kilometrów walczyła z łzami. Tylko duma pozwoliła jej wygrać te zmagania. Duma i gniew.

Gdyby nie one, zamieniłaby się w małe skamlące i zawodzące szczenię.

Och, ten człowiek, ten Darragh O'Brien. Chciała... cóż, chciała go po prostu uderzyć! Nigdy w życiu nie potraktowano jej z taką nonszalancją.

Myślał, że jest dowcipny? To najmniej zabawny człowiek, jakiego w życiu spotkała.

Spojrzała na suknię i zaschnięte plamy błota. Pociągnęła nosem, opierając się kolejnemu atakowi płaczu. Jej piękna suknia zniszczona. Z

pewnością nawet najzręczniejsza praczka nie zdoła usunąć wszystkich plam. Tak zniszczonego stroju nie przyjmie żadna ze służących.

Uwielbiała tę suknię, a teraz stanowiła ona jedynie kupę szmat.

Z wyjątkiem dnia, kiedy rodzice oznajmili jej, że wyjeżdża do tej dzikiej krainy, dzisiejszy był z pewnością najgorszym dniem w jej życiu.

Upłynęło sporo czasu, zanim dotarli wreszcie na miejsce. Jeden z lokai pośpieszył, żeby pomóc jej

wysiąść, z szacunkiem spuszczać wzrok. I tak powinno być, pomyślała, przypominając sobie, jak się śmiał

wraz z innymi. Uznała jednak, że trudno ich o to winić. Byli; zaskoczeni.

Nie, tylko jeden człowiek ponosił za to odpowiedzialność. Ten szatan to O'Brien.

Upokorzenie paliło jak garść rozżarzonych węgli. Uczucie się wzmogło, kiedy z domu wynurzyła się mała siwowłosa kobieta w staromodnym czepku. Miała łagodne szare oczy, które otworzyły się szeroko, gdy spojrzała na Jeannette.

Mała kobieta zastygła na podjeździe, podnosząc dłoń, żeby zakryć usta. Zamrugła dwa razy, po czym wzięła się w garść i podbiegła do gościa.

- Kuzynko Jeannette, czy to ty? Och, biedne dziecko, co ci się stało?

Bertie i ja już zaczynaliśmy się martwić, czy przybędziesz dzisiaj, tak jak się spodziewaliśmy. Wieczór tuż tuż... Ale teraz to nieważne. Jestem Wilda, twoja kuzynka. Wilda Merriweather. Witaj w Bramleberry.

Ciepłe powitanie skruszyło dumę Jeannette. Łza spłynęła po jej usmarowanym błotem policzku.

W powozie Betsy robiła, co się dało, żeby doprowadzić jej twarz i toaletę do porządku, ale bez wody ów wysiłek nie przyniósł widocznych efektów. Cera Jeannette była napięta i sucha, jakby skóra miała popękać od pokrywającego ją brudu. Chciała pokazać się z najlepszej strony, a zaprezentowała się z najgorszej. Czerwony nos i podpuchnięte oczy byłyby o niebo lepsze od tego. Teraz miała czerwony nos, podpuchnięte oczy i była cała umazana błotem!

- Czy wydarzyło się coś złego, moja droga? - Wilda wyciągnęła współczująco rękę. - Chodź i opowiedz mi wszystko.

Więcej łez spłynęło po policzkach Jeannette, kiedy, niczym dziecko, podeszła, żeby schować się w objęciach starszej kobiety.

- To... to było straszne... - powiedziała, starając się mówić mimo łez

- ten mężczyzna przyszedł... kazał mi wysiąść... słońce paliło... błoto wszędzie... a potem się śmiał! Och, moja suknia... i moje śliczne trzewiki.

- I, ku swojemu skrajnemu upokorzeniu, rozsłochała się na dobre.

- Już dobrze, już dobrze, dziecko - uspokajała ją starsza kobieta. -

Zaraz przejdzie, zobaczysz. Wejdz do środka, zaprowadzimy cię do twojego pokoju, weźmiesz gorącą kąpiel i pośpisz sobie. Musisz być wyczerpana po tak długiej podróży. Cóż, wyprawa do Waterford od czasu do czasu wysysa ze mnie wszystkie siły, mogę więc sobie tylko wyobrażać, jak bardzo jesteś zmęczona. Płacz ile chcesz, kochana, ile chcesz.

Jeannette poddała się rozpaczy, roniąc obficie łzy w chusteczkę i pozwalając kuzynce wprowadzić się do domu, a potem po schodach na górę.

Ledwie rozejrzała się po wesolej, żółtej sypialni, która miała do niej należeć, kiedy podeszła Betsy, żeby pomóc jej zdjąć zrujnowaną suknię.

Do sąsiedniej garderoby wniesiono dużą wannę i nalano do niej parującej wody. Wszyscy, poza pokojówką, wyszli i w pokoju zrobiło się cicho.

Pociągając nosem, z zapuchniętymi i zaczerwienionymi oczami, Jeannette zanurzyła się w cudownym cieple. Betsy namydliła i spłukała jej długie włosy, potem zostawiła ją, żeby odpoczęła. Pięć minut później, złożwszy głowę na miedzianej krawędzi wanny, Jeannette zasnęła.

Betsy obudziła ją delikatnym dotknięciem. Owinęła dziewczynę w wielki, włochaty ręcznik, gdy wyszła z wanny. Śpiąca i przybita, Jeannette usiadła przy kominku, ubrana w najcieplejszą nocną koszulę i szlafrok. Popijała herbatę z filiżanki, pogryzając pyszne maślane herbatniczki i zimne mięso z kurczaka, które przysłano dla niej na górę.

Pokojówka rozczesywała jej długie do pasa włosy.

Potem poszła do łóżka, kładąc się w świeżej, chłodnej i słodko pachnącej krochmalem i lawendą pościeli. Ukryła twarz w poduszce i uroniła parę łez więcej.

Tęskniła za domem. I Anglią.

Tęskniła za rodzicami i siostrą.

Tęskniła nawet za swoim bratem, Darrinem, który zdawał się nie mieć nic lepszego do roboty niż robić z siebie głupca i przepuszczać pieniądze.

W tej chwili oddałaby wszystko, byleby mieć ich z powrotem, być we własnym domu, we własnym łóżku i żeby wszystko było tak, jak przedtem. Niestety tamte dni minęły bezpowrotnie.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego tęskniła za domem. Zanim przed paroma tygodniami wróciła do Anglii, spędziła wiele miesięcy we Włoszech z ciotką Agatą. Wtedy nie czuła tęsknoty za domem. Podróż była następstwem figla, który spletały z siostrą bliźniaczką w dniu ślubu Jeannette. Zamieniły się miejscami, ponieważ Jeannette nie chciała poślubić księcia, z którym była zaręczona. Poślubiła go Violet - udając siostrę. Och, przypuszczała oczywiście, że to oszustwo było czymś bardzo niewłaściwym z ich strony. W końcu jednak wszystko dobrze się skończyło. Przynajmniej dla Violet i Adriana, którzy byli w sobie nieznośnie zadurzeni i jeszcze w tym roku spodziewali się potomka.

Ucierpiała tylko ona. To ją wygnano, skazując na nędzny los.

Znosiła to wszystko w imię miłości.

Ach, Toddy, westchnęła, dlaczego mnie oszukałeś?

Jakaż była naiwna, pozwalając takiemu doświadczonemu draniowi, jak Theodore Markham bawić się jej uczuciami. Odrzuciła Adriana w przekonaniu, że Toddy jest jej jedyną, prawdziwą miłością.

Szeptał jej tyle pięknych słówek, opowiadał o uwielbieniu i oddaniu po grób, a ona mu wierzyła. Głupia! Pochlebiał jej, zachwycając się jej urodą i nadskakując cały czas. Poświęcał jej uwagę, której nie miał dla niej -

zbyt zajęty obowiązkami, przyjaciółmi i swoimi sprawami - jej własny narzeczony.

Toddy jej pragnął. Kochał ją. Tak przynajmniej myślała przed wyjazdem do Włoch. Tam właśnie dowiedział się, że nie będzie sutego posagu, jeśli ją poślubi. Porzucił ją więc jak zepsutą zabawkę. Po to, by -

jak się wkrótce dowiedziała - zapolować i uwieść inną ofiarę.

Zacisnęła powieki, starając się wyrzucić z pamięci jego obraz. Już go nie kochała; wyzbyła się wobec niego resztek serdecznych uczuć.

Musiała jednak przyznać, że pozostawił w jej sercu krwawiącą ranę.

Nauczyła się, że miłość może być bezwzględna i okrutna. Lepiej w ogóle nie kochać niż doznać takiego bólu i żalu. Lepiej szukać pociechy w rzeczach, które liczyły się na tym świecie - w bogactwie, pozycji, Zaszczytach.

Poślubi tytuł, tak jak zamierzała od początku. Tym razem żaden czarujący nicpoń nie stanie na drodze do realizacji jej planów. Wyjdzie być może za bogatego starca, który, jeśli los się do niej uśmiechnie, umrze wkrótce po ślubie. Zostanie wtedy zamożną, młodą wdową, która będzie mogła żyć, jak jej się podoba. Gdy tylko wróci do cywilizacji, zacznie szukać odpowiedniego kandydata.

Omotąła jednego księcia, złapie i drugiego.

Wzdychając, ułożyła się wygodnie w pościeli. W końcu zasnęła.

Ale sen miała pełen majaków.

Siedziała samotnie w berlince, której koła ugrzęzły w błocie. Drzwi powozu otworzyły się nagle; światło słońca przesłoniło potężne, męskie ciało. Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy nieproszony gość wskoczył do środka i usiadł na ławce obok niej. Wyciągnął długie, silne ramię i oparł dłoń na ramie okna. Skuliła się w kącie; znalazła się w potrzasku, nie miała szans na ucieczkę.

Spojrzała w jego śmiałe, niebieskie oczy i zadrżała. Obezwładniły ją strach, podniecenie i, owszem, pożądanie.

- Czego chcesz? - zapytała. - Pieniędzy? Klejnotów? Wiedziała, jak brzmi jego głos, zanim się odezwał - głęboki, melodyjny, z nutą dzikości właściwej irlandzkiej ziemi. Czekwała na odpowiedź, drżąc z niecierpliwości.

- Nie - szepnął. Odczuła to jak jedwabistą pieszczotę. - Nie potrzebuję tego, jeśli mogę dostać większy skarb. Cóż mi oddasz, moja pani, cnotę czy życie?

Otworzyła usta, oddychając z trudem.

- Weźmiesz, co zechcesz.

W następnej chwili jego usta zamknęły się na jej wargach, na-pełniając ją prymitywną słodyczą, od której kręciło się w głowie, a ciało miękło jak rozgrzany wosk. Wsunął język w jej rozchylone usta. Poczwała jego smak i pozwoliła, by wszystkie pory jej ciała wypełniły się zapachem jego skóry i włosów, aż nie była w stanie stwierdzić, gdzie przebiega granica między ich ciałami.

- Pocałuj mnie, dziewczyno - rozkazał.

Posłuchała, zatracając się w zakazanej żądzy, której nie chciała, ani nie potrafiła opanować. Tak bardzo pragnęła go dotknąć, że bolały ją opuszki palców. Przeczesała jego gęste, brązowe włosy, przyciągając go bliżej. Zachęcała do śmielszych pieszczot złodzieja, który ukradł jej serce.

Objął dłonią jej pierś; jej sutek nabrzmiął natychmiast, kiedy gładził

go kciukiem. Westchnęła i zadrżała, kiedy obsypał pocałunkami jej szyję i zacisnął delikatnie zęby na jej uchu.

- Wiesz teraz, czego chcę, dziewczyno? - zapytał, łaskoczając jej twarz ciepłym oddechem.

Leciutko pokręciła głową, przejęta pragnieniem, które tylko on mógł zaspokoić.

Odsunął się od niej raptownie.

- Chcę, żebyś zabrała swój śliczny tyłeczek z powozu. Pozwól, że ci pomogę.

Zanim zdążyła zaprotestować, podniósł ją z siedzenia i jednym pchnięciem wyrzucił na zewnątrz, w błoto. Śmiał się z niej, stojąc w berlince i uderzając dłonią w bok powozu - jeszcze, jeszcze i jeszcze.

Odgłos uderzeń zmienił się i stał się głośniejszy, zamieniając się w monotony łomot, który wyrwał ją ze snu.

Jęknęła, mrużąc oczy w porannym słońcu, na tyle śpiąca, żeby wciąż czuć mokre błoto i tęskne pragnienie.

Wykrzywiła twarz, wtulając w udęce twarz w poduszkę. Jak mogła śnić o tak intymnych rzeczach i to związanych z nikim innym, tylko z Darraghiem O'Brienem! Jak to się stało, że fantazjowała na temat kogoś, kto był człowiekiem z gminu, niegodnym jej uwagi, choćby nie wiadomo jak przystojnym?

Cóż, to tylko sen, pomyślała. Głupi i zupełnie pozbawiony znaczenia.

Okropny hałas nie ustawał.

Na Boga żywego, cóż to za straszliwy harmider? Oparła się na -

łokciu i spojrzała na zegar na kominku.

Wskazywał wpół do ósmej.

Barbarzyństwo.

Okropieństwo.

Nigdy nie wychodziła z łóżka przed dziesiątą, a czasami nawet jedenastą, jeśli poprzedniego wieczora wróciła z balu naprawdę późno.

Wiadomo, że żadna zdrowa na umyśle, cywilizowana istota ludzka nie ma ochoty budzić się wcześniej. Jej zdaniem ludzie, którzy rzekomo lubili wstawać o wschodzie słońca, potrzebowali lekarza. Może nawet porządnego puszczenia krwi, które uwolniłoby ich od złych humorów i irracjonalnego zachowania.

Jęknęła rozpaczliwie i zakryła głowę poduszką, usiłując odciąć się od kakofonii dźwięków, rozbrzmiewających w powietrzu niczym jakaś potępieńcza muzyka. Nastąpiła cisza. Mruknęła z zadowolenia.

Zapominając o swoich niestosownych marzeniach, zapadła w sen po to tylko, żeby znów się obudzić, kiedy okropne łomotanie rozległo się ponownie.

Przez kilka pełnych udręki minut budziła się raz po raz i walczyła, żeby zasnąć. W końcu usiadła na łóżku z przekleństwem, które wywołałoby rumieniec na twarzy niejednego dżentelmena. Odrzuciwszy kołdrę, podeszła do okna.

Nie zobaczyła niczego niezwykłego. Trawa, drzewa, kwiaty, ptak na gałęzi... Tyle że wszystko tonęło w okropnym, monotonnym łomocie.

Co to był za hałas? Skąd się dobywał? Brzmiał jak... uderzenia młotem. Słyszała też charakterystyczny szczęk żelaza.

Zakłęła w duchu. Czyżby zamieszkała w domu dla obłąkanych?

Podeszła do dzwonka i wezwała Betsy. Nie było sensu kłaść się do łóżka.

Pokojówka sama wydawała się zmęczona.

- Dzień dobry, milady. Już się pani obudziła?

- Jak mogłabym spać przy tym piekielnym hałasie za oknem? Co to za koszmar, nie wiesz przypadkiem?



- Robotnicy, milady. Odbudowują zachodnie skrzydło.

- Odbudowują, powiadasz? Hmm. Można by się spodziewać, że okażą nieco taktu i zaczną trochę później. Będę musiała porozmawiać o tym z kuzynostwem - westchnęła Jeannette. - Cóż, skoro wstałam, możesz pomóc mi się ubrać.

- Oczywiście, milady - powiedziała Betsy, dygając.

Pół godziny później, wciąż zaspana, ale pewniejsza siebie w ślicznej sukni z blad różowego muślinu w kropki i słodkich pantofelkach w kolorze prymulek, których nie mogła nie podziwiać, wędrowała po domu w poszukiwaniu salonu. Ponieważ był to jej pierwszy dzień w posiadłości, postanowiła zjeść śniadanie w towarzystwie kuzynów, którzy, jak słyszała, co dzień jadali o tej porze.

Dom był obszerny - chociaż nie tak duży jak dom jej ojca w Surrey

- i zbudowany w stylu palladiańskim, niezmiernie modnym w ubiegłym stuleciu. Architektura wydawała jej się raczej surowa, ze zbyt wieloma prostymi liniami. Minęła parę doryckich kolumn - pomalowanych tak, żeby przypominały marmur, co odkryła, dotykając ich przelotnie - i znalazła w końcu pomieszczenie, którego szukała.

Piekielny hałas, dzięki oddaleniu, nieco przycichł. Boże, jak długo to potrwa? - zastanawiała się w duchu.

Zastała Wildę, siedzącą przy nakrytym lnianym obrusem stole.

Meble ustawiono tak, aby rodzinie było jak najwygodniej we własnym gronie. Odziana w żałośnie niemodną suknię, kuzynka wyglądała jak jakaś dziwaczna wiejska matrona. Kręcone siwe włosy wystawały spod koronkowego czepka, co sprawiało, że przypominała pudła.

Jeannette stłumiła uśmiech.

Przynajmniej kolor sukni był dobrze dobrany, uznała. Żywy błękit uwydatniał iskierki w szarych oczach kuzynki.

Kiedy Jeannette przekroczyła próg, Wilda położyła nóż obok talerza; dżem truskawkowy lśnił na złocistym trójkącie tosta, który trzymała w ręku.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Och, dzień dobry. Wejdz i usiądź, proszę.

Jeannette usadowiła się na krześle naprzeciwko starszej kobiety, mrużąc uprzejmie „dzień dobry” w odpowiedzi. Zjawił się lokaj z czajniczką do herbaty. Skinąwszy w milczeniu głową, pozwoliła się obsłużyć. Postawił przed nią czysty talerzyk i filiżankę, po czym nalał jej herbatę.

Spojrzała na parującą ciecz - ciemną, orzechowobrazową, bardziej przypominającą kawę niż herbatę - i mimowolnie uniosła brwi do góry.

Wyraźnie był to inny gatunek niż bladozłoty, o kwiatowym zapachu Darjeeling, który lubiła. Widocznie jakaś irlandzka odmiana. Coś, co pewnie pije Darragh O'Brien.

Sięgnęła po cukier i śmietankę, nie żałując sobie jednego ani drugiego.

- Na ogół jadamy skromnie - wyjaśniła Wilda, wskazując srebrną zastawę na kredensie. - Weź sobie, proszę, jajka, kielbasę i śledzie.

Powinny być jeszcze ciepłe. Możemy też polecić kucharzowi, by przygotował coś innego. Masz ochotę na naleśniki?

- Chętnie zjem jajka i tosty, dziękuję.

Kiedy nie wykonała żadnego ruchu, Wilda zrozumiała i skinęła na lokaja. Ugryzła kawałek tosta, który nadal trzymała w dłoni i zaczęła go przeżuwać, postukując jednocześnie paznokciem w filiżankę.

Czyżby się niepokoila jej przyjazdem? - zastanawiała się Jeannette.

Przypuszczała, że londyńskie maniery mogły wywierać taki skutek.

Ponadto, pomimo panińskiego stanu, Jeannette stała wyżej od kuzynki, jeśli chodzi o pozycję społeczną. Pani Merriweather mogła być spokrewniona z jej matką poprzez Hamiltonów, ale było to tylko odległe pokrewieństwo w najlepszym wypadku.

Ojciec kuzynki Wildy był ledwie baronetem, a pan Merriweather, choć wywodził się z dobrego rodu, nie był nikim więcej, jak młodszym synem wicehrabiego. I to niezamożnego wicehrabiego, któremu brakowało środków, żeby łożyć w dostatecznym stopniu na swoje potomstwo w Anglii. To dlatego Cuthbert i Wilda przed czterdziestu laty przenieśli się do Irlandii.

Lokaj postawił talerz przed Jeannette. Stwierdziła, że nałożył jej zbyt dużo jajek i kiszkę, której sobie nie życzyła, oraz tylko jeden kawałek tostu. Och, dobrze, nie była we własnym domu i będzie musiała przywyknąć do nowego trybu życia i obyczajów. Podniosła widelec, próbując jajecznicę.

Przełknęła, kiedy domem wstrząsnął głośny huk. Podskoczywszy lekko na krześle, zerknęła na kuzynkę. Wilda siedziała spokojnie, popijając małymi łyчками herbatę. Odwzajemniła spojrzenie.

- Jak ci się spało, kuzynko Jeannette? Mam nadzieję, że dobrze?

Co miała odpowiedzieć? Zwłaszcza wobec tego nieustającego łoskotu, który przywodził na myśl wrzącą pracą stocznię.

- Mój pokój jest całkiem wygodny, dziękuję, jednakże...

- Dzień dobry, moja droga, dzień dobry - rozległ się tubalny głos starszego mężczyzny.

Wpadł do pokoju na krótkich, ale zwawych nogach, niczym śnieżnobiały puch. Jego włosy okalały

pierścieniem znaczną łysinę. Miał

oczy czarne jak mahoń, wzrok lekko rozbiegany, jakby myślami przebywał gdzie indziej. Nosił wełniane bryczesy, zwykłą niebieską kamizelkę i kubrak. Na szyi miał czystą, ale okropnie zawiązaną chustę.

Ledwie rzuciwszy okiem na Jeannette i Wildę, podszedł do kre-densu, otwierając jedno naczynie po drugim, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Wyciągnął kielbasę i zjadł ją w całości w trzech ugryzieniach. Jeannette patrzyła ze zdumieniem, jak niewysoki staruszek bierze talerz i nakłada sobie stos jajek, rogalików, masło, dżem i jeszcze cztery kawałki kielbasy.

Wziął widelec i serwetkę, kierując się z powrotem do drzwi.

- Nie mogę zostać, moja droga, tak mi przykro, ale właśnie przeprowadzam eksperyment i muszę go dopilnować.

- Jaki eksperyment? - zapytała Wilda. W jej głosie, zazwyczaj spokojnym, zabrzmiała wyraźna nutka niepokoju.

Mężczyzna, który, jak się domyśliła Jeannette, musiał być kuzynem Cuthbertem, skierował urażone spojrzenie na żonę, jakby jej pytanie zraniło mu serce.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział. - Wiesz, że obiecałem nigdy więcej tego nie robić. Nie po tym, co się ostatnio stało. Skoro pytasz, badam cykl zapylania strelcji.

- Dobrze zatem - odparła Wilda z ulgą - twoje tropikalne kwiaty mogą poczekać, aż przedstawię ci kuzynkę Jeannette, która przyjechała, żeby zamieszkać z nami przez parę miesięcy. Pamiętasz, drogi Bertie, wspominałam ci o tym.

Krzaczaste siwe brwi zbiegły się na moment, kiedy wzrok męż-

czyzny spoczął na Jeannette, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność przy stole.

Wyraz zdumienia znikł równie nagle, jak się pojawił. Cuthbert się uśmiechnął.

- Oczywiście, oczywiście. Dziewczyna Brantfordów, co? Jeannette, zgadza się? Cóż, witaj kuzynko. Wybacz mój brak manier.

- Skłonił się pospiesznie, ale z szacunkiem.

Jeannette wstała, dygając w odpowiedzi.

- Drogi kuzynie, dziękuję za zaproszenie do twojego domu.

- Z tego, co wiem, twoja matka uparła się, żebyś tu przyjechała, nie inaczej. Edith zawsze stawiała na swoim, nawet kiedy była młodsza od ciebie. Znałem twoją matkę, kiedy byłem młodzieńcem, i zawsze budziła we mnie respekt. Większy niż Diana na polowaniu z kołczanem pełnym strzał. -

Przerwał, kiwając głową.

- Sprowadził cię tu jakiś skandal, nieprawdaż?

- Bertie - szepnęła Wilda, rzucając mu karcące spojrzenie.

- Co? - odparł, wzruszając ramionami. - Jest zamieszana w całą tę aferę, więc moje słowa jej nie zdziwią, he? Nie dziwią cię, prawda, dziewczyno?

Jeannette nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy roześmiać.

Zwyciężyło poczucie humoru; po raz pierwszy od dłuższego czasu parsknęła śmiechem.

- Nie, nie dziwią mnie wcale.

- Widzisz, Wilda, ona się nie gniewa. Cóż, jajka mi stygną, a strelcja czeka. Czuj się jak w domu, kuzynko Jeannette. Wilda, moje kochanie, spotkamy się później przy podwieczorku.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju, ze śniadaniem w ręku.

- Tak, podwieczorek - burknęła Wilda - jeśli nie pochłonie go któryś z tych jego eksperymentów i zapomni, która godzina, tak jak zwykle.

Jeannette usiadła i pozwoliła lokajowi ponownie napełnić filiżankę herbatą.

- Przyzwyczaisz się do Bertiego, jeśli zostaniesz dostatecznie długo

- ciągnęła Wilda. - Zjawia się na posiłki, poza tym niewiele go widać.

Bóg jeden wie, dlaczego wciąż kocham tego człowieka. Kiedy nie siedzi wśród swoich kwiatów, eksperymentuje ze słońcem. Chce przenieść kwiaty na papier.

- To znaczy, narysować je?

- Nie, moja droga. Są ślepcy, którzy rysują lepiej niż mój biedny Bertie. Jest zupełnie nieporadny, jeśli chodzi o ołówek czy pędzel, nad czym ogromnie boleje. Nie, nie, wbił sobie do głowy, że można przenieść obraz czegoś żywego na twardą powierzchnię. Czasem opowiada mi o tym, o jakichś tlenkach srebra, czy coś, ale połowy z tego nie rozumiem.

Thomas Wedgwood i jakiś Francuz, nazywa się Niepce, o ile się nie mylę, starają się wyprzedzić w tym Bertiego. Bawią się tymi samymi niebezpiecznymi pomysłami. Mam tylko nadzieję, że ci dwaj nie spalą swoich domów, tak jak Bertie.

Jeannette zastygła, smarując tost masłem.

- Spalił dom?

Wilda pokiwała energicznie głową, aż zatrzepotały koronki przy jej czepku.

- W istocie. Głuptas zostawił jakiś eksperyment, żeby się grzał nad otwartym ogniem, a sam poszedł do biblioteki, żeby coś sprawdzić.

Kiedy wrócił, całe laboratorium stało w płomieniach. Mieliśmy szczęście, że tylko zachodnie skrzydło spaliło się do fundamentów. Gdyby nie miejscowi, którzy pomagali gasić pożar, nosząc wiadra wody ze strumienia, obawiam się, że stracilibyśmy cały dom.

- Coś okropnego - powiedziała współczująco Jeannette.

- Tak, od tamtego czasu są tu robotnicy. Z pewnością słyszałaś, jak pracują?

Gdzieś daleko rozległ się kolejny huk, po nim zaś chór męskich głosów, wykrzykujących coś niezrozumiale.

Jeannette z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy, nie chcąc się skrzywić na tę ironię. Położyła nóż i tost na talerzu, po czym sięgnęła po naczynie z marmoladą. Zastanawiała się, czy kuzynka nie ma przypadkiem nadwężonego słuchu, jako że nikt zdrowy nie mógłby przeoczyć panującego hałasu.

- Tak - odparła Jeannette. - Raczej trudno tego nie słyszeć. Wilda wypła kolejny łyk herbaty i odstawiła filiżankę, stukając leciutko porcelaną o spodeczek.

- W ciągu ostatnich pięciu miesięcy, odkąd tu są, udawało mi się z powodzeniem nie zwracać na nich uwagi. Obecnie prawie ich nie słyszę.

Wilda przekrzywiła głowę na bok, jakby wpadła na jakiś pomysł.

- Nie przeszkadzali ci dzisiaj rano, kuzynko, czyż nie tak? Poprosiłam architekta, żeby dzisiaj zaczęli późno, bo wiedziałam, że będziesz chciała poleżeć. Zwykle zaczynają o świcie, koło szóstej.

Poleżeć! - pomyślała przerażona Jeannette. Wilda uważała po-zostawanie w łóżku do wpół do ósmej za wylegiwanie się? Najwyraźniej zbyt długo, wiejskim obyczajem, chodziła spać z kurami. Otworzyła usta, żeby wyprowadzić kuzynkę z błędu, kiedy napotkała niewinne spojrzenie Wildy.

Miała okazję się wyżalić, wyrzucić z siebie wszystkie skargi, które od godziny wypalały jej dziurę w języku. Już otwierała usta, kiedy zrozumiała, że nie może tego zrobić. Wilda poczułaby się urażona, mimo że wina leżała po stronie robotników.

Jednakże Jeannette była przekonana, że Umrze, jeśli zostanie zmuszona do wstawania codziennie o tak barbarzyńskiej porze, jak szósta rano. Może udałoby się uzyskać jakiś kompromis.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję za troskę. Zastanawiam się jednak, czy mogę cię o coś prosić?

- Och, oczywiście, moje dziecko. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Skoro robotnicy zaczęli później dziś rano, czy nie sądzisz, że mogłoby tak pozostać? Muszę wyznać, że przyzwyczałam się do miejskiego trybu życia i boję się, że wstawanie o świcie źle się odbije na moim zdrowiu. Wyobrażam sobie, że na ciebie to też nie wpływa najlepiej.

- Och, nigdy o tym nie myślałam - powiedziała zaskoczona Wilda.

- Widzisz, od dawna przyzwyczałam się wstawać wcześniej. Ale jeśli ma to być dla ciebie męczące, zobaczę, co da się zrobić. Pamiętaj jednak, że mamy do czynienia z mężczyznami, a wiesz, jacy bywają trudni.

Ta uwaga przypomniła jej o Darraghu O'Brienie. Z jego twarzą przed oczami, Jeannette dokończyła smarowanie tosta marmoladą.

Odgryzła potężny kęs, przeżuła go, połknęła i wytarła usta.

- Tak - mruknęła - wiem dokładnie, co masz na myśli.

Znudzona.

Nie minął nawet jeden dzień, a ona była tak nieziemsko znudzona, że chętnie dałaby się związać, zakneblować i zawieźć do domu wariatów, czy do jakiegoś podobnego miejsca, jeśli takowe istniało w tej żalosnej krainie.

Lekki wiaterek poruszał jej spódnicą, słońce świeciło jasno na błękitnym niebie, było przyjemnie i nie tak gorąco, jak poprzedniego dnia. Co do zgiełku, jaki dobiegał w regularnych odstępach z placu budowy... Cóż, starała się najlepiej, jak umiała, nie zwracać na niego uwagi. Przystanąła na dróżce przebiegającej przez ogród za domem, i czubkiem pantofelka wydlubała parę kamyków.

Westchnęła rozpaczliwie.

Uznała, że może czytać. Podczas krótkiej wycieczki po domu odkryła bibliotekę - na szczęście nie uległa spaleni - i jej bogatą zawartość.

Tak, zdecydowała, lektura będzie jedynym ratunkiem.

Na jej wargach pojawił się leciutki uśmiezek, kiedy pomyślała, jak zaszokowani byłiby jej znajomi, gdyby wiedzieli, nad czym się teraz zastanawia. Nawet jej własna rodzina uważała ją praktycznie za analfabatkę. Ale to nie była prawda. Lubiła, w tajemnicy, czytać książki, zwłaszcza tragiczne romanse wydawane przez Minerve. Tyle że rzadko znajdowała czas na tego rodzaju przyjemności.

Kiedy udawała swoją bliźniaczkę, mola książkowego, miała okazję wziąć do ręki parę książek, w tym powieść Jane Austen, którą Violet zmuszona była porzucić w dniu zamiany. Książka była całkiem zajmująca. Zastanawiała się, czy w bibliotece Merriweatherów znajdzie coś równie interesującego.

Mało prawdopodobne. Wilda nie wyglądała na osobę rozkochaną w literaturze, Cuthberta zaś interesowały zapewne tylko suche, naukowe i botaniczne opasłe tomy.

Zmarszczyła nos na tę myśl, poddając się ponownie nudzie.

Może - gdy się nad tym zastanowić - lektura wcale nie stanowi najlepszego rozwiązania. Fakt, że znalazła się daleko od domu, wcale nie oznaczał, że może nabierać złych nawyków. Jak ją nauczono dawno temu, damy, które pragną budzić podziw w towarzystwie, nie czytają, a jeśli posiadają bystry umysł, nigdy tego nie ujawniają - zwłaszcza wobec przedstawicieli przeciwnej płci.

Pamiętała dzień sprzed laty, kiedy odwiedziła ich markiza Colton, babcia ze strony matki. Wielka dama i bezdyskusyjna przywódczyni towarzystwa w czasach swojej młodości. Zdobyła się na to, żeby wejść na trzecie piętro i zobaczyć, w pokoju nauki, swoje wnuki -

dziewięcioletniego Darrina i bliźniaczki, Jeannette i Violet, które nie miały jeszcze jedenastu lat.

Jeannette nadal pamiętała jedwabisty szelest wspaniałej zonkilowej sukni babci, ciche postukiwanie

jej obcasów na twardej podłodze i zapach konwaliowych perfum, który unosił się w powietrzu, jak tchnienie wiosny.

Jeannette, zwykle śmiała i często postrzelona, tym razem się przestraszyła. Spuściła wzrok, modląc się, żeby babcia, której prawie nie znała, zwróciła uwagę na dziedzica Wightbridge'ow, Darrina. Jednak jej nadzieje spełzły na niczym w chwilę później, kiedy markiza podeszła do niej i dłonią w nieskazitelnie białej rękawiczce uniosła jej brodę do góry.

Stara kobieta, wciąż piękna mimo upływu lat, spojrzała na nią krytycznie fiołkowymi oczami. Obróciła głowę Jeannette w lewo i w prawo, przyglądając się jej tak, jakby była koniem czy psem. Nagle ją puściła.

- Ma śliczną buzię, to prawda - oznajmiła wielka dama - tak samo, jak druga. - Przerwała, rzucając karcące spojrzenie Violet, która siedziała zatopiona po uszy w lekturze. - Dobrze ci jednak radzę, Edith - poradziła markiza córce - nie udzielać im więcej nauk, niż koniecznie potrzeba.

Zbyt duża wiedza niszczy kobietę, a jeśli zasmakują w książkach, szykują sobie upadek. Nikt się z nimi nie ożeni, choćby nie wiem jak były urodziwe. Zadaniem kobiety jest nauczyć się dogadzać mężczyźnie tak, żeby później zyskać luksus dogadzania samej sobie. Daj im pędzle i farby do ręki, żeby nie skończyły jako stare panny.

W przeciwieństwie do siostry, która przewróciła oczami i wróciła do książki, Jeannette wzięła sobie uwagi babci do serca. Już jako dziewczynka wiedziała, że kobiety nie może spotkać gorszy los niż pozostać w stanie niezamężnym i być niechcianą.

Od tamtej pory akademickie dziedziny nauki traktowała obojętnie, poświęcając całą uwagę kobiecym zajęciom. Ta zmiana nie kosztowała jej wiele, ponieważ szczerze kochała modę i stroje, śpiew, grę na fortepianie, taniec i malarstwo - we wszystkich tych umiejętnościach celowała. Babcia była arbitrem elegancji i wyrocznią w towarzystwie i Jeannette postanowiła ją naśladować. Jeśli należało ukryć fakt posiadania mózgu, żeby osiągnąć sukces na łonie socjety, niech tak będzie. Co w końcu oznaczała strata paru książek wobec tego, że mogła mieć całą śmietankę towarzyską u swoich stóp?

Jeannette wiedziała, że jeśli wyjdzie odpowiednio za mąż, będzie prowadziła takie życie, jakie sama wybierze. Zgodnie z tym, co mówiła babcia. Jeśli wówczas zdecyduje wyjawic zainteresowanie książkami i nauką, zrobi to i zapewni towarzystwu powód do plotek.

Teraz jednak musi cierpieć w tym czyścucu, znudzona śmiertelnie, bez nadziei na poprawę losu.

Rano, oglądając dom w towarzystwie Wildy, zapytała o miejscowe towarzystwo. Cokolwiek, żeby jakoś spędzić czas. Ku jej zaskoczeniu Wilda stwierdziła, że ona i Bertie rzadko korzystają z rozrywek. Jak się wydaje, jedyne spotkania towarzyskie odbywały się w Waterford, które dla ludzi w ich wieku było zbyt odległe. Potem Wilda przeraziła Jeannette jeszcze bardziej, opowiadając o odbywających się co dwa miesiące wieczorkach z żonami wikarego i miejscowego ziemianina oraz dwiema starymi pannami - żadna z nich nie miała mniej niż pięćdziesiąt lat. Kiedy Wilda zaprosiła ją na najbliższe spotkanie, stłumiła jęk i grzecznie, ale stanowczo odmówiła.



Och, płakała w duchu, jak mama i papa mogli skazać ją na podobny los? To była najgorsza rzecz, jaką rodzice jej zrobili.

Kopnęła kolejny kamyczek i zapatrzyła się ponuro na kępkę czerwonych maków.

Nagle, gdzieś niedaleko, rozległo się głośne szczekanie. Odwróciła się w porę, żeby dostrzec, jak zza rogu domu wylania się ogromna, szara bestia. Zamarła ze strachu, kiedy zwierzę biegnęło w jej stronę, chude, podobne do wilka. Zanim zdążyła zareagować, zwierzę stanęło na tylnych łapach, a przednie położyło jej na ramionach.

Krzyknęła, przewracając się w kwiaty. Potem znowu, kiedy stworzenie stanęło nad nią, wysuwając wielki, mokry i różowy język, żeby ją polizać. Zadrżała, usiłując się uwolnić. Zwierzęcy zapach wypełniał jej nozdrza. Bestia przygniatała ją jednak do ziemi, ciężka jak worek kamieni.

- Witruwiusz, odejdz!

Zwierzę pozostało nad nią na tyle długo, żeby jeszcze raz polizać jej twarz. Jeannette mogła jedynie z piskiem odwracać głowę, na próżno usiłując uniknąć czułości. Zrozumiawszy najwyraźniej, że zabawa skończona, zwierzę odskoczyło.

- Witruwiusz. Zły pies. Bardzo zły pies.

Pies? Raczej potwór. Skrzywiła się z obrzydzeniem, wycierając dłonią usta. Twarz miała niepokojąco lepka. Fúj.

- To źle wychowana bestia. Proszę wybaczyć jego zachowanie. Czy nic się pani nie stało?

Przez chwilę widziała nad sobą jedynie lazurowe niebo i białe chmury. Potem przestłoniła je męska twarz - ktoś pochylił się nad nią.

Spojrzała na jego twarz, a potem niżej, na dobrze uszytą, chociaż zwyczajną, białą bawełnianą koszulę, brązowe płócienne spodnie i kamizelkę, oraz granatową chustkę zawiązaną na szyi. Jakie to dziwne, bardzo przypominał tego łotrzyka, Darragha O'Briena. Jak to było możliwe? Czy wszyscy Irlandczycy wyglądali tak samo? Nagle dotarła do niej straszliwa prawda. To był Darragh O'Brien.

- To pan! - krzyknęła oskarżycielsko.

- Lady Jeannette? - zapytał. - To naprawdę ty, dziewczyno?

- Tak, to ja. Po raz ostatni proszę, żeby nie nazywał mnie pan

„dziewczyną”.

Uśmiechnął się lekko i wyciągnął do niej rękę.

- Pomogę ci wstać. Uderzyła go w dłoń.

- Nie, dziękuję.

Nie zwracając na niego uwagi, uklękła i podniosła się, raczej chwiejnie, na nogi. Poprawiła pogniecione spódnice, a okropne zwierzę siedziało, obserwując ją, z ogromnym jęzorem zwieszonym z boku, pomiędzy zębiskami.

- To... to stworzenie - wystękała, wskazując psa - stanowi zagrożenie. Powinno się je trzymać w klatce.

- Nie przejmuj się tak, dziewczyno. Jest niegrzeczny, ale to tylko rozbrykany szczeniak, trudno się po nim za dużo spodziewać. Nie chciał

cię skrzywdzić. Prawda, psinko?

Darragh podrapał Witruwiusza czule po głowie. Pies zrobił wesołą minę i zamiótł żwir ogonem.

- Szczeniak? - powiedziała. - To bardziej niedźwiedź albo wilk.

Mógł mi przegryźć gardło.

O'Brien parsknął.

- Nie on. To irlandzki wilczur, ale jest łagodny i potulny. Już zrobił, co mógł najgorszego, chociaż chętnie przyznam, że jego jęzor to straszliwa broń.

- Proszę nie zapominać o łapach. Przewrócił mnie na ziemię. Na twarzy O'Briena pojawił się wyraz nieklamane go żalu.

- Tak, w istocie. Szczerze za to przepraszam. Czy nie zrobił ci krzywdy, dziewczyno?

„Dziewczyno”. Znowu to samo. Czy nie zdawał sobie sprawy, jaki brak szacunku okazuje? Powinien zwracać się do niej w stosowny sposób, odpowiedni dla jej pozycji. Po prostu o to nie dbał? Cóż mogła zrobić, ten okropny człowiek najwyraźniej był zupełnie pozbawiony ogłady. On i jego niewychowany pies mieli ze sobą wiele wspólnego.

Co do jej stanu, szczerze chciałyby narobić szumu, zemdleć, udać, że pies ją zranił albo bardzo się potłukła, ale wiedziała, że jej sztuczki na nic się nie zdadzą. Zwłaszcza po tym, jak niemal natychmiast zdołała podnieść się na nogi. Choć nie zdziwiłaby się, gdyby obudziwszy się następnego dnia rano, odkryła, że całe ciało ma w sińcach.

Wyciągnęła jedwabną chusteczkę, wytarła twarz i ręce, potem schowała ją z powrotem do kieszeni.

- Mam się na tyle dobrze, na ile można się spodziewać w tych okolicznościach. Nie mogę tego jednak powiedzieć o mojej sukni. Jest zniszczona. Proszę spojrzeć na to błoto i ślady psich łap. - Stłumiła łkanie, kiedy uświadomiła sobie prawdę.

Och, jak mogło do tego dojść? Kolejna z jej ulubionych sukien zrujnowana i to w odstępie zaledwie

jednego dnia. To było nie do zniesienia. A wszystko to wina jednego człowieka. Cóż takiego uczyniła, żeby zasłużyć na prześladowanie z jego strony?

Uniosła głowę, odchylając ją mocno do tyłu tak, żeby móc mu spojrzeć w oczy. Ależ był wysoki. Aż do tej chwili nie zdawała sobie z tego sprawy. Ani z tego, jaki był szczupły. Jego ciało nie zdradzało siły, której doświadczyła, kiedy wyniósł ją z powozu.

Pamiętała uczucia, jakich doznała w jego objęciach, owo niepokojące łaskotanie czy mrowienie wewnątrz ciała. Zmieszana tym wspomnieniem, ruszyła do ofensywy.

- Co pan właściwie tutaj robi, panie O'Brien?

- Jeśli o to chodzi - podrapał się po szczęce, jakby coś go nagle wprawiło w zakłopotanie - naprawdę nie ma potrzeby, żebyś zwracała się do mnie „pan”. Wystarczy O'Brien albo Darragh, nigdy nie dbałem o formalności. Chociaż, jeśli wolisz, możesz zwracać się do mnie, używając mojego ty...

- Pan O'Brien wystarczy. - Zbytne spoufalanie się, choćby jak najbardziej niewinne, było stanowczo nie na miejscu. Byłoby także nierozsądne, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę niepożądany wpływ, jaki na nią wywierał. - A więc, dlaczego się tu pan zjawił? Czy ma pan jakieś interesy z moimi kuzynami? A może tylko wszedł pan nieproszony w granice ich posiadłości? Pan i ten pana niewychowany kundel.

Rzuciła pełne wyrzutu spojrzenie psu, który wykazał się takim brakiem manier. Jakkolwiek sprawiedliwie należało przyznać, że nie zwierzę zawiniło, tylko pan, który stracił nad nim kontrolę.

Co do Witruwiusza, to nie wydawał się skruszony. Pysk oparł na wielkiej przedniej łapie, zamykając włochate powieki.

Błękitne oczy O'Briena rozbłysły.

- Ach, to ty jesteś ową kuzynką, która przybyła tu w gości? -

Założył ramiona na piersi. - Muszę przyznać, że spodziewałem się starszej kobiety, ale jestem nadzwyczaj mile zaskoczony.

Zaparło jej dech w piersi.

- Mile zaskoczony?! Och, jest pan zupełnie niewychowany!

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie dowiedziałam się jeszcze, co pan i pana pies robicie na terenie majątku - podjęła po chwili.

- Pracuję dla Merriweatherów. Odbudowuję spalone skrzydło ich rezydencji.

Zagryzła kącik ust, ogarnięta niezrozumiałym rozczarowaniem.

Wiedziała, że pochodzi z gminu, ale gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że jest inaczej. Tym stwierdzeniem rozwiązał wszelkie wątpliwości.

- Och, więc jesteś stolarzem, czy kimś takim - stwierdziła.

- Nie, architektem. Zaprojektowałem rekonstrukcję i pilnuję, żeby ją właściwie przeprowadzono.

Architekt? Nie wiedziała nawet, że wśród Irlandczyków znajdzie się ktoś taki. Cóż, wykształcony czy nie, jej kuzyni powinni byli posłać do Anglii po odpowiedniego człowieka. Taka osoba, nawet jeśli nisko urodzona, wiedziałaby, jak należy się zachować wobec damy. I nie sprowadzałaby na nią złych przygód na każdym kroku. Co gorsza, to, że był architektem, wcale nie czyniło jego towarzystwa odpowiednim dla niej.

W chwilę później nowe hałasy dobiegły z odległego końca posiadłości. Wzdrygnęła się. Czy ten piekielny harmider nigdy się nie skończy?

Nagle doznała olśnienia. O'Brien był architektem, a zatem on za to wszystko odpowiadał. To oznaczało, że mógł przerwać ten hałas.

- Och, a więc to z twojego powodu nie mogę się należycie wyspać -  
powiedziała.

Na jego wargach pojawił się przez krótką chwilę ledwie zauważalny uśmiech.

- Obudziliśmy cię? Murarze pracują w kamieniu i zwykli zaczynać wcześniej.

- Zwykli zaczynać tuż po świcie. To niezwykle męczące i wywiera szkodliwy wpływ na moje zdrowie. Skoro nadzorujesz budowę, możesz kazać im zaczynać później, począwszy od jutra. Powiedzmy od dziesiątej?

Wydawał się zaskoczony. Po chwili odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Roześmiał się tak głośno, że wystraszył parę wiewiórek na pobliskim drzewie. Uciekały po zielonej trawie niczym dwie rude błyskawice. Pies zerwał się na łapy i pognał za wiewiórkami, szczekając z podniecenia.

Jeannette skrzyżowała ramiona i tupnęła nogą.

- Nie widzę nic zabawnego w moim życzeniu.

Zanosząc się od śmiechu, O'Brien pokręcił głową, usiłując się opanować. Dłonią wytarł łzy z kącika oka.

- Ach, dziewczyno, żarty się ciebie trzymają. Gdybyś nie była kobietą, zabrałbym cię wieczorem do pubu, żebyś zabawiała nas wszystkich.

- Nie żartowałam, potrzebuję snu. Bez tego wkrótce zmarnieję.

- Ach, nie martw się o to. Nawet zmęczona z pewnością będziesz wyglądać pięknie, jak najbardziej zachwycający wschód słońca.

Stopniała od tego pochlebstwa. Potem zdała sobie sprawę, że próbuje odciągnąć jej uwagę od sedna sprawy. Cóż, pomyślała, przyjmując wojowniczą postawę, na pewno nie da sobie zawrócić w głowie.

- Tak czy inaczej - oświadczyła - dziesiąta to najwcześniejsza pora, kiedy mogę zacząć dzień. Przywykłam do takiego trybu życia od dawna i nie mogę go zmienić z dnia na dzień.

Znowu pokręcił głową, tym razem wyraźnie zdumiony.

- Będzie ci zatem ciężko, bo robotnicy wolą zaczynać wcześniej, kiedy jest jeszcze chłodno. Poza tym przyrzekłam Merriweatherom, że zakończę prace, zanim pierwsze jesienne liście spadną na ziemię.

- Jestem pewna, że kuzyni zgodzą się na rozsądne przesunięcie terminu.

- Rozsądne, tak. Na dodatkowe tygodnie dla pielęgnacji twojej urody, wątpię. Poza tym praca nigdy nie zostanie wykonana, jeśli pozwolę robotnikom leniuchować przez pół dnia. Spadnie śnieg, a budowla nie będzie ukończona.

Pielęgnacja urody? Ten irlandzki prowincjusz nie miał pojęcia o potrzebach damy. Żaden dżentelmen nie byłby taki nieczuły.

- W dodatku - ciągnął - o tym powinni decydować twoi kuzyni. A, pomijając dzisiejszy poranek, nie wspominali słowem o zmianie rozkładu dnia.

- Moja kuzynka Wilda ma taki zamiar - powiedziała, naciągając lekko prawdę. - Już z nią o tym rozmawiałam. Zgodziła się.

- Zgodziła się rozpoczynać pracę o dziesiątej? - Rzucił jej wyraźnie powątpiewające spojrzenie.

Jeannette nasrożyła się, ale nie dała za wygraną. Uniosła brodę do góry.

- Zgodziła się - potwierdziła pewnym tonem.

- Nie będziesz zatem miała nic przeciwko temu, żebym zajrzał do domu i zamienił słowo z twoją kuzynką?

Ich spojrzenia się spotkały. Widziała, że jest zadowolony z siebie.

Ten szatan przejrzał jej oszustwo. Zakłęła pod nosem.

Jeśli czegoś nienawidziła, to przegrywać.

Wytrzymała jego nieznośne spojrzenie przez chwilę, po czym wypuściła ze świstem powietrze. Przeszła obok niego, kierując się w stronę domu.

Była w połowie drogi, kiedy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Pies O'Briena pędził w jej stronę. Wielkie jak talerze łapy były jeszcze bardziej ubłocone niż przedtem. Przyspieszając kroku, modliła się, żeby umknąć przed zwierzakiem, ale dopadł jej, obiegając dookoła. Machając ogonem, pies otarł się o jej spódnicę, zostawiając dość sierści, żeby wydziergać z niej płaszcz.

Dobry Boże, co jeszcze!

Nagle gwizd przeciął powietrze. Pies zamarł, a potem się odwrócił.

- Witruwiusz, do nogi - rozkazał O'Brien surowym głosem.

Zwierzę zawahało się, rozdarte między chęcią pozostania przy niej a potrzebą okazania posłuchu. Ku zadowoleniu Jeannette pies w końcu odbiegł.

Ponownie ruszyła w stronę domu.

- To była niezwykła przyjemność spotkać cię ponownie, lady Jeannette! - zawołał O'Brien. - Być może będę miał szczęście to powtórzyć pewnego jasnego, słonecznego ranka.

Być może niebo zzielenieje, a trawa stanie się niebieska, pomyślała, wchodząc do domu.

Darragh uśmiechnął się na dźwięk zatrzasniętych drzwi.

A zatem Róża była kuzynką Merriweatherów i miała tu zostać jakiś czas. Dotarły do niego różne plotki. Nie znał szczegółów, ale szeptano, że wysłano ją za granicę po jakimś skandalu. Poznawszy ją, był w stanie w to uwierzyć. Jeannette Brantford należała do tego rodzaju kobiet, które pakowały się w kłopoty, po prostu wychodząc na spacer.

Była z niej szelma. Dzika i uparta. Jej przyszłego męża czekały trudne chwile, zanim ją oswoi. Będzie musiał uważać, żeby nie robić tego ciężką ręką. Powinien przyzwyczaić ją do swojego dotyku i woli, zamiast łamać dumnego, pięknego ducha dziewczyny.

Darragh jednak nie zamierzał być tym mężczyzną, zwłaszcza że nie chciał teraz szukać sobie żony. Jednak nic złego się nie stanie, jeśli od czasu do czasu podrażni się z nią czy poplirtuje? Odmawiałby sobie dobrej zabawy, nie obserwując, jak stroszy się niczym kura na podwórku podczas burzy.

Ujął pysk Witruwiusza dłonią i go podniósł.

- Jesteś niegrzecznym psem, pamiętaj o tym. To nieładnie, że przewróciłeś ją w kwiaty, chociaż obaj jesteśmy winni, żeśmy się z tego śmiali. Ma śliczne kostki, to pewne, ale następnym razem musisz uważać. Sądzę, że powinienes jej to jakoś wynagrodzić. Hmm, muszę się zastanowić.

Poklepał się po biodrze, ruszając w stronę placu budowy.

- Chodź, mamy jeszcze dziś coś do zrobienia.

Upłynęły dwa tygodnie i Jeannette stwierdziła, że niemal przyzwyczała się do nieustającego hałasu, który wstrząsał domem od rana aż do późnego popołudnia.

Tylko w niedziele zapadała cisza. Błogosławiony dzień.

Nie oznaczało to jednak, że polubiła te odgłosy ani że zaprzestała wysiłków, żeby ukrócić piekielny hałas. Albo przynajmniej przesunąć go na bardziej cywilizowaną porę. Nie udało się jej, jak dotąd, osiągnąć celu.

A Bóg świadkiem, próbowała.

Najpierw udała się do Wildy, poruszając temat przy śniadaniu, następnego dnia po denerwującym spotkaniu z O'Brienem i jego okropnym psem.

Spodziewała się zrozumienia. Ostatecznie, Wilda była damą, mimo stanu rozpaczliwego zaniedbania, w jakim się znajdowała. Jako kobieta powinna zrozumieć potrzebę odpoczynku ze strony innej kobiety. A Jeannette nie mogła należycie odpocząć, kiedy wyrywano ją ze snu o tak dziwacznej porze. Tylko ptaki, myszy i pomywaczki wstawały o świtaniu. Ptaki, myszy, pomywaczki i robotnicy budowlani, poprawiła się w myślach.

Nie mieli nawet dość przyzwoitości, żeby tego ranka poczekać do siódmej trzydzieści. Zaczęli pracę całą godzinę wcześniej, bez wątpienia z polecenia O'Briena.

Kiedy wspomniała o tym Wildzie - przypominając kuzynce, że obiecała porozmawiać z architektem i polecić mu, aby zaczynał pracę o rozsądnej godzinie - ta poinformowała ją, że już to zrobiła.

- Och, tak. Wyjaśniłam mu, o co chodzi i okazał pełne zrozumienie.

Przez krótką chwilę w duszy Jeannette zagościła nadzieja. Równie szybko znikła, kiedy przypomniała sobie, o której godzinie ją obudzono.

- Doprawdy? - zapytała. - Dlaczego więc on i jego ludzie dziś rano podjęli budowę o szóstej trzydzieści?

Wilda spojrzała na nią bezradnie.

- Cóż, muszą, moja droga. Wyjaśnił, jak ważne jest, żeby zaczynali wcześnie. Nawet godzina, czy dwie, zwłoki dziennie uniemożliwi wykonanie zadania w terminie. Bardzo mi przykro, ale cóż można zrobić? - Potem jak bezradny tchórz, którym w końcu była, Wilda podniosła ręce do góry.

Następnie Jeannette odszukała kuzyna Cuthberta w jego tymczasowym laboratorium. Uznała, że jako mężczyźnie, łatwiej mu będzie przedstawić swoje żądania i dopilnować, żeby O'Brien się do nich zastosował.



Jednak pomimo talerza pełnego pyszności, które mu przyniosła - i które połknął, niczym głodujący sierota - Bertie pozostał nie -

wzruszony.

- Nie mogę się wtrącać - stwierdził kuzyn. - Nie, nie, jestem śmiertelnie zmęczony, przeprowadzając eksperymenty w tej ciemnej szafie. O'Brien buduje dla mnie specjalnie zaprojektowane laboratorium.

Osobno stojące, z własną ciemnią i parownią. Oprócz tego będzie nowa oranżeria. Och, już widzę w niej *Dendrobium aggregatum* i *Paphiopedilum faireanum*. Orchidee przywędrowały do mnie aż z Indii. Wspaniałe okazy, te moje kwiaty. - Klasnął w dłonie. - A nowe skrzydło zachodnie to świetny projekt. O'Brien jest geniuszem. Używa najnowocześniejszych technik i stylów. Nawet Wilda nie może się doczekać ukończenia renowacji, jako że będzie tam miała nowy salonik do gry w karty.

Tak więc Jeannette, we własnym odczuciu, została wyproszona z

„ciemnej szafy”, w której spędziła dziesięć minut, prowadząc naj-dziwniejszą - i jak się okazało, całkowicie bezużyteczną - rozmowę w życiu.

Te niepowodzenia w najmniejszym stopniu nie podkopały de-terminacji Jeannette. Miała słuszne powody, żeby czuć żal do kuzyna i kuzynki za to, że odmówili jej pomocy, ale byli starzy i wyraźnie niezdolni stawić czoła temu butnemu człowiekowi. O'Brien rządził nimi dokładnie tak, jak chciał.

Ale z nią nie wygra.

Znajdzie sposób, żeby ukrócić poranne hałasy. Musi tylko poczekać na natchnienie i rozwiązanie samo się nasunie.

Teraz jednak, prawie dwa tygodnie później, nie znalazła sposobu, żeby zaradzić tej męce ani żeby zmienić nużącą monotonię życia na wsi.

Na gałęzi drzewa, tuż za oknem bawialni na piętrze, usiadł ptak.

Patrzyła, jak stroszy piórka, zanim odfrunął.

Boże, pomyślała Jeannette, zabierz mnie. Mam dość tej nudy.

W pobliżu siedziała Wilda, zajęta szydełkowaniem. Jeannette westchnęła, próbując skupić się na robótce, którą trzymała w dłoniach.

Wkrótce potem hałasy nagle ustały, zwiastując koniec kolejnego dnia pracy. Jeannette natychmiast poprawił się humor. Kiedy robotnicy odchodzili, szła zwykle na spacer, pewna, że jej spokoju nie zakłóci żaden impertynencki Irlandczyk ani jego źle wychowany pies.

Haftowała jeszcze dwadzieścia długich minut, a potem pośpiesznie wrzuciła robótkę do koszyka i się podniosła.

- Kuzynko, idę się przejść przed kolacją. Czy miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

Palce Wildy znieruchomiały, jej łagodne oczy spoczęły na Jeannette.

- Dziękuję ci, moja droga, ale nie. Idź sama, przyjemnego spaceru.

Jeannette skinęła głową, wychodząc szybko z pokoju.

Parę minut później schodziła po schodach. Jej głowę zdobił

prześliczny kapelusik Oatland Village z podwójnym, zagiętym rondkiem. Przytrzymały go migdałowego koloru wstążki, związane pod brodą. Ich barwa doskonale pasowała do zielonej jak listki wierzby muślinowej sukienki. Na nogach miała pantofelki z cielęcej skóry, tak miękkie i zielone jak wiosenne liście.

Żwir skrzypiał pod jej bucikami, kiedy wyszła z budynku, kierując się ścieżką prowadzącą w głąb ogrodów za domem. Delikatny wiaterek poruszał jej spódnicami, popołudniowe słońce świeciło jasno. Chmury płynęły po niebie rozstrzelonymi pasmami, odrobinę ciemniejsze od spodu, co mogło wskazywać, że wieczorem spadnie deszcz.

Nie miała jednak nic przeciwko temu, żeby trochę zmoknąć, zadowolona, że choć na krótko wyrwała się z ponurego domu. Nie była przyzwyczajona do takiej samotności. Godzinę za godziną spędzała na szyciu, pisaniu listów i coraz bardziej męczących, krótkich pogawędkach z Wildą.

Kuzynka miała dobre intencje, ale litości, ta kobieta mogła całymi godzinami paplać o niczym. Tego popołudnia dyskusja skupiła się na najlepszych sposobach przechowywania bielizny. Wilda wygłosiła także półgodzinną orację na temat przygotowania swojej ulubionej mikstury na mole.

Boże, dlaczego w pobliżu nie ma żadnego miejsca, gdzie można by się rozerwać? Nawet zwykłe wiejskie tańce przyniosłyby dużą ulgę.

Zwolniła kroku, aż w końcu zatrzymała się przed krzakiem, obsypanym masą różowych kwiatów. Kilka czarno - żółtych pszczoł

uwijało się, zbierając pyłek z kwiatów w kształcie dzwonka. Jeannette ledwie zwróciła na to uwagę. Pochłonęły ją sceny, które widziała w wyobraźni.

Ujrzała salę balową, migotliwe światło świec, rozbawionych, roześmianych ludzi. W powietrzu czuła zapach perfum.

Ona, rzecz jasna, wyglądała olśniewająco. Ubrana w śmiałą jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej, z wierzchnią spódnicą o odcieniu bladobłękitnego nieba, z niezapominajkami wplecionymi w upięte wysoko włosy. Wszystkie damy wpatrywały się w nią, oniemiałe z zawiści, podczas gdy mężczyźni kierowali na nią spojrzenia pełne podziwu dla jej doskonałej kobiecej urody i wdzięku.

Zbliżył się do niej najprzystojniejszy na sali młodzieniec. Pochylił

się nisko nad jej dłonią i zaczął błagać o taniec. Roześmiała się zalotnie, drażniła się i przez jedną, krótką chwilę, trzymała go w niepewności.

Potem zgodziła się, oczywiście, i oboje ruszyli na parkiet z elegancją królewskiej pary.

Och, to by było wspaniałe. Prawie takie cudowne, jak bale w Londynie. Zamknęła oczy, pogrążona w marzeniach.

Za jej plecami zachrząścił żwir.

- Wyglądasz intrygująco, dziewczyno. O czym myślałaś?

Jeannette drgnęła na dźwięk głębokiego głosu, który ogarnął ją niczym pieścizna silnej, uspokajającej dłoni. W tym tonie słyszała ciepło i kpinę. Delikatny dreszcz przebiegł jej ciało, jakby ktoś jej dotknął.

Uniosła powieki. Oto stał przed nią, jej Nemezis, Darragh O'Brien.

Dzisiaj miał na sobie brązowe spodnie, białą koszulę i lekki kubrak, wyraźnie lepszej jakości i lepiej uszyte niż dotychczasowe ubrania. Jak na niego, niemal się wystroił. Kosmyk ciemnych włosów opadał mu na czoło. Przez chwilę miała ochotę go odsunąć. Co za bezsensowny pomysł.

Pomyłony człowiek.

Czy nie mogła nawet wyjść na spacer, żeby się na niego nie natknąć? Cóż, to, że rozpoczął rozmowę, nie oznaczało, że będzie miała dla niego coś więcej niż zdawkowe powitanie. A potem ruszy na dalszy spacer. Po dwóch ostatnich spotkaniach nie miała ochoty długo przebywać w jego towarzystwie, zwłaszcza jeśli w pobliżu kręcił się ten jego pies.

Rozejrzała się dookoła, spodziewając się, że zobaczy olbrzymią bestię, jak wyskakuje zza krzaka i rzuca się na nią.

- Nie ma go tutaj - powiedział O'Brien, zupełnie jakby czytał w jej myślach. - Witruwiusz jest w domu, w którym się zatrzymałem, chociaż ani on, ani gospodyni nie byli tym uszczęśliwieni.

- Jesteś pan pewien, że nadal będziesz mieć gospodynię, kiedy wrócisz? Jeśli dotąd nie odeszła, jeden dzień z tym potworem na pewno ją do tego skłoni.

Błysnął białymi zębami.

- Nie martw się, pani Ryan zna wszystkie jego sztuczki i jeśli dzisiaj jej się narazi, znajdę go uwięzowanego za domem w ogrodzie, ze smutnym pyskiem. Trzeba będzie co najmniej pół godziny zabawy, żeby poprawić mu humor.

Zepsute psisko, pomyślała. Potrzebuje tresury, żeby nauczyć się posłuszeństwa.

- Nie widziałem cię ładnych parę dni.. - O'Brien wsunął prawą rękę do kieszeni spodni. - Ukrywałaś

się?

- Wcale nie - zapewniła pośpiesznie. - Poznawałam kuzynów, poza tym w zasadzie wychodzę dopiero późnym popołudniem.

- To znaczy, kiedy moi ludzie pójdą do domu. A może to mnie próbowałaś unikać?

Roześmiała się.

- Dlaczego miałabym robić coś takiego? To by oznaczało, że myślę o panu, panie O'Brien, a zapewniam, że mam znacznie lepsze sposoby, żeby spędzić czas.

Mimo tych słów, na jego ustach pojawił się uśmiech, który do-wodził, że nie dał się oszukać.

Uznała, że najlepiej będzie zmienić temat.

- Co do pańskich ludzi, miałam nadzieję, że nabierze pan rozumu.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Rozumu?

- Że zrozumie pan, iż nie należy zakłócać porannego odpoczynku damie. Pańscy robotnicy zaczynają pracę stanowczo zbyt wcześnie i robią za wiele hałasu.

Wzruszył ramionami.

- Już to mówiłaś. Hałasowi, obawiam się, nie można zaradzić.

Budowanie domów to nie jest ciche zajęcie.

- Mógłby pan jednak coś zmienić. Kto inny zrozumiałby mnie i okazał trochę współczucia. Nie byłby taki bezduszny.

Darragh zachichotał.

- Kto inny szybko straciłby pracę, gdyby zastosował się do twoich życzeń. Nie jestem bezduszny, ale staram się trzeźwo myśleć.

- Szkoda, że nic do pana nie dociera.

Uśmiechnął się szeroko. Jego oczy lśniły błękitem, jak lazuruwe niebo w górze.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, serce zabiło jej szybciej. A żeby go! Dlaczego musiał być taki przystojny? Nisko urodzeni mężczyźni nie powinni mieć do tego prawa. Co ją opętało? Krew się w niej burzyła przy każdym ich spotkaniu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jakiś mężczyzna wywołał taki zamęt w jej głowie.

Najmądrzejsze, co może zrobić, to odejść. Skinęła mu wyniośle głową.

- Dobrego dnia, panie O'Brien. Chcę kontynuować spacer.

Zanim zrobiła dwa kroki, wyciągnął rękę i zatrzymał ją lekkim dotknięciem.

- Zaraz, zaraz, dziewczyno. Szukałem cię nie tylko po to, żeby z tobą porozmawiać. Mam dla ciebie prezent.

Prezent? Ciekawość wzięła górę. Nie umiała jej się oprzeć, więc się odwróciła.

- A cóż to takiego?

Podszedł do kamiennej ławki i wziął owinięty w papier i zgrabnie przewiązany brązowym sznurkiem pakunek, który na niej leżał. Z

paczką w ręce ruszył w jej stronę.

Zatrzymał się, po czym skłonił się elegancko i wyciągnął do niej zawiniątko.

- Zaczęliśmy naszą znajomość nie najlepiej. Nie czułem się też dobrze, gdy przy naszym ostatnim spotkaniu Witruwiusz cię przewrócił.

To słodki szczeniak, ale nieobliczalny. Zniszczył taki piękny strój. Przeze mnie straciłaś już drugą suknię. Pierwszą, tę pomarańczową, zachlapało błoto spod kół powozu.

Pomarańczową suknię? Ach, tak, jej piękna pomarańczowo -

czerwona suknia podróżna. Żałowała, że jej o niej przypomniał. Od tamtego nieszczęsnego dnia starała się za wszelką cenę zapomnieć o niemiłym zdarzeniu. Zadrżała lekko na wspomnienie okropnego uczucia, kiedy błoto pokryło ją od stóp do głów.

- A prezent, jak rozumiem - skinęła głową w stronę paczki - to rodzaj zadośćuczynienia z pana strony?

Jakie niezwykle. I niespodziewane. Przesunął palcem po szczęce.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Uznałem, że skoro od-powiadam za Witruwiusza, jakaś rekompensata byłaby na miejscu.

Opuściła bezwiednie ramiona. Bardzo chciała wziąć prezent, ale wciąż się wahała.

Damie wolno było przyjąć od dżentelmena tylko niektóre prezenty. Kwiaty, czekoladki, tomik wierszy. Albo - jeśli był jej szczególnie bliski - rękawiczki lub buteleczkę perfum. Wszystko inne uważano za niewłaściwe.

Z drugiej strony, przypomniawszy sobie, że Darragh O'Brien nie był

dżentelmenem, a jego zachowanie nigdy nie było właściwe. Dlaczego więc nagle tym bardziej zapragnęła prezentu?

- Co to jest?

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Cóż, gdybym ci powiedział, nie miałabyś niespodzianki. Będziesz musiała to wziąć i się przekonać.  
- Przysunął paczkę trochę bliżej, w zachęcie.

Przełknęła ślinę, wiedząc, że powinna odmówić. Wahala się jeszcze przez chwilę, zanim wzięła paczkę.

Lekka, dużo lżejsza niż się spodziewała. Zaintrygowana, niemal podniosła pakunek do ucha, żeby nim potrząsnąć. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Damy nie potrząsały prezentami - przynajmniej nie przy świadkach.

Wysoki, długonogi, kołysał się na piętach. Silne ręce oparł na wąskich biodrach.

- Nie zamierzasz go otworzyć? Pokręciła głową.

- Zrobię to później.

Na wypadek, gdyby prezent okazał się niewłaściwy. W ten sposób nie będzie musiała udawać oburzenia. Zresztą jakiego rodzaju skandaliczny prezent mógł jej podarować? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Cóż - powiedziała - wieczór zapada, a ja ledwo zaczęłam spacer.

Jeśli mam zdążyć przebrać się na kolację, lepiej, żebym już poszła. Moi kuzyni lubią wcześniej siadać do stołu.

Bardzo wcześnie, pomyślała, kolacja jadana codziennie o szóstej była czymś dziwnym nawet na wsi. Kiwnąwszy głową, odwróciła się, żeby odejść.

Dotknął lekko jej ramienia, zatrzymując ją ponownie.

- Czy nie zapomniałaś o czymś?

- Nie wiem, doprawdy, o czym.

- Nie? Czy angielskie damy nie dziękują za podarunki?

Zawstydziła się, bo w pośpiechu zapomniała o uprzejmości.

Przechyliła głowę królewskim gestem, żeby uratować chociaż część dumy.

- Cóż, zatem dziękuję panu.

- To nie brzmiało szczerze.

- Mimo to, otrzymał pan podziękowanie.

- Czyżby? - Podszedł bliżej, chwytając ją za ramię. Jej serce zabiło żywiej.

W jego oczach błysnęła iskierka.

- Myślę, że możesz lepiej się postarać. Spróbuj.

- Proszę mnie puścić.

Zamiast tego ujął ją za drugie ramię i podszedł całkiem blisko.

- Puszczę, kiedy podziękujesz mi, jak należy.

Jej zmysły drażniła woń mydła i potu po całym dniu pracy. Nie przywykła do takich prymitywnych zapachów. W ustach jej zaschło.

Ich spojrzenia się spotkały. Nie chciała odwrócić wzroku, w żadnym razie przed nim nie skapituluje! Nie ustępował jej zdecydowaniem.

Wystarczyłyby dwa słowa i puściłby ją, wiedziała, że tak by się stało. Jednak duma nie pozwala jej ich wypowiedzieć. Duma i coś jeszcze. Coś, co powodowało, że krew pulsowała żywiej w żyłach, a oddech stał się płytki i urywany.

Kiedy nie odpowiedziała, przyciągnął ją do siebie. Zapomniana paczka wisiała na cienkim sznurku, który ścisnęła w dłoni.

- Jak wolisz, moja pani - mruknął.

Jego wargi spoczęły na jej ustach, śmiało i nieubłaganie. Trzymał ją mocno. Początkowo opierała się, ale nie przejął się tym, zmuszając ją do poddania się.

Delikatnie ścisnęła jego wargi zębami. Zrobił to samo, po czym przesunął w tym miejscu językiem w cieplej, łagodnej pieśczoście.

Zadrżała z przyjemności.

Niespodziewanie zmienił taktykę, całując ją leciutko, upajająco, ale stanowczo. Czowała zamęt w głowie. Jej opór słabł, niczym kwiat, któremu brakuje wody.

Ten człowiek był wcielonym diabłem, myślała mętnie, i tak też całował. Lucyfer nie robiłby tego lepiej. Czowała mrowienie w stopach, jej ciało stało miękkie i bezwolne.

Jęknęła, przyciskając piersi do jego ciała. Otworzyła usta i wsunęła język między jego wargi.

Po długiej chwili odsunął się od niej.

- Widzę, że wiesz, co robisz. Mężczyźni już cię całowali.

To stwierdzenie pozbawiło ją tchu, jakby ją uderzył. Przez chwilę miała ochotę zaprzeczyć, ale wiedziałaby, że kłamie. Poza tym, dlaczego nie miałyby powiedzieć prawdy? Co ją obchodziło jego zdanie, złe czy dobre?

- Masz rację - odparowała. - Całowali mnie mężczyźni, i to dużo lepsi od ciebie.

Zmrużył oczy. Ściemniały jak niebo przed burzą.

- Doprawdy? - mruknął. - Powinnaś być ostrożna, jeśli chodzi o wrażenia. Czasami mogą być bardziej mylące, niż ci się wydaje.

Co miały oznaczać te tajemnicze słowa?

- Co do wyższości innych mężczyzn nade mną, nic nie mogę powiedzieć. - Przesunął wzrok na jej usta. - Co do pocałunków, mogę spokojnie stwierdzić, że nie dostaniesz lepszych niż moje.

Zręcznymi palcami rozluźnił wstążki pod jej brodą i zsunął kapelusz, tak że zawisł jej na plecach. Ujął ją pod brodę, przechylił jej głowę tak, jak mu odpowiadało, i położył usta na jej wargach.

Jakby pod wpływem zaklęcia, raz jeszcze oddała mu pocałunek.

Wiedziała, że powinna walczyć. Wyrwać się z jego objęć, zamiast się w niego wtulać, niczym roślina, która szuka więcej słonecznego światła.

Powieki jej opadły, świat odpłynął gdzieś daleko, kiedy Darragh udawał, że nikt nie może się z nim równać, jeśli chodzi o pocałunki.

Otoczył jej kibić i przyciągnął mocniej do siebie, starając się sprawić jej jak największą przyjemność. Zdawał sobie jednak sprawę, że powinien przestać. Cała ta gra wymknęła się spod kontroli.

Chciał jednego, zwykłego całusa. Raz ją przytulić, żeby dać jej nauczkę za wyniosłość i snobizm. A otrzymał w zamian takie doznania, że niemal tracił świadomość z rozkoszy.

Na rany Chrystusa, smakowała jak najlepszy miód. Słodko, intensywnie, odurzająco. Warto było ryzykować. Bo dama stanowiła kłopot sam w sobie. Poważny kłopot, z którym nie umiał sobie poradzić.

Jak łatwo byłoby kompletnie stracić głowę, położyć ją w tym pachnącym ogrodzie i zniszczyć kolejną z jej pięknych sukien.



Wyobrażał sobie, jak układa ją delikatnie na ziemi, całując jej wilgotne wargi, tak jak teraz. Wsunąłby palce pod stanik, obejmując jędrną, pełną pierś. Ach, jej ciało byłoby z pewnością jak kawałek nieba w jego dłoni. Rozchyliłaby uda, owładnięta namiętnością, podczas gdy on przeniósłby wargi niżej, pieszcząc wargami jej pierś, a ręką gładząc okrągłe biodro.

Pożądanie ogarnęło go jak gorączka, bolało jak rana. Zrobił krok naprzód, niemal ulegając impulsowi. Naraz ptak zaskrzeczał na pobliskim drzewie, przywracając mu rozum. Przypomniawsobnie, gdzie się znajdują.

W miejscu, z którego doskonale było ich widać z domu.

Pod oknami Merriweatherów, którzy - jakkolwiek mili i serdeczni -

z pewnością nie byliby zachwyceni, widząc, jak uwodzi ich młodą kuzynkę. Wysłano ją do Irlandii w wyniku jakiegoś skandalu. Nie miał

ochoty stać się bohaterem kolejnego.

Stłumił jęk i zmusił się, żeby przerwać pocałunek. Jeśli dotąd ich nie przyłapano, nie należało dłużej ryzykować.

Jeannette się zachwiała i zamrugwała.

- Co się stało? - szepnęła gardłowym głosem.

- Powinnaś już wracać, to się stało. Jeśli zostaniesz tu dłużej, z pewnością zaczną się o ciebie niepokoić. Chyba że nadal chcesz iść na spacer.

- Jaki spacer?

Starając się opanować drżenie palców, włożył kapelusz z powrotem na jej głowę i zawiązał wstążki. Objął ją wzrokiem, zauważając zaczerwienione policzki i czerwone, błyszczące usta. Widać było, że ją całowano.

Nie mógł jej pozwolić wrócić do domu w takim stanie. Każdy, kto ją zobaczy, domyśli się prawdy.

Wciągając głęboko powietrze, przywołał celowo na usta pewny siebie, pełen zadowolenia uśmiešek.

- Muszę przyznać, że to wspaniałe podziękowanie, lady Jeannette.

Warto było się o nie starać.

Wyraz namiętności znikł z jej oczu, policzki zaczerwieniły się jeszcze mocniej. Uderzyła go w policzek.

- A teraz - spytała - nadal było warto?

Czuł, że tak. Położył dłoń na palącym policzku, gdzie jej ręka musiała zostawić czerwony ślad.

Nie czekając na odpowiedź, Jeannette ścisnęła opakowany w papier prezent i obróciła się na pięcie.

Śledził ją wzrokiem, kiedy szybko szła w stronę domu. Chciał

tylko, żeby oprzytomniała, żałował, że musiał dokonać tego w taki sposób.

Westchnął. Lepiej, żeby go znenawidziła. Inaczej czekałyby ją tylko rozczarowanie i zawód.

Jeannette wpadła do domu i pognęła po schodach, jakby sfora warczących psów z piekła rodem deptała jej po piętach.

Kiedy dotarła do pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i przesunęła dłonią po ustach, usiłując zetrzeć pocałunki, które nawet teraz czuła na swoich wargach. Jej ciało wciąż wrzało z pożądania, którego nie potrafiła opanować.

Skupiła się na gniewie, w nadziei, że oburzenie i uraza odsuną na bok wszystko inne.

Jak on śmiał?! Pomyśleć, że położył na niej swoje szorstkie łapy. Że dotykał jej ust swoimi ordynarnymi irlandzkimi wargami, całując ją, jakby miał do tego prawo.

Ale nie miał prawa. Był złodziejem, tak jak jej się od początku wydawało.

Oczywiście, mogło mu się wydawać, że ma jej przyzwolenie, jako że z entuzjazmem odwzajemniała uściski, oddawała pocałunek za pocałunek, dotyk za dotyk. Och, daleko jej było do bezwolnej ofiary.

Przerażona tym faktem, osunęła się na materac, zakrywając dłońmi płonące policzki.

Boże, po tym co się dzisiaj stało, nie będzie mogła postawić stopy na zewnątrz, w obawie, że go spotka. Nie poskarży się też kuzynce i nie będzie nalegać, żeby go zwolniła. Z jakiego powodu? Dlatego, że ją pocałował, a jej się to spodobało?

Bo podobało jej się, temu nie mogła zaprzeczyć.

Czy to czyniło z niej ladacznicę?

Niektórzy by tak pomyśleli, zwłaszcza że całowała wielu męż-

czyn, począwszy od przystojnego chłopca stajennego, kiedy miała szesnaście lat. Jednak flirt nie posunął się dalej niż parę niewinnych cmoknięć i okazjonalnych pieszczot, które wzmagały tylko pragnienie.

Gdy jej rodzice to odkryli, odesłali biednego chłopca. Próbowwała go bronić, ale byli głusi na jej słowa, nie dając mu nawet referencji. Przez długie miesiące dręczyło ją poczucie winy. Zastanawiała się, co się z nim stało i czy znalazł dobrą posadę.

Od tamtego czasu uważała, aby swoje miłosne eksperymenty ograniczać do grupki wybrańców, którzy mogli szczyć się mianem dżentelmena. Zabawa w uwodzenie toczyła się bez przeszkód -

kradzione chwile w ogrodzie, krótki uścisk nagich dłoni za stojącym filarem lub palmą.

Jednak nigdy nie traciła głowy, nie dopuszczała, żeby sprawy posunęły się za daleko. Dama, ostatecznie, musi strzec cnoty i reputacji.

Nawet z Adrianem, z którym była zaręczona, wymieniła tylko kilka niewinnych pocałunków. A ponieważ ożenił się z jej siostrą, dobrze się złożyło. Inaczej sytuacja stałaby się raczej niezręczna.

Potem był Toddy. Zacisnęła powieki na myśl o tym, co jej odebrał.

Miłość, dumę i dużo, dużo więcej.

Nie, powiedziała sobie, nie będę o nim myśleć. Toddy Markham należy do przeszłości i tam pozostanie. Położyła ręce na kolanach, zwijając dłonie w pięści.

Jak mogła pozwolić temu irlandzkiemu łotrzykowi tak się wykorzystać? Jak mogła stracić głowę? Gdyby nie wypuścił jej z objęć, kto wie, do czego by doszło. Tam, w ogrodzie, gdzie w każdej chwili ktoś mógł przechodzić albo wypatrzeć ich z okna.

Boże! Miała nadzieję, że nikt ich nie widział. Och, nie zniosłaby takiego wstydu.

Spojrzała na prezent, który dostała od O'Briena. Kiedy wbiegła do pokoju, rzuciła go na podłogę. Szare opakowanie wydawało się jeszcze bardziej zwyczajne na tle zawilego bursztynowo - zielonego wzoru na dywanie. Zupełnie nie na miejscu w urządzonym kobiecą ręką pokoju.

Ciekawość wzięła górę. Przeszła przez pokój i schyliła się, żeby podnieść pakunek. Położyła go na łóżku i rozsypała szorstki, konopny sznurek, odsuwając gruby papier.

Na jasnożółtą kapę wylał się miękki, różowy jedwab.

Była to śliczna sukienka, nawet jeśli stylem odbiegała nieco od wymogów najnowszej mody. Rozłożywszy suknię, uniosła ją do góry, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

Suknia miała kwadratowy niski dekolty, krótkie proste rękawy, ozdobione na brzegach cienką, różową, aksamitną wstążką. Ale to spódnica przyciągnęła jej uwagę. Na dole wyhaftowano na niej cudownie piękne kwiaty, rozkwitłe białe róże z zielonymi listeczkami. Był

to jakby mały ogród. Niemal spodziewała się ukrytych we wzorze ptaków albo motyli.

Przesunęła palcem po wyhaftowanym płatku, czując gładką wypukłość pod palcami.

Wspaniała.

I bardzo niewłaściwa, zwłaszcza że była to suknia wieczorowa i w dodatku półprzezroczysta. Co za mężczyzna mógł dać niezamężnej kobiecie suknię? Szczególnie taką suknię!

Kupił ją? A może należała do jakiejś kobiety, którą znał?

Jej czoło zmarszczyło się gwałtownie. Czy w ten sposób wszedł w posiadanie tej sukni? Dostał ją od jednej ze swoich kobiet? Kochanki albo jakiejś wdowy, z którą zaczął ostatnio sypiać? Z pewnością mężczyzna jego pokroju nie mógł się obyć bez towarzystwa kobiet.

Może była bogata, ta wdowa. To by tłumaczyło świetną jakość stroju. Chyba że O'Brien zarabiał dość jako architekt, żeby sobie pozwolić na coś takiego. Nie miała pojęcia, jaki dochód mężczyźni w tym zawodzie mogli uzyskiwać w ciągu roku. A jeśli miał przyzwoite dochody, jak na klasę średnią, to może suknia należała nie do jego kochanki, ale żony?

Jeannette wciągnęła ze świstem powietrze. Czy był żonaty?

Zmięta w garści materiał. Czuła bardzo nieprzyjemne ściskanie w żołądku. I pomyśleć, że całował ją półprzytomną w ogrodzie, podczas gdy w domu czekała na niego żona. Mógł przecież mieć piątkę dzieci!

Niczego o nim nie wiedziała. Jej myśli kłębiły się szaleńczo, wyobrażała sobie najróżniejsze rzeczy i wyciągała dziwaczne wnioski.

Może niesłusznie go potępiała. Może O'Brien nie był żonaty i nie łączyła go w tej chwili z nikim żadna romantyczna więź.

A zresztą, co ją to obchodziło?

Bo ją całował, oto dlaczego się nad tym zastanawiała.

Usiłowała się uspokoić i kilka razy wciągnęła powoli, głęboko powietrze.

Przyglądając się ponownie sukni, przesunęła palcami po delikatnym materiale, obrysowując pięknie wyhaftowany płatek kwiatu.

Musi ją, oczywiście, zwrócić. Tego wymagała przyzwoitość.

Ogromna szkoda, bo suknia była śliczna. Dąsała się przez chwilę, zanim otrząsnęła się z przykrego uczucia.

Nagle znieruchomiała. Pewna myśl przyszła jej do głowy. Prawda, musiała oddać sukienkę, ale może zdoła odwrócić sytuację na swoją korzyść.

Hmm... Musi się zastanowić, co z tego może wyniknąć. Doprawdy, powinna to zrobić.

Darragh przeczesał palcami włosy i pochylił się nad rysunkiem.

Ostatni odcinek północnej ściany stanął na miejscu. Murarze świetnie się spisali, tnąc i układając kamień. Jego ludzie wiedzieli, jak wykorzystać czas i jeśli zachowają obecne tempo, zdołają ukończyć skrzydło w terminie.

Wynajął wielu miejscowych chłopców, głównie do ciężkiej fi-zycznej pracy. Ale wielu innych pracowało z nim na placach budowy w rozmaitych miejscach. Mistrzowie rzemiosła, pochodzili z różnych stron Irlandii, a część pracowników była rodowitymi Włochami.

Prawdziwymi *stuccatori*, którzy w ciągu następnych paru tygodni mieli przybyć z różnych części

Włoch, żeby wykończyć skomplikowane gipsowesztukaterie wewnątrz i na zewnątrz budynku. Do gzymsów i odlewów wynajął pruskiego rzemieślnika, który był prawdziwym geniuszem. To była doborowa kompania, jego ludzie.

Niektórzy mogliby uznać, że za bardzo przejmował się pracą, zwłaszcza jak na utytułowanego dżentelmena. O ile wiedział, większość architektów nie zwykła brudzić sobie rąk. Wielu poprzestawało na rysowaniu elewacji i wykańczaniu planów, pozwalając innym wcielać ich pomysły w życie. Praca fizyczna należała do majstra, zastępu robotników i zręcznych dniówkarzy. Ale on wolał bardziej bezpośrednie podejście. Dzięki temu zawsze był na miejscu, żeby zaradzić problemom i znaleźć szybkie rozwiązanie. Nie opóźniał prac i nie marnował pieniędzy klientów.

Towarzystwo mogło go potępiać za to, że przyjmował pieniądze za swoje umiejętności i usługi. Wielu arystokratów patrzyło na niego z góry, ponieważ zajmował się czymś tak pospolitym.

Woleliby raczej stracić swoje majątki, zamiast zająć się jakąś docho-dową profesją.

On inaczej patrzył na te sprawy. Wolał ratować rodzinę ciężką pracą, zamiast żyć na marginesie towarzystwa, zmuszając rodzeństwo i siebie do zawierania małżeństw dla pieniędzy. Nie chciał tego, wierząc, że małżeństwo powinno wynikać z miłości, a nie wiązać się z korzyściami materialnymi.

Tak więc, powróciwszy po długim okresie studiów na kontynencie, głównie we Włoszech, zrobił odpowiedni użytek ze swojej wiedzy.

W ciągu ostatnich ośmiu lat wyrobił sobie reputację dobrego architekta i czuł z tego powodu zasłużoną dumę. Nie musiał się już martwić brakiem pieniędzy. Nie dręczył się obawami o bezpieczeństwo swojej rodziny, o zachowanie dziedzictwa - nazwiska i majątku.

Mrużąc oczy, stwierdził, że słońce opada w stronę horyzontu i dzień dobiega końca. Jego ludzie też o tym wiedzieli. Nie potrzebowali zegarków, żeby sprawdzać godzinę.

Na placu zapadła cisza, roboty zwolniły tempo, a potem całkiem ustały. Ludzie schodzili z rusztowań, pakowali narzędzia i zbierali się do domów.

Darragh właśnie skończył rozmowę z naczelnym murarzem.

Wszyscy robotnicy poszli już do domu. Nagle jego uwagę zwrócił

niebieski błysk. Odwrócił głowę i ujrzał lady Jeannette Brantford.

Co Różyczka tutaj robiła? Nigdy nie zjawiała się na placu budowy.

Omijała go, jakby on i jego ludzie stanowili kolonię trędowatych. A jednak była tutaj. Wyglądała pięknie - jak wschód słońca nad kwitnącym wrzosowiskiem - krocząc ku niemu zwawym krokiem, uprawiającym w ruch barwne spódnice.

- Dobry wieczór, lady Jeannette - powiedział, kiedy się zatrzymała.

- Co cię tutaj sprowadza?

- Pan i to.

Wtedy zauważył paczkę, owiniętą w znajomy, brązowy papier, w jej dłoni. Czy to był prezent, który jej podarował?

Rzuciła spojrzenie na mistrza murarzy, który przyglądał im się z widocznym zainteresowaniem.

- Spodziewałam się, że będziemy mogli porozmawiać na osobności.

- Oczywiście. - Spojrzał na starszego mężczyznę. - Seamus, co ty tu jeszcze robisz? Idź do domu, zanim wystygnie obiad, który ci przygotowała żona.

Twarz murarza rozjaśnił uśmiech.

- Racja. Nie znosi, jak się spóźniam. Zatem dobrej nocy, proszę pana. Panienko. - Uchylił kapelusza i zaczął zbierać swoje rzeczy. Gdy tylko odszedł, Darragh zwrócił się do niej.

- A więc, dziewczyno, co cię gnębi?

- To. - Wyciągnęła paczkę w jego stronę. - Nie mogę tego przyjąć.

A zatem zwracała prezent, pomyślał.

- Dlaczego? Czy suknia ci się nie podobała?

- To nie ma nic do rzeczy. Nie mogę zatrzymać takiego prezentu.

- Myślałem, że będzie ci do twarzy w różowym, ale skoro nie podoba ci się kolor...

- Nie chodzi o kolor.

- A więc krój. Krawiec twierdził, że uszyto ją w Dublinie specjalnie dla damy, która... cóż, powiedzmy, że popadła w tarapaty finansowe i nie odebrała sukni.

- Zatem suknia nie należy do twojej żony? Żony?

- Skąd ten pomysł?

- Taka suknia raczej nie leży sobie, ot tak, w domu samotnego mężczyzny.

- Ależ, ona u mnie nie leżała. - Skrzyżował ramiona na piersi i się uśmiechnął. Czyżby była zazdrosna? Podobało mu się to. - Czy dlatego jej nie chcesz? Boisz się, że jestem żonaty?

- A jesteś?

Uśmiechnął się szerzej, kręcąc wolno głową.

- Nie jestem.

Przez jej twarz przemknęło coś, co można by uznać za ulgę.

- Może masz kochankę. Czy ta suknia należy do niej? Ramiona mu opadły. Przez dłuższą chwilę, zanim doszedł do siebie, miał otwarte usta.

- A co dama może wiedzieć o tego rodzaju kobietach? - Wiem, że mężczyźni miewają kochanki. Czy zatem pan też jakąś ma?

Zmrużył oczy, zastanawiając się, jak i czy w ogóle odpowiedzieć na to pytanie.

- Teraz nie... Ale nie jest to stosowny temat do rozmowy.

- To samo dotyczy sukni. Jest niestosowna. - Wyciągnęła do niego paczkę.

- Dlaczego? Jest piękna.

- To suknia wieczorowa. Mężczyzna nie daje takich prezentów kobiecie, a już z pewnością nie niezamężnej damie.

Zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Twoje suknie zostały zniszczone, uznałem więc, że powinienem podarować ci nową suknię w zamian.

- Ale ja nie mogę jej przyjąć, choćby była nie wiem jak piękna.

Tylko kobieta upadła albo żona mogłaby to zrobić.

Jak dotąd nie brał jej punktu widzenia pod uwagę. Myślał tylko o tym, żeby kupić jej coś ładnego. Może jednak miała rację i suknia nie była właściwym prezentem, mimo najlepszych intencji z jego strony.

Uznała przynajmniej, że suknia jest piękna.

Tym razem, kiedy podała mu paczkę, przyjął ją.

- Wybacz, dziewczyno. Bez urazy.

Skinęła głową na zgodę.

- Nic się nie stało.

Zerknęła na plac budowy, obejmując wzrokiem kamień, drewno i metal, z których wkrótce miało powstać zachodnie skrzydło rezydencji.



- Ale jeśli nadal myśli pan o jakimś zadośćuczynieniu - stwierdziła

- jest coś, czego bym sobie życzyła.

- Co tylko chcesz, dziewczyno.

Spojrzała na niego z uśmiechem, po czym zerknęła znacząco na materiały budowlane.

- Myślę, że wie pan, co sprawiłoby mi największą przyjemność.

Upłynęło parę sekund, zanim dotarło do niego, co miała na myśli.

Zmarszczył brwi.

- Nie, dziewczyno. Tego ci nie dam.

- Dlaczego? Powiedział pan, że dostanę, co tylko chcę. Cóż, chciałabym, żeby pana ludzie później zaczęli pracę. Wpół do dziesiątej, powiedzmy? Co prawda, dla mnie jest to jeszcze trochę zbyt wcześnie, nie chcę jednak domagać się czegoś nierozsądnego. - Posłała mu olśniewający, niemal kokieteryjny uśmiech.

Ależ z niej spryciara! Gdyby ćwiczyła swoje sztuczki na kimś innym, podziwiałby jej zdolności.

Zamiast tego skrzyżował ramiona i się skrzywił.

- Dziewczyno, wiesz, że nie mogę tego zrobić. Rozmawialiśmy o tym wcześniej i ze wszystkich rzeczy, o które byś poprosiła, tej jednej nie mogę ci dać. A może wolałabyś jakąś ładną biżuterię?

W jej oczach zalśniły niebieskie iskielki.

- Nie chcę biżuterii. Dla pana wiadomości: byłaby tak samo niewłaściwa, jak suknia! Wie pan, czego chcę, panie O'Brien!

Czekał, spodziewając się niemal, że zacznie tupać nogami. Stała bez ruchu, nie odwracając wzroku.

Zrobił to samo.

Upłynęła długa minuta; napięcie między nimi było prawie na-macalne.

Uznał, że nie muszą zaczynać o tak wczesnej porze, zwłaszcza że słońce zaczynało wstawać co dzień odrobinę później.

- Siódma rano - powiedział.

- Dziewiąta. Pokręcił głową.

- Dziewiąta nie wchodzi w rachubę. Siódma. To największe ustępstwo, na jakie mogę się zgodzić.

- Siódma to niewiele później.

- Godzina więcej snu. A zatem siódma?

Wiedział, że wygrał, i ona też była tego świadoma. Spiorunowała go wzrokiem, po czym skinęła niechętnie głową.

- Zatem zawarliśmy ugodę. Chciałabyś czegoś jeszcze, dziewczyno?

- Tak! Proszę przestać nazywać mnie dziewczyną! - Obróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem.

Zachichotał, kładąc ręce na biodrach. Obserwował z przyjemnością, jak jej krągłe biodra poruszają się pod suknią.

- Znowu zapomniałaś podziękować! - zawołał za nią.

Jej plecy zeszywniały, na sekundę zwolniła kroku, po czym ruszyła dalej. Patrzył, dopóki nie znikła mu z oczu. Zaśmiał się cicho jeszcze raz i zabrał się do pakowania rzeczy.

Siódma!

Też mi ustępstwo!

Z zaciśniętymi dłońmi Jeannette minęła lokaja i weszła do domu.

Nie przejmując się zdumionym spojrzeniem służącego, pospieszyła po schodach do pokoju.

Cóż, O'Brien może sobie myśleć, że przystała na jego warunki, ale tak nie było. Oczywiście nie zrezygnuje z jego propozycji, ale nędzne pół

godziny snu więcej nie wystarczy. Nie wystarczy w żaden sposób!

Usiłowała być rozsądna, pójść na kompromis i prosić, do czego to doprowadziło. Ustąpił tyle, co nic.

Opadła na szmaragdowozielony fotel i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w okno. Nie mogła się pogodzić z porażką. Nie umiała być wdzięczna za okruchy, jakie rzucał jej rzucić.

Myśl, rozkazała sobie. Myśl!

Opierając brodę na dłoniach, zabrała się do dzieła. Parę minut później na jej ustach pojawił się uśmiech.

Cóż, myślała, to powinno wystarczyć. W zupełności.

Rory, czy pożyczasz moje plany?.

Główny majster spojrzał znad kubka porannej herbaty i pokręcił rudą głową.

- Nie, wie pan, że nigdy nie biorę pańskich rysunków bez pytania.

Darragh w zdenerwowaniu przeczesał włosy palcami.

- Tak, ale myślałem... Szukałem wszędzie i nie mogłem ich znaleźć.

- Hm... to się kupy nie trzyma, co? Odłożył je pan tam, gdzie zwykle?

- Tak, pozwijałem je wczoraj wieczorem i położyłem w tym samym miejscu. To zupełnie nie ma sensu. Może któryś cieśla postanowił je przejrzeć dziś rano i zapomniał powiedzieć.

- Nie, widziałem wszystkich cieśli i żaden nie miał planów. - Rory łyknął herbatę, po czym odstawił kubek na pobliski stos drewna. - Pójdę, popytam ludzi. Na pewno się znajdą.

Jednak pół godziny później planów nadal nie odnaleziono. Złote, promienne słońce wspięło się wysoko na niebo i Darragh, bez spoglądania na zegar, wiedział, że są już spóźnieni. Pomimo to, podniósł

wieczko srebrnego zegarka kieszonkowego i skrzywił się, zerknąwszy na wskazówki.

Przekleństwo. Gdzie one mogły się podziać?

Jeśli nie rozpoczną pracy zaraz, stracą całe przedpołudnie. Na nieszczęście większość ludzi potrzebowała jego wskazówek, a on nie mógł im ich udzielić, nie mając planów. Poza tym zaczęli później w związku z umową z lady Jeannette.

Wyobraził ją sobie śpiącą gdzieś w domu. Nie mogłaby chyba zabrać planów? Nie, to by było zupełnie niemądre, stwierdził, odsuwając tę myśl na bok.

Za dziesięć dziewięta każde wyjaśnienie wydawało mu się możliwe. Plany nadal się nie odnalazły.

Zwykły spokój zaczął go zawodzić. Naraz na placu budowy pojawiła się młoda służąca. Przystanąła, żeby porozmawiać z jednym z jego ludzi i oboje spojrzeli w stronę Darragha. Ruszyła ku niemu, ściskając w dłoni kartkę papieru.

Kiedy stanęła przed O'Brienem, w jej brązowych oczach błysnął

strach.

- Przepraszam, panie. Czy pan nazywa się O'Brien? - Tak.

- Milady prosiła, żebym to panu przekazała.

Wpatrywał się w kartkę dłuższą chwilę, zanim wziął ją do ręki.

Rozłożył papier i zaczął czytać.

Szanowny Panie O'Brien!

Jeśli Pan to czyta, musi być koło dziewiątej. Przypuszczam, że do tej pory zorientował się Pan, że brakuje mu pewnych dokumentów. Jeśli zgodzi się Pan, żeby Pańscy robotnicy zaczęli pracę codziennie o tej porze, począwszy od jutra, natychmiast zwrócę zgubę.

Z poważaniem Lady Jeannette Brantford.

Przez sekundę Darragh stał oniemiały. Żył nabrzmiała mu na skroni, zmiął kartkę w rękę. Z satysfakcją słuchał skrzypienia papieru, gdy zgniatał go w kulkę.

Pokojówka otworzyła szeroko oczy. Zdobyła się jednak na odwagę i powiedziała:

- Milady kazała mi czekać na odpowiedź. Przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Dostanie swoją odpowiedź.

Miał ochotę udzielić jej tej odpowiedzi sam. Wpadnie do pokoju lady Jeannette, gdziekolwiek się znajdował, wyrwie ją ze słodkiego snu i pokrzyczy przez minutę czy dwie. A potem wyjdzie z planami w kieszeni. Przypuszczał jednak, że Merriweatherowie mogliby nie być zachwyceni takim zachowaniem. Zatem musiał wystarczyć list.

Podszedł do stołu, na którym teraz powinny leżeć rozłożone jego plany. Zaciskając zęby, znalazł pióro, papier i atrament. Zastanawiał się chwilę nad treścią listu. W końcu zaczął pisać.

Wysuszywszy atrament piaskiem, złożył kartkę i wrócił do małej służącej o łagodnych oczach.

Podał jej list.

- Dla twojej pani.

Uśmiechnęła się blado, dygnęła grzecznie, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- O co chodzi? - zapytał majster, podchodząc do Darragha.

- Nic takiego, to tylko drobna zwłoka - odparł Darragh. - Wezmę konia i pojedę do domu. Mam tam zapasowe plany, nie takie szczegółowe, ale powinny wystarczyć. W międzyczasie powiedz ludziom,

żeby wcześniej zrobili sobie przerwę obiadową i byli gotowi do pracy, kiedy wrócę.

- Oczywiście.

Jeannette wyciągnęła się w pościeli i powoli otworzyła oczy, kiedy Betsy zaczęła odsuwać zasłonki, wpuszczając do sypialni poranne słońce.

- Hm - mruknęła, ziewając. - Która godzina?

- Dziesięć po dziewiątej, milady.

- Naprawdę? - Otrząsnęła się ze snu i usiadła na łóżku. - Dałaś mi mój list?

- Tak, milady.

- I co? Przekazał odpowiedź?

Betsy kiwnęła głową i podniosła z toaletki złożoną kartkę papieru.

Jeannette wyciągnęła rękę.

- Dziękuję, Betsy.

- Do usług. Przystojny z niego mężczyzna, jeśli wolno mi zauważyć.

- Hm... jeśli lubi się ten typ. Doprawdy, nie przyglądałam mu się -

skłamała Jeannette. Bawiąc się listem, przesunęła kciukiem po jego powierzchni, ale nie próbowała go otworzyć. - Betsy, myślę, że napiję się herbaty i zjem tosty tutaj, w moim pokoju.

- Oczywiście, milady. Zaraz przyniosę.

Jeannette poczekała, aż służąca zamknie za sobą drzwi i dopiero wtedy rozpostarła kartkę.

Lady Jeannette!

Mam nadzieję, że nacieszyłaś się porannym wypoczynkiem. Muszę prosić, abys zwróciła moją własność. Jeśli zrobisz to natychmiast, nie wspomnimy więcej o tej sprawie. Jeśli plany nie znajdują się do wieczora, obiecuję, że będziesz zaczynać dzień naprawdę wcześniej.

Sługa uniżony O'Brien

Zwierzę, pomyślała, gniotąc kartkę w dłoni. Próbuje ją zastraszyć.

Cóż, to mu się nie uda.

A jeśli się uda?

Zagryzła wargi, myśląc o długim, grubym rulonie planów architektonicznych, który schowała za szafą. Czy powinna je oddać?

Zamknęła oczy, wsłuchując się w cudowną ciszę za oknami. Jak mogłaby się tego wyrzec? Chociaż, kiedy się nad tym chwilę zastanawiała, rozumiała, że to w najlepszym wypadku czasowe rozwiązanie.

Był wyraźnie rozgniewany.

Co mógł jednak zrobić bez planów? Poza tym, robotnicy na pewno są zadowoleni z wolnego dnia. Jak mogła odebrać im tę przyjemność?

Podniesiona na duchu tą myślą, uśmiechnęła się. Niech odpoczywają dzisiaj i jeszcze jutro rano. Jutro - po dziewiątej - odeśle plany za pośrednictwem Betsy.

Do tego czasu będzie upajać się ciszą.

Uznała też, że mądrze będzie nie wchodzić panu O'Brienowi w drogę przez dzień czy dwa. Wystarczy jakaś krótka wycieczka.

Dzięki temu nie tylko uniknie możliwych kłopotów, ale ucieknie od nudy tej irlandzkiej dziczy.

Nakłoniła Wildę, żeby pojechać do Inistioge. Podniecona wyprawą, powitała miasteczko w radosnym nastroju. Pełna niezwykłego uroku, miejscowość rozciągała się wokół kwadratowego rynku.

Większość budynków pamiętała czasy Normanów, tak przynajmniej twierdziła Wilda. Szkoda, że Violet nie mogła go zobaczyć - zakochana w historii bliźniaczka byłaby wniebowzięta.

Jednak jakkolwiek było urocze, małe miasteczko pozostawało małym miasteczkiem. Przywykła do bogactwa i różnorodności towarów w Londynie i miejscowe sklepy robiły na niej wrażenie ogołoconych. Były chyba marniej zaopatrzone niż sklepiki na wsi w pobliżu majątku papy w Surrey.

Miejscowy kapelusznik nie mógł się pochwalić niczym, poza paroma nędznymi wstążkami i kolekcją najbrzydszych czepków, jakie kiedykolwiek widziała. Nie lepiej poszczęściło jej się u krawcowych, które szyły suknie według wzorów niemodnych od prawie dwóch lat!

Udało jej się jedynie zaopatrzyć w piękne irlandzkie koronki, wydziergane przez zakonnice z pobliskiego klasztoru. Kupiła ich bardzo dużo, zamierzając podarować je siostrze i przyjaciółkom.

Miały już wracać do domu, kiedy Wilda wypatrzyła dwie znajome.

Wkrótce potem Jeannette piła herbatę i jadła miejscowe ciasto o charakterystycznym smaku, zwane ciastem porterowym, w towarzystwie gadatliwych przyjaciółek kuzynki.

Zapadł wieczór, kiedy powóz zatrzymał się na podjeździe przed Bramleberry. Ze względu na późną porę, należało przesunąć kolację i Wilda wydała odpowiednie polecenie kucharzowi. Cuthbert, jak

zwykle ukryty wśród swoich roślin i eksperymentów, pewnie nawet nie zauważy zmiany, stwierdziła z głębokim westchnieniem. W

odpowiednim momencie pośle lokaja po kochanego Bertiego.

Na górze, w sypialni, Jeannette zdjęła kapelusz i rękawiczki, a potem pokazała Betsy zakupy. Miała tak dobry nastrój, że postanowiła podarować służącej jedną z koronek.

- Możesz nią obszyć kapelusz albo sukienkę.

- Och, bardzo pani dziękuję, milady - powiedziała Betsy, uśmiechając się z zachwytem.

- Proszę bardzo. A teraz pomóż mi się przebrać, żeby nie spóźniła na kolację.

- Oczywiście, milady.

Reszta wieczoru minęła spokojnie. Kuzyn Cuthbert opowiedział, zachęcony przez panie, parę zabawnych historyjek ze swojego dzieciństwa w Anglii i podzielił się wspomnieniami o matce Jeannette jako młodej dziewczynie.

Wieczorem Jeannette udała się do łóżka, myśląc z zadowoleniem, że czeka ją kolejna długa, spokojna noc. Zdawała sobie sprawę, że rano będzie musiała skapitulować i zwrócić O'Brienowi plany, żeby prace przy nowym skrzydle mogły się posuwać naprzód.

Układając się do snu, zastanawiała się, gdzie jest teraz O'Brien i co robi. Pewnie siedzi przed wiejskim kominkiem, złościąc się na jej upór.

Cóż, jutro sprawi mu wspaniałą niespodziankę. Może nawet sama zwróci mu plany, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy. Tym razem to on winien jej będzie podziękowanie.

Uśmiechając się do swoich myśli, zasnęła, marząc o pocałunkach Darragha O'Briena.

Darragh popijał whisky z ciężkiego, kryształowego kieliszka z Waterford, rozpierając się wygodnie w szerokim, skórzanym fotelu w przytulnym gabinecie Lawrence'a McGarretta. Lawrence - przyjaciel od czasów Trinity College - zaprosił Darragha do swojego wiejskiego domu na czas jego „zabawy klockami”, jak zwykł nazywać architektoniczne przedsięwzięcia O'Briena. W tej chwili Lawrence przebywał w Dublinie i Darragh był sam, nie licząc służby.

Przełknął kolejny łyk palącego płynu, myśląc o minionym dniu i o tym, że słońce zaszło, a lady Jeannette nie zwróciła planów.

Uparta złośnica.

Należał się jej porządny klaps za całe to dziecinne zachowanie. Jej wybryk kosztował go pół dnia pracy. Chociaż strata okazała się niezbyt bolesna - znalazł zapasowe plany w domu i po południu ludzie pracowali normalnie.

Oczekiwał, że wybiegnie z domu, zaskoczona wznowieniem hałasów, ale od służącego Merriweatherów dowiedział się, że panie wzięły powóz i pojechały do Inistioge. Wczesnym wieczorem jeszcze ich nie było. Postanowił zarządzić koniec robót nieco przed czasem.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Dopił whisky, uśmiechnął się i odstawił kieliszek. Trzeba się kłaść, pomyślał, jutro zapowiadał się interesujący dzień.



Jeannette otworzyła oczy, mrużąc je w słabych promieniach porannego słońca. Półprzytomna i senna, nie mogła zrozumieć, co takiego wyrwało ją ze snu. Na zewnątrz rozległ się huk, a potem odgłosy uderzeń. Nagle rozjaśniło jej się w głowie.

Robotnicy.

Usiadła na łóżku i spojrzała poprzez zacieniony pokój na zegar nad kominkiem. Z trudem dostrzegła wskazówki. Jedna wydawała się wskazywać do góry, druga na dół. Przyjrzała się uważniej.

Szósta rano!

Z jękiem odrzuciła pościel i wyskoczyła z łóżka, biegnąc boso po chłodnym, miękkim, wełnianym dywanie. Spojrzała ponownie na zegar, tym razem z bliska, tak że nie było mowy o żadnej pomyłce.

Była szósta - albo, ściśle mówiąc, minuta po szóstej - a O'Brien i jego ludzie czynili tyle hałasu, że mogliby obudzić umarłego. Jakże to możliwe, skoro nie oddała planów? Wczoraj prace nie mogły się bez nich posuwać, jak więc dawali sobie radę dziś rano? Czyżby O'Brien wkradł

się do jej sypialni i odnalazł rysunki? Z pewnością nie. Służba zwróciłaby uwagę, gdyby architekt wszedł do domu i zaczął

przeszukiwać jej pokój.

Podbiegła jednak do szafy i opadła na kolana, żeby sięgnąć pod masywny mebel. Były tam. Grube rulony papieru, dokładnie tam, gdzie je zostawiła.

Speszona, usiadła na piętach, krzywiąc się, kiedy na dworze spadł

z hukiem na ziemię jakiś ciężki przedmiot. Chwilę później ziewnęła szeroko, oczy jej zwilgotniały.

Zdawała sobie sprawę, że musi jakoś zakończyć tę sytuację. Wsunęła rękę pod szafę i wydobyła plany. Podniosła się, narzuciła na siebie szlafrok, wsunęła stopy w jedwabne kapcie, po czym przesunęła szybko szczotką po włosach i związała je wstążką na karku.

Wzięła plany, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

- Jak tylko skończymy tutaj, będziemy mogli przesunąć rusz-towanie i zabrać się do ostatniego odcinka w północnym skrzydle -

powiedział Darragh, wskazując ręką szkielet budynku i robotników, którzy uwijali się na górze ze zręcznością linoskoczków.

- Szkło okienne zostanie dostarczone pod koniec tygodnia -

odezwał się Rory. - Załadowano je i jest w drodze.

Darragh skinął głową.

- Dobrze. Jeśli się nie spóźnimy z planem, wkrótce będziemy go potrzebować.

Rozmawiali jeszcze parę minut, zanim majster kiwnął głową i odszedł. Darragh odnalazł kubek z mocną, irlandzką herbatą i podniósł

go do ust.

- Pst, panie O'Brien. Lady Jeannette.

Znieruchomiał, rozejrzał się dookoła, szukając jej.

- Tutaj - odezwała się głośnym szeptem.

Kierując się jej głosem, zmrużył oczy w promieniach porannego słońca, które właśnie wstawało nad horyzontem. Otworzył je szeroko, kiedy ją w końcu zauważył - wychylała się z okna na piętrze, opierając na łokciach. Wydawała się blada i zwiewna jak duch. Jeannette Brantford była jedna zbyt śliczna jak na ducha, no i zdecydowanie żywa.

Szybkie spojrzenie przez ramię upewniło go, że żaden z robotników jej nie zauważył - w każdym razie, jeszcze nie. Odstawił kubek i podszedł bliżej.

- O co chodzi, dziewczyno? - zawołał cicho, stając pod jej oknem.

Spojrzała mu w oczy.

- Wie pan doskonale, o co mi chodzi. Podobnie jak wie pan, która jest godzina.

Uśmiechnął się mimo woli. Polecając ludziom, żeby stawili się wcześniej do pracy, przewidywał jakąś reakcję ze strony lady Jeannette.

Nie wiedział tylko, że to nastąpi tak szybko.

- Obudziliśmy cię?

Zerknęła dalej, na robotników, pomijając milczeniem jego pytanie.

- Nie możemy tutaj rozmawiać. Wie pan, gdzie są drzwi ogrodowe?

- Chyba tak.

- Bądź tam za pięć minut. - Jej głowa znikła, a okno cicho zaskrzypiało, kiedy je zamykała.

Stał przez chwilę, z uśmiechem wpatrując się w miejsce, które opuściła. Sprawdziwszy, czy wszyscy są zajęci pracą, skierował się na tył

domu.

Jeannette czekała już na niego. Otworzyła drzwi i uchyliła je na tyle, żeby mógł wejść do wąskiego korytarza pomiędzy klatką schodową dla służby a ogrodem.

Wszedł do środka i dopiero wtedy zauważył jej strój. Miała na sobie koszulę nocną i szlafrok.

Cienki, różowy, jedwabny strój układał się miękko na jej bujnych biodrach i piersiach, każąc się domyślać cudowności, które musiały się znajdować pod spodem. Jej długie, jedwabiste, jasne włosy były zebrane z tyłu; lśniące bladozłote pasma przytrzymywała jedynie biała wstążka.

Jedno szarpnięcie i te cudowne loki spłynęłyby kaskadą na jego dłonie. Wyobrażał sobie, jak dotyka jej włosów, przesuwając w nich palcami, upewniając się, że są tak miękkie, jak się wydają. Potem pochyliłby się, wciągając w nozdrza słodki, wiosenny zapach jej ciała.

Nie miałby nic przeciwko jeszcze jednemu pocałunkowi. Ani przeciwko temu, żeby wziąć ją w ramiona i pieścić, dopóki nie zaczęłyby drżeć, zapominając, dlaczego chciała się z nim zobaczyć.

Zamiast tego skrzyżował ramiona na piersi i odsunął się krok do tyłu.

Najwyraźniej nieświadoma tego, co się działo w jego głowie, Jeannette zamknęła drzwi, po czym odwróciła się twarzą w jego stronę.

Czekał. Dziewczyna najwyraźniej zbierała siły, żeby przemówić.

Odezwała się, wciągając jednocześnie powietrze.

- Oboje wiemy, dlaczego pana tu poprosiłam. Przyznaję, że wygrał

pan, jeśli chodzi o dzisiejszy poranek. Budząc mnie i wszystkich domowników, zemścił się pan za mój figiel.

- To nie była zemsta. Po prostu dotrzymałem słowa, jako że nie zwróciłaś ukradzionych planów.

- Niczego nie ukradłam. Uniósł pytająco brew.

- Jedyne pożyczylam pana plany. - Sięgnęła za siebie, podając mu znajomy rulon pergaminu. - Zwróciłabym je najpóźniej dzisiaj przed południem, ale ponieważ był pan na tyle bezduszny, żeby obudzić mnie o tej barbarzyńskiej godzinie, postanowiłam oddać je natychmiast.

Maskując zaskoczenie, przyjął rulon.

- Widocznie nie były panu aż tak bardzo potrzebne - zauważyła.

- Och, są mi potrzebne.

Na jej czole pojawiła się leciutka zmarszczka.

- Ale pana ludzie już pracują...

- Mam drugi zestaw. Dziękuję jednak za zwrot tego, bo tamte plany nie są nawet w połowie tak szczegółowe.

Rozchyliła wargi, jej oczy rozszerzyły się nieznacznie, jakby nie wzięła pod uwagę takiej możliwości. W chwilę później, wyraźnie zmieszana, zamknęła usta. O mało się nie roześmiała, obserwując zmienne uczucia pojawiające się na jej twarzy. Dostyc szybko zapanowała nad sobą, przybierając królewską postawę.

- A zatem - powiedziała - teraz, kiedy odzyskał pan swoją własność, sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu, żeby kazać robotnikom przerwać pracę na godzinę czy dwie.

- Chcesz wrócić do łóżka, tak?

Kiwnęła głową, podnosząc dłoń, żeby ukryć ziewnięcie.

- Ledwie świta. Gdyby było cicho, pewnie zasnąłabym znowu.

Wyobraził ją sobie na górze, w sypialni, jak zrzuca z siebie szlafrok i układa się w pościeli. Jak pięknie by wyglądała ze złotymi jak miód włosami na poduszce. Ze skórą poróżowiała od snu, ze wznoszącymi się i opadającymi pod mgiełką cienkiego, różowego jedwabiu piersiami.

Ogarnęło go pożądanie, gorączkowe pragnienie... Stłumił je i przywołał się do porządku, odegnał majaki.

- Ludzie przystąpili do pracy - zaczął stanowczym tonem, brzmiącym ostrzej, niż zamierzał. - Nie mogę ich teraz odesłać do domu.

- Proszę zarządzić przerwę. Z pewnością ucieszą się, mogąc spożyć poranny posiłek.

- Jedli już śniadanie i żaden nie potrzebuje kolejnego. Zostaną.

Złożyła ramiona i tupnęła stopą. Przez chwilę miał wrażenie, że chce się kłócić.

- Dobrze. Przypuszczałam, że odpoczynek dzisiaj rano to prze-grana sprawa. Ale jutro zaczniecie pracę o normalnej porze, prawda?

- Wpół do siódmej, zgadza się.

Opuściła ręce.

- Wpół do siódmej? To nie jest godzina, którą ustaliliśmy. Powiedział pan: „siódma”, a proszę wziąć pod uwagę, że nadal jest to stanowczo zbyt wczesna pora. Zawarliśmy ugodę.

- Złamałaś naszą ugodę, zabierając mi to, co do ciebie nie należało, A więc wpół do siódmej.

Darragh nie miał pojęcia, co za diabeł w niego wstąpił i kazał mu się z nią drażnić. Musiał jednak przyznać, że bawił go widok rozbłysłych nagle gniewem oczu i policzków, które zaczerwieniły się z

oburzenia.

Poza tym, zasługiwała na nauczkę za kłopot, jaki sprawiła. Niech się trochę pozłości. Potem zgodzi się ponownie na wynegocjowaną przedtem godzinę i zostawi ją wdzięczną za szlachetny gest.

- Och! - zawołała, wysuwając dolną wargę, co wyglądało bardzo kusząco. - To nie w porządku.

- Mogę kazać ludziom przychodzić o szóstej, jeśli wpół do siódmej ci nie odpowiada.

- Spróbuj tylko, ty... ty irlandzki tyranie. Odrzucił głowę do tyłu, wybuchając śmiechem.

- Wydaje się, że jeśli naprawdę chcesz się wyspać, lepiej by było, żebyś mnie przekonała.

- Przekonała pana? W jaki sposób? Wzruszył ramionami.

- Sama wiesz. Robisz wrażenie dziewczyny, która wie, jak się przypodobać mężczyźnie.

Znieruchomiała, lekko przechylając głowę.

- Być może wiem, jak oczarować dżentelmena. Ale ty, panie, nie jesteś dżentelmenem.

- O czym mi nieustannie przypominasz. Każdy mężczyzna lubi, żeby mu pochlebiano. Jest takie stare powiedzenie, że muchy najbardziej lgną do miodu.

- Zatem pragnie pan czegoś słodkiego, czy tak?

Tak, myślał, przesuwał wzrokiem po jej bujnych, kobiecych kształtach i nieświadomie zatrzymując na niej spojrzenie dłużej, niż powinien. Zmusił się, żeby odwrócić oczy, rozumiejąc, że powinien położyć kres tej rozmowie, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

Odezwała się, zanim otworzył usta.

- Doskonale - zamruczała przymilnie. — Panie O'Brien, czy będzie pan tak dobry i zechce kazać swoim ludziom, by zaczynali pracę o późniejszej godzinie? Powiedzmy, wpół do dziewiątej?

Ukazując piękne perłowe ząbki, posłała mu uśmiech, który roztopiłby lodowiec. Na niego podziałał w ten właśnie sposób, przy-spieszając bicie serca, wywołując ból w lędźwiach i pozbawiając tchu.

Przełknął ślinę. W głowie słyszał tylko jedno słowo: „tak”.

Tak? - zastanawiał się. Na co właściwie się zgadza?

Na Jeannette Brantford, rzecz jasna.

Na widok tego uśmiechu, lśniących jak klejnoty oczu, na dźwięk jej głosu każdy mężczyzna zgodziłby się na wszystko. Zapewne do tej pory wiodła łatwe i przyjemne życie. Z pewnością rzadko jej się sprzeciwiano.

Wystarczyło, żeby zagięła mały paluszek i zatrzepotała długimi złocistymi rzęsami.

Ale on nigdy nie należał do mężczyzn, którzy tracą głowę na widok ładnej buzi, i nie miał zamiaru ustępować, niezależnie od tego, jak bardzo byłaby mu wdzięczna. Odwzajemniając uśmiech, pochylił się bliżej, z zachwytem obserwując, jak jej oczy łagodnieją pod wpływem jego spojrzenia.

- Dobra robota, dziewczyno - powiedział. - Ale choć kusi mnie, żeby postąpić wedle twojego życzenia, to nie wykonamy pracy, zaczynając późno. Mogę poczekać najwyżej do siódmej.

Jej uśmiech zbladł.

- Nie ustąpił pan ani trochę.

- Daję ci godzinę. Czego chcesz więcej?

- Nie zniżę się, żeby pana błagać. Jest pan podstępna ropuchą.

Złożył dłonie za plecami.

- Nie sądzę, żeby jakakolwiek ropucha mogła knuć podstępny. I, jak do tej pory, nie słyszałem żadnego błagania. Na pewno starałaś się być miła, ale bez przesady.

- Oszukał mnie pan!

- Ani trochę, dziewczyno. Powiedziałem tylko, że mężczyzna lubi, jak się go ładnie o coś poprosi. Nie powiedziałem, że jeśli to zrobisz, przystanę na twoje życzenia.

- Co pan... i pomyśleć, że zwróciłam panu plany. Powinam była je spalić.

Dobry humor go opuścił.

- Powinnaś się cieszyć, że tego nie zrobiłaś, bo drogo musiałabyś za to zapłacić.

- Nie boję się pana - odparła, podnosząc wyzywająco brodę.

- Uważaj, bo możesz zacząć. - Dlaczego?

- Och, coś wymyślę. Na przykład mógłbym rozpoczynać pracę o piątej.

- Wtedy jest jeszcze ciemno. Robotnicy niczego by nie widzieli.

- Zapaliliby lampy. - A potem narzekaliby, jęczeli i skarżyli się na wczesną godzinę, ale tego nie zamierzał jej powiedzieć.

- Nawet moi kuzyni nie pozwoliliby budzić się tak wcześnie.

- Wyjaśniłbym, że to konieczne, żeby zdążyć z budową na czas.

Merriweatherowie to bardzo rozsądni ludzie, jestem pewien, że zgodziliby się na to.

Na jej twarzy malowały się zmienne uczucia. Przeważały irytacja i zniechęcenie. Ogarnęła go nowa fala pożądania. Wydawała mu się bardziej pociągająca niż kiedykolwiek; złość tylko podnosiła jej urodę.

Ostrożność kazała mu zacisnąć z tyłu dłonie. Jeden dotyk i straci panowanie nad sobą.

- A zatem siódma. Prawda, dziewczyno? - zapytał.

Z jej gardła wydobył się pomruk całkiem niestosowny dla damy, kiedy przeszła obok niego, powiewając wściekle szlafrokiem.

- Potraktuję to jako zgodę! - zawołał w stronę jej oddalających się pleców.

W chwilę później trzask zamykanych drzwi rozszedł się echem po całym domu.

Darragh z ulgą rozluźnił dłonie i się uśmiechnął.

Na górze, w sypialni, Jeannette padła na łóżko, pełna urazy i gniewu.

O'Brien bawił się nią i robił to bardzo sprytnie.

Zwierzę.

Jak mógł tak nią manipulować? Kusząc ją czarującym uśmiechem, urodą zawadiaki i gładkimi odpowiedziami. Przez chwilę jej się to podobało. Bawił ją ten flirt, nawet jeśli był niebezpieczny. Potem jednak O'Brien pokazał prawdziwe oblicze, kpiąc z jej pragnień i potrzeb.

Człowiek bez serca. Bez cienia współczucia.

Nie widział, że jest wyczerpana? Nie chciała wiele. Tylko paru godzin snu po świcie, należnych każdej szanującej się damie. Gzy jej życzenia były zbyt wygórowane?

Przecież poszła na ustępstwa. Zanim przyjechała do Irlandii, nigdy nie budziła się przed dziesiątą. Nawet o tej porze niekiedy trudno jej było wstać, kiedy mieszkała w Londynie. Nocne bale, tańce do białego rana - owszem, bywało, że widziała wschód słońca, ale gdy wchodziła do łóżka, a nie z niego wychodziła!

Zapewne, nie mając nic do roboty tutaj na wsi, mogłaby kłaść się wcześniej. Jej kuzyni zasypiali niekiedy, siedząc w fotelu w jadalni, po kolacji: Wilda pochylona nad szyciem, Cuthbert - czytając jakieś botaniczne dzieło. Gdyby przymusowy pobyt tutaj tak jej nie przygnębiał, uznałaby to za zabawne.

Kuzyni byli jednak starszymi ludźmi i nic nie mogli na to poradzić.

Ona była młoda, pełna życia i lubiła kłaść się późno, nawet jeśli nie było przyjęć i żadnych innych

rozrywek. Poza tym nie chciała porzucać swoich miejskich przyzwyczajzeń, ponieważ oznaczałoby to, że ostatecznie poddała się losowi.

Ogarnęło ją zmęczenie i ziewnęła wbrew woli. W oczach miała łzy.

To wina O'Briena, jęknęła w duchu, naciągając poduszkę na głowę.

Zamknęła oczy, usiłując zasnąć.

Nadaremnie jednak, nieustający zgiełk głosów, hałas i łomot drażniły ją jak ukłucia tysiąca igieł. Mruknęła przekleństwo - słysząc je, brat uśmiechnąłby się z podziwem - wyskoczyła z łóżka i podbiegła do dzwonka.

Zmęczona i nie w humorze, zadzwoniła na Betsy.

Ciepła kąpiel i śniadanie trochę pomogły. Jajka, szynka i duży kubek gorącej czekolady poprawiły jej nastrój. Potem zasiadła przy małym biurczku z żółtawego drewna, żeby napisać list do matki. Ale zanim jeszcze atrament wysechł, podarła kartkę, uświadamiając sobie, że przelała na papier całą swoją samotność i desperację. Przysięgła sobie, że nie będzie o nic prosić. Rodzice zesłali ją tutaj i to oni powinni poprosić, żeby wróciła do domu.

Koło południa dom wypełnił się nowymi odgłosami - siwowłose przyjaciółki Wildy zjechały na partyjkę kart.

- Czy miałabyś ochotę się do nas przyłączyć?! - zapytała Wilda, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć nieustającą paplaninę przyjaciółek.

- Nie, dziękuję, kuzynko. Wyjdę na dwór, żeby zażyć trochę świeżego powietrza.

- Przyjemnego spaceru.

Wymieniwszy parę uprzejmości z damami, Jeannette wróciła na górę, gdzie Betsy pomogła jej się przebrać w codzienną sukienkę, uszytą z brązowej w kratkę bawełny z Devonshire. Wsunęła na nogi wygodne trzewiki z ciemnej skóry, a na głowę włożyła ładny, ale praktyczny słomkowy kapelusz.

Znajdzie sobie lepsze zajęcie niż spacer. Poszukała papieru, farb oraz pędzli i wyruszyła w stronę niskich, falistych wzgórz za domem.

Kiedy znalazła odpowiednie miejsce, rozłożyła koc, ustawiła sztalugi i zaczęła malować.

Żaden z londyńskich znajomych nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby ją teraz zobaczył. Spędzała dzień samotnie, malując dziki irlandzki krajobraz. Sama się temu dziwiła, ale pod koniec popołudnia uświadomiła sobie, że oto spędziła pierwsze naprawdę szczęśliwe godziny, odkąd przybyła w te strony.

I nie mogła zaprzeczyć, że była zadowolona z obrazu. Przedstawiał



stary celtycki kamienny krzyż, stojący samotnie na polu. Wokół szarego kamienia rosły kępy purpurowych i fioletowych wrzosów oraz złocistej trawy.

Była tak zadowolona, że następnego popołudnia także postanowiła malować, zabierając ze sobą lekki posiłek, o który poprosiła kucharza.

Nakładała właśnie zieloną farbę na płótno, kiedy jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Zaciśnęła usta, rozpoznając mężczyznę, idącego żwawym krokiem.

O'Brien.

Co on tu robił?

Dotrzymał słowa i zaczął pracę dokładnie o siódmej, ale pół godziny więcej snu nie ułagodziło jej zranionych uczuć. Parsknąwszy bezgłośnie, udawała, że go nie widzi.

Kątem oka widziała, jak zwalnia, potem się zatrzymuje, jakby się zastanawiając, czy powinien do niej podejść. W myślach poradziła mu, żeby poszedł swoją drogą. Nie przejął się jednak tą niema sugestią i skierował się ku niej. Skupiła całą uwagę na malowidle.

Kiedy stanął, jego wysokie ciało górowało nad nią tak, że traciła oddech, mimo stosownej odległości, jaką zachował między nimi.

- Dzień dobry, lady Jeannette - powitał ją wesołym tonem. Jego irlandzki akcent brzmiał uwodzicielsko.

Nie przerywała malowania.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Postoję sobie tylko cichutko i popatrzę przez chwilę.

Oczyściła pędzel, po czym nabrała odrobinę brązowej farby z palety.

- Zasłania mi pan światło.

Zrobił dwa duże kroki w bok, podchodząc bliżej.

- Lepiej?

- Nie. - Z bijącym sercem usztywniła dłoń, bojąc się, że zepsuje obraz, jeśli nie będzie uważać.

- Wybrałaś ładny widok - powiedział, nie ruszając się z miejsca. -

Krajobraz wokół ma tyle uroku, żyzna ziemia, dużo zieleni. To miejsce zupełnie niepodobne do mojego rodzinnego hrabstwa na zachodzie.

Wszystko tam jest dziksze i surowsze. Spędzisz przyjemnie czas, malując tutaj, w zapachu wrzosów.

W jego głosie brzmiała duma z rodzinnego kraju i nutka tęsknoty.

Przez chwilę zastanowiła się, jak też może wyglądać jego dom. Ale co mnie to może obchodzić? - pomyślała, tłumiąc ciekawość. Ostatecznie, nie będzie miała okazji odwiedzić tego miejsca.

Spojrzała na niego.

- Szukał mnie pan z jakiegoś konkretnego powodu, panie O'Brien, czy jedynie chce się pan napawać zwycięstwem?

- Dziewczyno, nie przejmuj się tym wszystkim. Ja całkiem o tym zapomniałem.

To możliwe, jako że wszystko ułożyło się gładko po jego myśli.

- Spacerowałem - ciągnął - zawsze tak robię, gdy muszę przemyśleć jakąś sprawę. I nagle cię zobaczyłem. Nie mogłem się nie zatrzymać. Nie po tym, jak cię ujrzałem z niebieską spódnicą rozpostartą na trawie, z włosami lśniącymi jak złoto, śliczną jak kwiat. Dziwię się, że pszczoły i motyle nie latają dookoła, żeby napić się nektaru.

Poczuła ciepło w okolicy serca. Opuściła pędzel. Opamiętała się szybko, besztając się surowo w duchu.

Nie może pozwolić, aby O'Brien ponownie ją omamił. Musi się pilnować - przed nim i przed każdym mężczyzną, który mógłby oczarować ją ciepłym uśmiechem czy zręcznie dobranymi słowami.

Toddy należał do takich mężczyzn. Kusił ją komplementami i fałszywymi obietnicami. Mówił, że ją kocha, a okazało się, że zręcznie kłamał.

Nie to, żeby O'Brien usiłował ją uwieść. Wiedziała, że tylko się z nią drażni i bawi, jak kot z myszą. Ale ona miała dość bycia myszą. Od tej chwili zamierzała być kotem.

Zanurzyła pędzel w wodzie i w farbie, po czym dotknęła nim papieru.

Wydawało się, że O'Brien nie oczekuje odpowiedzi. Stał przez dłuższą chwilę nieruchomo, a potem przysunął się bliżej.

- Chyba usiądę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zanim zdążyła zaprotestować, usiadł na brzegu koca, który rozpostarła na trawie. Poruszał się z wdziękiem niezwykłym jak na człowieka jego wzrostu. Opierając się na łokciu, wyciągnął rękę i zerwał

długie, zielone źdźbło trawy.

Od niechcenia zakręcił trawą między palcami. Zauważyła, że miał

eleganckie dłonie. Kształtne i arystokratyczne, pomimo stwardniałej skóry.

- Dobrze sobie radzisz z farbami - odezwał się po pewnym czasie, wskazując obrazek źdźbłem trawy. - Dużo takich namalowałaś?

- Ma pan na myśli obrazy? - Tak.

- Oczywiście. Malowanie to sztuka, którą wszystkie młode damy z towarzystwa muszą opanować.

- Hm... sędzę, że robisz to lepiej niż większość. Masz duży talent, naprawdę duży talent.

Na nowo poczuła falę ciepła w piersi.

- Tak pan myśli?

- Mówię szczerze. - Uśmiechnął się, a jej serce skoczyło w piersi.

Bardziej zmieszana, niżby sobie życzyła, Jeannette oczyściła pędzel i nabrała innej farby.

W tym czasie O'Brien wyciągnął się na plecach, podkładając złożone dłonie pod głowę.

- Co pan wyprawia? - pisnęła.

- Odpoczywam, dziewczyno.

- Nie może pan zostać tutaj... w tej pozycji!

- Taki miałem zamiar. Jak widać, świetnie się zgadzamy, więc pomyślałem, że moglibyśmy spróbować zawieszenia broni. Przynajmniej na parę minut.

- Niepotrzebne nam zawieszenie broni, panie O'Brien. W końcu nie toczymy wojny.

- Czyżby, dziewczyno? Bardzo się cieszę, że to usłyszałem. Maluj sobie zatem, a ja poleżę i dam odpocząć oczom.

Odpocząć oczom!

Zmrużyła powieki, zastanawiając się, czy O'Brien przypadkiem jej się nie przygląda. Wydawało się jednak, że nie. Oczy miał zamknięte. Do czego zmierzał? Z pewnością miał jakieś podłe plany. Może wymyślał

jakaś nową udrękę.

Kiedy mu się przyglądała, minuty upływały jedna za drugą.

O'Brien nie poruszał się, jeśli nie liczyć miarowego oddechu. W końcu zrozumiała, że mówił prawdę.

Przesunęła wzrokiem po jego ciele. Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

Jest niesamowicie przystojny, pomyślała. Och, nie szczycił się klasyczną urodą - miał zbyt grubo ciosane rysy, żeby konkurować z Adoniszem czy Davidem. Ale, tak czy inaczej, Darragh O'Brien był pięknym mężczyzną. Jawna niesprawiedliwość, żeby ktoś tak pospolitego pochodzenia odznaczał się tak wspaniałym wyglądem.

Pomyślała, że w stroju dżentelmena wyglądałby zniewalająco. Zamknęła na chwilę oczy, wyobrażając go sobie w eleganckim kubraku, kamizelce i szytych na miarę spodniach.

Wszystkie kobiety omdlewałyby na jego widok; zresztą i tak pewnie omdlewiają.

Do diabła. Co ją opętało? Powinna go ignorować, zamiast się gapić.

Puls miała coraz szybszy. Nie podobało jej się wcale, że zmuszał jej serce do takich wyczynów.

Była kotem, nieprawdaż?

Raczej małym kociątkiem, pomyślała, wzdychając.

Jeśli tak krótka znajomość prowadziła do podobnych konsekwencji, strach pomyśleć, co by się działo, gdyby znali się dłużej.

Posiadał niewątpliwy czar. Urok, który rozstaczał niczym odurzający zapach wody kolońskiej. Potrafił rozłościć ją jak nikt inny, ale nawet ona musiała przyznać, że O'Brien ma więcej atutów niż tylko pociągające twarz i ciało.

Zobaczyła dość z prac renowacyjnych, jakie prowadził w domu kuzynów, żeby docenić jego talent. Na pewno też musiał studiować, jako że architektura wymagała więcej niż umiejętność rysowania i posługiwania się wyobraźnią. Z pewnością poznał matematykę i fizykę, jak również historię i sztukę. Ciekawa była, gdzie i u kogo praktykował.

W dodatku miał dar wymowy i dowcip, nawet jeśli był nie-poprawnym łotrzykiem, który bardzo lubił ją prześladować. Był także sprytny i pomysłowy. Nie mogła tego nie podziwiać, ponieważ cechy te uważała za swoje największe zalety. Gdyby pochodził z dobrej rodziny, pewnie polubiłaby go mimo jego rozlicznych wad. Gdyby był jej równy, może nie próbowałaby go od siebie odsuwać.

Boże, co za pomysły! Widocznie zbyt dużo czasu spędziła na słońcu. Wyraźnie mieszało jej się w głowie.

Przyjrzała mu się uważnie. Czyżby spał? Postanowiła to sprawdzić.

- Panie O'Brien - zawołała cicho. Żadnego odzewu.

- Nie śpi pan, panie O'Brien? - szepnęła.

Tym razem parsknął lekko i poruszył głową, nie otwierając oczu.

Coś takiego, spał.

To było niesprawiedliwe. Ona została pozbawiona snu, za to on spał sobie w najlepsze. I to na jej kocu! Miała ochotę uderzyć go w szerokie ramię albo prysnąć mu wodą z pędzla w twarz. To by go obudziło, pomyślała z satysfakcją.

Nie mogła się jednak zdobyć na to, żeby wprowadzić w życie te kuszące projekty. Wyglądał tak pięknie, niemal chłopięco, z kosmykiem włosów opadającym na czoło.

Ale to, że zaniechała zemsty, nie oznaczało, że wybaczyła mu wczorajsze oszustwo. Nie oznaczało także, że nie będzie szukać sposobu, by zapewnić sobie parę dodatkowych godzin snu rano. Nadal rozważała różne możliwości, zadowolona, że uznał ją za pokonaną.

Niech sobie śpi. Siły będą mu potrzebne. Później.

Odwróciwszy się, podniosła pędzel i zaczęła malować.

Błękitne niebo i wełniste chmury zaczynały nabierać kształtu na papierze, kiedy przenikliwy dźwięk zakłócił ciszę. Szczekanie. Psie szczekanie, które dotarło do niej z podmuchem wiatru.

Znieruchomiała, rozglądając się po polach. Pies wyraźnie się zbliżał. O'Brien obudził się i przesunął ręką po twarzy, siadając. Wtedy właśnie wielki zwierzak znalazł się w polu widzenia.

- Witruwiusz - szepnęła.

- Tak. Wraca z polowania na króliki. Uwielbia to. - O'Brien się podniósł. - Nie martw się. Każę mu odejść, zanim zauważy, że tu jesteś i przybiegnie, żeby polizać cię po twarzy.

- Och, wielkie dzięki.

Pies pędził w ich stronę. Uniósł wysoko ogon i machał nim radośnie. Na widok Jeannette przyspieszył.

O'Brien zatrzymał go ostrym gwizdem. Rozdarty, jak zwykle, między chęćmi a potrzebą słuchania człowieka, Witruwiusz stanął, trzęsąc się z podniecenia, ze ślepiami utkwionymi w Jeannette.

- Czy masz w tym koszyku jakieś mięso? - zapytał O'Brien.

- Ma pan na myśli mój posiłek?

- Tak.

- Kucharz zapakował chyba pieczonego kurczaka, ale...

- Wystarczy, noga kurczaka powinna go zainteresować na tyle, żeby zrezygnował z pieszczot.

Pieszczot? Ogromne psisko miało pewnie jak najlepsze intencje, ale żadnych względów dla stroju

damy. Przerazona, że kolejna suknia lada moment będzie się nadawała do wyrzucenia, sięgnęła do koszyka i wyciągnęła udko.

- Proszę. - Położyła mięso na wyciągniętej dłoni O'Briena. Pies poczuł zapach jedzenia i zmarszczył nos, jeszcze mocniej machając ogonem.

- Siedź - rozkazał O'Brien. Witruwiusz pozostał na miejscu, a O'Brien oderwał kawałek mięsa od kości i mu podał. - Dobry piesek.

Grzeczny.

Oderwawszy resztę mięsa, O'Brien rzucił je pupilowi. Witruwiusz pochłonął je dwoma kłapięciami, wywalając potem jęzor ze szczęścia.

O'Brien podszedł do niej.

- To powinno załatwić sprawę. Myślę, że twoim spódnicom nic już nie grozi. - Oblizał palce. - Smaczne. - Schylił się, badając zawartość koszyka. - Wygląda na to, że kucharz Merriweatherów nie żałował

jedzenia. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby taka delikatna dziewczyna mogła to wszystko zjeść. - Odłożył kość na talerz. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym się poczęstował?

Zanim odpowiedziała, wgrzył się w mięso z widoczną przyjemnością.

- Och, proszę się częstować - zachęciła go ironicznie. Przełknął i się uśmiechnął, a potem, ku jej zdumieniu, wyjął następny kawałek.

- Dziękuję, to pyszne. - Jest pan odrażający. Mrugnął okiem.

- Być może, ale sama wiesz, że ci się to podoba. Patrzyła na niego zdziwiona.

- Cóż - powiedział - czas na mnie. Dziękuję za przemiłe towarzystwo i poczęstunek. To była prawdziwa uczta. - Z kpiącym błyskiem w żywych, niebieskich oczach, uśmiechnął się lekko i ruszył w drogę szybkim krokiem. Gwizdnął ostro i pies pobiegł za nim.

Ze skrzyżowanymi ramionami Jeannette obserwowała ich, dopóki nie zniknęli za wzgórzem.

Podoba mi się jego odrażające zachowanie? Rzeczywiście, parsknęła, kręcąc głową. Co za bzdura!

Ale sięgając do koszyka po kawałek kurczaka dla siebie, zastanawiała się, czy nie miał przypadkiem racji.

To też zabierz i bądź cicho — szepnęła Jeannette. Ledwie widziała służącą w ciemności.

- To bardzo ciężkie, milady.

- Wiem, ale skoro przeniosłyśmy inne, możemy przenieść i to.

Pospieszmy się, zanim nas przyłapią.

Jeannette zerknęła na boki, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. Nigdy nie wiadomo, czy jakiś lokaj nie postanowi zażyć nocnej przechadzki i przy okazji nie zobaczy czegoś, co nie jest przeznaczone dla jego oczu.

- Chodź za mną. - Zgarbione pod ciężarem, przeszły przez trawnik.

Każda niosła drewnianą skrzynkę. - To już prawie tutaj! - sapnęła, chcąc dodać odwagi Betsy.

Wreszcie dotarły na miejsce i rzuciły skrzynki na ziemię.

- Nie było tak źle, prawda? - oznajmiła z udaną wesołością. Betsy milczała dłuższą chwilę.

- Jacob nie przyszedłby tu z panią w środku nocy.

- Nie mówiłam, żeby nie wspominać przy mnie imienia tej osoby?

Ale masz rację, nie mogłabym zaufać Jacobowi. Ale tobie mogę zaufać, prawda, Betsy?

- Tak, milady. - Dziewczyna uśmiechnęła się w mroku.

- W porządku. No, to teraz skończmy, co zaczęłyśmy.

- Czy jaśnie pani jest pewna, że powinnyśmy to zrobić?

- Oczywiście, że jestem pewna - odparła Jeannette, tłumiąc wszelkie wątpliwości. O'Brien będzie wściekły jak kogut, któremu wyrwano pióra z ogona. Ale jego ludzie zapewne ucieszą się z tego.

Doprawdy, robiła im wspaniały prezent.

- No, dalej.

Uwijały się prawie godzinę. Kiedy skończyły, krople potu spływały im po czołach.

- Cóż, na tym koniec - stwierdziła Jeannette. - Obie wracamy do łóżek. Masz rano trzy godziny wolnego.

- Och, dziękuję, milady.

- Spij tak długo, jak ci się podoba. Ja też wreszcie się wyśpię.

- Powiadam, zniknęły.

Poranny chłód przenikał przez kubrak i koszulę Darragha.

Pierwsze promienie słońca zaczynały dopiero ogrzewać ziemię; trawa lśniła od rosy.

Nie zwracając uwagi na chłód i wilgoć, Darragh położył ręce na biodrach. Zmarszczył czoło i wpatrywał się w głównego majstra.

- Przecież same sobie nie poszły! Na Boga, to narzędzia! Kto w okolicy chciałby je ukraść? Każdy, kto ma choć odrobinę rozumu w głowie, wie, że nic na tym nie zyska, nawet gdyby udało mu się znaleźć głupca, który sprzedaje kradzione rzeczy. Sam kłopot z przeniesieniem zniechęciłby złodzieja.

Rory wzruszył potężnymi ramionami.

- Jeśli narzędzi nie ukradziono, to gdzie się podziały? Pytałem wszystkich i nikt nie wie, co się z nimi stało. Wczoraj, zanim robotnicy poszli do domów, spakowali je, jak co dzień.

Darragh westchnął, zdając sobie sprawę, że majster ma rację.

Zeszłego wieczora obszedł plac budowy, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Skrzynie z narzędziami były dokładnie tam, gdzie powinny, poustawiane równo w specjalnym pomieszczeniu.

A jednak pierwszą rzeczą, jaką usłyszał dziś rano, była wiadomość, że brakuje narzędzi. Bez nich nie można było przystąpić do pracy.

Ludzie pozostaną beczynni, roboty ulegną opóźnieniu, może w poważnym stopniu. A jeśli narzędzia się nie znajdą, trzeba będzie pojechać po nowe do Dublina i ponieść dodatkowe koszty.

Najprościej założyć, że ukradł je któryś z robotników, ale w to Darragh nie chciał uwierzyć. Żaden z jego ludzi nie zrobiłby czegoś takiego. Byli uczciwi, nawet ci nowi, miejscowi wieśniacy, wynajęci specjalnie do tej pracy. Musiało się za tym kryć coś innego.

Przyjrzał się zamkowi w drzwiach magazynu.

- Nie wydaje się, żeby ktoś próbował wyłamać drzwi. Zostałyby ślady, gdyby złodziej dostał się do środka siłą.

Majster skinął głową.

- To dziwne. Prawie tak, jakby zrobił to ktoś z domu. A to nie ma sensu. Kto z domowników miałby powód, żeby zrobić coś podobnego?

Darragh znieruchomiał; doznał olśnienia.



Ktoś z domowników. Ktoś, komu sprawiłaby przyjemność każda przerwa w robotach budowlanych. Ktoś, kto miał ustalony porządek dnia i lubił wysypiać się rano. Tylko jedna osoba, jego zdaniem, spełniała te trzy kryteria.

Lady Jeannette Brantford.

Nie wątpił, że to ona ukradła narzędzia, ale w jaki sposób zdołała je przenieść? Skrzynie były zbyt ciężkie dla kobiety. Tyle że Róża nie była zwykłą kobietą. Siłę, której jej brakowało, nadrabiała w dwójnasób uporem i zdecydowaniem. Jeśli to rzeczywiście jej sprawka, to gdzie ukryła narzędzia?

- Przeszukajcie teren - polecił Roriemu. - Każ wszystkim ludziom, niech się ruszą.

Majster uniósł brwi w zdumieniu.

- Myśli pan, że narzędzia nadal są w majątku?

- To bardzo prawdopodobne. - Potarł dłonie. - No, to zabieramy się do szukania!

Jeannette leżała wygodnie w miękkiej pościeli, napawając się ostatnimi chwilami porannego lenistwa.

Prawdziwy raj, myślała, otrząsając się z resztek snu. Tak cicho.

Jakby cały dom spał, pełen błogosławionego spokoju i ciszy. Na jej ustach pojawił się uśmiech szczęścia, kiedy wyciągnęła ramiona nad głowę, poruszając palcami i rozkoszując się wypoczynkiem, jakiego nie zaznała od tygodni. Światło dnia przenikało spod zasłon, zegar na kominku wskazywał jedenastą.

Chichocząc jak psotne dziecko, usiadła, podskakując na pu-chowym materacu. Jej plan powiódł się znakomicie. Jak cudownie!

Gdzieś na terenie posiadłości O'Brien wrywa sobie włosy, nie wiedząc, co o tym myśleć. Uzna pewnie, że narzędzia skradziono i pośle po nowe

- być może do samego Dublina. Ileż dni to zajmie. A każdy pełen będzie cudownej ciszy. Nareszcie wyśpi się do woli.

Wypoczęta i zadowolona, wyskoczyła z łóżka i pociągnęła sznurek dzwonka, wzywając Betsy. Ze względu na późną porę, śniadanie zjadła w pokoju, zawiadamiając Wildę, że czuje się dobrze i zobaczy się z nią po południu. Umyła się i ubrała bez pośpiechu. Włożyła ulubioną niebieską suknię z popeliny, zabrała farby i sztalugi i ruszyła na wyprawę malarską.

Podśpiewując wesoło pod nosem, przeszła przez dom w stronę drzwi ogrodowych, gdzie parę dni wcześniej, rano, zwróciła O'Brienowi plany. Jest pewnie zbyt zajęty, zgłaszając „kradzież” konstablowi, żeby poświęcić jej choćby jedną myśl. Ale tak czy inaczej, wydawało się rozsądne nie rzucać mu się dzisiaj w oczy.

Gdy wyszła z domu, uświadomiła sobie swój błąd.

Zanim zdążyła się wycofać, O'Brien ją zauważył. Oderwał się od ściany, o którą się opierał, i ruszył w jej stronę sprężystym, pewnym krokiem. Wyglądał jak kot na polowaniu. Wielki, groźny kot, który upatrzył sobie ofiarę.

- Czas, żebyś się wreszcie pokazała - powiedział, zatrzymując się przed nią.

- Ach, dzień dobry, panie O'Brien. - Posłała mu niewinne spojrzenie. - Co pana sprowadza do ogrodu? Blokował jej drogę.

- Doskonale wiesz co, lisico. Już myślałem, że będę musiał wy-myślić jakąś sztuczkę, żeby wywabić cię z domu, ale oto zjawiałaś się wreszcie.

Ach, jakżeby śmiał!

- Wybaczy pan, ale nie mogę sobie wyobrazić powodu, dla którego mógłby pan mnie szukać.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparła, wciąż mając nadzieję, że udaję się przemknąć koło niego. - Jeśli to już wszystko, muszę pana pożegnać. - Chcąc dodać mocy swoim słowom, uniosła przybory malarskie i koszyk z jedzeniem.

- Możesz to odłożyć, bo dzisiaj nie będziesz malować. Masz inną pracę do wykonania i zajmie ci ona dość czasu.

- Pracę? - Odrzuciła głowę do tyłu, śmiejąc się lekko. - Zdumiewające. Jestem damą i spędzam czas na zajęciach, które sprawiają mi przyjemność. Nie wykonuję żadnej pracy.

- Dzisiaj zajmiesz się właśnie tym. Ja i moi ludzie znaleźliśmy większość narzędzi. Pomożesz mi odnaleźć resztę.

Wielkie nieba. Jak mogli odkryć je tak szybko? Pomyśleć, ile wysiłku kosztowało ją i Betsy ukrycie ich zeszłej nocy.

- Wprawia mnie pan w zakłopotanie. - Wzruszyła ramionami. - Nic nie wiem o żadnych narzędziach. Czy jakieś zginęły?

Parsknął kpiąco.

- Niesamowita jesteś, dziewczyno, i kłamczucha jakich mało. Odłóż rzeczy i zabieramy się do roboty.

Wyprostowała się.

- Idę na łąkę dokończyć pejzaż. Jeśli zgubił pan jakieś narzędzia, życzę szczęścia w poszukiwaniach.

- Gdybyśmy mieli szczęście, nie potrzebowałbym twojej pomocy.

Pójdiesz ze mną.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie je znaleźć?

Posłał jej długie, surowe spojrzenie, pod którym niemal zadrżała.

Wytrzymała minutę.

- No, dobrze. Może się domyślam, gdzie mogą być. Nie rozumiem jednak, co pana tak martwi. Jeśli się nad tym zastanowić, wyświadczyłam wszystkim przysługę.

Uniósł wysoko brwi.

- A to w jaki sposób?

- Dając pańskim ludziom dzień odpoczynku.

- Tak ci się wydaje? Ze pozostali beczynni? Przeciwnie, szukali narzędzi pod każdym krzakiem, kamieniem i drzewem w majątku. To nie był dzień wolny, tylko zmarnowany. I w imię czego? Żebyś mogła pospać parę godzin dłużej.

- Nie tylko ja na tym skorzystałam.

- Oczywiście, że tylko ty. Nikt spośród znanych mi osób nie narzekał.

- To dlatego, że przywykli wstawać wcześnie. I dlatego, że boją się zaprotestować. Jest pan tyranem.

- Gdyby tak było, dziewczyno, nie ustąpiłbym ci nawet na jotę.

Moja wina polega tylko na tym, że nie ustępuję na całej linii. Dosyć tego, musimy znaleźć narzędzia.

- Panie O'Brien, nie chce pan chyba zmusić mnie, żebym przeszukiwała teren w pańskim towarzystwie?

- Dlaczego nie? Nie było ci trudno włączyć się po dworze w ciemności wczoraj w nocy. Teraz mamy mnóstwo światła. Wydymając dolną wargę, skrzyżowała ramiona.

- Ale ja idę malować.

- Możesz malować później. Kiedy znajdziemy narzędzia. - Nie.

- Tak. Pokręciła głową.

- Nie ma pan prawa zmuszać mnie do niczego.

- Twoje wybryki dały mi to prawo. Dosyć gadania, bierzmy się do pracy.

Zanim zdołała mu przeszkodzić, wyjął koszyk i przybory malarskie z jej rąk. Usiłowała się sprzeciwić, ale straciła tylko przy tym parasolkę.

Zaniósł jej rzeczy do domu, po czym zatrzęsął drzwiami.

- Jest pan brutalem.

- A ty jesteś zepsuta i samolubna. Jej wargi zadrżały.

- Nie jestem samolubna.

- Chodź zatem - rozkazał, ujmując ją za łokieć - i dowiedz tego.

Gotując się z wielkiego oburzenia, pozwoliła się prowadzić.

Wiedząc, że protesty na nic się nie zdadzą, dostosowała się do jego kroku.

Na placu budowy panowała niezwykła cisza. Uwijająca się zwykle jak mrówki w mrowisku, gromada robotników znikła.

- Gdzie są twoi ludzie? - zapytała. - Mówiłeś, że pracują.

- Wobec niespodziewanych trudności wysłałem ich do domu.

Darragh przystanął, przypominając sobie dzisiejszy ranek.

Kiedy podjął decyzję, żeby wyciągnąć Jeannette z domu, kazał jej odnaleźć zaginiony sprzęt i w ten sposób odpokutować grzechy, postanowił dokonać tego bez świadków. Odesłał ludzi do domu, mówiąc, żeby stawili się wcześniej rano następnego dnia. Na szczęście kuzyni Jeannette nie powinni jej szukać. Pan Merriweather spędzał

popołudnia zamknięty w laboratorium, a pani Merriweather zwykle zajmowała się ogrodem różanym po drugiej stronie domu. Jeannette uśmiechnęła się triumfalnie.

- A więc robotnicy zyskali na tym, co zrobiłam.

- Niekoniecznie. Nie dostają zapłaty, jeśli nie pracują.

- Nie dostają zapłaty? - Zmarszczyła brwi. Coś takiego nie przyszło jej do głowy.

- Robotnicy są opłacani tylko za wykonaną pracę. To nie służba domowa, która dostaje pensję, bez względu na to, ile godzin poświęca na obowiązki.

- Och!

Wyglądała na tak zgnębioną, że o mało jej nie powiedział, żeby się nie martwiła. Zapłacił robotnikom za cały dzień pomimo przestoju.

Poczuł ukłucie winy, ale zachował tę informację dla siebie.

Podszedł do drewnianego stolika, na którym leżały plany i inne papiery, pochylił się i wyszukał spis narzędzi sporządzony czytelnym, wyraźnym charakterem pisma.

- Dzięki temu dowiemy się, czego nam brakuje.

Wziął puste drewniane pudło na narzędzia i ołówek. Skierował ją przodem.

- Prowadź, MacDuff.

- Mac kto?

- MacDuff. To Szekspir. Nawet ktoś tak pospolity jak ja to wie.

Zaprowadź mnie do narzędzi.

Szedł za nią. Starła się nie zwracać na niego uwagi, krocząc po bujnej, zielonej murawie.

- Gdzie mam zacząć? - zapytała.

- A gdzie zaczęłaś zeszłej nocy? Rozejrzała się dokoła.

- Nie pamiętam dokładnie. Mimo księżycy, było raczej ciemno.

Chyba przy tamtym krzaku. - Wskazała duży krzew morwy.

- Czy pańscy ludzie tam zagłądali?

O'Brien wzruszył ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć, rozeszliśmy się we wszystkie strony, żeby przeszukać teren. Najlepiej będzie, jeśli zaczniemy jeszcze raz od początku.

To ją zaniepokoiło.

- Z pewnością nie chce pan, żebyśmy zagłądali pod każdy krzaczek, kamyk i kępę trawy?

- Owszem, jeśli uważasz, że mamy szansę coś tam znaleźć.

- Postukał palcem w listę. - Dopóki nie znajdziemy wszystkiego, co tu jest wymienione, będziemy szukać.

- Ale... to może trwać godzinami.

- Masz rację. Lepiej zabierzmy się do pracy. Szkoda dnia, czyż nie?

Ogarnął ją strach. Miała ochotę wysłać go do wszystkich diabłów.

Opanowała się jednak i wyniosłym gestem wskazała krzak.

- Dobrze więc, proszę zajrzeć pod krzak i sprawdzić, czy coś tam jest.

Zamiast posłuchać, O'Brien skrzyżował ręce na piersi.

- Na co pan czeka? - zapytała.

- Na ciebie, moja droga. W tych okolicznościach wydaje mi się właściwe, żebyś to ty zajęła się szukaniem.

- Spodziewa się pan, że będę się czołgać pod krzakami? Ale moje ubranie... - zaprotestowała.

- Zeszłej nocy nie martwiłaś się o ubranie. Nic ci się nie stanie. A teraz zabierz się do roboty.

- Ale...

- Nie marudź. Będę zaznaczać wszystko, co znajdziesz i będę nosić pudło na narzędzia. Nie chciałbym, żeby taka delikatna dziewczyna odniosła jakąś szkodę.

- Będzie pan nosić pudło?! - zawołała. Jej głos podniósł się do pisku. - Co... pan...

Głos odmówił jej posłuszeństwa, poczuła, jak się trzęsie z oburzenia. Łzy napłynęły jej do oczu, ale zdołała je powstrzymać. Nie pozwoli mu się upokorzyć. Nie zobaczy, jak płacze ani jak ucieka. Och, miała wielką ochotę uciec, ale znając go, wiedziała, że ją złapie i przyprowadzi z powrotem!

Patrząc na nią niebieskimi oczami z nieopisaną cierpliwością, czekał, aż się ruszy. Mruknęła przekleństwo, podeszła do krzaka, odsunęła gałęzie i się schyliła, sprawdzając, czy czegoś tam nie ma.

Posuwali się w ten sposób z jednego miejsca w drugie. Jeannette znajdowała narzędzia to tu, to tam, a O'Brien zaznaczał je na swojej piekielnej liście i pakował do skrzynki.

Słońce było już nisko, po twarzy Jeannette spływał gorący pot, znacząc mokre ślady na sukience, kiedy wrzuciła do pudła ostatnie narzędzie.

Wyprostowała obolałe plecy, przyciskając rękę do mokrego czoła.

- No, to już wszystkie. O'Brien przyjrzał się liście.

- Brakuje jeszcze jednego klucza.

Tym razem nie miała ochoty płakać, ale zabić. Ograniczyła się do wściekłego spojrzenia.

- Jeśli chce pan odzyskać ten klucz, proszę go poszukać. Zaglą-

dałam pod ostatni krzak i nie będę tego robić po raz drugi.

Darragh ukrył uśmiech, zdając sobie sprawę, że Jeannette jest już u kresu wytrzymałości. Musiał przyznać, że sprawiła się lepiej, niż oczekiwał, poświęcając się zadaniu z determinacją godną męczennika.

Widząc, jak jest wyczerpana, uznał, że dostała więcej niż nauczkę.

Wątpił, żeby kiedykolwiek jeszcze schowała jakieś narzędzie.

Przygarbiona, ale nie złamana, uniosła brodę do góry.

- Jeśli skończył pan się nade mną znęcać, chciałabym odejść.

- Tak, wracaj, zanim zaczną cię szukać. Ale przedtem powinnaś się trochę doprowadzić do porządku. Masz błoto na policzku.

Brudnymi rękoma przetarła twarz. Stłumił uśmiech.

- Teraz masz go jeszcze więcej.

Postawiwszy pudło, sięgnął do kieszeni po chusteczkę.

- Pozwól, że się tym zajmę.

Potarł chusteczką policzek Jeannette i chociaż udało mu się zetrzeć część brudu, nie usunął wszystkiego. W pobliżu znajdował się staw.

Poprowadził ją tam, po czym schylił się, żeby zamoczyć chustkę.

- Spróbujmy jeszcze raz.

Jeannette wiedziała, że powinna zabrać mu chusteczkę i wytrzeć sobie twarz. Stała jednak spokojnie, pozwalając, aby on to robił, czując wyraźnie jego silne, ale delikatne palce, przesuujące się po jej skórze.

Nie poruszała się, tłumiąc drzenie i wmawiając sobie, że wynika ono ze zmęczenia i niczego więcej. Po wszystkim, na co ją dzisiaj naraził, jak mogłaby czuć cokolwiek innego niż oburzenie?

Ale nie odsunęła się, kiedy skończył wycierać jej twarz. Ani kiedy jego ręka znieruchomiła, a w oczach zapłonęło pożądanie.

Czas zwolnił biegu, a świat się skurczył. Wydawało się, że nie istnieje nic poza nimi dwojgiem.

A potem jego usta dotknęły jej warg. Wycisnęły na nich kilka delikatnych uwodzicielskich pocałunków, nie pozwalając złapać tchu.

Cichutki głos ostrzegał przed nim, namawiał do oporu i ucieczki. Ale ten mężczyzna smakował zbyt cudownie, pachniał zbyt dobrze, żeby się od niego oderwać. Ciepły, męski zapach oszałamiał ją,

odbierając rozsądek.

Prawo powinno zakazywać czegoś takiego, myślała sennie. Żaden mężczyzna nie powinien zamieniać kobiety w bezwolną istotę, miękką jak roztopiona czekolada. A już z pewnością nie taki mężczyzna, jak Darragh O'Brien. Łotrzyk i drań, który się delectował zadawaniem jej cierpień. Mężczyzna, który całkiem niedawno prowadził ją przez posiadłość kuzynów niczym więźnia, zmuszając do pracy, która nie przystoi damie.

A jednak teraz pozwalała mu się całować i sprawiało jej to niezmierną przyjemność! Nagle się opamiętała, przypominając sobie, gdzie jest i co właściwie robi.

- Nie! - Oddychała ciężko, odrywając z wysiłkiem usta od jego warg.

Spojrzał na nią. Na twarzy miał wypisany głód. Przymknął powieki i pochylił się, żeby jeszcze raz ją pocałować. Powstrzymała go. -

Nie.

- Dlaczego nie, skoro czuję, że masz na to taką samą ochotę, jak ja?

Zesztywniała.

- Wcale nie - skłamała, celowo ocierając usta dłonią. - Nie podobało mi się to. Tylko... mnie pan zaskoczył.

- Gdybym cię zaskoczył, sprzeciwiłabyś się od razu. A może masz zwyczaj pozwalać się całować mężczyźnie do nieprzytomności, żeby potem odsunąć go, jak gdyby nigdy nic?

Chciała wymierzyć mu policzek, ale złapał ją za nadgarstek.

- Nic z tego - oznajmił. - Przyznaj, jak jest naprawdę. Oboje wiemy, że podobają ci się moje pocałunki.

Wierciła się w jego objęciach. Trzymał ją mocno.

- No, dziewczyno, powiedz to. Czeka.

- Możesz sobie czekać całą wieczność!

- A więc muszę wydobyć z ciebie to wyznanie.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, pochylił się, zamykając jej usta namiętym pocałunkiem, który wykluczał wszelki opór. Przyciskając ją do swojego silnego ciała, całował ją z oszałamiającą zrećnością i determinacją, która odbierała jej zmysły.

Jeannette starała się nie odpowiadać na jego pocałunki, jej ciało pozostało sztywne i niechętne w jego ramionach. Nie podda się, przyrzekła sobie w myślach. Nie podda się, choćby jego dotyk był



nie wiadomo jak słodki. Ale, Boże wielki, miał w sobie coś takiego, że trudno było mu się oprzeć. Był szatanem zesłanym na ziemię, żeby ją prześladować i dręczyć.

Tak więc, wbrew chłodnym kalkulacjom umysłu, jej ciało zaczynało płonąć, a krew rozpaloną lawą zatętniła jej w żyłach.

Mruknęła jeszcze raz na znak protestu, a potem jej umysł roztopił

się w ogniu. Jęczała, kiedy wsunął język między jej wargi, żeby pieścić ich wewnątrz i gładzić wrażliwe wewnątrz policzków. Zadrżała i zatopiła się w morzu rozkoszy. Zatonęła niczym statek rozbity podczas sztormu.

Jęczała i tuliła się do niego, przesuając dłonie, żeby przylgnąć mocniej do jego szerokich, silnych ramion. Oddawała pocałunki z zapamiętaniem, ścigając jego język, kiedy bawił się z nią. Pocałunek ciągnął się w nieskończoność, pozbawiając ich tchu, aż w końcu Darragh odsunął ją od siebie.

Słaba i bezbronna spojrzała w jego twarz. Otrzeźwił ją wyraz nieukrywanej satysfakcji w jego oczach.

Zrozumiała, że zręcznie wciągnął ją w pułapkę. Że kiedy ona traciła zmysły, on pozostał trzeźwy i opanowany. Że schwytał ją tak, jak się chwyta pszczoły do butelki z posłodzoną wodą. Ścisnęło ją w żołądka i tym razem nie miało to nic wspólnego z namiętnością.

Obudziły się w niej uraza i żal.

Wiedziała jednak, że nie jest obojętny na jej dotyk. Świadczyły o tym rozszerzone źrenice, wielkie i czarne jak bezksiężycowa noc, otoczone lśniącymi obręczami błękitu. Policzki zaróżowiły mu się, oddech miał urywany.

- Nadal twierdzisz, że moje pieszczoty nie robią na tobie wrażenia?

- odezwał się kpiąco. - Potrzeba jeszcze paru pocałunków, żeby to udowodnić?

Żałowała, że nie może odwrócić sytuacji na swoją korzyść. Miała ochotę udzielić mu nauczki, o którą aż się prosił. Gdyby się przyłożyła, z pewnością zmusiłaby go, żeby błagał o pocałunki. Trudno, zemstę odłoży na później. W tej chwili miała pod ręką inne środki, żeby zetrzeć wyraz samozadowolenia z jego twarzy.

- Może chciałabym jeszcze parę pocałunków, a może nie - zamruczała jedwabistym głosem. Jego oczy zalśniły ze zdumienia. Robiąc krok do przodu, skłoniła go delikatnie, żeby się cofnął.

Przesunęła wypielęgnowanym paznokciem po jego piersi. - Wiem jednak, czego chciałabym z całą pewnością. Spojrzał sceptycznie, ale z rozbawieniem, cofając się mimowolnie jeszcze o krok.

- Cóż to takiego, dziewczyno? - To!

Kładąc dłonie płasko na jego piersi, pchnęła ze wszystkich sił. W

innych okolicznościach zapewne nie udałoby jej się to, ale urażona duma i zaskoczenie działały na jej korzyść. Cofnął się, grzęznąc obcasami w miękkiej ziemi na brzegu stawu.

Odskoczyła do tyłu, kiedy się zachwiał. Patrzyła, jak rozpaczliwie szuka oparcia. Wymachiwał rękami ze śmiesznie zaszokowaną twarzą.

Chwilę później z głośnym pluskiem, wzbijając pod niebo bryzgi wody, wpadł do stawu, znikając pod jego mętną powierzchnią.

Wynurzył się, parszcząc i plując wodą. Mamrotał irlandzkie przekleństwa, których nie rozumiała, jednak doskonale zdawała sobie sprawę z sensu tych słów. Ocierając ręką mokrą twarz, rzucił jej mordercze spojrzenie, po czym obiema dłońmi przesunął po ociekających wodą włosach.

Zachichotała, kiedy natrafił na kępkę oślizłego zielska, które przywarło mu do czoła. Oderwał je i z obrzydzeniem wrzucił do stawu.

Kłęcząc po pierś w wodzie, znieruchomiał nagle, a potem zakołysał

biodrami. Zanurzył rękę i wyciągnął klucz.

Jeannette zgięła się wpół, chichocząc cały czas.

- Och, znalazł pan brakujące narzędzie. Jak cudownie. Czy mam wyjąć listę?

Popatrzył na nią wściekły.

- Mam lepszy pomysł. Podejdz i pomóż mi stąd wyjść. Pokręciła głową.

- Ma pan na myśli: „dołącz do mnie”, nieprawdaz? Tym razem ja jestem górą, Darraghu O'Brien, więc lepiej niech pan uważa.

- A jeśli nie będę? - warknął, podnosząc się powoli.

Lepiej uciec, póki jeszcze mam po temu okazję, uznała Jeannette i pośpieszyła w stronę domu.

- Masz rację, dziewczyno! - zawołał. - Biegnij, bo inaczej złapię cię i sprowadzę z powrotem.

Roześmiała się, ale pobiegła szybciej, wiedząc, że niewiele trzeba, żeby za nią ruszył i niemal martwiąc się, że może nie miałby na to ochoty.

- Co ci się stało? Postanowiłeś się wykapać w ubraniu i butach?

Przemarznięty i nieszczęśliwy, Darragh spojrział gniewnie na przyjaciela, Lawrence'a McGarretta. Używając celtyckiego dał

Lawrence'owi jasno i dosadnie do zrozumienia, gdzie może sobie wsadzić pytania na ten temat, po czym podszedł do schodów.

Lawrence roześmiał się, kręcąc rudą głową.

- Później wyciągnę z ciebie prawdę, mój drogi! - zawołał za Darraghiem. - Nie wyobrażaj sobie, że ci się upiecze.

Lawrence dotrzymał słowa przy pysznej kolacji, złożonej z so-czystej pieczonej jagnięciny, ziemniaków z masłem i delikatnych, duszonych porów. Zmusił Darragha, by opowiedział całą historię.

- Wrzuciła cię do stawu? - zachichotał Lawrence, wskazując lokajowi, żeby zabrał puste talerze.

Odprężony, przebrany w suche ubranie i rozgrzany dzięki ko-minkowi w sali jadalnej, Darragh rozparł się wygodnie na krześle w stylu chippendale. Dopił resztkę wina, po czym odstawił kryształowy kieliszek z Waterford na przykryty lnianym obrusem stół.

- To musi być dzika kocica - powiedział Lawrence. Darragh nie zdradził przyjacielowi wszystkiego, ale całkiem sporo. W gruncie rzeczy, dosyć dużo.

- Ma charakterek, o tym mogę cię zapewnić.

- A czegoż innego można się spodziewać po Irlandce. Chciałbym poznać tego twojego zionącego ogniem smoka. Powiedz mi, czy ma rude włosy? - Lawrence skrzywił się, wskazując palcem własną głowę. -

Pokarana przez los taką samą płonąca strzechą jak moja?

Darragh sięgnął po kryształową karafkę i nalał sobie jeszcze wina.

Zatkał ją z lekkim szcęknięciem kryształowym korkiem i podniósł

puchar do ust.

Po chwili odstawił naczynie na stół.

- Jest blondynką. Ma złote włosy, piękne jak pierwsze promienie słońca o poranku. Ale nie jest Irlandką. To Angielka.

Lawrence się zatroskał. Jego brwi zjechały się na środku czoła jak para płonących chorągwi.

- Och.

- A cóż to „och” ma znaczyć?

- Wiesz dobrze, co to znaczy. Angielskie dziewczęta przynoszą same kłopoty, zwłaszcza panny z arystokracji. Przyjmuję, że jest arystokratką.

Darragh pomyślał o lady Jeannette i jej zachowaniu, godnym rozpieszzonego dziecka.

- Och, tak, pochodzi z arystokracji. To kuzynka Merriweatherów i córka angielskiego hrabiego. Przybyła tu po jakimś skandalu towarzyskim, którego była bohaterką u siebie, w domu.

- Jeszcze jeden powód, żeby położyć kres gierkom, w które się wdaliście. Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, że to kuzynka Merriweatherów? Uderzyłeś się w głowę, stary? Wiesz, co na Sasanaigh myślą o Irlandczykach, nawet tych majątnych, z dobrymi, starymi tytułami.

- Cóż, nie widzę problemu. Nie grozi mi, żebym się zadurzył w tej dziewczynie.

Lawrence parsknął i wyciągnął rękę po karafkę.

- Nie? Cały wieczór mówiłeś tylko o niej.

- Bo nalegałeś.

- A poza tym masz to w oczach.

- Co takiego?

- To coś. Coś, co się pojawia, kiedy zaczynasz się zakochiwać w dziewczynie. Widzę to nawet teraz, kiedy rozmawiamy.

Darragh poruszył się niespokojnie, zaciskając szczęki.

- To nie jest żadne „coś”, tylko skutek zbyt wielu kieliszków wina. -

Wypił resztkę trunku. - A jeśli twierdzisz, że się zakochałem, to jesteś szalony jak staruszek Maguire, który twierdzi, że co sobota wieczór pije herbatę w towarzystwie elfów: To piękna dziewczyna, ale co do miłości... - Przerwał i mruknął lekceważąco. - Nie kocham jej. Jest dla mnie jak drzazga pod paznokciem.

Lawrence nie wydawał się przekonany.

- Skoro tak mówisz. Nie chcę tylko, żeby zламаła ci serce. Ożeń się z porządną irlandzką dziewczyną, jak kazała ci mama i zapomnij o tej Angielce.

- Nie martw się, Lawrence. Moje serce należy do mnie. Roboty zaczną się znowu jutro rano, a chłopcy posuwają się szybko naprzód.

Skończymy, zanim spadną pierwsze płatki śniegu. A ona wróci do Anglii.

Opanował go jakiś dziwny smutek, nad którym nie chciał się zastanawiać. Uświadomił sobie, że to nieuniknione. Pewnego dnia Jeannette Rose Brantford wyruszy w podróż do domu i rozdzieli ich wówczas nie tylko cała kraina, ale i morze.

Przyjął z ulgą zmianę tematu. Gawędzili o sporcie i koniach, gryząc kawałki sera oraz owoce i popijając mocne, rubinowe porto z małych szklaneczek, aż zrobiło się tak późno, że trzeba było udać

się do sypialni.

Ale Darragh nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku, przewracając się z boku na bok, choć zwykle o tej porze dawno już pogrążony był w sennych marzeniach.

Mógł myśleć jedynie o Jeannette.

To wina Lawrence'a, stwierdził, uderzając pięścią w puchową poduszkę i przewracając się na drugi bok.

Kochać Jeannette?

Niemożliwe.

A jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Wspominał dzisiejsze pocałunki, słodkie jak najpyszniejszy miód, ciepłe i oszałamiające. Jeśli miał być uczciwy, musiał przyznać, że nie zaznał rozkoszniej szych.

Mogła być wyniosła i złośliwa, ale wiedziała, jak sprawić, żeby mężczyzna stracił dla niej głowę.

I jej usta. Słodka Mario, miała tak miękkie wargi. Różowe, gładkie jak jedwab, delikatne jak młode płatki róż. Jej skóra też pachniała różami. Mógłby spędzić cały dzień z nosem wciśniętym w zagłębienie jej szyi, upajając się słodkim, kobiecym zapachem.

Zamknął oczy i niemal poczuł jej zapach, jej ciało w swoich ramionach. Obudziło się w nim pożądanie, krew zaszumiła mu w żyłach. A przecież pocałunki to jedyne, czego mógł oczekiwać od lady Jeannette, chyba że pragnął ofiarować jej ślubną obrączkę. Nie miał

zamiaru się żenić.

Aż do tej pory nie zastanawiał się nad tym w ogóle. Był zbyt zajęty studiowaniem i podróżami oraz odbudowywaniem rodzinnego majątku.

Nie znaczy to, że cierpiał na brak damskiego towarzystwa w ciągu tych wszystkich lat. Nie, doprawdy, nic podobnego. Jednak kobiety, z którymi miał do czynienia, znały swoje miejsce i nie spodziewały się obietnic dozgonnej miłości i oddania.

Kiedy zdecyduje się ożenić, to z pewnością nie z rozpieszczoną angielską pięknoscią, która uważa, że jest lepsza niż inni. Pragnął miłej, łagodnej, czulej dziewczyny o szczerzej duszy, która nie miałaby wygórowanych oczekiwań i dałaby mu szczęście i miłość. Nie jakiejś wścieklej czarownicy, która postarałaby się, żeby nie zaznał chwili spokoju przez resztę życia.

A jednak musiał przyznać, że życie z lady Jeannette nigdy nie stałoby się nudne czy bezbarwne. Dnie pełne byłyby podniecających niespodzianek. Namiętność w każdej chwili mogłaby wybuchnąć płomieniem. Jęknął pod wpływem obrazów, jakie pojawiły się w jego głowie, poruszając się niespokojnie w pościeli.

Boże, a jeśli Lawrence miał rację? A jeśli angażował się zbyt głęboko i głód, jaki go dręczył, był czymś więcej niż tylko zwykłym pożądaniem? A jeśli gierki, w jakie wdali się z Różyczką, to coś więcej niż dziecinne psoty? A co, jeśli, Boże uchroni, stanowiły one część jakiegoś skomplikowanego rytuału godowego?

Wstał z łóżka i poszedł do otwartego okna, przez które wpadał

nocny wiatr. Zapatrzył się przed siebie, ledwie zwracając uwagę na światło księżyca, które niczym srebrzysta rzeka kładło się na czarnej w mroku murawie. Gdzieś w oddali zahuczała sowa.

Szalony. Był zupełnie szalony, rojąc sobie takie niestworzone historie. Lady Jeannette uwielbiała się z nim drażnić. Ale przecież wyznaczył sobie pewne granice. Nawet teraz mógłby ją udusić za cały kłopot, na jaki naraziła go dzisiaj, chowając narzędzia, nie mówiąc już o niespodziewanej kąpieli w sadzawce Merriweatherów.

Zamruczał z niezadowoleniem na to wspomnienie. Potem uśmiechnął się, chcąc nie chcąc, na myśl o jej wybrykach.

Jednak Lawrence słusznie zwrócił mu uwagę. Prowadzenie po-dobnej gry z dziewczyną taką, jak ona, przypominało pocieranie krzemienia obok nasączonych oliwą trocin. Nie wolno mu przeciągać tej sytuacji. Lepiej się wycofać, zanim będzie za późno.

Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ciemności. W końcu wrócił do łóżka, postanowiwszy przedtem skupić się na pracy i wyrzucić pewną, obdarzoną ognistym temperamentem, pannę ze swoich myśli.

Kiedy skończy pracę, wyjedzie i nawet się za siebie nie obejrzy.

Przez następnych parę dni Jeannette wolała zostać w domu niż zaryzykować spotkanie z O'Brienem. Nie wydawał się uszczęśliwiony niespodziewaną kąpielą. Warto jednak było zobaczyć wyraz zaskoczenia na jego twarzy, na chwilę przedtem, zanim chlupnął do wody niczym pstrąg. Szkoda, że nie mogła podzielić się tą zabawną historią z kuzynami, ale Bertie i Wilda pewnie by tego nie zrozumieli.

Nie rozumieli też sprawy zaginionych narzędzi. Zastanawiali się wciąż, jak coś tak zdumiewającego mogło się zdarzyć. Jeannette przysłuchiwała się ich dyskusji przy stole.

Kuzyn Bertie opowiadał, że kiedy zapytał o to O'Briena, architekt wzruszył ramionami i stwierdził, że nie wie, co o tym myśleć.

„To nie ma żadnego sensu, prawda? - miał powiedzieć O'Brien. -

Nawet jeśli wziąć pod uwagę ludzkie dziwactwa oraz złodziei i dowcipnisiów. Oczywiście, to może być robota elfów, jak powiadają robotnicy. Sprytnie, złośliwe istoty, te elfy. Jakkolwiek na to nie patrzeć, to bardzo tajemnicze zdarzenie”.

Elfy, rzeczywiście, myślała rozbawiona. Co prawda denerwowało ją to trochę, ale czuła podziw dla O'Briena i jego niezwykle pomysłowych wyjaśnień. Niewątpliwie udało mu się przekonać kuzynkę i kuzyna, że to właśnie elfy mogły się dopuścić kradzieży, mimo że Bertie szczycił się, że jest człowiekiem nauki.

Wilda, dużo bardziej przesądna, omówiła sprawę z gospodynią, panią Ivory - prostą, energiczną Irlandką, która namówiła ją, aby kazała służbie co noc wystawiać szklanek mleka i talerzyk z jedzeniem. Taka ofiara, jak utrzymywała gospodyni, to znany sposób na ułagodzenie krasnoludków i innych niespokojnych duszków, zamieszkujących tę ziemię.

Teraz, parę dni później, Jeannette parsknęła śmiechem na myśl o tych głupstwach. Pokręciła głową, przesuwając ołówkiem po papierze.

Ponieważ łąki były mokre po porannej ulewie, postanowiła zostać w domu.

Usadowiła się wygodnie na ławie pod oknem w jednym z pokoi gościnnych i obserwowała z góry rozpościerający się pod nią plac budowy. Robotnicy uwijali się przy pracy w zwykłym tempie, jakby przerwa wywołana brakiem narzędzi nigdy nie miała miejsca.

Bała się, że O'Brien się zemści, zaczynając pracę znacznie wcześniej. Odgłosy budowy obudziły ją jednak o siódmej. Ku swojemu żalowi zdała sobie sprawę, że śniła o pocałunkach O'Briena.

Ołówek zwolnił na papierze. Na samo wspomnienie poczuła mrowienie w całym ciele. Nie, upomniała się surowo, nie może: spędzić popołudnia, rozmyślając o pocałunkach Darragha O'Briena.

Cudownych, słodkich, przyspieszających bicie serca pocałunkach, które nie dawały jej spokoju w

dzień i śniły jej się w nocy.

Pomimo wysiłków nie potrafiła powstrzymać tych snów i mi-

łosnych fantazji, które budziły w niej niepokój i tęsknotę za męskim dotykiem. Każda inna niezamężna dama z towarzystwa przewracałaby się w męce, burząc pościel i płonąc ze wstydu. Ale Jeannette w głębi duszy nie mogła zaprzeczyć pewnej przyjemności, jaką wywoływały nocne majaki. Te doznania były dla niej czymś nowym. Jednakże to, czego pragnęła w nocy, ukrywała starannie za dnia. Poddać się we śnie to jedno. Zrobić to samo w rzeczywistości to zupełnie co innego.

Za oknem pojawił się O'Brien. Poruszał się zwinnie jak pantera.

Słońce odbijało się od jego ciemnokasztanowych włosów, rzucając miedziane błyski.

Zagryzając dolną wargę, śledziła jego kroki. Szedł przez trawnik do wysokiego, wąskiego stołu, na którym rozłożył długą, wyglądającą znajomo płachtę pergaminu. Jego plany.

Sprawdził coś w planach, po czym podniósł wzrok, wydając polecenie dwóm czekającym mężczyznom.

Miał na sobie zwykle ubranie. Skórzane buty, gładkie brązowe spodnie, prostą zieloną, bawełnianą kamizelkę, białą chustę na szyi i koszulę, którą, o zgrozo, zostawił niezapiętą pod szyją i przy rękawach.

Podwinął je do góry, ukazując umięśnione przedramiona pokryte intrygującymi czarnymi włoskami.

Oblizwała wargi i westchnęła, a potem uświadomiła sobie, co robi.

Rozzłoszczona, wyciągnęła czystą kartkę papieru i wprawiła w ruch ołówek. W ciągu następnej pół godziny na kartce pojawiła się powoli podobizna O'Briena. Proste linie, kropki i zawijasy zamieniły się w coś, co uznała za bardzo udany portret tego człowieka.

Uwodzicielskiego szatana.

Owszem, właśnie tak, pomyślała, uśmiechając się do siebie szelmowsko.

Zachowanie robotników powinno go ostrzec. Jak również śmiech, który mu towarzyszył, kiedy następnego dnia rano Darragh wkroczył na plac budowy.

Odpowiadając na jego „dzień dobry”, ludzie uśmiechali się w trochę dziwny sposób. Przyglądali mu się ciekawie. Rzucali mu długie, wyczekujące spojrzenia, jakby spodziewali się jakiegoś wybuchu.

Zaniepokojony, rozejrzał się wokół, nie znajdując niczego odbiegającego od normy.

Szedł w stronę nowej północnej ściany, kiedy to zauważył. Było umocowane na rusztowaniu, jak szkarłatna plama.



Teraz on zaczął się gapić.

Piekło i szatani. Lady Jeannette narysowała go jako diabła i zrobiła to bardzo zgrabnie. Doskonale oddała podobieństwo, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości. Narysowała mu czerwone oczy zamiast niebieskich. Ciemne włosy i rogi obwiedzione zostały złotym kolorem, który udawał piekielne ognie. Czerwono - czarne tło robiło wrażenie, jakby właśnie wyszedł z płonącego Hadesu. Żartobliwie, za jeden róg, zatknęła mu ołówek i narysowała płonące plany, które gasił za pomocą rozdwojonego ogona i szponiastych łap.

Diablica. Co ona sobie myślała? Czy celowo próbowała go rozgniewać? A może była to kolejna sztuczka, sposób w jaki chciała zwrócić na siebie jego uwagę.

Podejrzewał, że jedno i drugie.

Czy pozwoli się złapać na przynętę?

Nagle dotarła do niego cisza, tak kompletna, że niemal ogłuszająca.

Robotnicy czekali, co zrobi.

Podszedł do obrazka, odczepił go od rusztowania i jeszcze raz przyjrzał mu się uważnie. Nagle dotarła do niego jego absurdalność i zadziwił wszystkich - włącznie z sobą - odrzucając głowę do tyłu i wybuchając głośnym śmiechem.

- Podobny do mnie, co?! - zawołał, odwracając się. - Zwłaszcza ogon i rogi. Ostrzegam, że ich użyję, jeśli natychmiast nie zabierzecie się do pracy.

Robotnicy parsknęli śmiechem. Rory zbliżył się do niego i poklepał

go dobrodusznie po ramieniu, a potem przeszli do omawiania poważniejszych spraw.

Skończywszy, Darragh podszedł do drewnianego stolika, gdzie leżały plany i wykresy. Położył na nim rysunek, przykrywając go dużą płachtą papieru. Z całych sił starał się zapomnieć o niepokojąco pięknej artystce, która go stworzyła.

Jeannette była w smutnym nastroju. Siedziała w fotelu, obserwując krople deszczu płynące po szybie w jej pokoju. Westchnęła, zrozpaczona nudą. Tak samo beznadziejnie spędziła inne popołudnia w ciągu ostatnich czterech tygodni. Jedyłą rozrywkę stanowili kuzyni i jej własne, samotne zajęcia.

Z powodu deszczu robotnicy zeszli z budowy już po południu. W

domu panowała cisza, jeśli nie liczyć szmeru deszczu i szumu wody w rynnach.

Ostatnio nie widywała Darragha O'Briena. Nie, żeby chciała go zobaczyć. Odczuła ulgę na myśl, że z własnej woli postanowił zniknąć z jej życia. Naprawdę tak było. Jednak ich spotkania wprowadzały trochę życia w monotonię wiejskiej egzystencji i jego niezrozumiałe wycofanie się wywołało zauważalną pustkę.

Przypomniała sobie poranek, kiedy zostawiła swój obraz na budowie, żeby robotnicy mogli go obejrzeć. Obudziwszy się wcześniej, pobiegła do okna w jednym z pokoi gościnnych, gdzie z góry mogła wszystko obserwować. Najpierw śmiała się wraz z robotnikami, kiedy podchodzili kolejno, żeby obejrzeć karykaturę. Czekwała w podnieceniu, aż zjawi się O'Brien. Pewnie obejrzy jej najnowsze dzieło i wybuchnie!

Poza tym jednak, że parsknął śmiechem i zrobił parę kpiących uwag, prawie nie zareagował. Być może, pomyślała wówczas, ukrywał

prawdziwe uczucia do spotkania z nią twarzą w twarz.

Zatem czekała, spodziewając się, że będzie jej szukał. Ale nie zrobił

tęgo. Jej irytacja, a potem znużenie rosły z każdym, podobnym do poprzedniego, dniem. Darragh nie spuszczał nawet Witruwiusza ze smyczy, nie pozwalając mu biegać swobodnie, tak że ogromna bestia nie mogła dawać jej się we znaki, kiedy popołudniami szła do ogrodu czy na pola, żeby malować. Co prawda wcale nie chciała kolejnego spotkania z psem, jako że dość już została obśliniona i wybrudzona.

Ale pan i pies trzymali się z daleka.

Mogłaby sama poszukać O'Briena, ale pod jakim pretekstem? Po nieszczęsnym popołudniu, kiedy ukarał ją za ukrycie narzędzi, uznała, że rozsądnie będzie zaprzestać tego niemądrego pojedynku. Choć trudno było jej się pogodzić z porannymi hałasami na budowie, uświadomiła sobie, że nie może na to nic poradzić.

To on powinien jej szukać, choćby po to, żeby nacieszyć się swoim triumfem. Jednak mijały dni, minął tydzień, potem drugi i trzeci, i Jeannette zrozumiała, że stracił zainteresowanie. Zarówno starciami z nią, jak i nią samą, jak się wydawało.

Ku własnemu upokorzeniu zachodziła czasem do pokoju gościnnego, żeby na niego popatrzeć. Nigdy jednak nie siedziała tam długo, wmawiając sobie, że sprowadzała ją tam jedynie nuda i ciekawość.

Nie żywiła, rzecz jasna, żadnych ciepłych uczuć do niego. Jakże by mogła, wzięwszy pod uwagę, że pochodzili z dwóch zupełnie odrębnych światów? Ona była angielską damą ze szlacheckiego rodu i znakomitej rodziny. On - przedstawicielem irlandzkiej klasy średniej, niemogącym poszczycić się niczym innym poza niewątpliwymi umiejętnościami architekta.

To wszystko było zresztą bez znaczenia, ponieważ nie miała zamiaru wdawać się w żaden flirt. Po powrocie do Anglii wyjdzie za męża za kogoś bardzo majątnego. Więc naprawdę O'Brien wyświadczał

jej przysługę, wycofując się z jej życia.

Był zbyt zajęty pracą. Zapewne z tej przyczyny przestała go spotykać. Powstające skrzydło pochłaniało cały jego czas i siły. I do tego talent. Nawet ona, która niemal nie interesowała się takimi sprawami, potrafiła docenić piękno tego, co tworzył.

Zaprojektowane tak, aby pozostawać w harmonii z resztą budynku, niedawno ukończone skrzydło zachowało klasyczne linie palladiańskiego stylu. Każdy, kto nie wiedział o pożarze, odniósłby wrażenie, że pałac Brambleberry stoi nienaruszony od początku swego istnienia.

We wnętrzu, nad którym teraz pracowano, zastosowano nowocześniejsze rozwiązania, z naciskiem na funkcjonalność i wygodę.

O'Brien nadał każdemu nowemu pomieszczeniu specjalne prze-znaczenie, zgodne z potrzebami mieszkańców, nie naruszając zarazem wrażenia spokojnej, wiejskiej elegancji.

Budowano także oranżerię. Co dzień pięła się ku górze, jak lśniąca katedra. Oraz laboratorium Bertiego, mały kwadratowy domek z kamienia, postawiony z daleka od głównych budynków, na wszelki wypadek.

Odbudowa zaiste zasługiwała na pochwałę.

Nie zmieniało to jednak faktu, że dni dłużyły się Jeannette nieznośnie. Choć mili i pełni dobrych chęci, kuzyni okazali się parą największych ekscentryków i odludków, jakich w życiu spotkała. Poza uczestnictwem w niedzielnych nabożeństwach i spotkaniami karcianymi Wildy, kuzynka i kuzyn nie prowadzili niczego, co można by nazwać życiem towarzyskim.

Bertie zajmował się książkami, roślinami i eksperymentami. Wilda

- szyciem, lekturą i pracą w ogrodzie. Ku swemu przerażeniu Jeannette odkryła, że kuzynka większość prac w ogrodzie wykonuje sama.

Zaproponowała nawet w zeszłym tygodniu, żeby Jeannette pomogła jej przycinać krzaki róż i przygotować klomby na jesień. A najgorsze, że dziewczyna była tak znudzona, iż się zgodziła!

Zadrżała na to wspomnienie, po czym odsunęła je od siebie.

Westchnęła, opuszczając smętnie ramiona. Chłodny deszcz stukał

w parapety, a ona kulila się w fotelu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedziała, prostując się. Pokojówka przyniosła coś na srebrnej tacy. Dygnęła grzecznie.

- Właśnie przyszedł list do jaśnie pani. Gospodyni kazała mi go przynieść.

Jeannette się uśmiechnęła i przyzwała dziewczynę gestem dłoni.

- Doskonale.

Wzięła list, ale go nie otworzyła. Nie przy służącej. Dziewczyna się zawahała, wyraźnie niepewna,

co robić. Jeannette skinęła głową.

- Dziękuję. Możesz odejść.

Pokojówka dygnęła ponownie i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Jeannette zerknęła na kopertę, rozpoznając woskową pieczęć Raeburna. List musiał być od Violet, ponieważ Adrian napisałby do niej chyba jedynie pod groźbą pistoletu. Uśmiechnęła się, jej nastrój poprawił

się nieco. Sadowiąc się wygodnie, rozcięła papier srebrnym nożykiem.

Droga Siostró!

Mam nadzieję, że list zastanie Cię w dobrym zdrowiu i sa-mopoczuciu, albo na tyle dobrym, na ile to możliwe, biorąc pod uwagę Twoją obecną sytuację. Jak obiecałam, spróbuję porozmawiać o tym z Mamą, kiedy się spotkamy następnym razem. Jednakże nie mam wielkiej nadziei, że zechce mnie wysłuchać. Niedawno była na dorocznym wiejskim koncercie u lady Symmerson i skarżyła się, że ledwie mogła wytrwać do końca, tyle szeptano o niej i skandalu, jaki wywołałyśmy. Doznała później jednego ze swoich ataków nerwowych i pozostała w łóżku przez cały tydzień. Koresponduje ze mną dość regularnie, choć muszę przyznać, że nawet w listach czuję jej gniewny ton. Gdyby nie to, że jestem przy nadziei, boję się, że całkiem przestałaby się do mnie odzywać.

Jeannette parsknęła. Doskonale wiedziała, jak czuła się siostra. Do czasu skandalu Mama nigdy nie gniewała się na nią, nawet kiedy na to zasłużyła. Odkąd ją wygnano, matka napisała tylko dwa razy. Raz, żeby uzyskać potwierdzenie, że przybyła na miejsce. Drugi raz, żeby jej wypomnieć złe uczynki i wstyd, jaki sprowadziła na rodziców.

Jeannette czytała dalej.

Mam zdumiewające nowiny. Wiesz zapewne, że byłam przekonana, iż dziecko to słoń, taka jestem gruba. Kochany Adrian wezwał

doktora Montgomeriego, żeby mnie zbadał. Posłuchał mojego brzucha za pomocą bardzo dziwnego małego urządzenia i stwierdził, że słyszy uderzenia dwóch serc! Sądzi, że noszę w łonie bliźniaki! Adrian aż zszarzał na twarzy z troski o moje zdrowie, ale doszedł do siebie od tamtej pory, po zapewnieniach doktora, że poród nie będzie trudny.

Wyobraź sobie, Jeannette, bliźniaki. Myślisz, że będą identyczne, tak jak my?

Jeannette położyła list na kolanach, ogarnięta tęsknotą za domem.

Pomimo dawnych niesnasek, żałowała, że nie może być przy siostrze, żeby pomóc jej w tym trudnym okresie. Odważna w słowach, Violet bała się z pewnością, zwłaszcza wiedząc, że nosi w sobie dwoje dzieci, a nie jedno. Jeannette miała nadzieję, że nie spotka jej pewnego dnia ten sam los. Jedno dziecko na raz w zupełności wystarczy.

Poza tym, myślała nadąsana, omijało ją tyle przyjemności. Jeśli rodzice nie złagodnieją i nie pozwolą jej wkrótce wrócić do domu, nie będzie miała okazji, żeby zobaczyć Violet w jej obecnym stanie. Nie będzie jej również przy narodzinach i chrzcinach dziecka zimą.

Zastanawiała się nad odpowiedzią, ale, spojrzawszy na zegar, uświadomiła sobie, że powinna już przebierać się do kolacji. Złożywszy list, zadzwoniła po Betsy.

- Powiada, że pomimo wcześniejszych niefortunnych opóźnień, praca posuwa się naprzód w szybkim tempie - oznajmił Bertie między gotowanym łososiem w sosie kaparowym a pieczonymi ziemniakami z masłem. - Nowe skrzydło stanie nie później niż za miesiąc. - Wymienił z Wildą pełne zadowolenia uśmiechy.

Jeannette przełknęła łososa, wbrew dziwnemu ścisaniu w gardle, i sięgnęła po kieliszek wina. Jeszcze miesiąc i robotnicy odejdą, a wraz z nimi O'Brien. Cóż, cudownie, nic już nie zakłóci rozkosznej ciszy poranka, a ona będzie mogła spać tak długo, jak jej się będzie podobało.

Wiadomość powinna wprawić ją w ekstazę.

I tak właśnie było.

Marszcząc brwi, wbiła widelec w rybę, ogarnięta dziwnym smutkiem. Potrzebowała odrobiny rozrywki, to wszystko. Odpoczynku od niekończącej się monotonii jej obecnej egzystencji. Gdyby była u siebie, wydałaby przyjęcie.

Znieruchomiała, po czym wypila kolejny łyk wina.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

Odłożyła widelec i wytarła wargi serwetką.

- Mam wspaniały pomysł. Musimy urządzić bal.

Brwi Wildy podskoczyły do góry, a czoło kuzyna Cuthberta pokryło się siatką splątanych linii.

- Och, mój Boże, nie wiem, czy kiedykolwiek odbył się u nas jakiś bal - powiedziała Wilda słabym głosem. - Nie, nie, na pewno nic większego niż letni obiad dla paru przyjaciół i rodziny przed wielu laty.

Jeannette siłą woli powstrzymała się od przewrócenia oczami.

- A więc najwyższa pora, żebyście przyjęli gości. Czy może być lepszy powód niż zakończenie renowacji? To oczywista okazja do świętowania.

Bertie mruknął pod nosem:

- Wystarczy, że będzie można korzystać z nowego skrzydła i laboratorium. Nie ma potrzeby spraszać gromady ludzi, żeby łazili po domu.

- A co z oranżerią? - nalegała Jeannette. - Z pewnością chciałbyś pokazać swój niezwykły zbiór roślin. Wielu twoich kolegów ucieszyłoby się, mogąc je zobaczyć.

To wyraźnie trafiło Bertiemu do przekonania.

- Cóż, mam kolegów w Królewskim Towarzystwie Botanicznym.

Niektórzy musieliby jechać z Dublina i jeszcze dalej, ale śmiem twierdzić, że byliby zadowoleni, wnosząc chociażby po ilości próśb, jakie otrzymałem, żebym pozwolił obejrzeć swoje *Epidendrum nocturnum*.

Przypuszczam, że mogłaby to być znakomita okazja, żeby pochwalić się moją kolekcją.

- Tak jest - przytaknęła z zapalem. - A ty, kuzynko, chciałabyś na pewno ustawić stoliki w swoim nowym pokoju do gry w karty. Pomyśl tylko o podniecających partiach, jakie mogłyby się tam rozegrać.

Lekki uśmiech uniósł do góry kąciki ust kobiety.

- Och, o tym nie pomyślałam. Można by zagrać w karty, czyż nie tak?

- Ależ oczywiście. Bal nie byłby udany, gdybyśmy nie zapropo-nowali kart osobom, które nie mają ochoty tańczyć. Oprócz dam, z którymi regularnie grywasz w wista, muszą być w sąsiedztwie jakieś inne panie z dobrych rodzin, które z przyjemnością przyjąłby zaproszenie.

- Tak, możemy zaprosić kilku sąsiadów. - Wilda podniosła nie-spokojnym gestem rękę do piersi. - Mój Boże, nie jestem pewna, czy dałabym sobie radę z tak poważnym przedsięwzięciem.

Jeannette machnęła ręką.

- Szczegóły zostaw mnie. Uwielbiam organizować przyjęcia i bale.

Został tylko miesiąc, ale nie wątpię, że zdołamy przygotować w tym czasie coś wspaniałego. Zapewniam was, kiedy bal się odbędzie, całymi miesiącami nie będzie się mówiło o niczym innym. Może latami. Cóż, nawet twoi koledzy z Dublina będą mogli jedynie was komplementować, zaproszenie na tak niezwykłą okazję z pewnością im pochlebi. Będą żałować, że sami nie mają możliwości urządzić czegoś takiego. - Jeannette klasnęła w dłonie w podnieceniu. - A więc, zgoda?

Urządzamy bal?

Bertie i Wilda popatrzyli na siebie oszołomieni, po czym zgodnie kiwnęli głowami.

- Tak, moja droga, niech się stanie - oznajmiła Wilda.

Kolejny miesiąc, podczas którego Jeannette zajmowała się przygotowaniami do balu u Merriweatherów, minął szybciej niż dwa poprzednie.

Rano, w dniu balu, stała w sali balowej, pachnącej woskiem do parkietu i świeżymi kwiatami.

- Nie, nie! Różowe i białe malwy trzeba postawić tam z boku. A chryzantemy i zielone gałązki w dużych wazonach w pobliżu miejsca dla muzyków.

Gospodyni, pani Ivory, kiwnęła głową i wydała stosowne polecenia dwóm, czekającym w pobliżu, lokajom.

- A co z pasztecikami z homara, milady? Dostawca zjawił się w pół

do siódmej rano i przywiózł za mało homarów. - Kobieta cmoknęła z dezaprobatą. - Kucharz zmył mu głowę, jak trzeba, ale co teraz zrobimy?

Jeannette, zamyślona, postukała palcem w biodro. - Jest dużo krewetek, prawda?

- Tak, milady. Więcej niż potrzeba.

- Zatem poleć kucharzowi, aby przygotował jeszcze jedno danie z krewetek. Możemy podać także więcej ostryg. To powinno wystarczyć.

Będzie dostateczny wybór owoców morza w bufecie.

- Tak jest, milady. - Czy coś jeszcze?

- Nie, milady. Pokojówki myją i polerują srebra i kryształy.

Świeczniki odkurzone i wstawiono nowe świece. Służba kończy przygotowywanie pokoi dla gości, którzy zostaną na noc, zadbano również o nocleg i wygodę dla służby.

- Świetnie. Wydaje się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Pani Ivory kiwnęła głową, po czym dygnęła, szykując się do odejścia.

- Zanim pani odejdzie - odezwała się Jeannette, zatrzymując starszą kobietę - chciałabym, w imieniu moich kuzynów i moim powiedzieć, jak bardzo doceniamy wspaniałą pracę pani i całej służby w ciągu ostatnich paru tygodni. Nawet służba moich rodziców w Surrey nie wykonałaby tego lepiej. - Jeannette złożyła ręce przy pasie. - O ile nie stanie się nic niespodziewanego, dzisiejszy wieczór powinien okazać się niezwykle udany. Proszę wszystkim podziękować ode mnie.

Pulchną twarz gospodyni opromienił uśmiech zadowolenia.

- Dziękuję, milady. Dołożymy sił, żeby wszystko poszło, jak należy. Jeśli pani pozwoli, lady Jeannette, pójdę porozmawiać z kucharzem o krewetkach. - Służąca się skłoniła i oddaliła

pośpiesznie.

Jeannette obserwowała ją z satysfakcją.

Podczas ostatnich czterech tygodni rzeczywiście była w swoim żywiole. Uwielbiała wiele rzeczy, ale nic nie mogło się równać przyjęciu, zarówno jeśli chodzi o planowanie, jak i samo uczestnictwo w nim.

Na początku biedna, słodka kuzynka Wilda starała się pomóc, jak umiała. Nie przywykła jednak do wydawania hucznych przyjęć i poddała się wkrótce. Jeannette z przyjemnością przejęła dowodzenie, niczym doświadczony generał przed rozstrzygającą bitwą. Dysponując oddziałami w sposób, z którego Wellington byłby dumny, podejmowała decyzje na wszystkich frontach, poczynając od treści eleganckich zaproszeń, po jedzenie i wino, jakie miano podawać.

Jedynie, co zostawiła Wildzie, to kwiaty, co kuzynka przyjęła z zachwytem. Co do kuzyna Cuthberta, po tym jak przedstawił listę przyjaciół i kolegów, których należało zaprosić, schronił się w prowizorycznym laboratorium i nie wychodził z niego - z wyjątkiem, rzecz jasna, posiłków.

Lokaje wyszli z sali, zostawiając Jeannette samą. Obróciła się powoli, podziwiając wystrój. Długie do podłogi, aksamitne zasłony w kolorze brązu, chińskie tapety w odcieniach czerwieni i złota, lśniąca drewniana podłoga i podwójne okna, przez które do wnętrza wpadało światło i powietrze. Odetchnęła głęboko, delektując się zapachem ostatnich kwitnących wrzosów.

W domu zapanowała wreszcie cisza. Koszmarna brygada O'Briena złożona z cieśli i rzemieślników odeszła. Prace udało się zakończyć w terminie, choć była przerażona, gdy na początku tygodnia O'Brien i jego ludzie nadal wykańczali wnętrza. Jednak skończyli, tak jak obiecali, spakowali swoje narzędzia i znikli. Dali służbie dość czasu, aby wysprzątała pokoje i ustawiła meble. Wypełnili także niespokojne polecenia Cuthberta, przenosząc jego rozległą kolekcję egzotycznych roślin do cieplarni.

O'Brien nie przyszedł, żeby się pożegnać.

Bardziej urażona, niż chciałaby się do tego przyznać, Jeannette oparła się pokusie, żeby go poszukać. Skoro nie chciał jej widzieć, jej tym bardziej na tym nie zależy. A poza tym, co mieliby sobie powiedzieć?

Pewnie wymieniliby parę nic nieznaczących uprzejmości, nie wspominając o swoim „pojedyнку”. O przekomarzaniu się i flircie. O

pocałunkach.

Zamknęła oczy; osaczyły ją wspomnienia, Wspomnienie jego ust przyciśniętych do jej warg. Słodkie pocałunki, które czyniły ją bezwolną.

Wspomnienie zapachu, który rozgrzewał jej krew i wypełniał mózg.

Smaku, który - podniecający jak grzech - czuła na języku. A jego ciało?



Wysokie, umięśnione, silne ciało, do którego przyciskał ją tak, jakby nigdy nie zamierzał pozwolić jej odejść.

Drżąc, przycisnęła rękę do serca, które biło w szaleńczym rytmie.

Gwałtowność tej reakcji wprawiła ją w zmieszanie. Melancholia ogarnęła ją niczym powiew zimnego wiatru. Dlaczego miałyby się martwić, że go już nigdy nie zobaczy? Co znaczył dla niej Darragh O'Brien?

Nic, zapewniła się. Zupełnie nic.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po sali. Starła się skupić na zbliżającym się, ekscytującym wieczorze. Miała wiele powodów do świętowania. To był jej bal, pierwszy od wielu miesięcy. Może Inistioge to nie Londyn. Może wielu spośród przyjaciół i sąsiadów Merriweatherów to prowincjusze. Ale dziś wieczorem zamierzała się bawić. Starła się ze wszystkich sił, żeby przyjęcie było zarazem eleganckie i urozmaicone. Każdy gość miał się dzisiaj świetnie bawić, takie było jej życzenie.

A ona najlepiej ze wszystkich.

Nie wszyscy zaproszeni pochodzili z tych stron. Lista gości obejmowała wielu Anglików, w tym paru utytułowanych dżentelmenów, którzy zdecydowali się na podróż z Londynu, żeby zobaczyć ostatnie botaniczne nabytki kuzyna Cuthberta. Kto wie, może pozna kogoś nowego. Kogoś niezwykłego, utytułowanego i przystojnego.

Kogoś niemożliwie bogatego, kto wymaże Darragha O'Briena z jej pamięci, tak jakby nigdy nie istniał.

Rozległy się ciche kroki. Zbliżył się jeden z lokai.

- Proszę wybaczyć, milady, goście przybyli.

- Już? Spodziewaliśmy się pierwszych gości po południu. Nie szkodzi. Zawiadom, proszę, panią Merriweather, że mamy towarzystwo.

- Oczywiście, milady. Ale goście pytali właśnie o panią. Pozwoliłem sobie zaprosić ich do złotego pokoju.

Goście pytali o nią? Dziwne. Nie miała pojęcia, kto to mógł być, ponieważ nikogo z zaproszonych nie znała osobiście. Prawda, sporządziła listę i wypisała zaproszenia, ale z pewnością przybyli prosiliby raczej Wildę, a nie ją.

Lokaj musiał się pomylić.

Cóż, byłoby nieuprzejmie kazać gościom czekać. Zajmie się nimi, dopóki Wilda się nie pojawi.

Skinąwszy lokajowi, który uklonił się i odszedł na bok, opuściła salę balową. Dotarła do

zamkniętych drzwi salonu. Zatrzymała się i sprawdziła, czy jej brzoskwiniowa muślinowa suknia leży jak powinna.

Wyprostowała się i wkroczyła do pokoju. Zamarła, ściskając mosiężną klamkę, podczas gdy cztery znajome twarze zwróciły się w jej stronę.

- Violet! - krzyknęła, radośnie zdumiona. Roześmiała się jak małe dziecko, wbiegając do pokoju. - Na Boga, to naprawdę ty? Wy wszyscy.

Tutaj!

Ze swojego miejsca na kremowej adamaszkowej kanapie siostra bliźniaczka posłała jej spojrzenie niebieskozielonych oczu takich samych, jak u Jeannette, z tą różnicą, że oczy Violet były częściowo ukryte za okularami w złotej, drucianej oprawie.

- Naprawdę jesteśmy tu wszyscy. - Violet uśmiechnęła się radośnie, kładąc dłonie na brzuchu. - Włącznie z tą dwójką, która nie miała w tej sprawie nic do gadania.

Violet zaczęła się podnosić. Udało jej się unieść o parę centymetrów, kiedy klapnęła z powrotem na poduszki. Adrian ruszył

natychmiast, żeby pomóc żonie.

Jeannette patrzyła zaszokowana. Violet uprzedzała, że w ciąży bardzo przybrała na wadze, ale Jeannette nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia. Brzuch Violet wystawał, okrągły i dojrzały niczym melon na wiejskim targu. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że Violet lada chwila urodzi, ale Jeannette wiedziała, że zostało jej jeszcze około trzech miesięcy.

Ciąża przynajmniej, jak zauważyła Jeannette, nie spowodowała, że Violet wróciła do starych, niemodnych ubrań. W karminowej sukni podróżnej bardzo jej było do twarzy, pulchne policzki jaśniały radością i urodą. Może to zresztą nie sprawa sukni, tylko ciąży. I szczęśliwego małżeństwa, uznała Jeannette, widząc, jak Violet wymienia czułe spojrzenie z Adrianem.

- Co wy tu robicie? - zaszcebiotała Jeannette. - Nie miałam pojęcia, że przyjdziecie.

- Nie dostałaś mojego listu? Cóż, widocznie nie, bo inaczej nie byłabyś taka zaskoczona.

- Och, to bardzo przyjemna niespodzianka! Niech cię uściskam. -

Jeannette objęła siostrę ramionami. Obie wybuchnęły śmiechem, gdy jej dłonie nie mogły się spotkać za plecami ciężarnej.

- Nie martw się - powiedziała Violet, kiedy odsunęły się od siebie. -

Teraz nawet Adrian nie jest w stanie mnie objąć.

Uśmiech Jeannette stał się nieco mniej promienny, kiedy odwróciła się do szwagra.

Wysoki, kruczowłosy, niezaprzeczalnie przystojny, Adrian Winter, szósty hrabia Raeburn, był jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii. Gdziekolwiek się znalazł, nie sposób było go nie zauważyć. Ten niezwykle spokojny, inteligentny i pełen taktu mężczyzna był kiedyś jej narzeczoną. I gdyby nie decyzja Jeannette, żeby się wycofać w ostatniej chwili, byłaby teraz jego żoną.

Westchnęła z ulgą. Cóż za szczęście, że do tego nie doszło, mimo żalostnej próby, żeby go odzyskać zeszłej wiosny. Skrzywiła się na myśl o swoim ówczesnym zachowaniu. Usprawiedliwiała ją jedynie rozpacz po porzuceniu przez tego drania, Toddiego.

Violet wygrała z nią jednak walkę o Adriana. Miała rację twierdząc, że Jeannette pragnie go tylko dla jego majątku, a nie ze względu na to, kim jest.

Przewrotny los sprawił, że Adrian i jej uczona, cicha siostrzyczka naprawdę zakochali się w sobie. Byli po prostu idealną parą. Jak cudownie widzieć ich zadowolonych i szczęśliwych. Ostatecznie, stwierdziła Jeannette, Violet zasługiwała na szczęście.

- Raeburn. - Jeannette wyciągnęła rękę, wiedząc, że tak będzie rozsądniej niż ryzykować uścisk, w którym żadne z nich nie czułoby się dobrze.

Pochylił się elegancko nad jej dłonią. Prostując się, spojrzął jej w twarz. Dostatecznie długo, żeby dostrzegła błysk w jego brązowych oczach oraz milczące ostrzeżenie, że nie będzie tolerował tym razem żadnych sztuczek.

Cofnęła dłoń, spięta. Do jakich sztuczek mogłaby się uciec wobec ciężarnej siostry? Nawet jeśli nadal chciałaby się zamienić miejscami z bliźniaczką - a nie było tak, gdyż zeszłej wiosny otrzymała nauczkę, której nie zapomniała - oszustwo nie miało szans powodzenia.

Zakładając, że w jakiś sposób udałoby jej się wpakować wielką poduchę pod sukienkę, to i tak nie zdołałaby dodać sobie tuszy, której nabyła Violet. Miała znacznie pulchniejszą twarz, no i piersi - rozrosły się do imponujących rozmiarów.

Stłumiła urazę, szczęśliwa, że znów znajduje się w otoczeniu bliskich.

Starając się zachować pogodny nastrój, zwróciła się do młodszego brata Adriana.

- Lordzie Christopherze.

Dwudziestotrzyletni Kit Winter był ciemnowłosym, przystojnym młodzieńcem, nader podobnym do brata. Być może uległaby jego urokowi, gdyby nie chochlik, który mrugał do niej z jego niezwykłych złotozielonych oczu.

- Lady Jeannette - powiedział, skłaniając głowę.

To powitanie wydawało się zupełnie zwyczajne, ale ona usłyszała kpiący ton. Szczeniak, pomyślała, pamiętając, jak ją potraktował na balu zeszłej wiosny. Tego uchybienia dotąd mu nie wybaczyła.

Powstrzymała uwagę, która cisnęła jej się na usta i zwróciła się do ostatniego z gości, dziewczyny tak zwyczajnej i nieśmiałej, że niemal niewidzialnej.

Eliza Hammond od wielu lat przyjaźniła się z jej siostrą. Ubrała się, jak zwykle, w nieciekawą suknię. Błotniście brązowy kolor stanowił

fatalne tło dla jej mysich włosów, jasnych oczu i bladej, niemal pozbawionej rumieńca cery.

- Panno Hammond. Jak się pani miewa?

Eliza rzuciła jej szybkie, niemal przestraszone spojrzenie i kiwnęła głową.

- D - dobrze, lady Jeannette. Dziękuję za troskę. A pani?

- Czuję się wspaniale, zwłaszcza że was tu wszystkich zobaczyłam.

Jeannette zamilkła, niepewna, czy dziewczyna nie doda jakiegoś komentarza. Nie odezwała się jednak, spuszczaając oczy i wpatrując się w palce splecione na podolku.

Uznając, że łatwiej będzie zabawić siostrę i szwagra niż nawiązać konwersację z panną Hammond, Jeannette ponownie zwróciła się do Violet.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tu robisz? Dlaczego przyjechaliście? Zwłaszcza w twoim stanie.

Leciutka zmarszczka na twarzy Violet się wygładziła, kiedy oderwała wzrok od przyjaciółki. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Adrian ją uprzedził.

- Tak, jej stan jest sprawą delikatną - stwierdził z lekką naganą w głosie. - Dlatego właśnie próbowałem ją odwieść od tej podróży.

- Nie była taka długa, szczególnie, że płynęliśmy twoim jachtem -

powiedziała Violet. - Wyjątkowy statek. Czulałam się, jakbyśmy podróżowali w unoszącej się na wodzie wiejskiej rezydencji.

- Pływająca wiejska rezydencja, w istocie - przyznał, wyginając wargi w lekkim uśmiechu. - A co z przejazdami powozem?

- Jest bardzo wygodny. Poza tym, nie miałam zamiaru pozwolić się zostawić, Kita ani Elizy też. Oboje tęsknili za odmianą. To była moja ostatnia szansa, żeby się gdzieś wybrać, za miesiąc pewnie nie będę już mogła chodzić i pozostanę w majątku wraz z twoją matką, dopóki nie zjawią się dzieci.

- Sądziłem, że lubisz moją matkę.

- Pokochałam twoją matkę, wiesz o tym. Przed połogiem jednak chciałam jeszcze przeżyć przygodę.

- Irlandia - oznajmiła Jeannette ponurym głosem - nie jest przygodą.

- Och, ależ jest - zaprotestowała Violet, zwracając się ponownie do Jeannette. - Jazda z Waterford tutaj była cudowna, roślinność jest taka zielona i bujna mimo pory roku. Zawsze lubiłam wieś tak, jak ty miasto.

Właśnie dlatego przybyliśmy.

- Co masz na myśli?

Violet uśmiechnęła się, ledwie powstrzymując podniecenie.

- Jakies dziesięć dni temu mama i papa złożyli mi wizytę. Odbyliśmy we trójkę długą rozmowę i w końcu zdołałam ich przekonać, jak ci przykro z powodu zamieszania, jakiego byłaś przyczyną...

Z miejsca, gdzie stał Kit, dobiegło głośne, pogardliwe parsknięcie.

Violet rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale odpowiedział na nie jedynie wzruszeniem ramion. Najwyraźniej nie czuł się winny.

- Wyjaśniłam, że wstyd nam z powodu naszego zachowania.

Chociaż nie mogę twierdzić, że bardzo tego żałuję, zważywszy efekt końcowy.

Ujęła dłoń Adriana, ściskając ją lekko i wymieniając z nim długie, czułe, wiele mówiące spojrzenie.

Podjęła opowiadanie.

- Wiem, że nie pozwoliłaś mi na to, ale pokazałam rodzicom kilka twoich listów, żeby im dowieść, jakie spokojne życie teraz prowadzisz i jak bardzo czujesz się winna. Niewiele musiałam dodać, żeby złagodnieli w stosunku do ciebie.

Jeannette złożyła dłonie na piersi, poczuła przyływ nadziei.

- Tak? I co?

- I przyjechałam... przyjechaliśmy, przywożąc wspaniałe nowiny.

Rodzice ci wybaczyli i możesz wrócić do domu. Zabieramy cię z powrotem do Anglii!

Jeannette ogarnęła falą szczęścia. Klaszcząc w dłonie, zaczęła tańczyć na dywanie, nie przejmując się, czy zachowuje się jak dama.

Podbiegła do siostry i objęła Violet w serdecznym uścisku, przyciągając ją mocno do siebie.

- Dość więzienia? Dość wygnania? Dość Irlandii?

- Cóż - odparła Violet - nie nazwałabym tego ślicznego domu więzieniem, ale tak, możesz stąd wyjechać.

Wypuściła Violet z objąć.

- Hurra! Hurra! Hurra! Och, jesteś najukochańszą, najśłodszą, najcudowniejszą siostrą, jaką można mieć. Cofam każde słowo, jakie powiedziałam o tobie pod wpływem złości i przyrzekam, że nigdy już nic złego nie będę o tobie myśleć.

Violet się roześmiała.

- Trzymam cię za słowo. Do następnego razu, kiedy znajdę się na twojej czarnej liście.

Jeannette machnęła ręką.

- Nigdy już tam nie trafisz. - Puściła się ponownie w szaleńcze tany. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Dom, śpiewała w duszy. Wracam do domu. Jadę do Anglii, do cywilizacji, gdzie wszystko znowu będzie tak, jak powinno. Znowu zobaczę przyjaciół i odzyskam należne mi miejsce arbitra mody. Och, te wszystkie przyjęcia, wieczorki, zabawy, w których wezmę udział. Kilka wizyt na wsi, być może, zimą, a potem do Londynu na rozpoczęcie sezonu na wiosnę. Sama myśl o tym wywołała przyjemne dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Nie mogła się już doczekać podróży, wyobrażając sobie triumfalny powrót na łono socjety.

- A więc ustalone - odezwał się Kit. - Czy nie sądzicie, że ktoś mógłby zadzwonić po podwieczorek? Jeśli o mnie chodzi, umieram z głodu.

- Lekki posiłek zostanie podany za godzinę. - Nadal pełna szczęścia, Jeannette zarzuciła siostrę nowymi pytaniami. - Co mama powiedziała? Czy wydaje się niecierpliwie czekać na mój powrót? A co z Londynem? Czy wspominała o podróży do Londynu?

Violet uśmiechnęła się i zaczęła odpowiadać.

- Ale ja jestem głodny - poskarżył się Kit po chwili.

Jeannette rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Zatem posiłek sprawi ci tym większą przyjemność. Podwieczorek tylko zepsuje ci apetyt.

- Mojego apetytu nic nie zepsuje. Jajka na szynce, które zjadłem rano, są już tylko miłym wspomnieniem. Nie musisz się martwić, bez trudu poradzę sobie z dwoma posiłkami.

Violet włączyła się do dyskusji.

- Otóż ja także nie miałabym nic przeciwko jakiejś przekąsce. - Po-

łożyła rękę na brzuchu. - Wydaje się, że cierpię na tę samą dolegliwość, co Kit, i jestem wiecznie głodna. Cięża budzi we mnie różne zachcianki.

Omam nie doprowadziłam kucharza w Winterlea do szaleństwa swoimi żądaniami. Ostatnio odkryłam

u siebie niepokojącą skłonność do puddingu ze świeżych fig i do marynowanych buraków.

- Jedzonych razem, jeśli dacie wiarę - wtrącił Kit, wykrzywiając się komicznie.

- Są pyszne - broniła się Violet. - I nigdy nie mam dość karczochów gotowanych na parze, a także cytryn i bananów. Wszystko to jest przeraźliwie drogie i trudne do zdobycia o tej porze roku. Biedny Francois. I biedny, kochany Adrian, którego budzą o najróżniejszych porach nocy.

- Nic nie szkodzi, moja droga - powiedział Adrian. - Nie przeszkadza mi to ani trochę.

- Ale ja tak przytyłam — skarżyła się Violet.

- Po prostu ciebie więcej do kochania, moja miła. O ile pamiętam, powiedziałem ci kiedyś, że trochę więcej ciała nie przeszkadzałoby mi w najmniejszym stopniu. - Adrian otoczył ramieniem plecy Violet, przyciągając ją do swojego boku.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

Przez jedną, niepokojącą chwilę, Jeannette bała się, że Violet i Adrian obejmą się namiętnie i zaczną całować przy wszystkich. Para jednak się ocknęła i niechętnie się odsunęli od siebie.

Adrian odchrząknął.

- Jeśli mamy zjeść podwieczorek, powinnaś usiąść. Jeśli będziesz długo stała, spuchną ci kostki.

- Nigdy nie martwiłeś się opuchniętymi kostkami swojej siostry, Sylwii - zauważyła Violet.

- To dlatego, że nie ożeniłem się z Sylwią. Poza tym jej kostki nie są nawet w przybliżeniu tak śliczne, jak twoje.

Ująwszy ją pod łokieć, zaprowadził Violet z powrotem do kanapy.

Kit, najwyraźniej zadowolony, skrzyżował ramiona na piersi.

- A więc? Ty zadzwonisz, czy ja mam to zrobić?

- Kiedy rozmawialiście, pozwoliłam sobie wydać dyspozycje -

odezwała się cichym głosem Eliza Hammond. Zerknęła na Jeannette. -

Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, lady Jeannette?

Jeannette zamrugała oczami ze zdziwienia, patrząc na dziewczynę, o której zwyczajnie zapomniała. Nie widziała, kiedy Eliza podniosła się z krzesła i przeszła na drugą stronę pokoju. Nie sądziła też, żeby ktoś inny zwrócił na nią uwagę. Wziąwszy pod uwagę jej nieśmiałość, takie samodzielne poczynania ze strony Elizy budziły raczej zdumienie.

- Oczywiście, że nie.

Kit uśmiechnął się szeroko i wdzięcznie do przyjaciółki Violet.

- Bardzo dziękuję, panno Hammond. - Dramatycznym gestem położył dłoń na piersi i skłonił się lekko. - Gdyby nie pani, z pewnością wkrótce omdlałbym z głodu. Jestem pani nieustająco i dozgonnie wdzięczny.

Ciemny rumieniec zabarwił policzki Elizy, od czego jej skóra nabrała blasku. Na ustach pojawił się drżący uśmiech. W tej chwili wydawała się ładna. Jej oczy lśniły w sposób, jakiego Jeannette przedtem nie widziała.

- Bardzo proszę, milordzie - odparła Eliza niemal szeptem. Ale uwaga Kita skierowała się już gdzie indziej. Zainteresował się rozmową brata i Violet.

Eliza spuściła wzrok, jej policzki pobrały, jakby śnieg zmył ów ładny rumieniec.

A więc to w trawie piszczy, zastanawiała się Jeannette. Biedna panna Hammond. Zakochana w młodzieńcu, który ledwie zdawał sobie sprawę z jej istnienia. Który przywykł do tego, że przyciąga spojrzenia najpiękniejszych, najwdzięczniejszych panien na wydaniu z towarzystwa. W człowieku, który zawsze będzie ją postrzegać jako nieśmiałą, nieporadną, zagłębioną w książkach przyjaciółkę szwagierki.

W sercu Jeannette zagościło niespodziewanie współczucie i po raz pierwszy zasmuciło ją prawdziwie nieszczęście dziewczyny.

Ach, miłość, co za okrutne uczucie.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła jedna z pokojówek.

Dziewczyna dygnęła, pochylając głowę. Oczy rozszerzyły jej się na widok tak świetnego towarzystwa. Zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy jej wzrok padł na Violet. Z otwartymi ustami patrzyła to na Jeannette, to na jej siostrę bliźniaczkę. Potem utkwiała spojrzenie w Jeannette.

- Czy milady czegoś potrzebuje?

- Tak. Poproś kucharza o przysłanie podwieczorku tak szybko, jak to możliwe. Powiedz także gospodyni, że potrzeba więcej pokoi.

Przyjechała moja siostra z mężem. Zamieszkają u nas.

- Tak jest, milady, ale prawie wszystkie pokoje przeznaczono dla innych gości.

- Trzeba po prostu coś znaleźć. Pani Ivory z całą pewnością będzie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji. A teraz podwieczorek, Janey, bardzo proszę.

Pokojówka skłoniła się ponownie i pośpiesznie opuściła salon.



- O co chodzi z tymi gośćmi? - zapytała Violet. Jeannette odwróciła się w jej stronę.
- Nasi kuzyni urządzą dzisiaj bal. Tak się podekscytowałam, że niemal mi to umknęło z pamięci.
- Nasi kuzyni wyprawiają bal? A ja myślałam, że usychasz z samotności i nudy w tej głuszy.
- Tak było i tak jest - broniła się Jeannette. - Dzisiaj będę bawić się po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam.
- Cała ty, Jeannette - powiedział Adrian. - Żeby urządzić przyjęcie w cudzym domu, podczas gdy rzekomo przebywasz na wygnaniu.
- Ależ to jest wygnanie i to okropne.

Przy drzwiach rozległ się lekki hałas. Jeannette odwróciła głowę i ujrzała kuzynkę Wildę. Zauważyła urażoną minę starszej kobiety i zadrżała.

O mój Boże.

- Kuzynko! — zawołała z ożywieniem, żeby zatuszować niezręczną sytuację. - Popatrz tylko, kto przyjechał. Wejdz, proszę, i pozwól, że ci ich przedstawię. - Pośpieszywszy ku niej, ujęła Wildę pod ramię, zniżając głos do szeptu. - I wybacz, proszę, moją bezmyślną uwagę sprzed chwili. Wiesz z pewnością, że nie chodziło mi o ciebie ani o kuzyna Cuthberta. Jesteście oboje cudowni i tak dobrze było mi tutaj z wami obojgiem.
- Ale nie jesteśmy młodzi i interesujący, prawda?

Jeannette nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, żeby nie pogarszać sprawy.

Wilda poklepała ją po ręce.

- Rozumiem, moja droga. Nie martw się tym. Przedstaw mnie teraz swoim przyjaciołom.
- Oczywiście, ale to nie są moi przyjaciele, tylko rodzina.

Zachwycona, że tak łatwo jej wybaczone, poprowadziła Wildę i zaczęła przedstawiać gości. Przybyli witali się z nią serdecznie i starsza kobieta rychło poczuła się swobodniej.

- Wybaczcie, że nie zjawiłam się wcześniej, żeby was przywitać -

powiedziała Wilda, chowając dłonie w fałdach spódnicy. - Nie spodziewaliśmy się nikogo przed popołudniem.

- Proszę się nie martwić - odparł Adrian. - Wina leży po naszej stronie, gdyż nie zawiadomiliśmy pani wcześniej o naszym przyjeździe.

Ale, jak powiedziała Jeannette, jesteśmy rodziną. Nie ma potrzeby trzymać się sztywno formalności.

Wilda wyraźnie się odprężyła. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zaiste, wasza wysokość.

- Adrian, proszę. Albo Raeburn, jeśli tak wolisz, kuzynko.

- Dziękuję, wasza... Adrianie. - Wydała z siebie zdumiewająco dziewczęcy chichot, zakrywając usta dłonią. - A ty nazywaj mnie Wildą.

- Z przyjemnością.

Wilda znieruchomiała i objęła ożywionym spojrzeniem grupę gości, tak jakby właśnie przysła jej do głowy wspaniała myśl.

- Czy któreś z was nie miałyby ochoty na partyjkę wista?

Ach, co za zabawa. - Jeannette opadła na krzesło obok siostry i Elizy. - Bogu dzięki za przerwę między tańcami. Muszę chwilę odpocząć.

Rozłożyła wachlarz, żeby ochłodzić rozgrzane policzki. Był tak dobrany, żeby pasował do sukni balowej z białego jedwabiu z mu-

ślinową wierzchnią spódnicą, wyszywaną koralikami i ozdobioną koronką z Brugii. Białe jedwabne pantofelki, długie białe rękawiczki i pojedynczy, ale elegancki sznur pereł dopełniały stroju.

- Wieczór jest wspaniały, zgadzacie się ze mną? - zapytała.

- Istotnie wspaniały. Przeszłaś samą siebie, jak zwykle - stwierdziła Violet, podnosząc szklanę ponczu do ust.

Jeannette uśmiechnęła się, zadowolona z pochwały. Cieszyła się także, widząc siostrę w modnej sukni - ślicznym stroju z szafirowego jedwabiu, którego krój sprawiał, że figura Violet wyglądała bardzo ładnie.

Widocznie to, że na parę miesięcy zamieniły się miejscami w zeszłym roku, okazało się pod różnymi względami korzystne. Wpłynęło, na przykład, na styl ubierania się siostry. Latami namawiała Violet, żeby bardziej interesowała się strojami. Najpierw ich oszustwo, a teraz pragnienie, żeby błyszczeć u boku męża, musiały ostatecznie przekonać Violet o potrzebie nadażania za modą.

Gdyby jeszcze siostra mogła sprawić, żeby podobny cud odmienił

Elizę. Młoda kobieta wyglądała zupełnie bezbarwnie w ponurej sukni z tafty. A jeśli jej kolor nie był dość odstręczający, to falbana na dole robiła z niej coś okropnego. Może krawcowa panny Hammond była niewidoma, zastanawiała się Jeannette. Jak inaczej można by wytłumaczyć niewybaczalną brzydotę stroju?

Nic dziwnego, że mężczyźni trzymali się od niej z daleka. Jak dotąd jedynie Adrian i Kit ulitowali się nad Elizą, prosząc ją do tańca na początku balu. Jednak te wysiłki nie skłoniły innych dżentelmenów do pójścia w ich ślady. Wydaje się, że nawet prowincjusze nie mieli ochoty zbliżyć się do nieśmiałej i niemodnie ubranej Elizy Hammond.

Panna Hammond miała przynajmniej Violet. Towarzystwo nigdy się nad nikim nie litowało, większość jego członków odwróciła się już dawno od dziewczyny, ale Violet nigdy nie pozwoliła, by inni wybierali jej przyjaciół. Może decyzje Violet nie były najmądrzejsze, ale Jeannette nie mogła nie podziwiać jej za lojalność. Violet była najlepszym, najwierniejszym przyjacielem - serdecznym, troskliwym i szlachetnym do przesady.

Jeannette spuściła wzrok na wypukły brzuch siostry, świadectwo zbliżającego się macierzyństwa. Będzie z niej cudowna matka, pomyślała. Dzieci Violet, czy to chłopcy, czy dziewczynki, mają prawdziwe szczęście.

- Jak się czujesz? - zapytała.

Violet uniosła brwi, jakby lekko zdziwiona, ale ucieszona pytaniem. Kładąc dłoń na brzuchu, uśmiechnęła się łagodnie.

- Doskonale. Dzieci chyba zdają sobie sprawę, że to szczególny wieczór, i zachowują się bardzo dobrze. Kopnęły tylko raz, jak dotąd.

Muszę wyznać, że odwykłam od przyjęć. W Winterlea w tej chwili kładłabym się do łóżka. Na szczęście drzemka po naszym wspólnym posiłku bardzo mnie odświeżyła. Jeśli dotrwam do kolacji, będzie dobrze. O północy, powiadasz?

Jeannette skinęła głową.

- Podamy między innymi paszteciki z homara i krewetki.

- Och, uwielbiam krewetki - szepnęła Eliza, siedząca naprzeciwko Violet. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że powiedziała to na głos.

Wbiła oczy w podłogę.

Jeannette odczekała chwilę na wypadek, gdyby Eliza chciała jeszcze coś dodać, po czym zmieniła temat.

- A więc, kiedy wracamy do Londynu? Przypuszczam, że jutro to stanowczo za wcześnie.

- Raczej tak - powiedziała Violet z nutką ironii. - Powinniśmy zostać przynajmniej parę dni. Co do mnie, chciałabym lepiej poznać naszych przemiłych kuzynów. Myślę także, że skoro już tu jestem, mogłabym odwiedzić parę miejsc w okolicy. Podobno w Jerpoint Abbey, tylko o parę kilometrów stąd, są ciekawe ruiny klasztoru cystersów.

Niedaleko jest również dolmen Browne's Hill. - Klasnęła w dłonie, podniecona tematem. - Nie mieliśmy czasu na zwiedzanie, ale to było interesujące, znaleźć się w Waterford, gdzie Strongbow, pierwszy normański król Irlandii, wyprowadził swoich ludzi na ląd i podbił kraj w 1169 roku. - Po - stuknęła palcem w rękawiczkę w dolną wargę. - A może to było w 1170?

- Chyba w 1170 - odezwała się Eliza. - Pamiętam, jak czytałam o tym w przewodniku. Chociaż sądzę, że wyszli na ląd w Bannow Bay.

Podczas gdy Violet i Eliza pograżyły się w dyskusji na temat historii Irlandii, myśli Jeannette skierowały się niespodziewanie ku O'Brienowi. Jak by się zachował, słuchając tej dyskusji? Jednego była pewna. Nie mówiłby tak obojętnie o najeździe na Irlandię i jej podboju, niezależnie od tego, że owe wydarzenia miały miejsce sześć wieków wcześniej.

- Gdziekolwiek i kiedykolwiek Normanowie wylądowali - powiedziała Jeannette - nie wyobrażam sobie, żeby się to spodobało mieszkańcom Irlandii.

Violet i Eliza zamilkły, zwracając na nią zdumione oczy.

Jeannette odwzajemniła te spojrzenia, niemal tak samo zaskoczona swoją uwagą. Nigdy w życiu nie zdarzyło jej się zrobić tak filozoficznej uwagi. W każdym razie nie głośno i z pewnością nie publicznie.

Najwyraźniej pobyt w Irlandii i towarzystwo Irlandczyków, takich jak O'Brien, wywierało na nią negatywny wpływ. W Londynie nie zwracałaby sobie głowy słuchaniem podobnych wywodów, a co dopiero ich komentowaniem.

Dobrze się składa, że wkrótce wraca do domu.

U nasady nosa Violet zarysowała się mała zmarszczka, kiedy odpowiadała na uwagę Jeannette.

- Przypuszczam, że masz rację. Zwłaszcza wobec brutalnego podboju miasta i okolicy. Żeby wzmocnić swoją władzę, Strongbow ożenił się z córką jednego ze starych irlandzkich królów. Pozostał z nią i ich potomstwem, nauczył się nawet języka celtyckiego. Nikt zatem nie może twierdzić, że źle traktował miejscowych. W przeciwieństwie do takich ludzi, jak później Oliver Cromwell.

Zdając sobie sprawę, że już okazała nadmierne zainteresowanie tematem, Jeannette pośpiesznie przybrała swoją ulubioną, obojętną minę. Nie było wskazane, żeby ktokolwiek, nawet jej siostra, zaczął

podejrzewać, że zamieniła się w intelektualistkę.

- Dostyc, błagam, albo mój nieszczęsny mózg się zagotuje. Przypuszczam, że nie możesz się od tego powstrzymać, bo przywykłaś raczyć Raeburna podobnymi opowieściami i ciągnąć go z jednego pokrytego pleśnią miejsca w drugie.

- Adrian lubi takie rozmowy oraz zwiedzanie ruin i innych miejsc, związanych z historią. To człowiek o różnorodnych zainteresowaniach.

Teraz właśnie, w pracowni kuzyna Cuthberta, słucha wykładu o egzotycznej florze, wygłaszanego przez członków Królewskiego Towarzystwa Botanicznego. Ma nadzieję przekonać kuzyna, żeby podarował mu kilka sadzonek do naszej cieplarni.

- Dlaczego tego nie słuchasz? Takie nudziarstwo wydaje się być dokładnie w twoim guście - zażartowała Jeannette.

- Przyłączyłabym się do nich, ale wykład jest przeznaczony wyłącznie dla panów. Zamierzałam zaprotestować, ale wiem, że będą palić cygara, a dym powoduje, że przewraca mi się w żołądku.

- Violet pomasaowała wystający brzuch, jakby poczuła mdłości na samą myśl o tym. - Adrian wszystko mi przekaże.

- To bardzo ładnie z jego strony. - Są tacy nudni, pomyślała Jeannette.

- Kuzynka Wilda zaprosiła Elizę i mnie na karty w nowym pokoju do gry. Odmówiłam, bojąc się, że nie będę mogła usiąść dość blisko stołu, żeby grać. - Violet uśmiechnęła się z politowaniem dla samej siebie. - Nie z moim brzuchem. Próbowałam namówić Elizę, żeby tam poszła, zanim zeszedł z parkietu.

- Och, nie mogę cię zostawić samej - zaprotestowała Eliza.

- Nie możesz tańczyć i nie byłoby właściwe cię opuścić.

- Nie opuściłabyś mnie - zapewniła Violet. - Naprawdę, dobrze mi będzie tutaj, na krześle. Posłucham muzyki i będę się przyglądać tańczącym.

- Raeburn z pewnością nie byłby zadowolony, gdybym cię zostawiła. ..

Jeannette rozglądała się po sali, słuchając rozmowy jednym uchem.

Grupki gości stały w ładnie udekorowanej sali, gawędząc, plotkując i flirtując. Popijali szampana z eleganckich kryształowych kieliszków albo poncz z delikatnych porcelanowych filiżanek. Część zaproszonych spacerowała leniwie wzdłuż ścian, niektórzy wychodzili do ogrodu mimo wieczornego chłodu. Przed chwilą widziała Kita Wintera oraz zgrabną rudowłosą dziewczynę, zmierzających w tym kierunku.

Jej uwagę zwróciło poruszenie przy głównych drzwiach do sali balowej. Ze ściągniętymi brwiami przyglądała się postaci, która właśnie weszła.

Ciemnowłosa, wysoki, pewny siebie mężczyzna rozglądał się po sali. Ubrany był w świetnie skrojony kubrak, czarne spodnie z naj-przedniejszego sukna, śnieżnobiałą koszulę i równie nieskazitelną kamizelkę Marcella. Biały halsztuk zawiązał pod szyją z matematyczną precyzją, która zadowoliłaby nawet największych znawców dobrego smaku z londyńskiego towarzystwa. Białe pończochy okrywały silne, męskie łydki; na stopach miał czarne lśniące pantofle.

Kto to taki? - zastanawiała się. Nie pamiętała jego nazwiska, a przecież sporządziła listę gości. Mężczyzna zjawił się późno i nie został

przedstawiony na początku balu. Czyżby to jeden z londyńskich przyjaciół kuzyna? Chyba nie. Wszyscy ci panowie przyjechali wcześniej i z pewnością żaden z uczonych mężów nie mógł się pochwalić tak świetnym gustem.

A zatem kto to był?

Jej serce zabiło żywiej z podniecenia, kiedy wkroczył na salę.

Odwrócił głowę. Zaparło jej dech w piersiach na widok niezwyklej, intensywnej barwy jego oczu.

Ciemnoniebieskiej. W takim odcieniu, jaki spotkała przedtem tylko raz. U jednego szczególnego Irlandczyka.

Zbladła i zaraz potem zarumieniła się gwałtownie. Dobrze, że siedziała na krześle. Była wstrząśnięta, gdy dotarła do niej prawda.

Nie, to niemożliwe! Ten dżentelmen nie mógł być Darraghiem O'Brienem!

A jednak, z każdym jego krokiem nabierała coraz większej pewności, że to O'Brien - od starannie uczesanych kasztanowych włosów po podeszwy kosztownych butów.

A skąd on wziął te buty? Nie mówiąc o ubraniu? Każdy z gości mógł wziąć go za dżentelmena. Ona jednak wiedziała, jak jest naprawdę.

Zacisnęła wargi. Nie widziała go od tygodni, nie zamieniła z nim słowa jeszcze dłużej. A jednak był tam. Wdarł się nieproszony na bal u jej kuzynów. Na jej bal, w gruncie rzeczy, czego z pewnością był świadomy.

Co on tu robił? I dlaczego przybył? Uraza i żal, jakie poczuła, gdy ją zignorował, wróciły z całą siłą.

- Cóż, bez względu na to, czego chce, będzie musiał się bez tego obejść - mruknęła.

- Kto się będzie musiał obejść? - zapytała siostra. — O kim mówisz?

- Co? - Jeannette zamrugła i stwierdziła, że Violet i Eliza przyglądają jej się ciekawie. - O nikim, o niczym. Ja... To nie ma znaczenia. - Szukała rozpaczliwie jakiejś wymówki. - Ja... właśnie sobie przypomniałam, że muszę coś sprawdzić przed kolacją. Tańce zaraz znowu się zaczną, lepiej nie zwlekać.

Z tymi słowami wstała. Nie tracąc Darragha O'Briena z oczu, szła w jego stronę. Miała nadzieję dotrzeć do niego, zanim zacznie witać się z innymi gośćmi. W chwilę później jej nadzieje zgasły - wdał się w rozmowę z jakąś parą. Z Gordonami, o ile się nie myliła, kuzynami samego wicehrabiego Gordona. Przyspieszyła kroku, zdecydowana odciągnąć go od dostojnych osobistości, zanim wyrządzi jakąś trwałą szkodę.

Zmusiła się, żeby iść wolniej. Kiedy już znalazła się koło nich, ledwie się powstrzymała, żeby nie chwycić O'Briena za ramię i brutalnie odciągnąć go na bok. Zamiast tego przywitała się z nim i z Gordonami, przykleiwszy do warg uprzejmy uśmiech.

O'Brien odwrócił się i zgrabnie uklonił. Spojrzał na nią. W jego oczach lśniły wesołe iskierki, choć twarz miała wyraz zdawkowej, chłodnej uprzejmości.

- Jak znajdujecie państwo bal? - zwróciła się do Gordonów. -

Tworzyliście państwo wspaniałą parę na parkiecie.

- Dziękuję, lady Jeannette - powiedział pan Gordon. - W istocie, bawimy się doskonale. Moja żona i ja zawsze korzystamy z okazji, żeby potańczyć i się bawić, zwłaszcza przy tak utalentowanych muzykach, jak ci, którzy nam dzisiaj grają.

Jeannette skłoniła głowę.

- Przyjechali aż z Dublina.

Rozmawiali o muzyce przez dłuższą chwilę, po czym przeszli do pogody, zauważając, że noce stały się ostatnio chłodne i wietrzne. Pani Gordon zaczęła opowiadać o tym, jak jeden z jej synów zmókł na dworze i nabawił się okropnego bólu głowy. Jeannette bała się, że dama nigdy nie skończy.

O'Brien odzywał się niewiele, robiąc tylko od czasu do czasu jakąś uwagę.

W końcu uprzejmość kazała im porozmawiać z innymi. Jeannette dygnęła i wykorzystała okazję, żeby odciągnąć O'Briena na bok pod pretekstem, że odprowadzi ją do stołu z napojami po filiżankę ponczu.

- Co pana tu sprowadza dziś wieczorem? - zapytała, jak tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Zebrała siły, starając się nie zwracać uwagi na cudowny zapach, który lekko drażnił jej zmysły. Zapach, jak sobie uświadomiła, nie wody kolońskiej, ale mężczyzny.

Tylko mężczyzny.

Zła była na siebie za te niechciane uczucia.

- Zabawa, oczywiście. - Skinął głową w kierunku sali, pełnej gości.

- Urządziliście świetne przyjęcie.

- Dziękuję. Jakkolwiek muszę przyznać, że jestem lekko zaskoczona pana obecnością. Być może nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale bal jest tylko dla zaproszonych gości.

Kącik jego ust podniósł się w górę.

- A kto powiedział, że nie zostałem zaproszony?

- Ja, ponieważ sama przygotowałam listę gości. Znam każde nazwisko i pańskiego tam nie było.

- Oczywiście przeoczenie. Twój kuzyn zaprosił mnie parę dni temu.

Czy Merriweather nic ci o tym nie wspominał?

Zmarszczyła brwi, powstrzymując się od przewrócenia oczami.

Jakie to podobne do kuzyna Cuthberta, rozdawać zaproszenia komu popadnie, w tym ni mniej, ni więcej, tylko architektowi.

- Owszem, zapomniał mi o tym powiedzieć. Dziwię się, widząc pana tutaj, ponieważ sądziłam, że wyjechał pan, zakończywszy pracę.



- Byłem gotów do podróży, ale zmieniłem zdanie. W końcu, jakże mógłbym wyjechać, nie pożegnawszy się z tobą?

Obruszyła się na tę uwagę.

- Całkiem zwyczajnie, jak mi się wydaje. Pan i ja od miesiący nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

To, pomyślała, powinno uświadomić mu jego miejsce. Jego oczy, niebieskie jak drogie kamienie, zaśniły.

- Tęskniłaś za mną, czy tak? Serce zabiło jej gwałtownie.

- Nie, ani trochę - zaprzeczyła pośpiesznie. - Cóż, byłam tak zajęta, że ledwie zauważyłam pana nieobecność.

- Ach! - Uśmiechnął się.

Nie dbała o jego uśmiech, choćby najbardziej urzekający. Ani też o tajemnicze westchnienie, jakie wydał.

- Właśnie tak - ciągnęła. - Przygotowania do dzisiejszego balu zajmowały mnie od świtu do nocy, więc nie miałam czasu na nic innego, nawet na malowanie.

- Przykro mi słyszeć, że zaniedbałaś swoją sztukę. Przystanęła, ciekawa, czy wspomni o jej ostatnim, niesławnym dziele - jego portrecie.

Nie powiedział jednak ani słowa, tylko w jego pięknych oczach pojawił się błysk. Szatan.

- Cóż, tak - powiedziała, zerkając na tańczące pary. - Teraz, kiedy zobaczył pan bal, pewnie będzie pan chciał odejść.

- Odejść? Ależ dopiero co przyszedłem.

- No właśnie. Jestem pewna, że zaraz się pan znudzi.

- To niemożliwe, nie przy tym tłumie.

- Ależ tak. Niech pan przyzna uczciwie, panie O'Brien, że nie jest to wydarzenie, w którym często zdarza się panu brać udział.

Jego spojrzenie stwardniało.

- Masz na myśli bale, dziewczyno? - powiedział z silniejszym niż przedtem miejscowym akcentem. - Twoje przyjęcie to nie *ceili*, ale na razie może być.

- Co to jest *ceili*? - zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

- Irlandzka zabawa z tańcami, pić i wszelkimi atrakcjami. Taka jak ta, tylko żywsza. No, przynajmniej nie możesz powiedzieć, że się nieodpowiednio ubrałem na twoje przyjęcie.

Przesunęła wzrokiem po jego szykownym stroju.

- Hm... skąd pan wziął to ubranie?

- Od krawca, ostatnim razem, kiedy bawiłem w Londynie.

- Był pan w Londynie?

- Tak. My architekci wędrujemy to tu, to tam. Podróżowałem do wielu najwspanialszych miast świata.

- Naprawdę? Których? - zapytała zaciekawiona.

- Byłem na przykład w Paryżu, zaraz potem, jak Bonaparte poniósł

kłękę pod Waterloo. Odwiedziłem także Brukselę, Wiedeń i Genewę, nie wspominając o paru innych miastach.

- A co z Rzymem? Był pan w Rzymie?

- Tak. Raz czy dwa. A ty? Gdzie podróżowałaś?

- Po Włoszech. Zwiedziłam ten kraj dość gruntownie w zeszłym roku, z ciotką. Obejrzałyśmy Rzym, a potem pojechałyśmy do Wenecji, Florencji i Neapolu.

- A Grecja? To wspaniały kraj. Nikt nie może powiedzieć, że żył

pełnią życia, jeśli nie widział Partenonu o zachodzie słońca. Albo nie stał

u stóp Akropolu w popołudniowym upale, kiedy powietrze jest tak gorące, że widać, jak się rusza. Do tego uzo: wódka kminkowa, i oliwki.

To cudowny odpoczynek, kiedy siedzisz w cieniu, popijając i jedząc, ile masz ochotę.

Na krótką chwilę Jeannette przeniosła się w wyobraźni do Grecji i oto była tam, wygrzewając się w ciepłe południe i czując na języku słonawy smak oliwek. O'Brien też tam był, namawiając ją kpiąco, żeby spróbowała przejrzystego płynu, o którym słyszała, że natychmiast uderza do głowy.

Ich oczy się spotkały. Poczuli się tak, jakby przesunął palcem po jej skórze. Zesztywniała, przytomniejąc nagle. Nie pozwoli mu się opętać, już nie.

- Nie - odparła. - Nie byłam w Grecji, ani w innych miejscach, o których pan wspominał.

Uśmiechnął się łobuzersko.

- Cóż, nie czynię ci z tego zarzutu, dziewczyno. I nie musisz się martwić, że dziś wieczór będę się nudzić. Zwykle pasuję wszędzie, gdzie się pojawię. Faktem jest... - Słowa zamarły mu na ustach, kiedy rozejrzał

się po sali. - Czy wiesz, że jest tu kobieta, która wygląda zupełnie jak ty?

Przyjmując, że włożyłabyś okulary, no i spodziewałabyś się dziecka.

Zerknęła przez salę ku Violet.

- Oczywiście. To moja siostra bliźniaczka.

- Bliźniaczka? Wielki Boże. Zaiste zadziwiające, że Bóg stworzył

dwie tak cudowne istoty, jak wy.

Pokazał zęby w zniewalającym uśmiechu. Usiłował ją zauroczyć, co odczuła, jakby objął ją ramionami. Przez moment miała wrażenie, że poddaje się niewidzialnemu uściskowi.

Otrząsnęła się natychmiast. Nic z tego, pomyślała. Nie, nic z tego.

Miała mu okazać zniecierpliwienie, a nie topić się w ciepłe jego uśmiechu i zgrabnych słówek.

Było tylko jedno wyjście.

Darragh O'Brien musi wyjść z tej sali.

- Moja siostra jest księżną. - Ach tak?

- Co chyba wystarczy za wyjaśnienie, dlaczego powinien pan czuć się lepiej w innym towarzystwie. Łatwo zauważyć, że pan i inni goście należycie do różnych kręgów towarzyskich.

Złożył ramiona na piersi.

- Czyżby?

Poruszyła się niespokojnie, zmieszana rozbawieniem i ironią w jego wzroku. Nie zważając na to, brnęła dalej.

- Próbuję mówić otwarcie. Kuzyn Cuthbert ma dobre intencje, ale nie powinien był pana zapraszać. Nasi goście należą do towarzystwa, nawet jeśli w większości mieszkają na wsi.

Jego oczy stały się zimne jak lód.

- Nie zapominaj dodać „irlandzkiego”.

- Słucham?

- Mieszkają w Irlandii, na wsi. A może zapomniałaś, w jakim kraju się znajdujesz? Ciekaw jestem, jak czułaby się reszta twoich gości, gdyby wiedziała, co o nich naprawdę myślisz. Ze uważasz ich za stado prowincjuszy.

- Nigdy nie powiedziałam...

- Nie musiałaś, ton głosu wystarczył. Możesz być damą, lady Jeannette, ale jesteś także zwykłą snobką. Twoje maniery mogą być odpowiednie w Londynie, ale nie tutaj. Nawet jeśli, twoim zdaniem, tu nie pasuję, wiem o tych ludziach dużo więcej niż ty. A teraz pójdę poprosić którąś z młodych dam do tańca. Spodziewam się, że nie poczyna tego za obrazę.

Sklonił się sztywno i odszedł.

Na Boga, wszystko się potoczyło zupełnie nie tak, jak powinno.

Nie tylko go obraziła i rozgniewała, ale O'Brien wcale nie zamierzał

opuścić balu. Pomimo brutalnej szczerości jej słów, miała przecież rację.

Był architektem i przedstawicielem klasy średniej. A w jej świecie pochodzący z klasy średniej architekci nie obcowali z lordami i damami, księżętami i księżnymi.

I wcale nie była snobką, nie bardziej niż każda inna dama. Jak śmiał ją o to oskarżyć?! To, że wywodzi się z dobrej rodziny i obraca w elitarnych kręgach, nie czyni z niej snobki. Inaczej, w ogóle nie przygotowałyby dzisiejszego balu. Według standardów londyńskiego bon ton, ledwie garstka dzisiejszych gości stanowiła odpowiednie dla niej towarzystwo. Gdyby chciała się trzymać tych kryteriów, nawet obiad nie wchodziłby w rachubę.

Wciągnęła powietrze, drząc lekko i zmuszając napięte mięśnie pomiędzy łopatkami, żeby się rozluźniły. Rozłożyła wachlarz i ochłodziła nim zaczerwienioną twarz.

Muzycy zasiedli na miejscach i chwycili instrumenty. Po paru próbnych dźwiękach dali znak gościom, że zagrają nowy taniec. Pary zaczęły się ochoczo ustawiać na parkiecie.

Sporo starszy od niej mężczyzna o piaskowych włosach, wdowiec, którego imienia nie pamiętała, zjawił się, gdyż wcześniej obiecała mu taniec. Ukłonił się i podał jej ramię. Położyła dłoń na jego rękawie, jak tego wymagały dobre maniery, pozwalając, aby zaprowadził ją na parkiet.

Dwa szeregi tancerzy stały w gotowości - mężczyźni z jednej strony, kobiety z drugiej. Rozległa się muzyka. Jeannette знаła kroki na pamięć. Co jakiś czas wymieniała zdawkowe uwagi z partnerem, podczas gdy figury tańca to zbliżały ich do siebie, to oddalały. Myślami była jednak gdzie indziej. Przyglądała się wysokiej postaci Darragha O'Briena, który tańczył zaledwie parę kroków dalej.

Starła się nie zwracać na niego uwagi, ale czuła, jak jej spojrzenie raz po raz wędruje w jego stronę. Tańczył pięknie, poruszając się z urzekającym wdziękiem i zręcznością. To nie było w

porządku.

Dlaczego nie był niezgrabiaszem, który mylił kroki i miażdżył butami palce swojej nieszczęsnej partnerki? Dziewczyna uśmiechała się, zachwycona.

Powinien wydawać się nie na miejscu, pomimo świetnego stroju.

Maniery winny zdradzać pochodzenie wiejskiego prostaka. Jednak jego manierom trudno byłoby cokolwiek zarzucić. Obcował z towarzystwem, jakby do niego należał. Bez żadnego starania zdominował salę, zaćmiewając wszystkich innych mężczyzn. A potem stanął przed nią, zakrywając wielką dłonią jej własną, kiedy kroki tańca zbliżyły ich do siebie. Na krótką chwilę czas uległ spowolnieniu. Ich spojrzenia się zderzyły. W całym ciele poczuła jakby przepływ prądu. Jej usta się rozwarły. Oddalił się znowu, tak jak tego wymagał taniec.

Opanowało ją drzenie, jakby zrobił dużo więcej, niż tylko dotknął

jej dłoni. Zagubiła rytm, ale jakoś udało jej się go odzyskać.

Jakoś dotrwała do końca utworu. Odczuła ogromną ulgę, kiedy muzyka wreszcie zamilkła. Partner sprowadził ją z parkietu, ale zamiast do Violet i Elizy, poprosił, żeby zaprowadził ją do bufetu. Pozbyszy się go w uprzejmy sposób, czekała, zastanawiając się, czy O'Brien do niej podejdzie. Może poprosi ją do następnego tańca, mimo słów, jakie między nimi padły.

Zamiast tego stał po drugiej stronie sali, rozmawiając z ciemnowłosą dziewczyną, z którą przedtem tańczył. Śmiał się, co Jeannette odczuwała niczym ukłucia gwoździ wzdłuż kręgosłupa. Dziewczyna chichotała i kiwała głową. W jej żywych zielonych oczach zapalały się iskierki.

Co takiego zabawnego jej opowiadał? Jeannette zgrzytała zębami, patrząc na nich. Obróciła się na pięcie, żeby nie mieć ich przed oczami.

Co ją obchodziło, że tańczy i rozmawia z inną młodą damą? Niech sobie flirtuje, ile mu się podoba. To nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Dosyć głupiej melancholii, postanowiła. To było jej przyjęcie i będzie się na nim bawić, choćby miała przy tym paść.

Podniosła głowę i zauważyła młodego człowieka - nie wiele starszego od niej - który zerkał na nią z drugiego końca sali. Uśmiechnął

się do niej, a ona, wbrew rozsądkowi, odwzajemniła uśmiech.

Zachęcony, poprawił ciemnobrązową kamizelkę i czarny kubrak, po czym ruszył w jej stronę, jak człowiek udający się na bitwę. Ukłonił

się, lok jasnych włosów opadł mu na czoło.

- Dobry wieczór, lady Jeannette. Neil Kirby. Spotkaliśmy się wcześniej, podczas powitania.

- Oczywiście, panie Kirby. Bardzo mi przyjemnie, po raz drugi tego wieczoru - odparła z uśmiechem.

Uśmiechnął się także, odsłaniając proste białe zęby.

- Zastanawiałem się, czy uczyniłaby mi pani ten zaszczyt i stanęła wraz ze mną do następnego tańca?

Następny taniec był ostatnim przed kolacją. Co oznaczało, że będzie musiała nie tylko z nim tańczyć, ale pozostać w jego towarzystwie podczas posiłku w sąsiedniej sali.

Dobre wychowanie kazało jej się zgodzić. Instynkt skłaniał ją raczej do tego, żeby odmówić. Nie miała jednak wymówki. Nawet obowiązki gospodyni były w tym momencie jedynie formalnością. Patrząc w pełne błagania brązowe oczy Neila Kirbiego i na jego chłopięco uroczą twarz, uznała, że się zlituje. Wydawał się przyjemnym młodym człowiekiem, z którym łatwo sobie poradzić i którego można zabawić bez trudu. Był

kolejnym suplikantem dosłownie błagającym o to, żeby móc czcić ją na kolanach. Właśnie taki balsam był jej potrzebny, żeby ułagodzić zranione uczucia.

Niech O'Brien nie zwraca na nią uwagi. Wcale tego nie potrzebuje.

Posyłając bezradnemu młodzieńcowi najbardziej olśniewający uśmiech, obserwowała jego reakcję - stał przed nią, jakby poraziła go błyskawica.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Z największą przyjemnością.

Nie powinien przychodzić na ten bal, wyrzucał sobie Darragh.

Wiedział, że zrobił z siebie głupca.

Niewiele brakowało, żeby nie przyszedł. Zmieniał zdanie co najmniej dziesięć razy, odkąd tego wieczoru znalazł się w gabinecie Lawrence'a. Pijąc irlandzką whisky, której smak był tak ostry, że mogła przepalić gardło, wahał się i rozmyślał. Chodził tam i z powrotem, aż niemal zrobił dziurę w perskim dywanie przyjaciela.

W zeszłym tygodniu, kiedy Merriweather go zaprosił, Darragh odmówił bez zastanowienia. Odmówił z dumy. Na zaproszeniu widniało nazwisko Merriweatherów, ale bal był jej dziełem. Żadne formalne zaproszenie nie zostało wystosowane pod jego adresem.

Przeoczenie, stwierdził zakłopotany Merriweather, kiedy odkrył, że nazwisko Darragha nie widnieje na liście gości.

Wszyscy należący do towarzystwa ludzie w promieniu osiem-dziesięciu kilometrów otrzymali zaproszenie. Nawet Lawrence dostał

jeden z jej liścików, ze swoim imieniem wypisanym delikatną, kobiecą ręką. Lawrence przebywał jednak od trzech tygodni w Dublinie, gdzie załatwiał interesy. Nie miał pojęcia o balu. W przeciwnym wypadku z pewnością nie pozwoliłby Darraghowi wybrać się do Merriweatherów.

- Po co kusić los, człowieku? - powiedziała by Lawrence.

Tak, po co kusić los?

Powinien teraz jechać do domu, na zachód, by wkrótce zobaczyć rodzeństwo. W trakcie pakowania zszedł na dół po kartkę papieru i zauważył zaproszenie, leżące na biurku Lawrence'a. Wówczas zmienił

zdanie.

Teraz, kiedy już się tu znalazł, zrozumiał, że popełnił błąd. Sam jej widok wywołał w nim uczucia, które starał się stłumić. Jeannette Rose Brantford pociągała go, jak żadna kobieta. Nie musiał nawet na nią patrzeć. Promieniował z niej jakiś magnetyzm, przyciągając go niczym pieśń syreny towarzyszy Odyseusza.

Irlandzka duma kazała mu trwać na parkiecie i tańczyć z innymi kobietami, podczas gdy tylko jedną naprawdę pragnął trzymać w ramionach.

Przyglądał się, jak wkracza do jadalni, wsparta na ramieniu jakiegoś młodzika, wyraźnie zadurzonego i zdecydowanie nieodpowiedniego dla niej. Od tej chwili Darragh starał się skupić uwagę na młodej damie, której towarzyszył przy kolacji, jak również na trzech innych parach przy stole. Ledwie skosztował soczystego rostbefu i rozplywającego się w ustach homara. Rozmowa toczyła się bardzo leniwie, a on zerkał aż nazbyt często poprzez pokój w jej stronę.

Jeannette.

Jej imię szumiało mu w głowie, powodując, że krew burzyła mu się w żyłach. Jej widok wywoływał ból w miejscach, o których nie wspomina się w towarzystwie dam. Cieszył się, że nie ma na sobie ciasnych bryczesów, które preferowali niektórzy dżentelmeni, bo inaczej musiałby ukrywać świadectwo podniecenia. Poruszył się niespokojnie na krześle, zły na siebie i swoje pragnienia.

Rozgniewała go dzisiaj zarozumiałstwem i małostkowością. Gdyby знаła prawdę o nim, gdyby wiedziała, że jest księciem, ciekawe, co też by powiedziała czy zrobiła?

Jednak mimo całej irytacji, jaką w nim czasami budziła, pociągała go coraz bardziej. Brakowało mu słownych starć i współzawodnictwa.

Brakowało mu jej uwodzicielskich żartów. A zwłaszcza pocałunków -

niebezpiecznych, cudownych, zakazanych pocałunków, wartych każdej sekundy ryzyka.

Pokręcił głową, chcąc odpędzić te myśli. Pragnie się umartwiać, oto, na czym mu zależy! Choć tak usilnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy próbował wymazać ją z pamięci, poniósł sromotną klęskę.

Co prawda trzymał się z dala od niej, ale w jego wyobraźni każdą chwilę spędzali razem. Nawet podczas pracy się rozglądał, mając nadzieję, że zobaczy ją choć przez chwilę. Nasłuchiwał jej miękkiego jak aksamit głosu. Zamykał oczy, kiedy zdarzyło mu się usłyszeć ją przy otwartym oknie

czy na korytarzu. Smakował wówczas to doznanie z ostrożnością człowieka trzymającego rzadkiego, cennego motyla w dłoni.

Wychodząc z domu Lawrence'a, powiedział sobie, że udaje się na przyjęcie, żeby udowodnić, że potrafi od niej odejść i nie oglądać się za siebie z żalem. Ze stworzył jej wyidealizowany obraz w swoim umyśle, który rozwieje się, kiedy zobaczy ją naprawdę.

Cóż, udowodnił jedynie, że był idiotą. To dziwne uczucie nie opuściło żadnego z nich. Mogła twierdzić, że o niego nie dba, ale było jasne, że czuła więcej, niż chciała okazać. Inaczej fakt, że wycofał się z jej życia, nie dotknąłby jej tak bardzo. Iskrzyło między nimi, niczym przed potężną burzą. Czuł tę siłę nawet teraz, jakby rozciągał się między nimi niewidzialny sznur.

Co ona sobie myślała, siedząc z tym chłopakiem przy stole? Z

pewnością nie interesował jej ten chłystek.

Patrzył, jak Jeannette kiwa głową i uśmiecha się do młodzieńca, który coś mówił. Podniosła kieliszek do ust, żeby napić się szampana.

Darragh niemal jęknął głośno na widok jej warg, wilgotnych i lśniących po chłodnym winie.

Była wspaniała niczym królowa. Roztaczała księżycowy blask w swoim pięknym, białym stroju. Jej bladozłote włosy, podpięte do góry, spływały miękko przy uszach. Chciałby widzieć te włosy rozpuszczone.

Rozpuszczone i tworzące jedwabną zasłonę na jej nagich ramionach.

Zacisnął pięść na udzie. Najwyraźniej nie był jedynym mężczyzną, na którego działał jej urok. Urzekła również tego głupiego młodzieńca.

Nie miał pojęcia, ile bólu mu sprawi, kiedy go odrzuci.

Darragha zabolalo serce, jakby ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

Gdyby miał choć trochę rozumu, podniósłby się w tej chwili i wyszedł pod byle pretekstem. Przeciąłby tę więź. Położyłby kres głupiemu, beznadziejnemu pragnieniu. A rano wyruszyłby w drogę, tak jak planował, pędząc co koń wyskoczy, żeby uciec przed nią na drugi koniec Irlandii.

Zamiast tego siedział, jadł i rozmawiał. I starał się z całych sił nie patrzeć w jej stronę. A przynajmniej nie częściej niż raz czy dwa na minutę.

Kolacja wreszcie dobiegła końca. Wszyscy wrócili na salę. Darragh uklonił się i podziękował młodej damie, z którą dzielił posiłek, zawstydzony, że nie pamięta nawet jej imienia.

Zrobiwszy, co należało, rozejrzał się za Jeannette, ale nigdzie jej nie było. Nie było też zadurzonego w niej młodzieńca.



Miody pan Kirby był trochę oszołomiony.

Jeannette wiedziała o tym. Jak mogło być inaczej, jeśli wypił pięć kieliszków szampana przy kolacji! Jednak pomimo wypitego alkoholu, wydawał się niegroźny. Na tyle niegroźny, że zgodziła się oprowadzić go po nowym skrzydle. Uznała, że spacer pomoże mu dojść do siebie.

Jej rodzina zrezygnowała z dalszych atrakcji. Po kolacji Violet szepnęła siostrze na ucho, że zamierza udać się do sypialni. Eliza postanowiła jej towarzyszyć, mając zapewne dosyć jeszcze jednego wieczoru, który przyniósł jej tylko rozczarowanie. Co do panów, Adrian oznajmił, że pomoże żonie ułożyć się do snu, a potem zejdzie, żeby posłuchać jeszcze jednego wykładu z botaniki. Kit tymczasem tańczył w najlepsze z kolejną czarującą brunetką.

Jeannette robiłaby to samo, gdyby nie obecność Darragha O'Briena.

Wbrew jej obawom pozostali goście wydawali się nim zachwyceni, zwłaszcza kobiety. Po paru godzinach obserwowania, jak flirtuje i zabawia towarzystwo, musiała odpocząć.

Ten człowiek był jak wilk - pozbawiony wszelkich skrupułów.

Uśmiechał się, cokolwiek ta wiotka ruda dziewczyna, którą eskortował

do kolacji, powiedziała. Słuchając nieuważnie coraz bardziej za-gmatwanych wywodów Kirby'ego na temat wyścigów konnych i golfa -

jakby któryś z tych tematów w ogóle ją obchodził - przyglądała się podejrzliwie O'Brienowi podczas nieznośnie długiego posiłku.

Jak on śmiał zjawiać się tu i przeszkadzać jej w zabawie. Jak śmiał

siedzieć tak blisko i zachowywać się, jakby ona w ogóle nie istniała!

Cóż, jeszcze parę godzin. Potem wyjedzie, zniknie na zawsze. A ona będzie się z tego tylko cieszyć.

Będzie?

Tłumiąc rozpaczliwe westchnienie, rozejrzała się po słabo oświetlonej oranżerii. W pomieszczeniu było bardzo ciepło i parno, przeszkłone ściany utrzymywały z daleka chłodne nocne powietrze.

Roślinność pieniała się bujnie, puszczając pędy we wszystkie strony.

Odwróciła się do Kirby'ego, żeby poprosić o odprowadzenie do sali balowej. Zanim jednak zdążyła wyrzec słowo, przyciągnął ją mocno do siebie i przycisnął usta do jej warg.

Krzyknęła i pchnęła go, wykręcając głowę, żeby uniknąć mokrych, pijackich pocałunków. Jego oddech, przesączony zapachem wina, owionął jej twarz. Marszcząc nos, zdwoiła wysiłki, żeby go

odepchnąć.

- Panie Kirby, proszę natychmiast przestać! - rozkazała.

Nie zwrócił na to uwagi, przesuając z entuzjazmem dłońmi po jej ciele. Wielki Boże, myślała, usiłując się uwolnić. Słyszała o ośmiornicach i ich ośmiu długich mackach, ale nigdy przedtem nie znalazła się w objęciach jednej z nich. Najwyraźniej alkohol spowodował, że Kirby'emu przybyło ramion i śmiałości.

- Panie Kirby, czy pan mnie słyszał? Proszę mnie puścić! Zadrżała, kiedy jego wilgotne wargi otarły się o jej policzek, potem wsunęła ramiona pomiędzy nich i pchnęła go mocno. Kiedy i ta próba zawiodła, podniosła nogę i ze wszystkich sił wbiła obcas w jego stopę.

Tym razem to on krzyknął, jak zraniony szczeniak. Puścił ją natychmiast, cofając się na chwiejnych nogach. Usiłując złapać równowagę, złapał się pobliskiego krzewu, urywając pęk liści.

Rzucił jej pełne urazy spojrzenie.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Żeby się od pana uwolnić! - Otarła z obrzydzeniem wilgotny policzek. - Proszę nie robić tego nigdy więcej.

Zamrugnął oczami, wyraźnie zaskoczony.

- Ale przecież chciała pani, żebym ją pocałował.

- Z całą pewnością nie!

- Ależ tak. Po cóż innego przyszedłaby tu pani ze mną? - Żeby się przejść, a nie żeby mnie pan obmacywał jak jakiś oślizły węgorz z dziesięcioma mackami. Pan, panie Kirby, jest obrzydliwie pijany i postradał pan rozum. Tylko ze względu na to wybaczę pana niegodne dżentelmena zachowanie. Proszę wracać na przyjęcie.

Wysunął dolną wargę.

- Nie chcę wracać na przyjęcie. - Przerwał i spojrzał na nią pożądliwie. - Nie bez pani.

- Proszę sobie iść. Natychmiast. - Wskazała drzwi rozkazującym gestem.

Mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, po czym odwrócił się, żeby niechętnie wykonać polecenie. Zupełnie jak niegrzeczne dziecko.

Zrobił dwa kroki i chwycił się za żołądek.

- Nie czuję się dobrze.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdziła. - Tak to jest, gdy się nie panuje nad swoimi zachciankami. Wydał policzki.

- Naprawdę nie czuję się dobrze. Myślę, że mogę zwymiotować.

Przyjrzała mu się uważniej - zbladł, a jego czoło zrosiły krople potu. Pamiętała brata, Darrina, który tak właśnie wyglądał ostatnim razem, kiedy za dużo wypił. Rezultaty nie były za ciekawe.

- Wielkie nieba, żeby się pan nie odważył pochorować tutaj.

Nie tracąc czasu, złapała go za łokieć i pchnęła w stronę małych, bocznych drzwi. Przekręciła klamkę, otworzyła je i brutalnie wypchnęła Kirby'ego na zewnątrz. Poleciał bezwładnie parę kroków, po czym się zatrzymał. W chwilę później rzucił się biegiem w stronę żywopłotu.

Krzywiąc się z niesmakiem, zamknęła drzwi. Głupiec, pomyślała, widząc, jak wymiotuje zgięty wpół. Odwróciła się, stwierdzając z ulgą, że grube szkło tłumi odgłosy jego choroby.

Wkrótce potem zauważyła, jak się wymyka, zapewne szukając powozu, żeby wrócić do domu.

Skończony głupek, pomyślała, zadowolona, że się go pozbyła.

Ale nie on jeden wyszedł na głupca tego wieczoru, jak musiała sprawiedliwie przyznać. Nie było zbyt mądre przychodzić z nim tutaj, zwłaszcza że uważała go za zbyt młodego i niezbyt interesującego od samego początku. Widocznie wiejskie powietrze źle wpływało na jasność jej umysłu.

Westchnęła głośno i postanowiła wrócić na bal. Jeszcze, nie daj Boże, zaczną jej szukać. Zerknęła w dół, aby sprawdzić, czy suknia nie ucierpiała na pijackich zalotach Kirby'ego. Zauważyła wzburzony kawałek koronki i wygładziła go palcami.

- Zacierasz ślady? - odezwał się kpiąco głęboki męski głos z cienia.

Jego ton, pomimo śpiewnego brzmienia, kojarzył się ze stalą pokrytą aksamitem.

Rozpoznałaby go wszędzie. Uniosła głowę, napotykając wzrok wylaniającego się z mroku Darragha O'Briena.

Wyprostowała się z bijącym sercem.

- Co pan tu robi? Jak długo pan tu stał, chowając się wśród roślin?

Uśmiechnął się, ale bez śladu wesołości.

- Niedługo. W gruncie rzeczy, dopiero przyszedłem. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- To było pytanie? Brzmiało bardziej jak oskarżenie. Odwrócił

głowę, rozglądając się uważnie.

- Pytanie czy oskarżenie, to bez znaczenia. Gdzie on jest? Czy to ze złości, czy to z dumy, postanowiła udawać niewiniątko.

- Kto?

- Wiesz, kto. Jasnowłosy młodzieniec, z którym przyszłście tu na schadzke. Przestraszył się i uciekł? Czy też może fatalnie całuje i się go pozbyłaś?

Jeannette nasrożyła się, zła, że uwagi O'Briena są tak bliskie prawdy.

- Nie przyszłam tu na schadzke. A gdyby nawet, to nie pańska sprawa.

Położył dłonie na wąskich biodrach.

- Ach, a zatem to wina jego pocałunków. Biorąc pod uwagę, że dopiero co wyrósł z krótkich spodenek, nie powinnaś czuć się zaskoczona czy rozczarowana. Jeśli miałaś chęć ulec jakimś zakazanym pokusom, należało zostawić chłopca w spokoju i poszukać mężczyzny.

Parsknęła kpiąco.

- Takiego jak pan, zapewne?

Podszedł bliżej - ciemnowłosy, magnetycznie pociągający.

- Nie widziałem na sali balowej żadnego innego mężczyzny, który byłby ciebie wart.

Poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Po raz pierwszy od miesiący, od ostatniego razu, kiedy stała z nim twarzą w twarz, poczuła, że naprawdę żyje.

Nie cofnęła się, zachowując pozory spokoju pomimo łomotania serca.

- Chyba jednak nie jest pan tym wybranym. Tym bardziej że zanim pojawił się pan tutaj dziś wieczorem, całkiem zapomniałam o pana istnieniu.

Oczy mu rozbłyły.

- Czy aby na pewno, dziewczyno? - Zrobił krok do przodu. - A może kłamiesz? Żeby ukryć, że nie mogłaś o mnie zapomnieć, choćbyś nie wiem jak się starała. Kłamiesz. Prawda jest taka, że myślałaś o mnie, śniłaś i tęskniłaś za mną tak, że wstydzisz się do tego przyznać sama przed sobą.

W gardle ją ścisnęło, nogi się pod nią uginały.

- Proszę nie mówić głupstw. Zawsze był pan dla mnie cierniem w boku. Bardzo dużym, denerwującym cierniem, którego chciałam się pozbyć.

Dzieliło ich teraz zaledwie kilka centymetrów. Stał tak blisko, że jego czysty, męski zapach nappełnił jej nozdrza; biły od niego ciepło i siła.

- Cierniem? - zakpił. - Z tego co wiem, ciernie mają to do siebie, że kłują i są diabelnie trudne do usunięcia. Lubię się czasem zakładać. I teraz założyłbym się, że jestem cierniem, który dopiero musisz usunąć.

Zniżył głos do chrapliwego, uwodzicielskiego szeptu. Spojrzał na jej twarz, zatrzymując wzrok na ustach.

- Czyż nie tak, lady Jeannette? Zdołałaś się mnie pozbyć? Czy też tkwię ci pod skórą nawet teraz, wywołując ból w miejscach, o których prawdziwa dama nie mówi?

Odetchnęła gwałtownie, niemal dusząc się ciepłym, wilgotnym powietrzem. Powietrzem, które sprawiało, że kręciło jej się w głowie.

Czego jej brakowało? Jego, czy następnego oddechu?

I dlaczego jedno i drugie zaczęło jej się nagle wydawać niezbędne do życia?

- Po co pan tu przyszedł? - szepnęła. - Dlaczego pan mnie szukał, skoro nie widzieliśmy się od wieków? Może to pan nie był w stanie zapomnieć. I nie udało się panu wydrzeć mnie spod skóry? Czy taka jest prawda? Ze zadurzył się pan we mnie i nie może o mnie zapomnieć?

Zacisnął szczęki, ich oczy się spotkały, żadne nie mogło odwrócić wzroku.

Rozchyliła wargi.

Spuścił powieki.

A potem zbliżyli się do siebie. Jęknęła, kiedy zamknął jej usta mocnym pocałunkiem, miażdżąc ją w ramionach, tuląc z namiętnością, która wybuchła jak płomień.

Ogarnęło ją pożądanie, które stłumiło wszelki rozsądek. Pragnęła tylko dotykać go, smakować i tego samego doznawać od niego. Uniosła ręce i wsunęła palce w jedwabną gęstwę jego włosów. Jęknął, kiedy pociągnęła jego głowę i otworzyła usta, zapraszając jego język.

Bawił się z nią, kusząc i dając rozkosz. Potem pozwolił jej robić to samo ze sobą. Pozwolił zbadać kształt swoich zębów. Przesunąć koniuszkiem języka po gładkim wnętrzu policzków. Zagubić się w doświadczeniu wszelkich smaków i różnorodności dotyku. Każde takie cudowne doznanie rozchodziło się falą po jej ciele.

Jeśli sądziła, że pamięć jego pocałunków była przesadzona, szybko przekonała się, że to nieprawda.

Wkrótce pocałunki przestały im wystarczać, stały się jedynie preludium do czegoś dużo wspanialszego. Dotyk Kirby'ego budził w niej obrzydzenie, teraz poddawała się z radością każdemu dotknięciu, każdej pieszczocie szerokich, zręcznych dłoni Darragha, błędzących po jej ciele. Jego ręce sunęły po jej szyi, wzdłuż pleców, przez biodra. Po wrażliwych okolicach u podstawy kręgosłupa, gdzie zostały dłużej, ugniatając delikatnie jej ciało i doprowadzając ją do szaleństwa.

Wygięła się, mrużąc gardłowo, usiłując wtulić się w niego jeszcze bardziej. Schylił się, żeby jej pomóc. Położył jej dłonie na pośladkach i podniósł ją, przyciskając do swoich bioder.

Darragh jęknął i zadrżał z pożądania. Zdawał sobie sprawę, że popełnił straszliwy błąd. Wciągnął rozpaczliwie powietrze, nie potrafiąc oprzeć się potrzebie przyciągnięcia jej jeszcze bliżej. Za - kołysał się lekko, pozwalając jej poczuć erekcję, swój wilczy głód, ciekaw, czy taki ruch jej nie zaszokuje, nie przestraszy.

Zamiast tego lgnęła do niego, całując go bez końca.

Muszę położyć temu kres, pomyślał, sam półprzytomny. Powinien odsunąć ją na bezpieczną odległość, zanim sprawy wyrwą się całkowicie spod kontroli. Ale, święta Mario, jakże jej pożądał. Chciał unieść spódnice i poczuć, jak jej nogi owijają się wokół jego talii. Ledwie powstrzymał się, żeby nie rozpiąć spodni.

Czekał, modląc się, aby zakończyła to szaleństwo i zmusiła go, żeby ją puścił. Bezrozumna część jego osoby domagała się, żeby objął

dłonią jedną z jej słodkich, miękkich piersi i drażnił sutek, aż zesztynieje pod jego palcami.

Drżąc na całym ciele, próbował ją odsunąć. Wydała cichy jęk, który poruszył go do lędźwi, wywołując ból. Ramiona oplotła wokół jego szyi i pocałowała go tak, że zakręciło mu się w głowie, a wszelki rozsądek znikł, niczym suche drewno w ogniu.

Zaniósł ją do najbliższego stołu, strącając kilka pustych doniczek.

Dźwięk tłuczonej gliny na kafelkach podłogi ledwie do niego dotarł, gdy posadził ją na blacie i podniósł spódnice, żeby móc rozsunąć jej nogi i stanąć między nimi. Rozluźnił jej stanik, niemal rozrywając delikatny materiał, żeby jak najszybciej móc dotknąć piersi.

Zamruczała, sztywniejąc lekko, jakby zmieszana. Pocałował ją znowu, namiętnie, mocno, tracąc dech. Nie protestowała. Pociągnął raz jeszcze za stanik, uwalniając wspaniałe, okrągłe piersi. Głaskał je przez długą chwilę, po czym zaczął całować.

Bawił się jej ciałem, sprawiając, że poruszała się jakby niespokojnie, pełna niezaspokojonego pragnienia. Przeczesała palcami jego włosy i mrużęła z zadowolenia, kiedy skupił się na drugiej piersi.

Jeannette głaskała policzek Darragha, zatracając się całkowicie.

Jego usta doprowadzały ją do szaleństwa. W głowie jej szumiało. Nie rozumiała gorączkowego zamętu, jaki ją opanował. Nie chciała się nad tym zastanawiać.

Nie była niewinna, dotykano jej już przedtem. Ale nigdy w ten sposób, nigdy tak, że krew zaczynała szybciej płynąć, płonąć w żyłach, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi.

Drżała, poddając się każdej pieśszczocie, każdemu życzeniu i zachciance, która stawała się w jakiś

sposób jej własną w chwilę potem, jak odkrywał ją świeżym dotykiem. Zamknęła oczy, głowa opadła jej do tyłu, szyja stała się słaba jak łodyga więdnącego kwiatu.

Wciąż pieszcząc jej pierś językiem i podtrzymując ją silnym ramieniem, przesunął rękę wzdłuż łydki i kolana, pod zwiniętą suknię.

Sunął dłonią w górę, po nagim udzie. Mięśnie jej drżały, była zdana na jego łaskę.

Wyprostowała głowę, otwierając oczy, kiedy rozsunął

najwrażliwszą część jej ciała, które płonęło z pożądania. Westchnęła, kiedy gładził ją wewnątrz.

Świat skurczył się do jego dłoni i ust, najłżejszego dotyku. Poruszał

kciukiem, drażniąc jej wrażliwe ciało, potem delikatnie ugryzł jej sutek.

Krzyknęła, drżąc gwałtownie. Poczwała przyjemność - bardziej niezwykłą niż cokolwiek, co dotąd przeżyła. Zmieszała się lekko, kiedy zabrał rękę.

Nie musiała się obawiać, że ją zostawi. Przyciągając ją bliżej krawędzi stołu, wyprostował się i sięgnął do guzików spodni. Rozpiął

jeden, niemal odrywając go w pośpiechu. Odpinał kolejny, kiedy usłyszeli jakiś głos i kroki w oranżerii.

- Wierście mi, panowie, *Epidendrum nocturnum* warte jest zobaczenia tak późno wieczorem.

Jeannette poznała głos kuzyna.

Darragh także musiał go usłyszeć, bo zamarł nagle. Kiedy jednak ich półprzytomne, przerażone spojrzenia się spotkały, wiedziała, że jest za późno.

- Tędy, proszę. Sądzę, że was to zainte... Święci w niebiosach! -

Okrzyk Bertiego rozległ się w pomarańczami jak wystrzał z pistoletu.

Kuzyn zatrzymał się raptownie wraz z grupą dżentelmenów, podążających tuż za nim.

Nad ramieniem Darragha Jeannette napotkała spojrzenia około tuzina mężczyzn. Nawet w słabym świetle dostrzegła rozmaite reakcje -

od szoku i dezaprobaty po rozbawienie i... żądę.

Wśród nich były trzy aż nadto znajome twarze. Kuzyn Cuthbert poruszał ustami jak pstrąg wyciągnięty z wody, poczerwieniał jak burak.

Kit Winter otworzył szeroko oczy z mieszaniną zaskoczenia i rozbawienia. Adrian, wysoki i groźny,

stał z wyrazem takiego niezadowolenia na twarzy, że mógłby przyprawić o drżenie najtwardszego weterana wojennego.

Usiłowała się poruszyć, żałując, że nie potrafi zniknąć. Jej ciało odmówiło jednak posłuszeństwa, jakby członki się zamieniły w kamień.

Z jękiem schowała twarz na ramieniu Darragha.

Zdjął ją ze stołu. Zręcznie wyprostował jej suknię, dyskretnie zakrywając nogi, potem ustawił się tak, żeby ją osłonić przed spoj-rzeniami. Na koniec osłonił ją swoim kubrakiem, pozwalając uporządkować górę sukni.

W pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza.

- Cóż, Merriweather, obiecałeś nam wspaniały widok i muszę przyznać, że nas nie rozczarowałeś - zażartował jeden z dżentelmenów. -

Choć obawiam się, że twoje orchidee mogą teraz wypaść dość blado.

Paru mężczyzn zachichotało, inni, zmieszani, odchrząkiwali, zakrywając usta dłońmi.

- Co do orchidei, kuzynie - odezwał się Adrian cichym, lecz stanowczym głosem - dlaczego nie miałyś kontynuować spaceru? Tutaj nie ma już nic do oglądania.

Cuthbert zakasłał i poruszył się, jakby się budził z uśpiania.

- Tak, tak, racja. Eee... prosto, panowie. Or... orchidee są tam zaraz.

Cuthbert skinął dłonią, wskazując kierunek kolegom z Kró-

lewskiego Towarzystwa Botanicznego. Rozłożył ręce, ponagłając paru maruderów, którzy wyraźnie mieli ochotę zostać. Odgłos ich kroków i rozmów stopniowo ucichł w oddali.

Dopiero wtedy Adrian się odwrócił.

Jeannette rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie i przełknęła ślinę na widok miny szwagra. Zbierając się na odwagę, próbowała się wyswobodzić z opiekuńczych ramion Darragha. On jednak nie chciał jej puścić, w każdym razie nie całkowicie. Splótł dłoń z jej dłonią, kiedy odwrócił się w stronę Adriana.

- A ty się martwiłeś, że wywołam skandal, zbyt śmiało flirtując -

zauważył Kit, patrząc na brata. - Teraz chyba moje zachowanie wydaje się jak najbardziej właściwe?

Adrian spojrzał wściekle na młodzieńca:

- Co ty tu jeszcze robisz? Dlaczego nie poszedłeś z innymi? Kit posłał mu wojownicze spojrzenie.



- Żeby obejrzeć kępę kwiatów, na co wcale nie miałem ochoty?

Dziękuję, ale nie skorzystam. Jeśli sobie przypominasz, to właśnie ty o mało nie wykręciłeś mi ramienia, żeby się mnie stąd pozbyć.

- Smutna konieczność, wzięwszy pod uwagę, że mogłeś paść ofiarą rozwścieczonego ojca.

Kit, z niewinną, acz urażoną miną, wzruszył ramionami.

- Ojciec Lidii przesadził. Zabrałem ją na zewnątrz, żeby odetchnęła świeżym powietrzem, ponieważ było jej gorąco.

- Tak gorąco, że ochłodzenie się zabrało jej pół godziny?

- Niektóre kobiety są takie gorąkocrwiste. Adrian zamknął oczy, krzywiąc się, jakby z bólu.

- Dość. Odejdź.

- W porządku, ale jak tak dalej pójdzie, zostaniesz starym zrzędą, wiesz o tym? Muszę pamiętać, żeby porozmawiać o tym z Vi, kiedy będzie miała chwilkę.

- Zostaw Violet w spokoju i idź do łóżka.

- Jak chcesz. Zrzędo. - Rzuciwszy ostatnie, współczujące spojrzenie w stronę Jeannette i Darragha, Kit się odwrócił i odszedł.

Jeannette przełknęła ślinę. Gardło miała tak ściśnięte, jakby stała wobec hiszpańskiej Świętej Inkwizycji. Musiała stawić czoła Adrianowi, co było trudnym zadaniem w każdych okolicznościach. Podwójnie trudnym ze względu na to, co się między nimi kiedyś wydarzyło.

Czekał z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- A więc, nie masz nic do powiedzenia? Nie zdążyłaś nawet wrócić do Anglii, a znowu wywołałaś skandal.

Otworzyła usta, ale nie zdołała wydobyć głosu. Co miała powiedzieć? Nie da się wyjaśnić czegoś, czego sama do końca nie rozumiała. Zupełnie straciła głowę. Nie wyobrażała sobie nigdy, że jest do czegoś takiego zdolna. Namiętność owładnęła nią tak, że zapomniała o wszelkiej przyzwoitości. Co gorsza, przyłapano ją na tym i nie miała cienia nadziei na wyjście z tej sytuacji z twarzą. Nie chciała nawet myśleć, co to oznaczało dla jej reputacji czy przyszłości. Możliwe odpowiedzi przyprawiały ją o drżenie.

Ponieważ się nie odezwała, Adrian wbił ponure spojrzenie w Darragha.

- A co z tobą, panie? Może pan mówić, czy też jest pan, szczęs-

liwym dla siebie zrządzeniem losu, niemową?

- Owszem, mogę mówić. Mam też imię. Darragh O'Brien. -

Wyciągnął rękę. - Mam przyjemność z... ?

Adrian nie poruszył się, żeby przyjąć dłoń Darragha.

- Raeburn. Księżę Raeburn. Brat damy.

- Mąż mojej siostry - sprostowała Jeannette, przerywając milczenie.

Adrian schylił głowę.

- Zgadza się, mąż siostry. I jako mąż twojej siostry i najbliższy męski członek rodziny tutaj, w Irlandii, sędzę, że powinienem zająć się tą sprawą.

Jeannette uniosła brwi.

- Co masz na myśli, mówiąc „zająć się”?

- Skompromitowałaś się, Jeannette. Publicznie. Trzeba natychmiast podjąć stosowne kroki, żeby naprawić tę sytuację. Na tyle, na ile to, w obecnych okolicznościach, możliwe.

Jeannette widziała, jak Adrian piorunuje Darragha wzrokiem.

Oczy mieli dokładnie na tym samym poziomie. Wysocy, dobrze zbudowani, dorównywali sobie wzrostem i siłą. Darragh był

szcuplejszy, zwinniejszy. Adrian miał szersze ramiona i masywniejszą pierś. Podejrzewała jednak, że w walce byłiby godnymi przeciwnikami.

Nie sposób przewidzieć, kto wyszedłby z tych zapasów zwycięsko.

Jednakże Adrian był zbyt dobrze wychowany, aby wdać się w bójkę. Przynajmniej tak jej się wydawało. Wiedziała, że regularnie walczył i wygrywał w Salonie Bokserskim Pana Jacksona, kiedy tylko był w Londynie. Odgadywała instynktownie, że Darragh nie ma takiej szkoły. Przez lata bił się, prawdopodobnie, na ulicy, polegając na nagich pięściach i irlandzkiej wytrzymałości. Zacisnęła dłoń na jego dłoni, jakby próbowała go powstrzymać. Nie miała się jednak czego obawiać. Obaj mężczyźni zadowolili się na razie pojedynkiem na spojrzenia.

Adrian podniósł brodę.

- Oczekuję pana jutro. O dziewiątej, powiedzmy? Darragh kiwnął głową.

- Zatem o dziewiątej.

- Dziewiąta? Co ma się stać o dziewiątej? - zapytała. - Nie pozwolę wam ze sobą walczyć.

Adrian odwzajemnił jej spojrzenie.

- Nie martw się. Nie będzie pojedynku. Chyba że pan O'Brien nie przystanie na warunki.

Jeannette poczuła, jak ziemia jej się rozstępuje pod nogami. - Jakie warunki?

- Małżeństwa, rzecz jasna.

- Małżeństwa! - krzyknęła. - To znaczy, z O'Brienem? Ależ ja nie mogę za niego wyjść.

Uświadomiwszy sobie nagle, że jej dłoń spoczywa w dłoni Darragha, wyrwała ją, jakby uścisk nagle zaczął ją parzyć. Potem odsunęła się od O'Briena, robiąc jeden dramatyczny krok na bok.

Darragh uniósł brew, ale się nie odezwał.

- Obawiam się, Jeannette - powiedział Adrian - że nie masz wyboru w tej kwestii. Twój los został przypieczętowany w momencie, gdy przekroczyłaś granice przyzwoitości i zrobiłaś to, co zrobiłaś, z tym człowiekiem.

- O ile dobrze zrozumiałam, Christopher także przekroczył owe granice.

- Być może. Różnica jednak polega na tym, że go nie złapano.

Ogarnęły ją lekkie mdłości.

- Ale ja nie mogę poślubić O'Briena. Nie jest nawet dżentelmenem.

Jest architektem.

Darragh wciągnął głęboko powietrze, prostując się.

- Otóż faktem jest, że jestem również ks...

- Jeśli za niego wyjdę, zrujnuję wszystko! - zawyła, zagłuszając słowa Darragha. - Mam wrócić do Londynu. Odzyskać swoje miejsce w towarzystwie. Poślubić księcia.

Adrian pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Cóż, wydaje się, że raz jeszcze pozbawiłaś się szansy na to, żeby to się zdarzyło. Żaden mężczyzna, książę czy ktokolwiek inny, cię nie zechce. Pan O'Brien jest twoją jedyną nadzieją. - Westchnął, przybierając nieco łagodniejszy ton. - Na Boga, Jeannette, chyba nawet ty musisz zdawać sobie z tego sprawę.

- Ale...

- Nie ma żadnych „ale” - stwierdził stanowczo Adrian, a następnie zwrócił się do O'Briena. - Chciał

pan coś powiedzieć...

Darragh skrzyżował ramiona, przyjmując niemal groźną postawę.

- Nic. Sądzę, że wszystko już zostało powiedziane. Jeannette zerknęła w jego stronę. Miał zaciśnięte szczęki. Czy rozgniewał się, bo powiedziała, że nie chce wyjść za niego za mąż? Przecież on z pewnością także nie chciał się z nią ożenić. Wydawało się jednak, że nie mieli wielkiego wyboru - oboje złapani, jak para kotów w klatce.

Chyba, żeby Darragh się sprzeciwił.

Być może, gdyby udało jej się porozmawiać z nim na osobności, zdołałaby go przekonać, żeby się nie spotykał z Adrianem następnego dnia. Może odjechałby do domu, równie jak ona uszczęśliwiony, że udało mu się umknąć przed proboszczem. Ale jeśli go przekona, żeby uciekł, co się z nią stanie?

Będzie zrujnowana.

Dzientelmeni z Królewskiego Towarzystwa Botanicznego zaczną paplać jak papugi, przekazując smakowite szczegóły zajścia każdemu, kto zechce słuchać. Historyjka obiegnie całą socjetę szybciej niż zwycięski koń robi okrążenie na wyścigach w Derby.

Gdyby pogodziła się z losem, plotki wkrótce by się skończyły. Ale wtedy związałyby się nierozdzielnie z Darraghiem.

Dlaczego pozwoliła mu się całować? Dotykać? Co za obłąd sprawił, że odpłacała mu tym samym?

Pożądanie.

To słowo podziałało na jej zmysły jak pieszczota, ożywiając tak świeże wspomnienia. Przesunęła wzrokiem po jego twarzy, przypominając sobie lekki zarost na jego policzkach, gorące, atlasowe wnętrze jego ust, kiedy obdarzał ją cudownymi pocałunkami.

Jednak, aby zapewnić trwałość małżeństwu, musi istnieć coś więcej niż pożądanie. Inny mężczyzna wynagrodziłby jej pieniędzmi i tytułem brak miłości. Ale Darragh nie miał ani majątku, ani pozycji społecznej.

A zatem, co z uczuciami? Co z miłością?

Czy mogła go pokochać? Na pewno - głęboko i trwale, gdyby pozwoliła sobie na poddanie się podobnym uczuciom.

Czy chciała to zrobić? Zdecydowanie nie.

Już raz zdradziło ją to słodkie uczucie. Nie zamierzała dać się oszukać po raz drugi. Co zostawiało jej tylko jedną drogę - wykręcić się od tego małżeństwa, nie przekreślając możliwości zawarcia w przyszłości korzystniejszego związku.

Wybierze najłatwiejszy sposób. Porozmawia z Darraghiem i go przekona, żeby nie zgadzał się na ślub. Ostatecznie nie był dżentelmenem, więc z racji urodzenia nie był zobowiązany do postępowania zgodnie z nakazami honoru i obowiązku.

- Nie sądzę, żeby wszystko zostało powiedziane - zaczęła, na-wiązując do uwagi Darragha. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Raeburn, chciałabym odbyć krótką rozmowę z panem O'Brienem. Na osobności. Mamy pewne sprawy do omówienia.

Adrian skrzywił się, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

- Jakiegokolwiek by owe „sprawy” były, możecie je przedyskutować jutro, po ustaleniu szczegółów waszego ślubu. Do tego czasu, jak sądzę, oboje spędziliście aż nadto czasu na osobności, bez towarzystwa przyzwoitki.

Jeannette się obruszyła.

- Nie miałam przyzwoitki od czasu mojego pierwszego publicznego wystąpienia.

- Może to jest przyczyną kłopotów. Chodź, Jeannette. Zaprowadzę cię do twojego pokoju schodami dla służby, jako że wątpię, żebyś chciała wrócić na bal.

Poczuła, jak blednie, na myśl o plotkach, jakie musiały już krążyć wśród gości. Tak, może najlepiej będzie przekraść się do własnego pokoju. Skoro nie może porozmawiać z Darraghiem dziś wieczorem, złapie go jutro, wcześniej rano, zanim spotka się z Adrianem.

Wyprostowała wyzywająco ramiona i odwróciła się do Darragha.

Zniżyła głos do szeptu.

- Nie zgadzaj się na nic, dopóki nie porozmawiamy. Darragh rzucił

jej zagadkowe spojrzenie. Jego twarz złagodniała po chwili. Ujął ją za rękę, skłonił się i pocałował lekko jej dłoń.

- Nie bój się, *stoirin*. Wszystko się dobrze ułoży.

Spojrzała w jego oczy błękitne jak niebo latem i z całej duszy zapragnęła, aby miał rację.

Darragh zjawił się u Merriweatherów następnego dnia z wybiciem dziewiątej.

Ku jego zaskoczeniu książę wydał polecenie, aby zaprowadzono go niezwłocznie do małego gabinetu na tyłach domu. Pokój urządzony był w męskim stylu, wykończono go w ciemnym orzechu, i umeblowano paroma staromodnymi, ciężkimi meblami. Ściany zdobiły rysunki ptaków i dzikiej zwierzyny. Nie rozpalono na kominku. W powietrzu unosił się zapach zimnego popiołu, skóry i fajczanego dymu.

Nie zauważył śladu Jeannette, mimo ostrzeżenia, żeby nie rozmawiał z jej szwagrem, dopóki oni sami nie uzgodnią kilku rzeczy.

O czym mieliby dyskutować? Przyłapano ich w najbardziej kompromitującej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić. Najświętsza Panno, stał między jej nogami, szarpiąc guziki spodni, kiedy cały tłum ludzi znalazł się za jego plecami. Mógł się tylko domyślać, jak sprośny widok przedstawiali.

A to, czy rzeczywiście dokonali owego aktu, nie miało żadnego znaczenia, zwłaszcza biorąc pod uwagę to wszystko, co zrobili przedtem. Jeannette została publicznie zhańbiona, a on był przyczyną jej upadku. Chcąc nie chcąc, musieli się pobrać, żeby naprawić tę sytuację.

Byłby, zaiste, skończonym łajdakiem, gdyby postąpił inaczej. A w gruncie rzeczy, wcale nie miał ochoty się od tego wykręcać.

Zeszłej nocy, kiedy położył się do łóżka, przepełniony myślami o Jeannette i nieuchronnym małżeństwie, czekał na atak paniki.

Spodziewał się przerażenia, które przejmie lodem jego ciało na myśl o tym, że oto wiąże się na całe życie.

Ale nic takiego się nie stało.

Zamiast tego czuł dziwne zadowolenie, a nawet rodzaj nie-cierpliwego podniecenia, wiedząc, że wkrótce nieodwołalnie będzie należała do niego. Będzie jego żoną. Otoczy ją opieką i miłością przez resztę swoich dni.

A kiedy włoży obrączkę na palec, będzie mógł zaspokoić pragnienie, które dręczyło go, jakby był niedorostkiem, a nie dojrzałym mężczyzną. Nadal nie rozumiał, jak mógł do tego stopnia stracić panowanie nad sobą poprzedniej nocy. Tak bardzo jej pożądał, że zagłuszyło to rozsądek.

Może gdzieś w głębi duszy nie dbał o to, co się stanie, może chciał

zaryzykować, czymkolwiek to groziło, żeby tylko choć przez chwilę płonąć w ogniu jej dotyku.

Myślał o długim miesiącu miodowym, podczas którego oboje nie będą wychodzić z łóżka. Zakładając, że zdołają doprowadzić do ołtarza.

Mogła nie mieć w tej sprawie nic do powiedzenia, ale to nie oznaczało, że się podda bez walki.

Ale złoży przysięgę. Znajdzie jakiś sposób, żeby przełamać jej opór i stłumić wątpliwości.

Zaczął studiować tytuły książek na półce. Wkrótce potem otworzyły się drzwi.

Wszedł Raeburn - angielski dżentelmen w każdym calu - w eleganckich, jasnobrązowych spodniach, śnieżnobiałej koszuli i hiszpańskim, błękitnym kubraku. Ubranie było świetnie skrojone.

Weston, zapewne, jak przypuszczał Darragh.

On sam poświęcił dziś rano sporo uwagi swojemu strojowi, wkładając dobrze uszyte brązowe spodnie, złotą kamizelkę, białą koszulę i brązowy wełniany kubrak. W przeciwieństwie do księcia, nie zawiązał halsztuka pod szyją, nie mogąc znieść uczucia, że coś go dusi dwa dni pod rząd. Nienawidził tej części stroju i nosił ją tylko w wyjątkowych okolicznościach, takich jak wczorajszy bal. Zamiast halsztuka zawiązał na szyi białą chustkę.

Raeburn wkroczył do pokoju. Tym razem także nie wyciągnął ręki.

Darragh nie popełnił drugi raz tego samego błędu. Trzymał ręce luźno spuszczone przy bokach.

Szwagier Jeannette wydawał się człowiekiem surowym. Śmiertelnie poważnym i pełnym rezerwy.

- Cieszę się, że postanowił pan stawić się na tę rozmowę - zaczął

Raeburn. - Nie mając pojęcia, jakiego rodzaju jest pan człowiekiem, nie mogłem być pewien, czy pan przyjdzie.

Darragh się wyprostował.

- Jestem człowiekiem, który rozumie pojęcie honoru. A ponieważ nie wiem, jakiego rodzaju pan jest człowiekiem, wyjątkowo nie uznaję tego za obelgę. Przynajmniej tym razem.

W ciemnych oczach Raeburna błysnął cień uznania.

- Obaj wiemy, dlaczego pan tu jest, przypominanie szczegółów jest zbędne, biorąc pod uwagę okoliczności. Wystarczy powiedzieć, że to, co zobaczyłem zeszłej nocy, zostawiło w mojej pamięci obraz, który chciałbym wymazać jak najszybciej.

Książę podszedł do szerokiego, prostokątnego stołu, który stał w północnym końcu pokoju. Opierając się biodrem o krawędź, podniósł

szklany przycisk do papieru.

- A zatem przyjmuję, że chce pan postąpić, jak należy i poprosi pan o rękę mojej szwagierki?

- Tak, proszę o nią.

Raeburn bawił się, w zamyśleniu, przyciskiem do papieru, powoli przekładając kulę z ręki do ręki.

- Pomimo jej wybitnie niewłaściwego zachowania zeszłej nocy, to dama szlacheckiego rodu.

Darragh uśmiechnął się z ironią.

- To fakt, o którym przypomniała mi niejednokrotnie, odkąd się spotkaliśmy.

- W jaki sposób się poznaliście? Przypuszczam, że tutaj, na terenie majątku. Jest pan architektem Merriweatherów, jak rozumiem, i właśnie skończył pan budowę nowego skrzydła; godne podziwu dzieło, muszę przyznać.

Darragh przyjął komplement skinieniem głowy.

- Tak, nowe skrzydło to moje dzieło. A co do okoliczności poznania lady Jeannette, nie będę pana zanudzać. To prywatna sprawa.

Kula znieruchomiała w dłoni Raeburna.

- Zeszłej nocy nie była prywatna, oboje się o to postaraliście. Co postawiło nas wszystkich w obecnej, żalostnej sytuacji. W jaki sposób zamierza pan zapewnić utrzymanie mojej szwagierce?

Darragh nie spuścił oczu pod wpływem wyzywającego spojrzenia księcia.

- Nie zabraknie jej niczego, co potrzebne do życia, może się pan wyzbyć troski co do tego.

- Nie rzeczy niezbędne *per se* stanowią przedmiot mojej troski.

Jeannette nie przywykła, aby brakowało jej czegokolwiek. Wyrosła w luksusie, ciesząc się przywilejami swojej klasy i nie zna innego życia. To powiedziawszy, muszę oznajmić, że posag, jaki przeznaczył jej ojciec, będzie co najwyżej skromny, co być może rozczaruje pana, jeśli liczył

pan na co innego. Wightbridge to dżentelmen z krwi i kości, ale nieco zbyt swobodnie dysponuje pieniędzmi, jeśli wie pan, o czym mówię.

- Bywa na wyścigach i w salonach gier, czy tak?

- Poza innymi przyjemnościami, które mają to do siebie, że opróżniają człowiekowi kieszenie. - Raeburn westchnął i odłożył

przycisk na biurko. - Dlatego postanowiłem przeznaczyć dla lady Jeannette pensję, która zapewni jej wygodne, jeśli nie przesadnie luksusowe życie w przyszłości.

Księżę wymienił sumę. Darragh zdumiał się niepomiarowo i zaczął

się zastanawiać nad majątkiem Raeburna. Musiał być niezmiernie bogaty. Bogatszy nawet niż rodzina królewska, o ile to możliwe.



- Pensja, o której wspomniałem, będzie przekazywana pod pewnymi warunkami - ciągnął książkę. - Pieniądze będą wypłacane raz na pół

roku, a pan będzie miał nad nimi tylko nominalną kontrolę.

Ponadto, gdyby pan potrzebował odpowiedniego domu tutaj czy w Anglii, otrzyma pan fundusze na jego zakup czy budowę. Tytuł

własności będzie należał, rzecz jasna, do mnie i lady Jeannette.

- Oczywiście - wycedził Darragh przez zaciśnięte zęby, rozgniewany podejrzeniem, że mógłby przepuścić majątek przyszłej żony.

Wielu mężczyzn tak by jednak postąpiło, w tym, jak się wydaje, również ojciec Jeannette. Zmusił się do zachowania spokoju, zdając sobie sprawę, że książkę niewiele o nim wie. Raeburn starał się po prostu zapewnić, w najrozsądniejszy i najbezpieczniejszy sposób, byt swojej szwagierce. Na jego miejscu pewnie postąpiłby tak samo.

- Zostanie pan jej mężem - ciągnął książkę - i dzięki temu związkowi poprawi się pana sytuacja życiowa oraz zajmie pan wyższą pozycję w hierarchii społecznej. Mam wiele koneksji, z których będzie pan mógł

skorzystać w przyszłości, chociaż ze względów towarzyskich powinien pan raczej zrezygnować z zapłaty za swoją pracę. O ile lady Jeannette będzie dotrze traktowana, a małżeństwo udane, z latami może pan uzyskać jakiś pomniejszy tytuł. Szlachectwo czy tytuł baroneta wchodzi z pewnością w rachubę.

Darragh zakołysał się na piętach, urażony do głębi.

- To doprawdy wspaniała propozycja, wasza wysokość, choć w istocie jest zwykłą obelgą dla każdego mężczyzny, który zachował

resztkę dumy. Gdybym był szubrawcem, chętnym, żeby dobić takiego targu, lady Jeannette skończyłaby u boku marnego męża. Człowieka niewartego jej ręki. Tak więc dobrze się składa, że nie muszę korzystać z pańskiej propozycji.

Raeburn uniósł dumnie brwi.

- Nie musi pan? Być może uraziła pana moja oferta, ale wynika ona ze względów praktycznych. Chcę zapewnić Jeannette godne życie.

Według prawa żona to majątek ruchomy, cała jej własność przechodzi na męża w momencie zawarcia ślubu. Chcę tylko mieć pewność, że zarówno ona, jak i dzieci, które mogą zrodzić się z waszego związku, będą wiodły dostatnie życie.

- To również moje życzenie. Proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że posiadam środki więcej niż wystarczające na utrzymanie żony i dzieci, jeśli Bóg nas nimi pobłogosławi. Może jednak

powiniennem prosić o wybaczenie, na początku rozmowy się nie przedstawiłem.

Darragh zrobił dwa kroki do przodu.

- Zaczniemy od początku, dobrze, wasza wysokość? Nazywam się Darragh Roderick O'Brien i jestem obecnym księciem Mulholland.

Jedenastym z rządu, jeśli interesują pana liczby. Moja rodzina wywodzi się z rodu dzielnych kobiet i mężczyzn, któremu początek dał

największy irlandzki król, sam Brian Boru. Mam ziemię w hrabstwie Clare z wielkim domem niedaleko morza, który znajduje się w posiadaniu mojej rodziny zapewne dłużej, niż dom waszej wysokości. -

Wytrzymał spojrzenie Raeburna. - Ostatnią dekadę spędziłem, odbudowując majątek rodzinny, czego nie mam powodu się wstydzić.

Mam mnóstwo pieniędzy, więcej niż dość, żeby zaopatrzyć lady Jeannette w drogie suknie i jedwabną pościel do końca jej dni. Nie mogę zapewnić, jakim będę mężem, bo nigdy jeszcze nim nie byłem. Ale mogę powiedzieć, że wchodzę w to małżeństwo z chętnym sercem i myślę, że po pewnym czasie dama także spojrzy na nie inaczej.

- Jeśli to prawda - powiedział Raeburn - po co to oszustwo?

Dlaczego kazał nam pan wierzyć, że jest człowiekiem niskiego pochodzenia, którego wyróżnia jedynie talent projektowania i wznoszenia budynków?

Darragh w zakłopotaniu potarł szczękę palcem.

- No cóż, to wina Jeannette. Nieraz próbowałem jej powiedzieć, kim jestem, ale ona zawsze przerywa, zanim zdolałam dokończyć. Zrobiła to także zeszłej nocy. To uparta dziewczyna i myśli, co chce, więc pogodziłem się z tym.

Twarz Raeburna rozjaśniła się powoli. Parsknął śmiechem.

- Nie gniewa się pan zatem? - zapytał Darragh.

- Ani trochę. Dobrze jej tak, awanturnicy. Czyż nie będzie zaskoczona i zadowolona, kiedy dowie się prawdy? Darragh ponownie potarł szczękę.

- Wolałbym na razie nie mówić jej o tym, jeśli zechce pan zachować to w sekrecie. Może się myłę, ale jestem przekonany, że ona kocha mnie mimo mojego rzekomo nędznego pochodzenia. Chciałbym, aby dowiodła swej miłości, zanim się dowie, że będzie księżną, i to bogatą.

Parę tygodni powinno wystarczyć. Jak tylko przyzna, że żywi dla mnie ciepłe uczucia, natychmiast uspokoję ją co do innych rzeczy.

Książę uniósł wysoko brwi.

- To niebezpieczna gra. Co będzie, jeśli pan się myli?

Jeśli się myli? Darragh nie był pewien. Jedynie intuicja mówiła mu, że Jeannette czuje do niego coś więcej niż zwykłą namiętność. Z

pewnością musiała czuć więcej. Cóż innego niż rodząca się miłość mogło skłonić ją, żeby zeszłej nocy postawiła na szali swoje dobre imię? Żeby się zapomniała w jego ramionach?

Może jej zachowanie wynikało tylko z pożądania, ale nie sądził, aby tak było. Nie wierzył, aby kobieta z jej pozycją społeczną mogła być tak szalona, żeby narazić na niebezpieczeństwo własną przyszłość, o ile w grę nie wchodziło uczucie. Musiał się tylko przekonać, jak silne ono było.

Tak, powiedział sobie w duchu, odsuwając wątpliwości, ona mnie kocha. Musiał tylko sprawić, żeby się do tego przyznała.

- Nie, nie myślę się - oświadczył Raeburnowi z większą pewnością, niż naprawdę czuł. - A zatem, czy mam pańską zgodę na zachowanie tajemnicy, dopóki sam nie zdecyduję się jej wyjawić we właściwym czasie?

Książę uśmiechnął się szerzej; jego brązowe oczy lśniły wesołością.

- Oszukać Jeannette? Co za doskonałe odwrócenie sytuacji. Tak, w istocie, ma pan słowo i zgodę na ślub, przyjmując, że nie zdecydował się pan jednak uciec.

- Ani trochę. Okoliczności mogły mnie do tego zmusić, ale los działa cuda w przedziwny sposób. Nawet gdyby ślub nie był koniecznością, i tak pragnąłbym się z nią ożenić.

- W takim razie - powiedział Raeburn, wyciągając rękę - witam w rodzinie, lordzie Mulholland.

- Darragh, wasza wysokość. Wystarczy po prostu Darragh.

Wyglądasz pięknie.

Jeannette nie odpowiedziała na uwagę siostry i ledwie zwolniła kroku, chodząc tam i z powrotem po wąskim holu kościelnym. Zerknęła na suknię, strój, który w pewien sposób odegrał swoją rolę w doprowadzeniu jej do tego zdumiewającego wydarzenia.

To była suknia, którą Darragh dał jej parę tygodni wcześniej, i którą mu zwróciła.

Przed kilkoma dniami Darragh ponownie podarował jej tę suknię, tym razem jako prezent ślubny, prosząc, aby zechciała włożyć ją na ceremonię.

Zaskoczona, dała się opanować nieoczekiwanemu wzruszeniu - co ostatnio przytrafiało jej się dość często - i wyszeptała: „tak”.

I była to śliczna suknia ślubna. Delikatny różowy jedwab układał

się, jakby uszyto ją specjalnie dla niej, a pasmo wyhaftowanych białych róż i zielonych listków nadawało jej romantyczny wdzięk.

Gdyby tylko dzisiejsza uroczystość należała do radosnych.

Jeannette potrząsnęła rękami w zdenerwowaniu.

- Och, co ja mam robić?

Violet zamknęła niespokojne ręce siostry w swoich własnych.

- Musisz zrobić to, czego wymaga sytuacja. Za parę minut ruszysz nawą kościelną do ołtarza i poślubisz pana O'Briena. To - wszystko, co możesz i musisz zrobić. Nie ma innej możliwości.

Żadnej innej możliwości.

Te słowa zabrzmiały w jej uszach jak lament pogrzebowy. Przez ostatnich pięć dni, odkąd złapano ich z Darraghiem w oranżerii, usiłowała wymyślić coś; żeby uniknąć tego małżeństwa. Jednak dni mijały jeden za drugim, a nic nie przychodziło jej do głowy, z każdym wschodem słońca ogarniała ją coraz większa panika.

Rodzina nie stanowiła dla niej żadnego wsparcia.

Darragh i Adrian wyszli z gabinetu, uśmiechając się i gawędząc jak najlepsi przyjaciele. Najpierw się zdziwiła, potem zirytowała. Jak to się stało, że tak szybko powstała między nimi taka zażyłość? Czy Adrian nie dbał o to, że Darragh pochodzi z ludu? Chyba nie zależało mu na tym, żeby przyjąć do rodziny architekta Merriweatherów?

Wyglądało jednak, że tak jest w istocie.

Violet, Kit i Eliza Hammond zostali przedstawieni Darraghowi.

Czuli się początkowo niezręcznie, ale wkrótce poddali się jego urokowi.

Pod koniec pierwszego popołudnia miało się wrażenie, że jej ślub z Darraghiem wynika raczej z wyboru niż z konieczności. Tylko ona, kuzynka Wilda i kuzyn Bertie byli nastawieni mniej niż entuzjastycznie.

Merriweatherowie, w gruncie rzeczy, nie mogli znieść jej widoku, zwłaszcza kuzyn Cuthbert, który czerwienił się za każdym razem, gdy znalazła się w pobliżu. Wilda starała się być uprzejma, ale zwykle ciepło, jakie okazywała przedtem Jeannette, znikło.

Jakże mogłaby mieć do nich pretensje? Postawiła rodzinę w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji. I choć jej dobre imię zostanie uratowane dzięki ślubowi, smakowite szczegóły skandalu pozostaną na długo w pamięci miejscowych. Rzeczywiście na długo, jako że - inaczej niż w Londynie - tak wielkie skandale na wsi zdarzały się rzadko.

Co do niej i Darragha, ledwie zdołali wymienić parę słów. Jej plan, żeby porozmawiać z nim, zanim zdąży się rozmówić z Adrianem, spalił

na panewce. Betsy pozwoliła jej zaspać! Do czasu, kiedy się ubrała i zbiegła na dół, było za późno, obaj mężczyźni znajdowali się już w gabinecie.

Czekała potem, spodziewając się, że Darragh będzie chciał z nią porozmawiać na osobności. Przyszedł jednak dopiero wtedy, kiedy była w towarzystwie siostry i Elizy.

- A zatem się pobierzemy - oznajmił, jakby fakt ten nie podlegał

żadnej dyskusji. Chciała się sprzeciwić, ale nie odważyła się tego zrobić w obecności innych. Zanim zdążyła się ich pozbyć, Darragh oświadczył, że wyjeżdża natychmiast do Dublina, gdzie ma do załatwienia sprawy urzędowe. Ślub odbędzie się, jak tylko wróci.

Nie podobał jej się ten pośpiech, ale pozostali stwierdzili zgodnym chórem, że ona i Darragh powinni pobrać się bez zwłoki. W innym wypadku cała sytuacja wywołałaby tylko więcej plotek. Tak więc stała oto w sukni ślubnej, czekając, aż połączy się nieodwołalnie węzłem małżeńskim z mężczyzną, którego nigdy nie zamierzała poślubić. Nawet jeśli ów mężczyzna każdym dotykem sprawiał, że jej serce biło szybciej i uginały się pod nią nogi. Nawet jeśli wywoływał w niej skrajne uczucia, doprowadzając ją do szaleństwa, żeby w następnej chwili rozbawić do łez. Zdawała sobie sprawę, że życie z nim nie będzie łatwe. Ale również nie mogło być nudne.

Violet spojrzała na nią znacząco, tak jakby potrafiła czytać Jeannette w myślach - co mogło nie odbiegać daleko od prawdy, skoro były bliźniaczkami.

- Jest oczywiste, że żywisz serdeczne uczucia wobec pana O'Briena, biorąc pod uwagę przyczynę pośpiesznych zaślubin. A on, pomimo pożałowania godnych okoliczności, w jakich go poznaliśmy, wydaje się dobrym człowiekiem. Adrian zapewnił mnie, że wywarł na nim jak najbardziej korzystne wrażenie.

- Może i tak, ale to nie Adrian ma za niego wyjść. To nie on będzie musiał porzucić rodzinę oraz przyjaciół i przenieść się na pogranicze.

- Irlandia ma pogranicze? - zapytała Violet z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Ma! O'Brien planuje zabrać mnie na miesiąc miodowy do swojego domu w zachodniej dziczy. Nawet kuzynka Wilda powiada, że to dzika, niecywilizowana kraina, gdzie połowa ludności nie mówi po angielsku.

A miałam wrócić z wami do domu, do Surrey!

Bliźniaczka posłała jej smutne spojrzenie.

- Och, Violet, ten ślub nie może się odbyć - powiedziała Jeannette, pozwalając, aby siostra dostrzegła niepokój w jej oczach i usłyszała go w głosie. - Musisz mi pomóc. Musimy znaleźć sposób, żeby odwlec ślub, dopóki nie zawiadomimy mamy i papy. Z pewnością zechcą mi pomóc, kiedy się dowiedzą, co się dzieje. Wymyślą coś, żeby naprawić sytuację innymi środkami.

Spojrzała w dół, na śnieżnobiały satynowy pantofelek.

- Wiem, że znowu ściągnęłam na nich niesławę, na nas wszystkich, ale to nie tylko moja wina. Darragh mnie uwiódł. Ja... ja nie zdawałam sobie sprawy, do czego może doprowadzić zwykły pocałunek, zanim nie było za późno.

Siostra położyła dłoń na wystającym brzuchu.

- A zatem twierdzisz, że to człowiek nieuczciwy?

- Nie, twierdzę, że jest... - Urwała, nie wiedząc dokładnie, co właściwie chce powiedzieć. Przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło i ciągnęła dalej. - Ma w sobie coś takiego, że dziewczyna traci głowę. To on się do mnie zbliżył w pomarańczami. Nie rozumiem, dlaczego miałabym wziąć na siebie całą winę.

- Kobiety zawsze zmuszone są ponosić odpowiedzialność, kiedy chodzi o sprawy cnoty i skromności. Ciesz się, Jeannette, że jest człowiekiem honoru i chce cię poślubić, aby ratować twoją reputację. -

Violet zawahała się, na jej czole pojawiła się lekka zmarszczka. - Chyba że mówiąc „uwiódł”, miałaś na myśli „zmusił”. Nie zmusił cię do tego, prawda?

To był sposób, uświadomiła sobie Jeannette, żeby zyskać współ-

czucie i wsparcie siostry. A dzięki temu, wolność. Jeśli Violet uwierzy, że Darragh chciał ją zgwałcić, nic nie powstrzyma jej przed opowiedzeniem się po stronie bliźniaczki. Sprzeciwi się temu małżeństwu.

A jednak w chwili, kiedy otworzyła usta, żeby skłamać, zawahała się, nie mogąc wydobyć głosu. Bez

względu na wady, niezależnie od tego, jaki był uparty i bezczelny, Darragh O'Brien nie był mężczyzną, który musiałby narzucać się kobietom siłą.

Nie było takiej potrzeby. Mężczyźni tacy, jak O'Brien przyciągali kobiety tak, jak kwiaty przyciągają pszczoły. Podejrzewała, że nawet gdyby stał w milczeniu w szczerym polu, jakaś powabna panna zaraz znalazłaby się obok, uśmiechając się zachęcająco.

Poza tym, był zbyt uczciwy i dobry, żeby skrzywdzić kogoś słabszego od siebie, czy to kobietę, dziecko, czy zwierzę.

Byłby głęboko zraniony, pomyślała, wyobrażając sobie szok i rozczarowanie, jakich by doznał, gdyby ogłosiła wszem wobec, że usiłował ją zgwałcić. Gdyby dopuściła się tak okropnego kłamstwa, sumienie nie dałoby jej spokoju do końca życia. Choć bardzo nie chciała tego związku, nie mogła uciec się do takiej niegodziwości.

Zgarbiła się.

- Nie, nie zmusił mnie do niczego. Zrobiłam to z własnej woli.

- A zatem obawiam się, że nic nie można na to poradzić. Sądzę, że powinniśmy zająć się uroczystością.

- Ale co z mamą i papą? Wydaje się właściwe, żeby zasięgnąć ich opinii, zanim podejmę tak istotny krok w moim życiu. Powinniśmy odłożyć uroczystość i wrócić do Anglii, tak jak planowaliśmy.

Przedstawię im swoją sprawę. Mogłabyś mi pomóc. Raz cię posłuchali.

Jestem pewna, że drugi raz też by ci się powiodło.

Na twarzy Violet pojawił się wyraz rezygnacji.

- Niestety, jestem przekonana, że tym razem by się nie udało. Nie masz pojęcia, ile musiałam włożyć starań, żeby ich przekonać, aby pozwolili ci wrócić do domu. A teraz, po tym nowym skandalu... Och, Jeannette, to po prostu niemożliwe. Gdybyś nie wróciła do domu jako mężatka... cóż, przykro mi to mówić, ale rodzice mogliby cię wydziedziczyć.

Jeannette wciągnęła gwałtownie powietrze, po czym natychmiast się opanowała.

- Nie zrobiliby tego, nie mów głupstw. Mama i papa zawsze mnie rozpieszczali, wiesz o tym lepiej, niż ktokolwiek inny. Przesadzasz i tyle.

- Nie przesadzam. Papa pomstuje i narzeka na wszystko, więc trudno mi ocenić, co naprawdę myśli. Ale co do mamy, cóż, nigdy nie widziałam jej w takiej rozpacz, jak wtedy, gdy wyszła na jaw prawda o tym, co zrobiłyśmy. Od tamtej pory nie jest już taka sama. Zawiadomić ją, że wyszłaś za mąż za człowieka bez majątku, będzie trudno, ale powiedzieć jej, że zostałaś zhańbiona i nie zamierzasz poślubić mężczyzny odpowiedzialnego...

Violet przerwała, drżąc lekko.

- Przykro mi, ale musisz wyjść za pana O'Briena i starać się być szczęśliwą, na tyle, na ile się da. Nawet gdybym chciała, tym razem nie możemy się zamienić. Nie ma też możliwości ucieczki w ostatniej chwili.

Jeśli go nie poślubisz, nieodwołalnie ściągniesz hańbę na nasze rodziny.

Hańbę, przed którą ani Adrian, ani ja nie będziemy w stanie cię chronić, zwłaszcza że sami niedawno przeżywaliśmy trudne chwile. Gdyby cię odrzucono - ciągnęła Violet - nie wiem, co by się z tobą stało. Mogłabyś, jak sądzę, z nami mieszkać, gdyby Adrian się zgodził. W innym wypadku musiałabyś sama o siebie zadbać i tego się boję. Nikt nie przyjąłby cię w charakterze guwernantki ani damy do towarzystwa.

Jeannette parsknęła cicho.

- Wcale bym tego nie chciała.

- Ale nie miałabyś żadnego wyboru! Może nawet musiałabyś zostać... - Violet urwała, wyraźnie strapiona.

- Czyjaś kochanką, czy to chciałaś powiedzieć? Siostra spojrzała jej w oczy ze smutkiem i powagą.

- Pogódź się z losem, Jeannette, i staraj się być szczęśliwa. Kiedy zostaniecie mężem i żoną, myślę, że możesz być zaskoczona tym, jak dobrze będzie się wam układać.

- A jeśli nie? - Jeannette poczuła, jak wnętrzości skręcają jej się na myśl o tym. W gruncie rzeczy ona i Darragh niewiele wiedzieli o sobie i jeszcze mniej ich łączyło. A jeśli te różnice się pogłębią, zamiast zniknąć, kiedy zwiążą się ze sobą na całe życie?

Wypowiedziała swoje obawy na głos.

Wargi Violet wygięły się w lekkim uśmiechu.

- Ach, jest w was prawdziwa namiętność, coś, czym niewiele par może się pochwalić, zwłaszcza tych z naszej sfery. I to jego spojrzenie, kiedy na ciebie patrzy, gdy wydaje mu się, że tego nie widzisz.

- Jakie spojrzenie? - zapytała Jeannette, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Jest w nim tęsknota i miłość. Jakby patrzył na największy skarb.

Może sama byś go nie wybrała, ale spędzisz z nim resztę życia. Daj temu związkowi szansę i pozwól mu uczynić cię szczęśliwą.

- Możliwe, że ja i Darragh będziemy się nawzajem doprowadzać do rozpacz i stanę się tak nieszczęśliwa, jak nigdy w życiu.



Violet westchnęła.

- Modlę się, aby było inaczej. Ale jeśli się wam nie ułoży, wiedz, że możesz zwrócić się do mnie. W przeszłości padały między nami złe słowa, ale jesteś moją siostrą. Zależy mi na tobie, nawet jeśli sprawiasz, że czasami mam ochotę cię udusić.

Jeannette, głęboko wzruszona, spojrzała bliźniacze prosto w oczy.

W porywie uczucia objęła Violet i pocałowała ją w policzek, czego nie robiła od czasów dzieciństwa.

Violet, zaskoczona, znieruchomiała na chwilę, po czym odwzajemniła uścisk, niepomna wielkiego brzucha.

Odsunęły się od siebie.

Violet wygładziła zieloną spódnicę.

- Czy mogę zawiadomić wszystkich, że jesteś gotowa? Za pięć minut, powiedzmy?

Jeannette znowu poczuła ściskanie w gardle. Starając się oddychać głęboko, skinęła głową.

Violet kiwnęła głową w odpowiedzi i ruszyła do drzwi.

Stojąc bez ruchu, Jeannette zdała sobie sprawę z tego, że jej serce bije coraz szybciej i że ogarnia ją panika. Pięć minut do rozpoczęcia uroczystości. Za kwadrans będzie panią O'Brien. Na zawsze razem, póki ich śmierć nie rozłączy.

Przycisnęła rękę do piersi, usiłując się uspokoić. Małżeństwo z O'Brienem nie będzie takie złe. Jest przynajmniej przystojny i zapewne potrafi sprawić jej przyjemność w łóżku.

Jakie miało znaczenie, że pochodził z innego świata, z innej sfery niż ona? Dlaczego miałyby się bać, że zabierze ją w irlandzką dzicz, daleko od wszystkich i wszystkiego, co kiedyś znała? Albo martwić się tym, że może już nigdy nie zobaczy Londynu, a jeśli tam wróci, przyjaciele mogą odwrócić się od niej jak od obcej?

Zamierzała poślubić bogatego, utytułowanego mężczyznę. Chciała wyrzec się miłości w zamian za bezpieczeństwo i przyjemności, jakie niesie bogactwo. Darragh nie mógł ofiarować jej nic takiego.

Co będzie, jeśli nie da jej nawet miłości?

Ogarnął ją chłód.

Co będzie, Boże broń, jeśli się w nim zakocha i w końcu zostanie z niczym, pozbawiona nawet jego afektu? Jeden mężczyzna ją zdradził.

Dlaczego inny nie miałby tego zrobić? Darragh?

Oddychając nerwowo, przystąpiła do działania. Przeszła przez pokój, zamknęła drzwi na klucz, zdając sobie sprawę, że nie ma chwili do stracenia.

Odziany z okazji ślubu w elegancki ciemnoniebieski frak i jas-noszare bryczesy zapinane poniżej kolan, Darragh stał przy ołtarzu, czekając na pannę młodą.

Przyjaciel, Lawrence McGarrett, stał u jego boku. Powróciwszy z Dublina, Lawrence zgodził się zostać jego drużbą - kiedy otrząsnął się z szoku po usłyszeniu niezwykłych wieści.

- Miejmy nadzieję, że ona nie jest jak te owady, które odgryzają głowę partnerowi w trakcie miłosnego aktu - stwierdził zaniepokojony. -

Inaczej wkrótce stracisz swoją, i to z winy angielskiego zabójcy.

Darragh roześmiał się, poklepał przyjaciela po ramieniu i zapewnił, że nie ma się czym martwić. Ale tutaj, w kościele, nie mógł się pozbyć zdenerwowania i niepokoju. Nie bał się małżeństwa z Jeannette, ale tego, że w ostatniej chwili dziewczyna może zmienić zdanie.

Ruch w westybulu przyciągnął jego uwagę. Patrzył, jak siostra Jeannette kroczy dostojnie nawą w szerokiej zielonej sukni. Księżna zawiadomiła wszystkich, że Jeannette będzie gotowa lada chwila.

Następnie pozwoliła mężowi posadzić się w drewnianej ławce z przodu

- między lordem Christopherem a Elizą Hammond.

Jako najważniejsza drużna, Violet miała podnieść się z chwilą, gdy Jeannette pojawi się w drzwiach, żeby jej asystować. Raeburn z kolei, zgodził się zastąpić ojca panny młodej. Darragh rozumiał wahanie księcia, który czuł się nieco niezręcznie w związku z tym, co go kiedyś łączyło z Jeannette.

Darragh był wściekły, kiedy w końcu poznał szczegóły skandalu, w wyniku którego wysłano Jeannette do Irlandii. Gałą historię wyrzucił

z siebie zeszłej nocy nad szklaneczką irlandzkiej whisky Kit Winter.

O'Brien nie mógł opanować zazdrości, aż w końcu zrozumiał, jakim jest głupcem. Było jasne, że Raeburn uwielbia żonę i tylko ona się dla niego liczy. Jasne było również, że Jeannette nie żywi dla księcia żadnych romantycznych uczuć. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że porzuciła go przy ołtarzu, oszukując wszystkich i przekonując siostrę, żeby się z nią zamieniła.

Żałował, że jego rodzina - trzech braci i trzy siostry - nie może tu być razem z nim. Mary Margaret, która miała dwadzieścia sześć lat -

najstarsza z sióstr - sama była zamężna i miała czwórkę dzieci. Ona najbardziej poczuje się dotknięta, że nie włączono jej do dzisiejszej uroczystości, ponieważ przywiązywała ogromną wagę do wszelkich rytuałów i tradycji. Cóż, to da jej dodatkowy pretekst, żeby wydać *ceili*, kiedy już dojdzie do siebie. Wielka, huczna irlandzka zabawa to znakomita okazja, żeby naprawić stosunki w rodzinie.

Jednak nawet gdyby zdołał powiadomić ich na czas, nie mógł

ryzykować, że pojawią się w kościele. Polegał na dyskrecji księcia i nie musiał się teraz martwić, że ktoś z jego rodzeństwa wygada się, zdradzając jego tożsamość. Przyjmując, że w ogóle zgodziliby się zachować milczenie w tej kwestii.

Zerknął na Merriweatherów, którzy siedzieli wyprostowani i lekko naburmuszeni za krewnymi. Tylko oni go niepokoiли, nie sądził jednak, żeby wiedzieli o jego tytule, bo inaczej Jeannette też by go znała. Kiedy podejmował się odbudowy zniszczonego skrzydła, ani Cuthbert, ani jego żona nie pytali go o takie sprawy. A ponieważ tytuł książęcy nie miał nic wspólnego z zadaniem, jakie miał wykonać, nigdy mu nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć o swoim pochodzeniu. Sądził, że Merriweatherowie wiedzą, że wywodzi się z dobrej rodziny, mieszkającej na zachodzie kraju, ale niewiele więcej. Cieszył się teraz, że nie miał sposobności, żeby im opowiedzieć o swoich koneksjach.

Udzieli swojej żonie paru lekcji. Nauczy ją rzeczy, jakich nie mogłaby się nauczyć jako rozpieszczana żona arystokraty.

Poprawił kamizelkę, patrząc, jak Raeburn znika w westybulu, żeby przyprowadzić szwagierkę i towarzyszyć jej do ołtarza. Już za chwilę razem z Jeannette zaczną składać śluby.

Nagle Darragh poczuł mrowienie na karku, które rozeszło się po całym ciele jak wysypka. Znał to uczucie - pojawiało się, kiedy coś niedobrego miało się wydarzyć.

Pierwszy raz doznał go jako chłopiec tuż przed tym, jak jego młodszy brat, Michael, spadł z cisu i złamał sobie rękę w dwóch miejscach. Innym razem, wiele lat później, kiedy wędrował nocą opustoszałą ulicą Dublina. Kiedy minął róg, napadli go złodzieje.

Mrowienie ostrzegło go parę chwil przedtem i zapewne uratowało go przed ciosem noża między żebra.

Dlaczego pojawiło się teraz? Z pewnością nikt w kościele nie zamierzał go zaatakować, ani też nikomu nie groził upadek z drzewa.

Spojrzał wzdłuż nawy w stronę szerokich drewnianych drzwi i kamiennego przedsionka za nimi. Pomyślał o pokoiku, gdzie Jeannette przygotowywała się do ślubu, i szyja zaczęła go piec.

W chwilę później pojawił się, z wyraźną zmarszczką na patrycjuszowskim czole, Raeburn. Bez Jeannette. Darragh ruszył instynktownie ku niemu.

Wszystkie spojrzenia podążyły za nim.

- Co się dzieje? - zapytał, gdy tylko zrównał się z Raeburnem.

- Zamknęła drzwi na klucz i odmawia wyjścia. Próbowałem z nią rozmawiać.

- I?

- Kazała mi odejść. Powiada, że wyjdzie, kiedy będzie gotowa i ani chwili wcześniej.

- Może ja powinienem zamienić z nią słowo.

- Lepiej poprosić o to moją żonę. Nie podoba mi się, że te dwie znowu zaczną się naradzać, ale jaka szkoda może z tego wyniknąć?

Nawet gdyby Violet nie obiecała mi, że będą rozsądne, i tak nie wpadną na żaden szalony pomysł. Violet prawdopodobnie zdoła przemówić jej do rozumu. Poza tym Jeannette w końcu będzie musiała wyjść z tego pokoju. Jest tylko jedno wyjście.

Czyżby? - zastanowił się Darragh.

Mrowienie na karku się nasiliło.

Ruszył, zanim zdał sobie sprawę z tego, co chce zrobić. Zostawił z tyłu zdumionego Raeburna. Zamiast jednak skierować się w stronę zakrystii, gdzie się zamknęła Jeannette, pośpieszył na zewnątrz. Szybko zbiegł po kamiennych schodach. Wilgotne źdźbła trawy kładły się pod jego eleganckimi pantoflami. Szedł, kierowany instynktem.

Jeannette wisiała w oknie, połowę ciała mając na zewnątrz, wysoko nad ziemią. Sądziła, że to dobry pomysł - tylko jeden niegroźny skok dzielił ją od wolności.

Jednak po bliższym przyjrzeniu się, ów skok okazał się ryzykowny; przestrzeń pod oknem jawiła się jako wielka, niebezpieczna przepaść. Skok mógł się skończyć co najmniej zwicnięciem kostki.

Skrzywiła się na tę myśl. Nie znosiła bólu i go unikała. Nawet coś tak nieznacznego, jak zacięcie kartką papieru potrafiło zepsuć jej humor na kilka dni.

Nie mogła jednak tkwić tu w nieskończoność, nie z Adrianem czekającym po drugiej stronie drzwi i żądającym, żeby go wpuściła.

Musiała podjąć ryzyko i skoczyć, albo wciągnąć się z powrotem do pokoju, otrzepać spódnice, otworzyć drzwi i pogodzić się z losem.

Przyjmując, że w ogóle miała siłę podciągnąć się w górę. Ramiona drżały jej z wysiłku. Serce biło jak u spłoszonego ptaka, a kamienny parapet wpijał się w brzuch.

Och, co robić? - jęczała w duchu. Narazić się na niebezpieczeństwo czyhające w dole, czy też to, które czekało wewnątrz kościoła?

Wciąż łamała sobie głowę nad tym dylematem, kiedy szeroka męska dłoń objęła ją za kostkę. Pisnąwszy z zaskoczenia, machnęła stopą.

Uścisk się wzmocnił.

Pisnęła znowu. Ręce wsunęły się wyżej, chwyciły jej uda tuż poniżej bioder.

- Chodź, dziewczyno. Odepchnij się, to cię złapię. Wykręciła głowę, usiłując spojrzeć w dół.

- O'Brien?

- Nikt inny. Kto, jeśli nie ja, twoim zdaniem, mógłby dotykać cię w sposób tak poufały?

- Gdybym była pewna, nie pytałabym.

- Cóż, teraz, kiedy rozwiązaliśmy zagadkę mojej tożsamości, lepiej zejść na dół. Odnoszę wrażenie, że nie jest ci zbyt wygodnie.

Do diabła z nim, zakłęta po cichu. Nie tylko ją znalazł, zanim zdążyła uciec, ale złapał ją na tym. Mogła sobie tylko wyobrazić, jaki tworzyła obrazek, wisząc z wyeksponowanym siedzeniem z kościelnego okna!

Chciałaby podciągnąć się na parapecie i wsunąć z powrotem do zakrystii, ale nie miała dość siły. Musiała mu pozwolić postawić się na ziemi.

- Jesteś pewien, że mnie nie upuścisz? - zapytała zdenerwowanym głosem.

- Chyba tak.

- To nie brzmi pocieszająco.

- Zaufaj mi, dziewczyno. Trzymam cię mocno.

Owszem, przyznała w milczeniu, aż nadto świadoma jego wielkich, silnych dłoni na swoim ciele. Zsuwając się ostrożnie z parapetu, zamknęła oczy. Żołądek podskoczył jej do gardła, kiedy leciała w dół.

Potem znalazła się w jego ramionach, z plecami przyciśniętymi do jego piersi. Szeroka dłoń przesunęła się wzdłuż jej ciała, zatrzymując na krótką chwilę na jej piersi. Postawił ją na ziemi.

Czuła mrowienie w całym ciele, piersi jej nabrzmiały - miała nadzieję, że tego nie zauważył.

- Możesz mnie teraz puścić - powiedziała, kiedy nie uwolnił jej z objęć.

- Ale czy powinienem? - szepnął jej do ucha. - Dokąd się wybierałaś, *a ghra*?

Wymówione ciepłym, głębokim głosem, te słowa brzmiały niemal jak pieszczota. Zastanowiwszy się jednak, uznała, że to raczej przekleństwo. Chociaż nie wydawał się rozgniewany. W jego głosie była czułość, nawet zrozumienie.

Ale z pewnością musiał być zły. Jak mogłoby być inaczej, skoro złapał ją w trakcie ucieczki, kiedy usiłowała uniknąć ślubu? Chciała się odwrócić, żałując, że nie widzi wyrazu jego oczu, ale trzymał ją mocno, wciąż przyciśniętą do niego plecami.

- Ja... nie wiem - wyznała z niespodziewaną szczerością.

- Nie wiesz? A zatem byle dalej stąd, czy tak? - Tak.

O Boże. Miał rację. Nie miała żadnego planu, działała wyłącznie pod wpływem odruchu, ze strachu. Gdyby powiodła jej się ucieczka i zdołałaby uciec, dokąd by poszła? Z pewnością nie mogłaby wrócić do domu kuzynów ani do domu rodziców, jeśli Violet mówiła prawdę.

Ciotka Agata także by jej nie przyjęła, a co do Violet i Adriana... cóż, dość jasno przedstawili swoje oczekiwania.

Po zastanowieniu stwierdziła, że nie ma nikogo. Nikogo, poza Darraghiem O'Brienem. Opuściła ramiona.

Jakby wyczuwając jej nastrój, odwrócił ją delikatnie. Przesunął

palcem po wypukłości jej policzka.

- A więc tyle bólu sprawia ci myśl, że będziesz moją żoną?

Przełknęła z trudem ślinę.

- Nie, ale pod wieloma względami ty i ja wciąż jesteśmy sobie obcy. Co tak naprawdę wiemy o sobie?

Uśmiechnął się leciutko.

- Sądzę, że więcej niż sobie wyobrażasz. Po ślubie będziemy mogli uczyć się siebie nawzajem, a to tylko doda smaku naszemu życiu.

- A co, jeśli doda zgryzoty i żalu?

- Postaramy się, żeby tak się nie stało. - Cofnął się o krok i wy-ciągnął rękę. - Lady Jeannette Rose Brantford, czy wejdiesz do kościoła, uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Spojrzała na jego rękę. Silna, pewna, wytrzymała. Zdolna pracować i tworzyć. Zdolna pokonać trudności. Kobięcie mogłoby się przytrafić coś znacznie gorszego niż małżeństwo z takim mężczyzną.

Zadrżała, wyobrażając sobie ich przyszłe życie. Ale też nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Położyła dłoń w jego dłoni, mówiąc:

- Tak.

Spędzimy noc tutaj, a rano wyruszymy do domu - powiedział

Darragh, prowadząc żonę po schodach, do salonu Lawrence'a McGarretta.

Jeannette popatrzyła na przyjemne wnętrze, na wygodne krzesła hepplewhite z orzechowego drzewa i obitą brązową skórą sofę w tym samym stylu. Po bokach sofy stały inkrustowane stoliki z lśniącego żółtawego drewna, sprowadzanego z Indii Wschodnich. Wysoka szafka stała z boku, naprzeciwko dużego kominka. Na ścianach w kojącym kolorze błękitu wisiały spokojne, pastelowe obrazki.

Miała nadzieję, że otoczenie wywrze dobroczynny skutek na jej stargane nerwy. Zaczęła ściągać rękawiczki.

- A gdzie znajduje się twój dom, poza tym, że na zachodzie?

- Nasz dom - poprawił z czułym uśmiechem. - Przy ujściu Shannon, tam gdzie rzeka wpada do morza. To niezwykle piękne miejsce. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Miejmy nadzieję - szepnęła cicho. Podeszła do sofy i osunęła się na poduszki, które okazały się zaskakująco wygodne. Złożyła ręce na kolanach. - A zatem to jest dom pana McGarretta? Twojego drużby, tego z rudymi włosami?

- Tak, tego. Mieszkałem u niego, gdy pracowałem dla twoich kuzynów. Lawrence wyjechał na dzisiejszą noc, żebyśmy mogli być sami.

Poczuła coś, jakby motyle skrzydła poruszyły się w jej żołądku. -

Jakie to uprzejme.

- To cały Lawrence. Zawsze chętny do pomocy.

- Wydawał mi się raczej surowy.

Podczas weselnego śniadania zachowywał się uprzejmie, ale mało się odzywał - przynajmniej do niej. Z pozostałymi gośćmi rozmawiał

przez cały czas, a Kita Wintera zabawiał jedną skandaliczną historyjką po drugiej.

Darragh się zmieszał.

- Nie myśl o nim. Język czasem mu się plącze przy dziewczętach, zwłaszcza tak pięknych, jak ty.

Podszedł do niej, pochylił się i, ujmując jej dłoń, przycisnął ją do ust. Zły humor zaraz ją opuścił.

- Nie wydaje mi się, żeby był nieśmiały - zauważyła, ale potem uznała, że trzeba przyjąć wyjaśnienie Darragha, choćby nawet nie odpowiadało prawdzie. Jeśli Lawrence McGarrett nie lubił jej,

ponieważ była Angielką i poślubiła jego przyjaciela, to jego sprawa i niczyja inna.

Nie będzie sobie dłużej zaprzętać tym głowy.

- Przynajmniej dom ma wygodny, choć raczej mały. - Chata myśliwska jej ojca była większych rozmiarów, ale po ślubie z O'Brienem nie powinna chyba wybrzydzać w materii domów i mieszkań.

Obracając szeroką złotą obrączkę na trzecim palcu lewej ręki, zastanawiała się, jaki będzie ich dom.

- Co chciałabyś robić? - zapytał. Podniosła głowę.

- Robić?

Zerknęła na zegar na kominku, stwierdzając, że jest wpół do czwartej. Powinni byli z Darraghiem zostać dłużej na przyjęciu, ale gdyby państwo młodzi zostali zbyt długo z gośćmi, wydałoby się to dziwne.

Już wcześniej pożegnała się z rodziną, wiedząc, że rano wyjedzie i zobaczy ich zapewne po długim czasie. Wśród łez i uścisków, wręczyła Violet list do rodziców, w którym błagała o przebaczenie i prosiła o błogosławieństwo dla swojego pośpiesznie zawartego małżeństwa.

Odszukała również Wildę i Cuthberta, żeby im podziękować.

- Wy dwoje to najlepsze, co mnie spotkało w Irlandii - oznajmiła, po czym przestraszyła Wildę, zarzucając jej ręce na szyję. Po dłuższej chwili starsza kobieta odwzajemniła uścisk z serdecznością. Zanim się odsunęły od siebie, pocałowała ją jeszcze ciepło w policzek.

- Bądź szczęśliwa, moja droga - powiedziała kuzynka, poklepując jej dłoń. - Napisz i daj znać, jak sobie radzisz.

Jeannette skinęła głową, głęboko wzruszona.

- Obiecuję.

Miała nadzieję, że będzie szczęśliwa - rzucona na głęboką wodę z Darraghiem jako jedyną kotwicą. Jej przyjazd do Irlandii przed paroma miesiącami wydawał się przerażający. Tym razem było gorzej, gdyż nie mogła się już spodziewać powrotu do domu.

Zadrżała, wdzięczna, że będzie miała przynajmniej Betsy. Może to uczyni zmianę mniej straszną.

- Może jesteś głodna? - zapytał Darragh. - Wypiłabyś filiżankę herbaty?

Położyła dłoń na brzuchu.

- Nie, nie mogłabym już przełknąć ani kęsa. - Inaczej, pomyślała, zrobiłoby jej się niedobrze. - Po śniadaniu i torcie jestem bardziej niż najedzona. - Umilkła. - Ale jeśli masz ochotę na herbatę, zadzwonię na służbę.



- Nie - powiedział, nie pozwalając jej się podnieść. - W porządku.

Masz rację, za dużo tortu. - Zakołysał się lekko na piętach i popatrzył na brązowo - niebieski dywanik na podłodze. Kiedy podniósł głowę, spojrzał jej uważnie w oczy. - Chcesz, żebym cię zaprowadził do sypialni?

Otworzyła usta, jej serce zabiło jak szalone.

- Ale jest ledwie wczesne popołudnie. - Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to słabo i niepewnie.

Przez chwilę wydawał się zdumiony. Potem się uśmiechnął. Oczy koloru nieba błysnęły wesoło.

- Miałem na myśli to, że mogłabyś się przebrać i wykąpać. Ale...

możemy robić co innego, jeśli wolisz. Lubię kochać się za dnia.

Zeskoczyła z kanapy.

- Noc nadejdzie szybko. Ale pójdę do sypialni, żeby się przebrać, umyć i trochę odpocząć, jak powiedziałaś.

Uśmiechając się szeroko, podszedł, ujmując jej dłoń. Delikatnie przełożył jej rękę za plecy i przyciągnął do siebie.

- Jestem rozczarowany. Na pewno nie dasz się namówić, żebym ci towarzyszył?

Przełknęła ślinę i zadrżała, wyobrażając sobie ich dwoje splecionych na łóżku, nagich w świetle słońca. Jej ciało pulsowało, świadome tego, że Darragh jest tak blisko.

- C - całkiem pewna - skłamała.

- Okrutna jesteś, dziewczyno. Torturujesz mężczyznę i to w do -

datku swojego męża. Widzę, że muszę się zadowolić marzeniami o dzisiejszym wieczorze. Ale zgadzam się, lepiej, żebyś się trochę zdrzemnęła.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Za to masz moje słowo, że nie dam ci zasnąć przez całą noc.

Dochodziła do siebie po tym bezwstydnym oświadczeniu, gdy się pochylił i wycisnął na jej ustach szybki, słodki pocałunek. Chwiała się, kiedy ją puścił.

- Mam cię odprowadzić do pokoju, czy znajdziesz go sama? Jest tuż przy schodach, trzecie drzwi po prawej.

- Sama go znajdę.

- Kolacja o szóstej, nie spóźnij się. I, Jeannette? - Tak?

- Rozpuść włosy. Chciałbym zobaczyć, jak spływają ci na ramiona.

- Mówiłeś, że byłeś we Włoszech, ale nie wiedziałam, że zwiedziłeś Florencję i byłeś w galerii Uffizi - powiedziała Jeannette. Upiła odrobinę czerwonego wina. - Taka niezwykła kolekcja dzieł sztuki. Obrazy, rzeźby, no i sama architektura. To był najciekawszy punkt mojej podróży po tym kraju. To, oraz wszystkie przyjęcia i zakupy, rzecz jasna.

- Och, oczywiście. Masz rację. Galeria jest wspaniała, warta wszelkich trudów. - Darragh przewracał srebrną łyżeczkę na lnianej serwetce, roztargnionymi ale metodycznymi ruchami.

- Ciotka Agata i ja miałyśmy także zwiedzić pałac Pittich, ale wielki książę niespodziewanie zachorował i nie mogliśmy go odwiedzić.

Musiałśmy potem ruszać w dalszą drogę i nie udało nam się zmienić planów. - Westchnęła lekko. - Szkoda, tak chciałam zobaczyć pałac Pittich.

Darragh uśmiechnął się do niej poprzez stół. - A więc przypuszczam, że oboje moglibyśmy jedynie podziwiać pałac i ogrody z zewnątrz.

Darragh pomyślał, że on sam został oprowadzony po terenie i mógł obejrzeć pałac z każdej możliwej strony, jako przyjaciel i gość honorowy lotaryńskiego wielkiego księcia Ferdynanda III. Uznał jednak, że tę informację zachowa na później. Znacznie później.

Siedząc na krześle, patrzył, jak jego świeżo poślubiona małżonka nabija na widelec małe kawałeczki ciasta. Śnieżnobiałe zęby wysuwały się spomiędzy jej różanych warg w sposób bardzo pro-wokacyjny.

Poczuł podniecenie. Normalnie chętnie ciągnąłby rozmowę na temat sztuki, architektury i podróży, ale nie tej nocy - ich nocy poślubnej.

Stłumił westchnienie, zastanawiając się, czy ta kolacja się kiedyś skończy.

Przez ostatnie półtorej godziny doprowadziła go niemal do szaleństwa, bawiąc się i smakując każde danie, jakie przed nią postawiono.

Przez cały czas mówiła.

Początkowo próbował się dostosować, biorąc udział w rozmowie i dzieląc się własnymi spostrzeżeniami. W końcu zamilkł, pozwalając jej mówić. Wiedział, że lubi opowiadać o wszystkim, ale nigdy nie słyszał, żeby paplała tak, jak dzisiaj.

Bała się? Przeciągała posiłek, żeby odwlec chwilę, kiedy udadzą się na górę? Ale dlaczego? Wiedział, że lubi jego pocałunki. Czyż nie to właśnie doprowadziło ich do ołtarza? Tak więc, to nie

mógł być panieński lęk przed bliskością mężczyzny.

Więc co to takiego?

Niepokoje młodej żony. Strach przed tym, co nowe i nieznanne.

Może bała się tego, co planował na najbliższą przyszłość? Może nie należało zatajać przed nią prawdy, ale rozwiać jej obawy.

Jednak instynkt mu podpowiadał, żeby zachować milczenie. A także, że to jedyna szansa, aby wychować tę zepsutą, rozpuszczoną dziewczynę, przekonać, że w życiu liczy się coś więcej niż prestiż i majątek. Ze najważniejsze są miłość i szczęście - i że trzeba o nie walczyć tak, jak on to teraz robił.

Przestał się bawić łyżeczką. Odłożył ją na bok.

Dosyć zwłoki. Chciał jej. Teraz. A jeśli niechętnie wejdzie do jego łóżka, sprawi, że później będzie zadowolona, że się zgodziła.

Podniósł się, odsuwając krzesło.

Spojrzała na niego, widelec znieruchomiał w połowie drogi po-między talerzem a jej ustami. Śledziła jego ruchy pytającym wzrokiem, kiedy szedł w jej stronę.

Stał za jej krzesłem i przyglądał się jej włosom. Prosił, żeby je rozpuściła, ale długie, złote pasma były gładko zaczesane i przewiązane różową jedwabną wstążką.

Pociągnął delikatnie kokardę na jej karku, rozwiązując ją. Wstążka została mu w dłoni. Rzucił ją na stół, a potem wsunął palce w miękkie, lśniące włosy.

Widelec zastukał o talerz.

- C... co ty robisz?

- To, co miałem ochotę zrobić niemal od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Masz cudowne włosy, wiedziałaś o tym? Gęste i jedwabiste, takie, które kuszą mężczyznę, żeby zanurzyć w nich twarz i wciągnąć głęboko ich zapach.

To właśnie zrobił, pochylając się i wdychając aromat czystych, pachnących lekko kwieciem jabłoni włosów. Zebrawszy je razem, owinął

je sobie wokół nadgarstka, odsłaniając smukłą, białą szyję.

Przesunął po niej koniuszkiem palca i poczuł drżenie. Pocałował ją, pieszcząc wrażliwe miejsce na karku.

Jeannette zagryzła wargę i zmusiła się, żeby nie podskoczyć, gdy jej dotknął. Denerwowała się cały

wieczór, od chwili gdy przebierała się do kolacji i Betsy zauważyła, że musi przygotować białą koszulę dla Jeannette na noc poślubną.

Biała koszula oznaczała niewinność panny młodej.

Tylko że panna młoda nie jest niewinna, pomyślała Jeannette, krzywiąc się w duchu. Trudno byłoby ją nazwać doświadczoną w tym względzie, ale nie miało to większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że tego wieczora mąż nie znajdzie na prześcieradle dowodu jej niewinności.

Żołądek jej się zacisnął i ogarnęła ją panika.

Dlaczego, rozpaczając, pozwoliła się dotknąć temu draniowi, Toddiemu? Wiedziała że źle czyni, ale był taki przekonujący, obiecywał miłość, poświęcenie i, pewnego dnia, małżeństwo.

Tyle że do małżeństwa nie doszło, a ona straciła dziewictwo.

Wiedziała, że to nieuczciwe wobec Darragha, wiedziała również, że powinna mu o tym wcześniej powiedzieć. Ale w jaki sposób panna młoda ma poinformować męża, że to nie jest jej pierwszy raz? Żałowała, że nie może cofnąć czasu. Najlepsze, co mogła teraz ofiarować Darraghowi, to wierność.

Oczywiście, byłoby dużo łatwiej, gdyby nigdy o niczym się nie dowiedział. Czy mężczyzna rozpoznawał bezbłędnie takie rzeczy, czy też było możliwe, aby pozostał w słodkiej, błogosławionej niewiedzy?

Czy powinna mu powiedzieć? Czy raczej zachować milczenie?

Ta niepewność ciążyła jej cały wieczór. Pełna obaw, robiła, co się dało, żeby odwlec chwilę, kiedy udadzą się do sypialni. Paplała bez ustanku, niczym pokojówka. Strach zawsze wywoływał u niej gadatliwość. Jadła powoli każde danie, dolewając Darraghowi więcej wina, w nadziei, że podchmielony zaśnie.

Teraz jednak widziała, że jej plan zawiódł. Darragh był zupełnie przytomny. Jego irlandzka głowa była widocznie na tyle mocna, że pomimo wypitego alkoholu pozostał trzeźwy, jak popijająca herbatkę babunia.

A kiedy jego usta przesuwają się powoli po jej szyi, zrozumiała, że katastrofy nie da się dłużej odwlekać. Chwila prawdy była blisko, a ona nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec. A jednak można było spróbować.

- Darragh, nie - zaprotestowała wysokim, zadyszonym głosem, poruszając ramieniem, żeby uwolnić się od jego warg.

- Dlaczego? - Tulił się do niej, ani trochę nie zniechęcony. Chwytał

jej ucho między zęby i leciutko pociągnął. - Nie sprawia ci to przyjemności?

- Ja... ja... - Och, Boże, jak mogła kłamać, kiedy wszystko, co robił, było takie cudowne? - Sprawia,

ale...

- Ale co? Dlaczego miałbym przestać?

- Bo to jest... to jest... jadalnia. - W istocie.

Darragh czuł, jak wzbiera w niej pragnienie, kiedy objął ją, zamykając w dłoni jedną z jej ślicznych, miękkich piersi. Jej sutek stwardniał pod materiałem. Gładząc jej ciało kciukiem, zauważył z zadowoleniem, że napina się jeszcze bardziej.

- Czy może być lepsze zakończenie posiłku dla mężczyzny niż kochać się z żoną?

- Ale... służba - sprzeciwiała się bez przekonania. - Lokaj może wejść lada chwila, żeby posprzątać. Co by sobie pomyślał?

- Że jesteśmy parą nowożeńców, którzy nie mają tyle cierpliwości, żeby trafić do sypialni. - Przerwał, przycisnął usta do jej policzka i brody.

- Może masz rację, powinniśmy to kontynuować na górze.

Odsunął jej krzesło i stanął obok, żeby pomóc jej wstać.

Przełknęła ślinę, wyraźnie przestraszona.

- Ale nie skończyłam jeszcze kolacji.

Zerknął na ledwie ruszone ciasto na jej talerzu.

- Nie? W tym tempie, przypuszczam, że skończyłabyś po północy.

Jeśli tak ci smakuje ciasto, możemy je zabrać na górę. Zostawimy je na później, gdy będziesz chciała odzyskać siły. Skubiesz trochę ciasta, jak zgłodniejesz. Oczywiście przedtem ja będę miał szansę poskubać ciebie.

- Panie O'Brien, jest pan okropny!

- Ma pani absolutną rację, pani O'Brien - powiedział, mrugając. - A ty jesteś do mnie bardzo podobna. Dlatego tak nam ze sobą dobrze. A teraz chodź do łóżka. - Podniósł jej dłoń i pocałował.

Jej źrenice rozszerzyły się, otworzyła usta, jakby chciała wymyślić kolejny pretekst, by odwlec tę chwilę. Po chwili zamknęła je i pozwoliła się podnieść.

Trzymając jej małą dłoń, bezpiecznie zamkniętą w swoim wielkim uścisku, poprowadził ją po schodach.

Pokojówka czekała, kiedy weszli. Na kominku płonął ogień, sprawiając, że w sypialni było przyjemnie ciepło. Pół tuzina świec stało na półeczce nad kominkiem i stolikach, rozjaśniając mrok

tak, że widać było miodową barwę ścian. W głębi pokoju stało łóżko z baldachimem, z zielonymi zasłonami. Pośrodku leżały cienka koszula nocna i narzutka.

W powietrzu unosił się słodki zapach wosku i suszonej lawendy; toaletka czekała na pannę młodą.

Betsy dygnęła, patrząc pytająco na Darragha i Jeannette.

Jeannette chciała uwolnić rękę, ale mąż jej na to nie pozwolił.

- Idź się położyć - zwrócił się do służącej. - Sam się dzisiaj zaopiekuję twoją panią.

Betsy spojrzała na niego, zaskoczona. Potem zerknęła na Jeannette i dygnęła przed państwem.

- Tak jest, milordzie. Dobranoc, milady.

Jeannette odwróciła się do Darragha w chwili, gdy drzwi się zamknęły za pokojówką.

- Powinieneś pozwolić jej zostać.

- Po co? Sądziś, że nie wiem, jak rozpiąć damską suknię? - Jestem pewna, że wiesz, ale...

- Ale co?

Rozejrzała się, szukając kolejnej wymówki. W końcu się poddała.

- Ale nic.

Podnosząc włosy, zwróciła się do niego plecami.

Zgodnie z obietnicą, zręcznie porozpinał guziczki sukni. Podniósł

spódnice do góry, zdejmując je przez głowę. Ułożył je na oparciu prążkowanej kanapy, po czym wrócił, żeby rozsznurować gorset i rozluźnić wstążki i taśmy stanika.

W końcu Jeannette pozostała jedynie w cienkiej koszulce. Złożyła ręce na piersi. Widocznie chciała się osłonić. Zamiast tego, jej dekolt tylko się pogłębił tak, że jej piersi wydawały się pełniejsze i bardziej ponętne. Zadrżała, na jej delikatnym ciele pojawiła się gęsia skórka.

Pogładził jej ramiona i ręce, potem ją wolno odwrócił, przytulając do siebie.

- Czego się boisz, dziewczyno? Nie jesteśmy już w jadalni, nikt nam nie przeszkodzi. Mnie nie musisz się bać.

Spojrzała mu w oczy.

- Wiem, ale to nasz pierwszy raz.

Objął jej policzek i czule przycisnął wargi do jej ust.

- Tak, i twój pierwszy raz również.

Jej powieki zatrzepotały, po czym spuściła wzrok.

- Zrobimy to powoli - obiecał. - Dopilnuję, żeby wszystko poszło tak, jakbyś sobie życzyła.

Darragh pocałował ją znowu, bardzo delikatnie, nie oczekując nic więcej, niż mogła i chciała dać.

Stała w jego ramionach, sztywno wyprostowana. Przesunął

wargami po jej twarzy, całując ją bez pośpiechu, ledwie dotykając.

Wędrował z czoła na policzki, przez zamknięte powieki, które pod jego dotykiem zadrżały lekko jak bajkowe skrzydełka. Całował jej nos i brodę, uszy i szyję.

Na koniec dotarł do ust - dopiero, gdy zbadał wszystkie rysy jej twarzy, powodując, że jej skóra zaróżowiła się z pożądania. Oddychała urywanie, jej piersi wznosiły się i opadały w niezwykle podniecający sposób. Miał ochotę skubnąć zębami jej wargi, ale poprzestał na lekkich pocałunkach.

Westchnęła i objęła go ramionami w pasie. Wiedział, że musi czuć jego erekcję pod materiałem spodni. Nie wzdrygnęła się jednak ani nie okazała strachu, trzymając go mocno, gdy oddawała jego pocałunek.

Zachęcony, odprężył się i wzmocnił uścisk. Skłonił ją delikatnie do otwarcia ust i wsunął język do środka.

Odpowiedziała na to, biorąc wszystko, co dawał i ofiarując jeszcze więcej. Rozkoszował się dotykiem jej rąk na plecach i ramionach, gdy pieściła go przez materiał koszuli i kubraka. Jęknął, kiedy jej palce ześlizgnęły się na pośladki. Zatrzymały się tam na długo, a potem czubki paznokci wpiły się w materiał i skórę.

Półprzytomny, zadrżał i ze stłumionym przekleństwem przerwał

pocałunek.

Chwycił ją na ręce i zaniósł na łóżko. Odrzucił kołdrę, po czym złożył Jeannette w chłodnej, białej pościeli.

Leżała w milczeniu, patrząc, jak zdejmuje ubranie. Nie chciał jej spłoszyć ani wyjść na żółtodzioba, który pragnie osiąść pierwszą w życiu kobietę. Zmusił się więc do spokoju, choć miał ochotę od razu ściągnąć z niej koszulę, rozsunąć nogi i zanurzyć się w niej.

Trudno było panować nad zwierzęcymi popędami. Trudniej niż mógłby się spodziewać mężczyzna w jego wieku i z jego do-

świadczeniem. O mało nie uległ pokusie i nie zaczął zrywać z siebie w pośpiechu ubrania.

Zamiast tego poruszał się powoli, układając każdą część stroju na krześle. Przyglądała mu się z coraz większą ciekawością, w miarę jak się rozbierał. Zauważył z zadowoleniem, że nie odwróciła wzroku, nawet kiedy stanął kompletnie nagi, z erekcją, która przestraszyłaby niejedną niedoświadczoną pannę.

Pamiętając, że wcześniej obawiała się, że będą kochać się przy świetle, zgasił wszystkie świece poza jedną. W pokoju zapadła niemal całkowita ciemność, tylko łóżko znalazło się w półcieniu. Postawił

kolano na materacu i wślizgnął się obok niej.

Chcąc, żeby się odprężyła, zaczął ją znowu całować - lekko, delikatnie, potem coraz namiętniej. Wsunęła palce w jego włosy, oddając pocałunki.

Jej westchnienia i jęki brzmiały jak muzyka w jego uszach. Krew tętniła mu w skroniach.

Rozwiązał wstążkę jej koszuli i rozchylił materiał, aby odsłonić pierś. Przesunął palcami po ciepłym ciele, opisując ich kształt i napawając się gładkością. Zanurzył twarz między jej piersi, zachwycając się jej dojrzałą kobiecością i upajając zapachem, oszałamiającym jak narkotyk.

Odwracając głowę, objął wargami sutek, pieszcząc go w sposób, który sprawił, że zacisnęła dłonie w jego włosach i zaczęła się niespokojnie wiercić. Oddał hołd także i drugiej piersi, podczas gdy jej ręce ślizgały się po jego ramionach i rękach, głaskały policzki i kark.

Chciał dać jej prawdziwą przyjemność, więc zsunął się niżej, okrywając całe jej ciało leniwymi pocałunkami. Całował ręce i ramiona, szyję, piersi i gładką powierzchnię brzucha.

Podciągnął jej koszulę do pasa, a potem schylił się, całując jej stopy i posuwając się stopniowo w górę. Dłoni, wargami i językiem pieścił ją, aż wyla się na prześcieradle, szepcząc jego imię jak modlitwę. Gładząc aksamitną skórę wnętrza uda, rozsunął jej nogi i poczuł, jak zadrżała, kiedy wsunął w nią palec.

Niemal poddał się pokusie, żeby usadowić się między jej udami i zakończyć swoją udrękę. Nie chciał jej jednak zadać niepotrzebnego bólu. Pochylił się więc ku samemu sercu jej kobiecości.

Zamarła, usiłując odepchnąć jego głowę. Nie trwało jednak długo i zaczęła jęczeć, wyrażając przyjemność i zachwyt dla wszystkiego, co robił. Przyciągnęła go bliżej. Uśmiechnął się i sprawił, że się wygięła i zadrżała w cudownym dla obu stron odczuciu rozkoszy.

Zdając sobie sprawę, że nie może dłużej czekać, podniósł się i ułożył nad nią. Przyciskając wargi do jej ust, przekazał jej swój głód i pragnienie, żądając, żeby odpowiedziała tym samym. Żeby przyjęła go chętnie.

Krew szumiała mu w uszach, pulsowała w sercu i lędźwiach, kiedy się w nią wślizgnął. Posuwając się centymetr za centymetrem, pozwalał jej przystosować się do rozmiarów swojego ciała; czekał, aż napotka opór.



Drżała i poruszała się pod nim, obejmując go rękami i nogami, z twarzą wtuloną w jego szyję. Czuł, jak jej ciało się napina, w miarę jak wsuwał się głębiej.

Przez sekundę wydawało mu się, że sztywnieje z bólu. Potem zrozumiał, że jej zachowanie wynikało z czegoś innego. Czegoś, na co nie był przygotowany.

Ogarnęło go zdumienie, powoli docierała do niego prawda.

Jeannette, jego ukochana, niewinna, niedoświadczona, dziewicza panna młoda... w ogóle nie była dziewicą.

Jeannette wyczuła zmianę natychmiast i jej obawy odżyły na nowo.

Kiedy wziął ją w ramiona, całował i głaskał, rozbudził namiętność, zapomniała o wszystkim. Wzniósł ją na wyżyny, o których jej się nie śniło. Nawet teraz po jej ciele rozchodziła się fala przyjemności, niezaspokojona namiętność gotowa rozpaść się w każdej chwili.

Nagle znieruchomiał. Kładąc głowę na poduszce, spojrzała na niego - na jego twarz - i drgnęła.

Wiedział. Boże w niebiosach, wiedział.

Może powinna mu była wcześniej wyznać prawdę. Teraz było za późno.

Jego niebieskie oczy lśniły lodem. Napięcie wykrzywiło jego twarz.

Próbowała się od niego odsunąć.

Nie pozwolił na to. Mógł się wydawać szczupły, ale nie brakowało mu siły, a jego ciężar wydusił z jej płuc powietrze.

Sapnęła, potem jeszcze raz, kiedy chwycił ją za biodra i pociągnął

ku sobie.

- Darragh, ja...

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie dopuścił jej do głosu. Pocałował

ją gwałtownie, wsuwając język w jej usta.

Poruszał się zdecydowanie, bez poprzedniej ostrożności. Czulość i delikatność znikły, ale najwyraźniej nie chciał sprawić jej bólu.

Przeciwnie, starał się jeszcze raz dać jej rozkosz, rozbudzić pożądanie.

Czuła, że chce, aby się poddała, żeby jej ciało nagięło się do jego woli.

Próbowała się opierać. Bezskutecznie. Leżała bezradna wobec ataku na jej zmysły.

Sięgnął ręką między nich i dotknął jej najczulszego miejsca.

Poczuła ogień. Trzęsła się i wyginała, miauczając niczym kocica.

Nie była w stanie myśleć, gdy on poruszał się z pasją. Nagle znieruchomiał, jego ciało się zatrzęsło. Oboje zaznali rozkoszy.

Położył się obok, wilgotny od potu.

Zapanowała złowieszcza cisza, którą zakłócał tylko trzask polan na kominku. W górę trysnęła niewielka fontanna iskier.

Poczuwszy nagle chłód, pomimo ciepła panującego w pokoju, Jeannette okryła koszulą nogi. Potem zakryła piersi, wiążąc wstążki trzęsącymi się palcami. Naciągnęła na siebie prześcieradło i zapatrzyła się w ciemność.

- Darragh, przykro mi - szepnęła.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w baldachim nad łóżkiem. Łzy zakłuły ją pod powiekami, ale nie pozwoliła im popłynąć. Pociągnęła nosem.

- Powinam ci była powiedzieć... Przekręcił głowę na poduszce, oczy mu płonęły.

- Tak myślę. Miałaś nadzieję, że nie zauważę? To oskarżenie zabolalo jak uderzenie biczem. Rzeczywiście miała nadzieję, że się nie zorientuje.

- Więc? - powtórzył gniewnym tonem.

- Wiedziała, że będziesz zły...

- Przestraszyłaś się i nie potrafiłaś mi o tym powiedzieć? A może chciałaś mnie oszukać?

Obruszyła się.

- Nie. Jak śmiesz sugerować...

- W tych okolicznościach mam prawo podejrzewać wiele rzeczy. -

Wypuścił powietrze z płuc, zgiął rękę, kładąc ją nad głową i zamilkł.

Zadrżała. Chciała mu wszystko wyjaśnić, ale po co, skoro nie miał

ochoty jej słuchać? Minęło parę minut.

- Kto to był? - zapytał Darragh. - Lepiej mi nie mów, że to twój przeklęty szwagier, bo pojedę do majątku twoich kuzynów i sprawię mu manto.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Masz na myśli Raeburna?

- To nie takie dziwne, wzięwszy pod uwagę, że był twoim narzeczoną.

- To prawda, byliśmy zaręczeni, ale gdybyś lepiej znał księcia, wiedziałbyś, że nigdy nie dopuściliby się czegoś takiego. Nie, to nie był

Raeburn. Możesz się uspokoić.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Kto zatem? Opowiedz mi o tym draniu, który ukradł twoją cnotę.

Powstrzymała grymas.

- Nie ukradł, ściśle mówiąc...

Widząc gniewny błysk w oczach Darragha, urwała, uświadamiając sobie, co właśnie wyjawiała.

Dlaczego miałyby bronić Toddy'ego? Postąpił w sposób nie-wybaczalny, słowo „ukradł” dobrze określało to, co zrobił. Myśląc o przeszłości z pewnego dystansu, wiedziała, że pomimo sukcesów, jakie odniosła w towarzystwie podczas dwóch kolejnych sezonów, była wtedy tylko naiwną, niewinną panienką. A Toddie umiał jej pochlebić.

Jakie to żalosne, że chciała przekreślić swoją przyszłość, wierząc jego kłamliwym obietnicom.

- A dokładnie? - naciskał Darragh. Usiadła, naciągając pościel wysoko na piersi.

- Czy to naprawdę takie ważne? To, co było między nim a mną, już dawno nie ma znaczenia.

- To pocieszające - powiedział z palącą ironią. - A więc, kiedy to się skończyło? I gdzie? Spotkałaś tego człowieka w Londynie?

Wbiła w pościel czubki paznokci i zwiesiła głowę.

- Tak, w mieście. Szczegóły nie są istotne.

- Och, sądzę, że są bardzo ważne. Przyjmuję, że to dżentelmen, albo przynajmniej ktoś, kto uchodzi za dżentelmena. - Darragh się zamyślił. - Czy on przypadkiem nie ma czegoś wspólnego z tym skandalem, który sprowadził cię tutaj?

- Nie.

Widząc wyraz jego oczu, postanowiła powiedzieć prawdę.

- Cóż, nie bezpośrednio.

- A zatem pośrednio? Czy to z jego powodu oszukałaś wtedy Raeburna?

Poderwała głowę, jej puls przyśpieszył raptownie. Skąd mógł to wiedzieć? Jak się domyślił? Nawet jej rodzice nie poznali całej prawdy.

Tylko Violet, Adrian i jego wścibski braciszek, Kit, wiedzieli o wszystkim.

Darragh zwinął dłoń w pięść.

- Kochasz go? - zapytał lodowatym głosem.

- Nie. Kiedyś myślałam, że go kocham, zanim dowiedziałam się, jaki jest naprawdę.

- Gdzie jest teraz? Nadal w Anglii? Pokręciła głową.

- Z tego, co wiem, ostatnio bawił na kontynencie, ciesząc się szczodrością bogatej contessy. Gdziekolwiek teraz przebywa, wcale mnie to nie obchodzi. - Przycisnęła do siebie pościel, na nowo ogarnięta przygnębieniem. - A więc teraz, kiedy dowiedziałeś się, że dostałeś uszkodzone dobro, chcesz anulować małżeństwo?

Podniósł karcąco brew.

- Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy uzyskać unieważnienie, skoro właśnie skonsumowaliśmy nasz związek. Teraz możesz nosić moje dziecko.

Podniosła wzrok. Boże, miał rację. Nawet o tym nie pomyślała. Po tym, jak jeden jedyny raz oddała się Toddy'emu, martwiła się przez dwa tygodnie, czy nie jest w ciąży, pomimo prezerwatywy, którą włożył, żeby zabezpieczyć się przed taką niespodzianką.

Prawdę mówiąc, tamto doświadczenie sprawiło jej niewiele przyjemności. Pocałunki i pieszczoty były miłe, ale co do reszty... Nie było do czego wracać. Kochać się z Toddym, to nie było to samo, co dzisiaj z Darraghiem. Albo w nocy w pomarańczami.

Darragh budził w niej coś tkwiącego bardzo głęboko. Gorączkowe pragnienie, którego nie dało się zlekceważyć. Dawał jej przyjemność i zadowolenie, jakich nie wyobrażała sobie nigdy przedtem.

- A więc co? Odrzucasz mnie? Opuścisz? - wypowiadając te słowa, zadrżała ze strachu. A jeśli rzeczywiście tak zrobi?

- Nie jestem takim nikczemnikiem, jak sobie wyobrażasz. - Ale...

- Jestem zły i mam powód. To nie znaczy, że jestem okrutny.

Patrząc wstecz, myślę, że powinienem był zwrócić uwagę na pewne znaki.

- Jakie znaki?

- Fakty. Po pierwsze, już się przedtem całowałaś. Ponadto, nie zemdliałaś, kiedy śmielej sobie poczynałem, w sytuacji, w której niejedna panna uciekłaby do mamy.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że jestem...

Podniósł rękę, przerywając jej, zanim użyła brzydkiego epitetu.

- Nie chcę powiedzieć nic takiego. Zauważam tylko, że prawda nie powinna być dla mnie tak szokująca.

Wypuściła powietrze.

- Co zatem zrobimy?

- Naprawimy sytuację, jak sądzę.

- Powiedziałam, że mi przykro. Co jeszcze mogę zrobić? Co się stało, to się nie odstanie.

- Dokładnie.

Znowu poczuła łzy pod powiekami. Starła jedną, przejęta nagłym gniewem.

- To niesprawiedliwe. - Co?

- To, że od kobiet wymaga się, żeby aż do nocy poślubnej zachowały niewinność. Ostatecznie, ja nie jestem twoją pierwszą kobietą.

- I powinnaś się z tego cieszyć. Inaczej, nadal bym się męczył, próbując odkryć, co do czego pasuje. Bardzo nieprzyjemne dla ciebie i wybitnie kłopotliwe dla mnie.

Wyobraziła go sobie jako niezdarnego, niedoświadczonego kochanka. Chciała powstrzymać uśmiech, ale i tak się pojawił na jej ustach.

Przechylił głowę na bok, odzyskując powoli dobry humor.

- Chyba będę musiał ci wybaczyć.

- Możesz?

Usiadł, rozważając pytanie.

- To zależy. Przyznajesz, że kiedyś kochałaś tego szubrawca. Jesteś pewna, że nie żywisz już do niego żadnych serdecznych uczuć?

- Całkowicie. Nigdy już nie pojawi się w moim życiu. Dokładnie tak, jak tego pragnę.

Wyraz ulgi przemknął po jego twarzy.

- Jeśli tak - powiedział - to pozostawmy przeszłość tam, gdzie jej miejsce i zacznijmy wszystko na nowo.

- Co masz na myśli?

Ujął palcami pasmo jej włosów i zaczął się nimi bawić.

- To, że jesteśmy sobie poślubieni. Zdaję sobie sprawę, że nie życzyłaś sobie tego związku, że wolałaś uciec w dzień ślubu niż złożyć przysięgę. Ale złożyłaś ją i jeśli obiecuję nie myśleć więcej o łajdaku, który zabrał twoją niewinność, to sądzę, że mam prawo prosić cię o coś w zamian.

Puścił jej włosy i ujął ją pod brodę, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

- Chcę żony, Jeannette. Prawdziwej żony, która da szansę naszemu małżeństwu. Nie zaczęliśmy w najszcześniejszych okolicznościach, przyznaję, ale to nie znaczy, że dalej ma być tak samo. Jest między nami coś szczególnego. Nawet ty nie możesz temu zaprzeczyć.

Zadrżała, wciągając powietrze, podczas gdy on pogładził kciukiem jej dolną wargę.

- Czujesz to, prawda? - nalegał.

- Co z tego? To tylko pożądanie - oznajmiła, chcąc przekonać zarówno jego, jak i siebie.

- Pożądanie? Nie jestem tego pewien. A jeśli to coś więcej? Jeśli to coś głębszego, trwalszego i bardziej znaczącego niż parę gorących tygodni przewracania się w łóżku?

Poczuła dziwne ściskanie w żołądku. Mówił o miłości. Ale ona nie chciała go kochać, czyż nie? Nie chciała być słaba i bezradna, narażać się na to, że ktoś złamie jej potem serce.

Pokręciła głową.

- Pobraliśmy się, aby zachować pozory przyzwoitości. Za parę tygodni namiętność wygaśnie i będziemy się zastanawiać, w co takiego się wpakowaliśmy. - Wzruszyła ramionami. - Ale do tego czasu masz rację, powinniśmy robić dobrą minę do złej gry.

- A więc uczciwie dasz szansę naszemu małżeństwu? Mogła zaprzeczyć. Jednak Darragh był teraz jej mężem, a ich związek został

uświęcony przez Kościół i prawo. Czy nie była mu czegoś winna? W

każdym razie warto spróbować uczynić coś sensownego z tego związku.

Westchnęła.

- Dam nam szansę. Ostatecznie, jesteśmy małżeństwem, czy nam się to podoba, czy nie.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym się lekko uśmiechnął.

- Mówiąc o podobaniu, jesteś stanowczo zbyt daleko ode mnie, moja żono.

- Ależ siedzę tuż obok.

- Tak, ale „obok” to nie to, o co mi chodzi. - Odrzucając pościel, odsłonił piękne, nagie ciało. Był gotów się z nią kochać. - Chodź bliżej, dziewczyno, i zajmij miejsce.

Spojrzała na niego i lekko się zarumieniła. Szybko podniosła wzrok.

Mrugnął okiem, uśmiechając się kpiąco. Poklepał się po mu-skularnym udzie.

Chichocząc z zażenowania, przysunęła się do niego i zrobiła, o co prosił.

Następnego ranka obudził ją klaps w przykrytą kołdrą pupę.

Jęcząc, podniosła powieki. Skrzywiła się w porannym świetle, przytłumionym nieco przez zasłony. Przeturlała się na brzuch, zatopiła głowę w poduszce, usiłując spać dalej.

Szeroka męska dłoń ujęła ją za ramię i potrząsnęła.

- Nic z tego. Musimy ruszać w drogę. Obudź się, lady Jeannette.

- Darragh? - zapytała zaspanym głosem.

- A jaki inny mężczyzna mógłby stać przy twoim łóżku? Zapach mydła do golenia i ciepłej męskiej skóry podrażnił jej nozdrza, kiedy schylił się, żeby pocałować ją w policzek.

- Zostaw mnie w spokoju. Jestem zmęczona. - Podniosła rękę, żeby go odepchnąć.

Zachichotał z rozbawieniem, potem chwycił jej rękę i pocałował jej wnętrze.

- Przykro mi, że nie daję ci spać, ale nie możemy pozwolić sobie na zwłokę. Czeka nas parę godzin jazdy powozem. Możesz spać w drodze.

Słuchając go jednym uchem, pozwoliła, aby opadły jej powieki.

Darragh był jednak nieugięty. Podciągnął ją do pozycji siedzącej. Pościel opadła, wystawiając jej nagie ciało na chłód poranka. Trzęsąc się, zwinęła się w kłębek, przykryta jedynie włosami.

- Nie śpij - upomniął ją. - Przyślę Betsy, żeby pomogła ci się umyć i ubrać.

Słyszała jego kroki, a potem dźwięk zamykanych drzwi, kiedy wychodził z pokoju. Przewróciła się na plecy, naciągając kołdrę na głowę.

Była wyczerpana, i to z winy Darragha. Z pewnością miał talent do pozbawiania jej odpoczynku. Kiedy chełpił się poprzedniego wieczora, że nie zmruży przez niego oka, nie przesadzał. Miał mnóstwo siły, noc zesłała na miłosnej zabawie, przeplatanej paroma minutami snu.

Miał ochotę pofiglować jeszcze raz, tuż przed świtem, ale ograniczył się do pocałunku, wiedząc, jak jest zmęczona. „Kolejna noc -

szepnął jej do ucha - nadejdzie wkrótce”. Objął ją, pozwalając zapaść w głęboki sen, tak głęboki, że nie czuła nawet, jak wyszedł z łóżka, ani nie słyszała, jak kręcił się po pokoju, goląc się i ubierając.

Właśnie zapadła w sen, kiedy zasłony okienne się rozsunęły, wpuszczając do środka smugę słonecznego światła. W pokoju rozszedł

się zapach jajecznicy z bekonem. Rozbudziła się na tyle, żeby go poczuć.



Usłyszała, jak w żołądku zaburczało jej z głodu.

- Dzień dobry, milady - powitała ją pokojówka radosnym głosem. -

Przyniosłam pani śniadanie. Pan O'Brien powiedział, że jest pewien, że milady będzie głodna i zechce zjeść coś bardziej pożywnego niż tost.

Jeśli pani usiądzie, ustawię tacę.

- Zostaw to, Betsy - mruknęła spod kołdry. - Zjem później.

- Pan O'Brien uprzedził, że pani może tak powiedzieć. Mam pani przypomnieć, że nie później niż o ósmej powinniśmy wyruszyć w drogę.

Jeśli milady nie będzie gotowa do tej pory, to... Cóż, milady, naprawdę powinna pani zjeść śniadanie.

Jeannette odrzuciła kołdrę z twarzy i, mrużąc oczy, spojrzała na pokojówkę.

- Dlaczego? Co on powiedział?

- Nic, milady. Przyniosłam pani kubek pysznej, gorącej czekolady, tak jak pani lubi. Należę pani do filiżanki.

- Nie, dopóki mi nie powtórzysz, co on takiego powiedział. Betsy schowała ręce w spódnicy.

- Pan O'Brien kazał mi przekazać... że jeśli milady nie będzie gotowa na czas, to przyjdzie tutaj i zabierze panią do powozu w tym, co milady będzie miała na sobie.

Jeannette zacisnęła usta. Co za barbarzyńca. Wiedział doskonale, że nic nie ma na sobie, jako że zeszłej nocy zdjął z niej wszystko, co dało się zdjąć.

Zaniesie ją nagą do powozu? Cóż, niech spróbuje.

Ale, znając Darragha, dotrzyma słowa, po prostu żeby postawić na swoim, i nie będzie się przejmował konsekwencjami. Paskudny typ.

Siadając, poklepała pościel ze złością.

- Dobrze. Zjem teraz śniadanie.

Betsy odwróciła się z uśmiechem ulgi na twarzy.

- Chcę więcej dżemu do tostów. Bóg wie, że po ostatnich dwudziestu czterech godzinach coś mi się należy.

Smaczny posiłek i ciepła kąpiel poprawiły jej humor i przywróciły energię. Pomoc Betsy przy

wkładaniu wesołej sukni podróżnej w żółto -

białe pasy jeszcze bardziej podniosła ją na duchu. Zgodnie z poleceniem, pokojówka dobrała do stroju jasnobrązowe półbuty, a na głowę - śliczny dżokejski kapelusik z małym rondem i pasiastymi wstążkami.

Jeannette czuła się znowu sobą, kiedy schodziła głównymi schodami minutę po wpół do dziewiątej. Spóźniła się, ale nie miała wyrzutów sumienia, beztrąsko ignorując Darragha, który dwa razy fatygował się na górę, żeby sprawdzić, co u niej.

Kiedy usłyszała, jak stojąc u stóp schodów, ryczy coś o tym, żeby

„ruszyła swój przeklęty mały tyłek”, uznała, że wytrzymał już dość.

Spodziewała się zastać go w holu. Stał jednak na zewnątrz, ga-wędząc z woźnicą. Przy jego nodze, niczym góra, siedział Witruwiusz.

Pies zastrzygł szybko uszami, ożywiając się, kiedy tylko wyszła z domu.

W niej także obudziła się czujność. Do diabła, w całym zamieszaniu zupełnie zapomniała o tej bestii.

Pies jednak najwyraźniej o niej nie zapomniał. Ciemne oczy zalśniły z podniecenia. Machając ogonem, ruszył w jej stronę ogromnymi susami.

Ostry gwizd osadził go w miejscu.

- Witruwiusz, do nogi.

Pies pokiwał łbem, zaskoczony. Kudłate psie ciało drżało w oczekiwaniu. Patrzył na Darragha z wyraźną nadzieją, że pan się pomylił i zaraz cofnie komendę.

Darragh poklepał się po nodze.

- Chodź.

Witruwiusz zawył, z prośbą w oczach.

- Chodź.

Minęło parę sekund, zanim pies się poddał. Ze spuszczonego łbem poczłapał do Darragha. Usiadł posłusznie, przyjmując pochwały i wpatrując się w Jeannette smutnymi brązowymi oczami.

Spojrzała w te oczy i serce jej zmiękło. Biedny zwierzak. Można by pomyśleć, że za nią tęskni.

Chciała poklepać go po łbie, ale po zastanowieniu opuściła rękę.

Ostatecznie, to ten sam pies, który kiedyś przewrócił ją na ziemię, obślinił jej twarz i zniszczył jedną z najładniejszych sukienek. A swoje stroje musiała teraz podwójnie szanować, zważywszy na mniej niż korzystny pod względem majątkowym mariaż. Bóg jeden wie, ile tygodni czy miesięcy upłynie, zanim stanie na progu odpowiedniego krawca. Aż do tej pory jej obecna garderoba musi wystarczyć.

Spochmurniała nieco na tę myśl i spojrzała jeszcze raz na psa.

- Co ten potwór tutaj robi? - odezwała się nadąsanym głosem.

- Słyszysz, piesku? - Darragh się schylił, tarmosząc potarganą sierść zwierzaka. - Ona cię uważa za potwora i to po całej tej ciężkiej pracy, jaką włożyłeś w poprawę swoich manier.

Witruwiusz uderzył ogonem o ziemię.

Podeszła bliżej. Żwir skrzypiał pod jej pantoflami. Zatrzymała się, patrząc znacząco na obu mężczyzn i psa.

Woźnica wymamrotał powitanie i się oddalił, żeby dopatrzeć obowiązków.

- Cóż? - zwróciła się do nowo poślubionego męża.

- Co takiego? Jeśli chodzi ci o psa, Witruwiusz jedzie z nami. Nie sądziłaś chyba, że go zostawię?

- Nie, oczywiście, ale myślałam, że zajmie się nim jakiś służący. -

Pociągnęła za swoje jedwabne podróżne rękawiczki. - Przypuszczam, że ma jechać razem z bagażem. Chyba że miałby biec obok powozu.

- Myślałem, że pojedzie z nami, bo powóz z bagażem jest wy-

ładowany od góry do dołu twoimi kuframi.

Uniosła brwi.

- Och, nie! Nie może jechać z nami.

Wszędzie będą te psie kudły, pomyślała, wzdrygając się lekko ze zgrozy.

- Ale twoja pokojówka zajmuje jedyne wolne miejsce. Nie starczy miejsca dla nich obojga.

- Więc może jechać z Johnem, woźnicą. - Skinęła głową, uznając dyskusję za zakończoną. - Teraz, skoro tak bardzo się domagałeś, żeby jak najszybciej wyruszyć, sądzę, że pora jechać.

Miała wrażenie, że chętnie podyskutowałby jeszcze na temat psa, ale zachował uwagi dla siebie.

Ruszyła w stronę powozu i dopiero wtedy zwróciła uwagę na wymalowany z boku herb, który przedstawiał stylizowanego celtyckiego lwa i byka.

- Co to za powóz? Sądziłam, że wypożyczymy jeden z powozów kuzynostwa.

Darragh zeszywniał, patrząc na nią przez chwilę ze zdumieniem.

- Co? Nie. Jedyne powozy, jakie mają Merriweatherowie, nie nadaje się do długich podróży.

- Więc skąd ten się wziął?

- Ten? - Przesunął palcem po twarzy. - Cóż, należy do... eee...

właściciela ziemskiego w pobliżu domu. Dowiedział się o ślubie i kazał

go przysłać.

Złożyła ręce u pasa.

- Jak to szlachetnie z jego strony. Kim jest ten człowiek? Musi być kimś więcej niż właścicielem ziemskim, skoro posiada tak świetny powóz i zdołał go tak szybko przysłać. Czy to jeden z twoich pracodawców?

W oczach Darragha pojawił się dziwny błysk.

- W pewnym sensie można tak powiedzieć. - Jak się nazywa ów dobroczyńca?

- Jak się nazywa?

- Tak, z pewnością ten człowiek jakoś się nazywa, a sądząc po herbie, musi mieć szlacheckie nazwisko.

- Po co ci jego nazwisko?

Otworzyła szeroko oczy, zdumiona jego zachowaniem. Dlaczego nagle zaczął się tak dziwnie zachowywać? Może, jak wszyscy mężczyźni, był zbyt dumny i z trudem przyjmował cudzą łaskę, nawet jeśli był to prezent weselny.

- Pomyślałam, że po przyjeździe mogłabym go odwiedzić, żeby podziękować za dobroć - wyjaśniła.

Wydał się zaniepokojony.

- Odwiedzić go? Och... nie. Nie możesz go odwiedzić, ponieważ...

ponieważ go nie będzie. Do czasu, kiedy przyjedziemy, on znowu wyjedzie. Spędza dużo czasu na kontynencie.

- Och, a zatem chyba po prostu napiszę.

- Hm... tak. Można to zrobić. A teraz jedźmy. Mamy przed sobą długą drogę.

Lokaj wysunął się naprzód, otworzył drzwi powozu i opuścił

stopień. Pomógł jej wejść.

Ułożyła spódnice, po czym oparła się na wygodnym, obitym materiałem siedzeniu.

Darragh usiadł obok.

- A więc, jak się nazywa? Skrzywił się.

- Kto taki? A... ten. - Przerwał. - Mullholland. Księżę Mullholland.

- Dziękuję. Czy to było takie straszne?

- Nie. I to też nie będzie. - Zagwizdał, wychylając się przez drzwi.

W chwilę później do powozu wskoczył Witruwiusz.

Po czterech dniach męczącej podróży - którą tylko noce w ramionach Darragha czyniły znośną - przybyli na miejsce. Jej mąż, o czym szybko się przekonała, był człowiekiem o wielkich namiętnościach i apetytach. Niektóre niemal nie dawały się zaspokoić, jak się okazało, ku jej zadowoleniu.

A jeśli chodzi o apetyt, Jeannette czuła, jak znów burczy jej w brzuchu. Była głodna mimo obfitego obiadu, złożonego z dziczyzny i młodych ziemniaków, jaki spożyli z Darraghiem w gospodzie, w mieście Ennis. Ale to było prawie pięć godzin temu. Pięć długich, jednostajnych godzin, podczas których trzęśli się na zrytych koleinami, wyboistych drogach, obserwując niekończący się zielony krajobraz za oknem.

Zielona trawa. Zielone drzewa. Płaskie zielone pola i łagodnie falujące wzgórza, ciągnące się daleko, jak okiem sięgnąć. Więcej zieleni, przetykanej kamienistymi szarobrazowymi pasami ziemi, a od czasu do czasu celtycki kamienny krzyż, z charakterystycznym kołem u zbiegu ramion, wznoszący się ku pokrytemu chmurami niebu. Zanosilo się na to, że zacznie padać.

Wyjrzała przez okno powozu i zmarszczyła czoło ze zdziwienia.

To nie mógł być dom Darragha, powiedziała sobie.

Nie ta niska, kryta strzechą chata, której kamienne ściany świeżo pokryto wapnem. Jakaś przypominająca bluszcz roślina pięła się półkolem wokół wejścia. Drewniane drzwi pomalowano na wesoły żółty kolor. Po obu ich stronach były cztery okna. Na podwórzu przed domem znajdowały się nieduży kwietny klomb i ogródek z ziołami, przedzielone kamienistym chodnikiem i dróżką, która się wiała, prowadząc na tyły. Za domem dostrzegła - o zgrozo - sznur do wieszania ubrań!

Musiała się pomylić. Dom z pewnością należał do jakiegoś wieśniaka - gospodarza czy robotnika, albo kogoś takiego, z kim Darragh musiał porozmawiać.

Jej mąż wysiadł z powozu. Przed nim biegł Witruwiusz, szczekając głośno i radośnie. Zaszczekał ponownie, rzucając się w stronę kępy drzew. Westchnęła i otrzepała psią sierść ze swojej kraciastej, brzoskwiniowo - brązowej bawełnianej spódnicy, zastanawiając się, jak długo i daleko będą jeszcze podróżować.

Zamiast ruszyć w stronę chaty, Darragh się odwrócił, wyciągając do niej rękę.

- Idź sam - powiedziała. - Poczekam tutaj, aż załatwisz swoją sprawę.

- Jaką sprawę?

- No, interesy - tłumaczyła cierpliwie - z kimkolwiek, z kim chciałeś się tutaj spotkać. Idź, a ja poczekam.

- Boję się, że się pomyliłaś, dziewczyno. Nie zatrzymaliśmy się, żeby kogoś odwiedzić. Jesteśmy na

miejscu.

Znowu wyjrzała przez okno. Nie zobaczyła niczego poza chatą i otaczającym ją podwórką.

- Co masz na myśli, mówiąc: „przyjechaliśmy”? Przyjechaliśmy dokąd?

- Do naszego domu. - Wskazał chatę.

Przez długą chwilę czuła się dokładnie tak, jak wtedy, gdy spadła z huśtawki w wieku siedmiu lat i nie mogła złapać tchu.

W głowie jej szumiało. Zachwiała się lekko na siedzeniu, zrobiło jej się słabo.

Zaniepokojony Darragh wsunął ręce do środka i potrząsnął nią lekko.

Wciągnęła rozpaczliwie powietrze i zamrugła oczami. Zmęczenie podróży, uznała. To musi być to. A może ma zatkałe uszy i musi je starannie przepłukać. Bez względu na powód, musiała źle go zrozumieć.

- C... co powiedziałaś? - zapytała, usiłując zapanować nad gwałtownym biciem serca.

- Powiedziałem: „Do naszego domu”. Wiem, że to nie dokładnie to, czego się spodziewałaś, ale gdy wejdiesz do środka, zobaczysz, że jest tam całkiem przyjemnie.

Przypatrywała mu się wielkimi oczami, jak porażona. A więc to nie była pomyłka. To naprawdę był jego dom. Jego... chata! Zwykła, wymalowana wapnem, pokryta strzechą wiejska chata, mniejsza niż niektóre domy, które jej ojciec wynajmował swoim dzierżawcom w Surrey. Darragh oczekiwał, że ona tu zamieszka? Tutaj, w tej... łupince orzecha?

- Och, nie! - zawołała, gorączkowo kręcąc głową. - To nie może być prawda. Tak w ogóle nie może być!

- Cóż, przykro mi, że jesteś rozczarowana. To mój dom i wszystko, co mam do zaoferowania. A teraz wyjdź i zajrzyj do środka. Przekonasz się wkrótce, że twoja wyobraźnia przedstawia ten dom w ciemniejszych barwach, niż na to zasługuje.

Strach dławiał jej gardło.

- Ależ ty z pewnością nie mówisz poważnie. Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

Strach przejął ją jeszcze większym chłodem, kiedy się nie uśmiechnął ani nie przyznał jej racji. Powoli uświadomiła sobie, że mówił poważnie.

- Ale to jest chata! - wybuchnęła. Skrzyżował ramiona i oparł się o drzwi powozu.

- Tak, to chata. Czysta, porządnie utrzymana, solidnie zbudowana chata z sześcioma pomieszczeniami, w tym z rozległą kuchnią, której wyposażenie należy do najnowocześniejszych.

Sześć pomieszczeń? Zapewne wielkości pudełek od zapalek. Czy on się spodziewał, że będzie mieszkać w sześciopokojowej chacie wielkości pudła na kapelusze?

Składając ręce na piersi, oparła się na miękkich poduszkach.

- Zabierz mnie z powrotem.

- Dokąd?

- Do moich kuzynów. Chcę jechać do domu, do Anglii. - Jej dolna warga drżała. - Z domu kuzynów będę mogła porozumieć się z rodzicami i ustalić przejazd do domu.

- Nie bądź niemądra, kobieto. Spędziliśmy w drodze cztery dni.

Nie zawiozę cię z powrotem w chwilę po przyjeździe.

- Dobrze. Zatem zabierz mnie do gospody. Prześpię tam noc, a rano wyruszę w drogę powrotną.

Parsknął kpiąco.

- A jak zapłacisz za tę podróż, skoro nie dam ci pieniędzy?

Zmarszczyła nos w zakłopotaniu. Pieniądze? Nie zastanawiała się nad nimi. W torebce miała pół korony, srebrne pudełeczko na wizytówki, etui, sole trzeźwiące i dwie koronkowe chusteczki. Z

pewnością nic na tyle cennego, żeby opłacić powrót do domu kuzynów.

- Mam biżuterię - powiedziała. - Sprzedam coś.

- Możesz spróbować, ale ludzie w tych stronach nie mają upodobania do świecidełek. Byłoby lepiej, gdybyś miała krowę do sprzedania.

Otworzyła usta ze zdumienia. Krowę?

- Poza tym sądzę, że zapominasz o czymś niezwykle istotnym.

- Och, a cóż to takiego?

- Jesteś moją żoną, zobowiązana do tego, aby pozostać przy mnie i pozwolić się tobą opiekować najlepiej, jak potrafię. Zanim tu przyjechaliśmy, obiecałaś mi, że dasz naszemu małżeństwu szansę. Czy już o tym zapomniałaś?

- N... nie - wyjąkała - ale nie możesz przecież się domagać, żebym mieszkała w tym czymś. - Wskazała ręką chatę. - Ostatecznie, wciąż jestem damą.

- Tak, i miejsce zamieszkania tego nie zmieni. Gdziekolwiek przebywasz, w chacie czy w pałacu, zawsze będziesz damą i osobą, którą jesteś z urodzenia. A teraz pozwól mi pokazać ci nasz dom.



Jego słowa sprawiły, że poczuła się rozpuszczoną snobką, o co ją kiedyś oskarżył. Ale to nie było w porządku, żeby musiała mieszkać w tak skromnych warunkach. Wiedziała, że Darragh wywodzi się z gminu, ale nie sądziła, że z aż tak niskich sfer. Spodziewała się domu o co najmniej dwóch piętrach, z wygodną liczbą pokoi. Takiego, którym zadowoliliby się wiejski szlachcic.

Z pewnością płaca architekta starczyłaby na więcej niż ten maleńki domek na pustkowiu. Z pewnością stać go było na wybudowanie czegoś lepszego, większego, ładniejszego, skoro jasne było, że to potrafi? Aż dotąd był kawalerem i z racji zawodu wiele podróżował. Może chata zaspokajała jego potrzeby, a teraz, kiedy się ożenił, planował zbudować okazalszy dom i w odpowiednim stylu? A może dostał już kolejne zlecenie i wkrótce mieli stąd wyjechać? Poweselała na tę myśl.

Tak czy siak, podejrzewała, że na razie będzie musiała się zadowolić tym, co jest.

Bogu dzięki, że żaden z przyjaciół czy znajomych nie mógł jej teraz zobaczyć. Jakże by z niej szydzili, kiwając głowami z żalu, zanim by się od niej odwrócili. Nawet jej najlepsza przyjaciółka, Christabel, kręciłaby nosem i patrzyła na nią smutnie, z naganą.

- Czy Raeburn wie? - To pytanie nie dawało jej spokoju.

- O czym?

- O tym? O tych... okolicznościach?

Spojrzał jej w oczy z dziwnie tajemniczym wyrazem twarzy.

- Tak, wie.

A więc jej porzucony narzeczony znalazł w końcu sposób, żeby się zemścić. Musiał to uznać za świetny żart, coś, na co zasłużyła. Cóż, nie da mu satysfakcji, błagając o pomoc, czego się zapewne spodziewał.

Prawdopodobnie wszyscy sądzili, że przybiegnie z powrotem do domu.

Musiała przyznać, że jeszcze parę minut temu miała na to ogromną ochotę.

Jednak pomimo cieplarnianych warunków, w jakich dorastała, była silniejsza, niż się wszystkim wydawało. Pokaże im, na co stać Jeannette Rose Brantford O'Brien.

Podczas gdy rozmawiała z Darraghiem, lokaje i woźnica wyładowali podróżną walizę Darragha oraz, jeden po drugim, jej kufry, pudła na kapelusze i torby.

Podeszła do drzwi frontowych, Darragh za nią. Kiedy dotarli na próg, zatrzymał ją. Nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Potem, zanim się zorientowała, co chce zrobić, schylił się i wziął ją na rękę.

Krzyknęła zaskoczona, obejmując odruchowo ramionami jego szyję.

- Tradycja, *a ghra* - szepnął głębokim, śpiewnym głosem. - Na szczęście.

Serce jej przyspieszyło i przez chwilę zatoneła w lśniącym błękicie jego oczu.

Oczarowanie minęło, kiedy wszedł do środka i postawił ją na ziemi. Rozejrzała się wokół i serce podeszło jej do gardła. W korytarzu zauważyła czworo drzwi, dwoje z każdej strony. Powiedział, że w domu jest sześć pomieszczeń i tak, jak się obawiała, nie były przestronne. Miała wrażenie, że cały dom zmieściłby się w rodzinnym salonie domu Wightbridge'ów i jeszcze zostałyby miejsce.

Gardło ścisnęło jej się na nowo.

Przynajmniej nie kłamał co do tego, że dom był czysty. Podłogi starannie umyto, nigdzie nie znalazła drobinek kurzu. W powietrzu unosił się słodki zapach suszonych ziół - rozmarynu i tymianku. I gotowanej wołowiny, o ile węch jej nie mylił.

W brzuchu burczało jej z głodu, przypominając, że nadeszła pora posiłku. Najpierw jednak chciała zmyć brud po podróży, przebrać się w czystą bieliznę i świeżą suknię. Mogła teraz mieszkać w dziczy, ale to nie oznaczało, że zamierzała zapomnieć o dobrych manierach.

- Jeśli pozwolisz, mój panie, udam się do swojego pokoju. Czy będziesz tak uprzejmy i mi go wskażesz?

- Oczywiście, kochanie. - Kiwnął głową w stronę korytarza. - Nasz pokój jest tam, z tyłu, po prawej.

- Nasz pokój? Zatem będziemy go dzielić? Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Tak robią małżeństwa, zgodzisz ze mną? A zwłaszcza młode pary.

Nie wśród ludzi jej klasy, którzy zazwyczaj mieli osobne sypialnie.

Uznała jednak, że to kolejna rzecz, do której będzie musiała się przystosować.

- Przyślij do mnie, proszę, Betsy i powiedz jej, że chcę się wykąpać najszybciej, jak to możliwe.

Odwracając się, ruszyła korytarzem.

- Co do Betsy! - zawołał, w ślad za jej oddalającymi się plecami.

Zatrzymała się, zwracając twarzą do niego.

- Tak? Co z nią?

Wsunął kciuki za pasek spodni.

- Ona... cóż, nie ma jej tutaj. Poczowała nieprzyjemny skurcz w żołądku.

- Co to znaczy, że jej tutaj nie ma?

- Łamałem sobie głowę od dzisiejszego ranka, próbując wymyślić, jak ci to powiedzieć, ale nie ma łatwego sposobu. Przykro mi, dziewczyno, ale musiałem pozwolić jej odejść.

- Pozwolić jej odejść? - powtórzyła, z każdym słowem podnosząc ton. - Co masz na myśli? Zwolniłeś ją ze służby?

Ogarnęła ją zgroza, kiedy skinął głową.

- Ale jak mogłeś? - zapytała oszołomiona. - Betsy jest wspaniałą pokojówką. Jak mogłeś ją zwolnić, zwłaszcza bez porozumienia ze mną?

Nie miałeś prawa jej odsyłać. To moja pokojówka i moja sprawa. Wyślij natychmiast jeźdźca tam, gdzie ją zostawiłeś i sprowadź ją z powrotem. -

Tupnęła nogą w nagłym przypływie narastającej paniki. - Sprowadź ją natychmiast z powrotem.

Skrzyżował ramiona.

- Nie mogę jej sprowadzić z powrotem. Nie została zwolniona za złe sprawowanie. Po prostu nie mamy pieniędzy, żeby utrzymywać pokojówkę. Zresztą jej usługi nie będą już potrzebne.

Wytrzeszczyła na niego oczy z przerażeniem.

- Oczywiście, że jej usługi są potrzebne. Kto będzie się zajmował

moimi strojami? Kto będzie mi pomagał przy toalecie i czesał włosy? Kto pomoże mi się ubrać i rozebrać?

- Ja ci mogę pomóc przy wszystkich guzikach i tasiemkach, do których sama nie możesz dosięgnąć, a także przy upinaniu włosów, jeśli miałabyś z tym kłopot. A ponieważ jest wątpliwe, żebyśmy wydawali jakieś bale, możesz nosić zwykłe sukienki, które nie wymagają tyle zachodu i pracy.

Oszołomiona tymi bluźnierstwami, przycisnęła rękę do piersi.

- Żadna z moich sukni nie jest prosta!

- Więc może będziesz musiała uszyć kilka nowych, które nie będą takie kłopotliwe w utrzymaniu.

- Uszyć? Ja?

- Szyjesz przecież, czyż nie?

- Haftuję. Nie szyję ubrań.

- A więc pora, żebyś się nauczyła. - Machnął ręką. - Zresztą nie odprawiłem tak po prostu twojej służącej. Dałem jej świetne referencje i pieniądze na podróż do Anglii plus dwumiesięczną gażę. Nie jestem, ostatecznie, takim potworem.

Jeannette uznała w tym momencie, że jest znacznie gorszy od potwora. Dużo, dużo gorszy. Zamrugowała oczami, czując łzy, od których szczypały ją powieki i nos.

Nie będzie płakać, postanowiła. Nie pozwoli, żeby zobaczył, jak rozplywa się we łzach. A w sekundę później tak się właśnie stało. Nie mogła opanować szlochu. Przyciskając pięść do ust, zakreśliła się na pięcie i pobiegła w stronę sypialni.

Darragh skrzywił się, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nią z hałasem, który się rozszedł po całym domu, niczym po uderzeniu pioruna.

Cóż, poszło mniej więcej tak, jak przewidywał, chociaż miał

nadzieję, że nie będzie płakać. Jej rozpaczliwe łkanie odczuwał, jak cios nożem wymierzony prosto w serce.

Jezu, nienawidził, gdy kobiety płakały. Ich łzy paliły mocniej niż niegaszone wapno. Jednak po latach wspólnego życia z trzema młodszymi siostrami, już dawno się nauczył, że jest wiele rodzajów łez i najrozmaitsze powody, dla których płynęły. KobiECE łzy odzwierciedlały całą gamę uczuć, od radości i ulgi, do gniewu i żalu, smutku i rozpacz, a nawet czystej manipulacji. Użyty skutecznie, płacz mógł zamienić najtwardszego mężczyznę w kupkę ziemniaczanego puree, gotową zgodzić się na wszystko, żeby tylko zatamować łzy.

Nie zamierzał jednak ustąpić pod przymusem. Nie to, żeby nie wierzył w szczerłość rozpacz Jeannette. Zaszokował ją i nie dziwiło go, że się zamknęła w sypialni, wyplakując sobie oczy. Ale kiedy przestanie płakać, kiedy jej gniew ostygnie i strach osłabnie, będzie miała możliwość wznieść się ponad swoje wielkopańskie nawyki i dostrzec w tym małżeństwie coś więcej. Zobaczy w nim mężczyznę takiego, jakim był, a w sobie kobietę, którą w jego przekonaniu mogła się stać.

A jeśli to się nie uda? - szepnął cichy głosik w jego głowie. A jeśli nigdy nie będzie cię kochać w sposób, jakiego pragniesz? A jeśli ta gra, zamiast was zbliżyć, wbije pomiędzy was klin, którego nie da się usunąć?

W korytarzu rozległ się kolejny szloch.

Zacisnął zęby, czując ostre jak igła ukłucie winy.

Nie było za późno. Mógłby zakończyć tę maskaradę, wyjaśnić, że dom należał do przyjaciela i że po prostu chciał jej dać nauczkę. Z

początku byłaby zła. Ale potem odczułaby ulgę i uśmiechnęła się na widok jego prawdziwego domu.

Ale wówczas nigdy by się nie dowiedział, czyż nie? Nigdy już nie opuściłyby go wątpliwości, czy rzeczywiście darzyła go miłością, czy też go mamiła, kochając jedynie dla wygod i bogactwa, jakimi ją otaczał.

Nawet z jego majątkiem i tytułami, gdyby teraz zdjął przed nią maskę, zawsze miałyby to poczucie wyższości. W końcu ona była Angielką, a on nie. Anglicy z założenia uważali się za lepszych od

Irlandczyków, niezależnie od pochodzenia tych ostatnich. Nie oczekiwał

niczego innego po rozpieszczonej córce angielskiego para, kobiecie tak pięknej, że mogła mieć każdego mężczyznę w królestwie. Nawet, jak się okazuje, księcia.

Zacisnął pięść u boku, zdecydowany postępować zgodnie z planem. Niech płacze. Niech się złości. Zrzucił ją z piedestału, żeby przez jakiś czas pożyła jak zwykli ludzie. Mogło jej to tylko wyjść na korzyść.

A po paru tygodniach, kiedy już jego żona przywyknie do skromnych warunków, przekona się, czy plan był sensowny. Przekona się, czy udało mu się dotrzeć do jej dumnego serca, tak jak ona zrobiła to z nim.

Jeannette postawiła tacę z naczyniami po gotowanej wołowinie, chlebie z masłem, jabłkach w cieście i herbacie na podłodze za drzwiami sypialni. Zamknawszy drzwi, odczuła pełną złości satysfakcję, przekręcając klucz.

Darragh O'Brien może sobie poszukać innego łóżka na dzisiejszą noc. Na następną również, jako że jej uraza i żal zapewne nie miną do jutra. Jeśli w ogóle kiedyś miną.

Sama myśl o chacie i o tym, jak wstrętnie ją potraktował, budziła w niej wściekłość i łzy. Płakała już blisko godzinę bez przerwy. Miała zapchany nos, czuła ból w skroniach, wokół spuchniętych oczu pojawiły się czerwone obwódki. Betsy przyniosłaby pachnącą lawendą ściereczkę, żeby mogła położyć ją sobie na czole. Ale Betsy odeszła. Zwolniona przez tego brutala.

Zacisnęła dłonie. Nie miał prawa, żadnego prawa, żeby zwolnić jej osobistą pokojówkę ze służby i odesłać do domu. Potrzebowała Betsy.

Zadrzała na myśl o tym, że została pozbawiona, podnoszącej na duchu, obecności innej kobiety.

Nie mogła jej nawet pożegnać. A Betsy była ostatnim, jedynym ogniwem, łączącym ją z domem i życiem, jakie kiedyś wiodła. Teraz była sama. Rzucona w nowe, obce miejsce, tylko z Darraghiem do towarzystwa.

Powlokła się do łóżka i opadła w rozpaczy na materac.

Od czasu ich rozmowy Darragh przyszedł pod drzwi tylko raz, aby zapytać, czy chce zjeść z nim kolację. Nie odezwała się. W końcu jego kroki się oddaliły.

Rozciągnięta w ciemności na łóżku, spała, dopóki pukanie do drzwi nie wyrwało jej ze snu. Oznajmił, że zostawia dla niej tacę za drzwiami. Chciała odmówić, ale silny głód zmusił ją do przyjęcia posiłku. Wniosła tacę do pokoju, kiedy się upewniła, że odszedł.

Jedzenie było wyśmienite i trochę poprawiło jej humor. Teraz jednak, kiedy zjadła, nie miała nic do roboty, ani też pojęcia, która mogła być godzina, bo w izbie nie znalazła żadnego zegara.

Przy świetle pojedynczej łojowej świecy rozejrzała się po nie-wielkim, skromnie urządzonej

pokoju. Gładkie białe ściany, zwykłe dębowe meble - łóżko, biurko i szafa, a do tego trzciny fotel. Na pokrytej sosnowymi deskami podłodze rozpościerał się różnobarwny, pleciony chodniczek. Perkalowe niebieskie firanki zasłaniały jedyne okno, na łóżku leżała żółto - niebieska kołdra. Ścianę przy biurku ozdobił

drewniany krzyż, przy drzwiach wisiał mały olejny obrazek, przedstawiający irlandzką wieś.

Uznała, że powinna się położyć. Zrobiłaby to, gdyby tylko mogła w jakiś sposób rozpiąć tył sukni. Próbowala, i jedyne, co udało jej się osiągnąć, to rozpięcie trzech górnych, perłowych guziczków.

Złość i uraza ponownie rozpały krew w jej żyłach. Przysięgła sobie, że raczej będzie spać w sukni, niż poprosi Darragha o pomoc. I pomyśleć, że to wszystko się zaczęło, kiedy oznajmiła, że chce się wykapać.

Łza spłynęła jej po policzku. Nie mogła nawet uporządkować włosów, ponieważ szczotka była gdzieś w kufrze, a ona nie miała pojęcia, jak ją znaleźć. To należało do Betsy - rozpakowywanie jej rzeczy, odwieszanie ubrań, przygotowywanie rzeczy potrzebnych do codziennej toalety. Jeszcze jeden punkt na wydłużającej się liście przewinień jej męża.

Chyba odgadł, że o nim myśli, bo poruszył klamkę.

- Jeannette. Otwórz drzwi.

Chociaż nie mógł jej zobaczyć, spojrzała z wściekłością w jego stronę i wysunęła język.

- Dostyc tego, dziewczyno. Wpuść mnie.

- Czy Betsy wróciła?

- Nie. Wiesz, że nie wróci.

- Więc idź do diabła - odwarknęła.

Spodziewała się, że będzie forsował klamkę, że ponowi swoje żądania.

Zamiast tego, cisza. Nie usłyszała nawet stłumionego przekleństwa.

Było tak cicho, że niemal słyszała jego oddech za drzwiami. Co on tam robił? Dlaczego nie kłócił się z nią, domagając się, żeby go wpuściła?

Czekała w napięciu, gotowa na kolejny atak.

Potem usłyszała, jak odchodzi, jego kroki ucichły powoli na korytarzu.

Cóż, pomyślała, to było łatwe. Zbyt łatwe. A może zdał sobie sprawę, że jest nieugięta, i wolał oszczędzić sobie krzyków i zwyczajnie przyznać się do porażki. Niech sobie śpi w pokoju gościnnym - o ile w rym strąku fasoli był w ogóle pokój gościnny. Rano zdecyduje, czy wyjdzie czy nie. Czy

odezwie się do niego, czy zachowa milczenie.

Bo teraz doszła do wniosku, że powinna spróbować się przespać. Z

tym zamiarem sięgnęła rękami za plecy, żeby dalej zмагаć się z guzikami.

Skręcała się i napinała, ciągnąc materiał, żeby dosięgnąć zapięcia na środku pleców. Drżały jej mięśnie ramion, z rozpaczą sięgała palcami do wygiętego nienaturalnie kręgosłupa.

Skręcona w iście cyrkowej pozie, nie usłyszała skrzypnięcia pod-noszonego do góry okna, dopóki nie było za późno. Odwróciwszy się, napotkała triumfalny wzrok Darragha, który przełożył nogę przez parapet i wsunął głowę do środka, żeby wejść do pokoju.

Była tak zaskoczona, że jej palce ześlizgnęły się z guzika, którego udało jej się w końcu dosięgnąć.

Prostując się na całą wysokość, położył dłonie na wąskich biodrach.

- Czy mogę ci pomóc przy zdejmowaniu tej sukni, kochanie? -

zapytał przeciągle.

Zacisnęła zęby.

- Odejdź.

Wzruszając ramionami, odwrócił się, żeby zamknąć okno i poprawić zasłonki.

- Jeśli zmienisz zdanie, wystarczy, że powiesz słowo.

Podniósł długie ramiona nad głowę i przeciągnął się w sposób, który zagotowałby krew w zakonnicy. Pełen surowej siły, Darragh roztaczał wokół siebie aurę męskości tak naturalnie, jak inni zdejmowali koszulę. Luźne, zwyczajne ubranie nie ukrywało silnego, zręcznego ciała, które Jeannette tak dobrze знаła. Smukłe ręce, szerokie ramiona, silna pierś pokryta czarnymi włosami, jakby specjalnie przeznaczonymi do tego, żeby kobieta mogła na nich złożyć głowę. I te zręczne dłonie o długich palcach, które potrafiły podniecać i uspokajać, w zależności od potrzeby.

Na szczęście dla siebie nie miała nastroju ani na jedno, ani na drugie. Była zbyt nieszczęśliwa, żeby poruszył jej zmysły. Przynajmniej teraz.

- Cóż - odezwał się łagodnym głosem - łóżko i sen dobrze mi robią. Dzień był długi i ciężki, to nie ulega wątpliwości. - Zsunął

marynarkę i zaczął odwiązywać chustkę pod szyją.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? - zapytała. - Powiedziałam, że masz odejść.

Cisnął chustę na krzesło i zabrał się do guzików kamizelki.

- Tak powiedziałaś, dziewczyno. Ale to jest nasza sypialnia, a ten mebel, na którym siedzisz, to nasze łóżko i zamierzam je z tobą dzielić.

Jesteś moją żoną. Będziemy spać razem.

Zeskoczyła na podłogę, jakby materac nagle stanął w ogniu.

- O, nie! Nie będziemy, nie dzisiaj. To, że tak sprytnie zakradłeś się do pokoju, nie znaczy, że pozwolę ci zakraść się do mojego łóżka.

Pobiegła do drzwi i przekręciwszy klucz, otworzyła je gwałtownie.

- Proszę po raz trzeci, idź sobie!

Ściągnął koszulę przez głowę i rzucił ją na rosnący stos ubrań. Jego błękitne oczy spojrzały na nią uważnie. Celowo, powoli przesunął palce na zapięcie spodni, jasno dając jej do zrozumienia, o czym myśli.

Zatrzęsła się ze złości.

- Świetnie. A zatem ja odejdę. Musi być w tym domu jakieś inne miejsce do spania.

Odwróciła się i ruszyła na korytarz.

- W drugiej sypialni nie ma miejsca. Jest zapchana twoimi kuframi, pudłami i innymi kłopotami! - zawołał za nią. - Wątpliwe, żebyś zdołała nawet dojść do łóżka. A co do sofy w salonie, obawiam się, że mocno się zapada.

Nasrożyła się, ale szła dalej.

- Pójdę za tobą - odezwał się, ku jej zaskoczeniu, tuż za jej plecami.

- Gdzie ty śpisz, tam i ja.

Starła się najlepiej, jak umiała, nie zwracać na niego uwagi, kiedy szedł za nią. Jej nadzieja gasła w miarę, jak oglądała jeden pokój za drugim tylko po to, żeby stwierdzić, że miał rację. Poza sypialnią, nie dałoby się nigdzie spędzić nocy w choćby znośnych warunkach.

Jej wędrówka zakończyła się w salonie, gdzie jej smętny wzrok spoczął na starej, wąskiej kanapie, z której nawet Witruwiusz nie miał

ochoty skorzystać. Zwinięty na grubym kocu koło ognia, pies otworzył

jedno oko i machnął ogonem na powitanie. Ziewnął i wrócił do swoich tajemnych psich snów.

Darragh założył ramiona na nagiej piersi.



- A więc położymy się na kanapie? Czy też rozłożymy koc na podłodze obok Witruwiusza? Sądzę, że możemy tarzać się razem, jak pchełki.

Gdyby się położyli przy Witruwiuszu, prawdopodobnie mieliby pchły! Przygnębiona, powstrzymała bardzo nieelegancki odruch, żeby kopnąć kanapę.

Ogarnęły ją smutek i zmęczenie, opuściła ramiona.

- A więc dobrze, wygrałeś. Będziemy spać razem w łóżku. Ale to wszystko, co będziemy robić dziś w nocy. Spać. Czy to jasne?

- Całkowicie. O ile potrafisz trzymać ręce z daleka ode mnie.

- Myślę, że zdołam to zrobić.

Poszła z powrotem do sypialni. Darragh wszedł za nią i zamknął drzwi na klucz.

- Teraz pozwól mi się zająć tymi guzikami - powiedział, podchodząc do niej z tyłu.

Zasłoniła się dumą jak tarczą.

- Dziękuję. Nie potrzebuję pomocy.

Cmoknął cicho, ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Widziałem, jak bardzo jej nie potrzebujesz, kiedy wchodziłem przez okno. Będzie ci niewygodnie spać w sukni i w gorsecie. Nie bądź

uparta, kobieto. Nie robisz krzywdy nikomu poza sobą.

Dlaczego, zakłęta w duchu, musiał mieć rację? Jeśli odmówi, będzie się męczyć, podczas gdy Darragh zaśnie spokojnie jak dziecko u jej boku. Zastanowiwszy się, doszła do wniosku, że powinien robić to wszystko, co Betsy, skoro to przez niego jej tu nie było.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale potrzebuję paru rzeczy z kufrów.

- Jakich rzeczy?

- Koszuli nocnej, chociażby. Szczotki do włosów i pudełko na szpilki.

Zmarszczył czoło.

- Czy wiesz, do którego kufra je spakowano? Pokręciła głową.

- Betsy zawsze zajmowała się moimi rzeczami. - A ty zwolniłeś Betsy, pomyślała rozżalona.

- Znalazienie ich trwałooby parę godzin. Poszukam jutro. Wysunęła dolną wargę.

- Ale ja chcę moją koszulę nocną. Zaczął rozpinać jej suknię.

- Dzisiaj możesz spać w bieliźnie. - Jesteś nieznośny, wiesz o tym?

- Skoro tak mówisz.

Pomógł jej zdjąć suknię, rozsznurował gorset i rozwiązał taśmy halek. Szpilki z włosów wyjęła sama.

Przeczesywała palcami swoje włosy, kiedy zbliżył się, podając jedną ze swoich szczotek. Była to część kompletu, srebrna okrągła szczotka bez rączki, z wygrawerowanymi inicjałami Darragha.

W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale potem przyjęła ją i zaczęła rozczesywać pukle powolnymi ruchami.

Kiedy skończyła, był już w łóżku. Leżał z jednym długim ramieniem pod głową. Przyglądał się jej. Starła się nie patrzeć na jego piękne, silne ciało. Domyślała się, że jest nagi pod kołdrą.

Położyła się obok niego i odwróciła twarzą w drugą stronę. Usiadł

i pochylił się nad nią. Zesztywniała, spodziewając się, że będzie chciał

pocałunku i czegoś więcej. Zamiast tego sięgnął do nocnego stolika i zdmuchnął świecę.

Pokój utonął w mroku.

- Dobranoc, moja Różyczko - szepnął ciepłym, aksamitnym głosem.

- Różyczko?

- Tak. Od dawna mi ją przypominasz. Strzeżona kolcami, ale zbyt piękna, żeby ci się oprzeć.

- A ja myślę, że jesteś brutalem. I szatanem.

Jej złość tylko go rozbawiła. Parsknął śmiechem.

Więcej się nie odezwała, chowając w sobie żal i urazę, tak jak swoje ciało ukryła, otaczając się pościelą. Nawet gdyby nie było go stać na utrzymanie Betsy, myślała, powinien był najpierw to z nią omówić.

Powinien jej powiedzieć, że zamierza zwolnić jej pokojówkę, zamiast postąpić w taki władczy, despotyczny sposób.

Sprawy domowe zawsze leżały w kompetencji żony, zwłaszcza najmowanie i zwalnianie służby. Ale to nie była elegancka posiadłość z dziesiątkami służących, jak sobie uświadomiła. To była maleńka

chata, w której mieszkali tylko oni oboje.

To odosobnienie ją przerażało. Nigdy nie mieszkała w takich warunkach. Jak da sobie radę?

Z dnia na dzień, postanowiła. Łóżko zaskrzypiało, kiedy Darragh układał swoje wielkie ciało w wygodnej pozycji.

Wsluchiwała się w jego oddech, dopóki się nie upewniła, że zasnął.

Dopiero wtedy się odprężyła. I dopiero wtedy pomyślała, że pomimo wszystkiego, co zrobił, tęskniła za tym, żeby się odwrócić i znaleźć schronienie w jego ciepłych ramionach. Poddać się jego objęciom i nie czuć się już taka samotna i zagubiona.

Zamiast tego została tam, gdzie była, zmusiła się, żeby zamknąć oczy i odsunąć wszystkie myśli. W końcu uciekła od wszystkiego, zasypiając.

Pożądanie paliło ją jak żywym ogniem, kiedy się obudziła parę godzin później. Szarawe, słabe światło sączyło się do pokoju zza zasłonek. Jęknęła, zdezorientowana i na wpół uśpiona. Bolały ją nabrzmiałe, ciężkie piersi. Koszulę miała rozpiętą, ciało wystawione na chłód porannego powietrza.

Nie mogła się zastanawiać, jakim sposobem znalazła się w tej pozycji. Jej biodra wygięły się do góry, a głowa zatoczyła na poduszce.

Głowa Darragha spoczywała na jej udzie, całował ją w miejsce, w które -

aż do nocy poślubnej - nie wyobrażała sobie, żeby w ogóle można było ją całować. Udało mu się jakoś ułożyć ją w ten sposób, nie budząc jej i przekładając sobie jej drugą nogę przez ramię.

Ale teraz się obudziła. Boże wszechmogący, leżała bezradna, bezwolna, wydana na jego hipnotyzujący dotyk. Przypomniła sobie, jaka była wcześniej na niego zła. Jak nie chciała się z nim kochać.

- Darragh - szepnęła. Usłyszał ją i podniósł głowę.

- Dzień dobry, kochanie. Udało mi się w końcu cię obudzić?

- Co ty robisz? - wysapała. - Nie powiedziałam, że możesz...

możesz, no, wiesz.

- Nie wiedziałem, że muszę pytać. Mam przestać?

Jej ciało tęskniło za spełnieniem, które tylko on mógł jej dać. Duma skłaniała ją, żeby powiedzieć: „tak, przestań”. Ciało podpowiadało, żeby tego nie robić. I ono, obolałe z pragnienia, wygrało.

- Boże, nie - jęknęła. - Nie przestawaj. Proszę, nie przestawaj.

Zachichotał i wrócił do swego zajęcia.

Wkrótce wstrząsnęły ją gwałtowne dreszcze, odczuła niezwykłą rozkosz. Zanim doszła do siebie, usiadł, odwrócił ją i uniósł tak, że stała na czworakach.

Klepnął ją delikatnie w pośladki, wzmagając podniecenie. Zanim zdążyła wyjść z szoku, wsunął się w nią. A potem nie mogła już myśleć o niczym.

Zacisnęła dłonie na wilgotnych prześcieradłach. Gładził jej piersi, potem przesunął dłońmi po jej brzuchu. Pieścił ją, całując jej ramiona i szyję.

Potem, zanim wpadła na to, co zamierza zrobić, ugryzł ją w kark.

Krzyknęła.

Nasyчени, opadli na pościel. Przeturlał się na plecy i przyciągnął ją mocno do piersi. Z uśmiechem na ustach zasnęła, bezpieczna w jego ramionach.

Jeannette obudziła się w błogim nastroju, wypoczęta i pełna energii po pełnej miłości nocy.

Przeciągnęła się i usiadła, uśmiechając się. Mile zaskoczył ją widok przygotowanej dla niej zmiany ubrania w nogach łóżka. Jej przybory toaletowe również się znalazły - szczotka do włosów, grzebień, pudełeczko na szpilki, perfumy, nawet jej ulubione mydło - wszystko zgrabnie poukładane na biurczku obok przyborów do golenia i kosmetyków Darragha. Koszula nocna i szlafrok wisiały na oparciu krzesła, tak jak się tego domagała poprzedniej nocy.

Podniosła się, znalazła świeżą, ciepłą wodę w dużym, porcelanowym dzbanie oraz miękkie, czyste ręczniki. Jej przygnębienie z powodu zwolnienia Betsy złagodniało, ustępując wobec tak ujmującej troski ze strony Darragha. Widocznie przejrzał zawartość jej kufrów i wyjął rzeczy, których, jego zdaniem, mogła potrzebować. Potem przyniósł je do pokoju tak cicho, że jej nie obudził.

W tej sytuacji nie mogła mu nie wybaczyć. Może z jego pomocą nauczy się obywać bez pokojówki. Przynajmniej do czasu, kiedy namówi go, aby z powrotem najął Betsy.

Podniesiona na duchu tymi myślami, umyła się i ubrała. Niebieska muślinowa sukienka, którą wybrał, należała do takich, które była w stanie sama włożyć i zapiąć. Jej włosy stanowiły poważniejsze wyzwanie. Za trzecim razem zdołała w końcu upiąć ciężką masę w znośny kok na czubku głowy. Z łagodnym uśmiechem na ustach udała się na poszukiwanie małżonka.

Dziesięć minut później uśmiech i dobry nastrój gdzieś się ulotniły.

Patrzyła na Darragha nad miską kluchowatej owsianki, zapomniawszy o łyżce, którą trzymała w ręku.

- Spodziewasz się, że co będę robiła?!

- Jest nas tylko dwoje, więc gotowanie nie zajmie ci aż tyle czasu.

Jak możesz się domyślać po naszym śniadaniu, nie jestem dużą pomocą w kuchni. Co do prac domowych, to będziesz musiała sprzątać tylko w te dni, kiedy nie przychodzi Aine Murray, żeby zająć się cięższymi robotami, jak mycie podłóg czy pranie. Jest młoda, ale to dobra dziewczyna. Polubisz ją.

Jeannette wbiła łyżkę w owsiankę.

- Czy ty oszalałeś? Nie jestem wiejską gospodynią, która piecze chleb, wyrabia świece i szyje kołdry. Jestem damą, nauczoną, jak zarzą-

dzać dużym domem i kierować służbą, a nie gotować, sprzątać i szyć.

- Tak, ale ponieważ nie mam dużego domu ani tłumu służby, będziesz musiała spróbować czegoś innego. Nie mówię, że będzie ci łatwo na początku, ale masz bystry umysł. Wiem, że szybko się wszystkiego nauczysz.

Mimo że sama pomyślała o czymś podobnym w związku z koniecznością obywatela się bez służby, Jeannette była zaskoczona.

- Nie chcę się uczyć. Jestem twoją żoną, nie służącą, którą wynająłeś. - Złożyła ręce. - Odmawiam.
- A więc będziemy z pewnością smutną i głodną parą. - Podnosząc łyżkę zupy, pozwolił, żeby owsianka spadła z powrotem, tworząc nieapetyczną kupkę. - Nie mogę powiedzieć, że bym miał ochotę jeść to na okrągło.
- A wczorajsza kolacja? - zapytała wyzywająco. - Jedzenie było proste, ale pyszne. Kto je przygotował?
- Matka Aine, ale kolacja była poczęstunkiem na powitanie. Dzisiaj nie dostaniemy od niej posiłku.
- Nie rozumiem, dlaczego nie. Zapłać jej, żeby dla nas gotowała. I zatrudnij więcej służby, która mieszkałaby tutaj i pracowała, a nie tylko przychodziła parę dni w tygodniu.
- Przykro mi, kochanie, ale nie stać mnie na zatrudnianie stałej służby, jak do tego przywykłaś. Nie wspominając już o tym, że nie byłoby gdzie ich zakwaterować. A jeśli chodzi o matkę Aine, to ma, oprócz niej, jeszcze siedmioro dzieci w domu, wszystkie młodsze od Aine. Pani Murray nie ma czasu przychodzić tutaj i gotować.
- Z pewnością przy ośmiorgu dzieciach pieniądze by jej się przydały.
- A dlaczego, jak sądzisz, posłała na służbę Aine i dwoje naj-starszych dzieci? Ponadto pani Murray znowu jest przy nadziei, kolejne dziecko pojawi się na wiosnę.

Jeannette postukała w rozpaczny paznokciem o drewniany blat stołu.

- Pani Murray powinna powiedzieć panu Murray, żeby zostawił ją w spokoju.
- Tak, ale pomyśl, ile straciliby przyjemności. - Uśmiechnął się szeroko.

Nie rozbawiło jej to.

- Ten... ten pomysł, że bym gotowała i sprzątała, i zajmowała się domem, choćby takim małym, to zupełna niedorzeczność. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie wiem nawet, jak postawić czajnik na kuchni, a co dopiero rozpałić pod nim.
- Mogę ci pokazać. Trzeba tylko mieć krzemień i coś suchego na rozpałkę.
- Cóż, skoro to takie łatwe, rób to. Albo lepiej najmiej służących, żeby się tym zajęli. - Skrzyżowała ramiona. - Żądasz zbyt wiele. Taka praca jest po prostu poniżej godności utytułowanej damy.
- Nie jest poniżej godności mojej żony. I nie będzie innych służących poza Aine, a ona jest od sprzątania, a nie gotowania. Zadbam o to, żeby w spiżarni było jedzenie. Do ciebie należy przygotowywanie posiłków.

- Już ci mówiłam. Nie mam zielonego pojęcia o gotowaniu.

Zerknął na zimną owsiankę, której żadne nie miało ochoty ruszać.

- Możesz się nauczyć. Chcesz, żebym ci pokazał, jak rozpalić w piecu?

- Nie, ponieważ nie będę go używać, ani żadnych innych urządzeń kuchennych w tym domu. - Odsunęła krzesło. - Idę do swojego pokoju.

- Idź więc i dąsaj się, ile chcesz, ale takie zachowanie nie przekona mnie z najmniejszym stopniem. Nie zapewni też jedzenia na stole. Kiedy zmienisz zdanie, daj mi znać.

- Nigdy nie zmienię zdania. Spojrzał na nią uważnie.

- Ostrzegam cię, dziewczyno. „Nigdy” to kawał czasu.

Trzy dni później Jeannette uznała, że choćby nie wiadomo jak jej się to nie podobało, Darragh miał rację. „Nigdy” to straszliwie długo, zwłaszcza kiedy czyjś żołądek był pusty jak górska jaskinia.

Głód skręcał jej kiszkę, jakby siedziało tam małe, wściekłe zwierzę, przypominając, że nie jadła przyzwoitego posiłku od wieczora, kiedy tu przyjechali. Upierając się, że nie będzie gotować, żywiła się surowymi jabłkami i marchewką, a także serem i mlekiem, które odkryła w spiżarni. Ale te produkty nie wystarczały w charakterze stałej diety.

Tęskniła za jedzeniem - mięsem i rybami, masłem, jajkami i chlebem. Gorącym, smakowitym, rozpluwającym się w ustach jedzeniem, które napełniłoby jej obolały żołądek.

Liczyła na to, że Darragh się złamie, że podniesie ręce do góry w geście poddania i zgodzi się wynająć kucharkę. Ale kiedy mijał dzień za dniem, a on nie skarżył się ani słowem, zaczęła się niepokoić. Zdała sobie sprawę, że jest dość uparty, żeby nie zrezygnować, bez względu na to, jak długo trwałaby taka sytuacja. Co gorsza, podejrzewała, że drań oszukiwał, racząc się jakimś jedzeniem, którego ona nie mogła znaleźć.

A jeśli rzeczywiście dokarmił się za jej plecami, Bóg jeden wie, jak długo to wszystko mogło jeszcze potrwać.

Kiedy tego ranka przyszła Aine, Jeannette dosłownie rzuciła się na nią, błagając, żeby ugotowała posiłek. Z wyrazem współczucia w wielkich, zielonych oczach, czarnowłosa Aine dygnęła przepaszająco i wyjaśniła, że pan O'Brien zabronił jej robić cokolwiek innego poza sprzątaniami i praniem, jak było uzgodnione. Powiedziała, że może odpowiedzieć na każde pytanie Jeannette dotyczące gotowania, ale że sama nie może nic przygotowywać.

Jeannette przełknęła przekleństwo i powlokła się z powrotem do sypialni, na nowo przejęta gniewem. Nie miała nawet tej satysfakcji, żeby przekręcić klucz w drzwiach, bo Darragh go zabrał. Ukrył

wszystkie klucze w całym domu. Pomimo jej prośb, odmówił ich zwrotu. Dopóki nie zyska

pewności, że przestanie się przed nim zamykać, jak powiedział.

A ponieważ nie mogła się przed nim zamknąć, nie mogła go trzymać z daleka od siebie. Ani z daleka od sypialni czy swojego łóżka.

Starła się ze wszystkich sił nie zwracać na niego uwagi w dzień, dając mu w niedwuznaczny sposób do zrozumienia, co myśli o jego odrażającym postępowaniu.

Ale w nocy nie dało się go ignorować. Niczym diabeł wcielony wynajdował wciąż nowe wymyślne sposoby, żeby obrócić fizyczną tęsknotę przeciwko niej, żeby tuliła się w jego ramionach spragniona i namiętna. Dwie pierwsze noce czekał, aż będzie zbyt śpiąca, żeby zdobyć się na stanowczy protest, szybko przeciągając na swoją stronę jej zdradzieckie ciało. Zeszłej nocy po prostu pochylił się nad nią i zaczął

całować ją w różnych miejscach. Nie pozwalając się odtrącić, nalegał, dopóki nie mruzczała pod nim jak kotka, niemal błagając o pieszczotę, szepcząc jego imię.

Wiedziała, że powinna się wstydzić, iż tak łatwo się poddaje, podczas gdy za dnia doprowadzał ją do takiego stanu, że ledwie potrafiła zdobyć się na uprzejme powitanie. Ale tak to właśnie było. Ich związek okazał się zdumiewająco ambiwalentny. Przyciągali się i odpychali, budząc w sobie zmienne uczucia.

W miarę jak upływał dzień, starała się nie zwracać uwagi na swój pusty, obolały żołądek, zadowolona, że Darragh spędza czas w gabinecie, rysując plany, czy też zajmując się czymś podobnym. Jednak po południu zdała sobie sprawę, że dłużej nie wytrzyma. Nie chciała jednak prosić o nic swego męża, wołała raczej zwrócić się do Aine.

Znalazła dziewczynę na podwórku. Wieszła pranie na sznurze.

- Przepraszam cię, Aine - powiedziała. - Czy mogłabyś mi pomóc?

Muszę rozpalić ogień w piecu, a ja... cóż, nie wiem, jak to zrobić.

Dziewczyna podniosła wzrok, uśmiechając się miło.

- Oczywiście, chętnie pani pomogę. Powieszę tylko to prze-

ścieradło i zaraz przyjdę.

Jako służąca, Aine powinna zwracać się do niej „milady”. Nawet jako żona człowieka z niższych sfer, Jeannette nadal miała prawo do dziedzicznego tytułu - który należał jej się po ojcu. Miała taką uwagę na czubku języka, ale się powstrzymała. Jakie to miało znaczenie tutaj, w tym miejscu, czy ta prosta dziewczyna zwracała się do niej odpowiednio czy nie? Jaka dama, ostatecznie, prosiłaby służącą o pomoc w rozpalaniu pod kuchnią?

Aine rozwiesiła prześcieradło, potem się odwróciła i lekkim krokiem poszła do kuchni. Jeannette ruszyła za nią, a potem patrzyła i słuchała wyjaśnień służącej, jak sobie radzić z krzesiwem i



podpałką, żeby rozpalić ogień.

- Czy jest jakieś proste danie, które mogłabym ugotować? - zapytała Jeannette, kiedy ogień zapłonął.
- Coś smacznego, ale łatwego do przygotowania?

Aine zastanowiła się chwilę.

- Można zrobić szybkie, smaczne danie z ziemniaków, cebuli i bekonu. Ugotują się w rondlu raz dwa.

Jeannette podziękowała dziewczynie i patrzyła, jak wraca na podwórze. Ziemniaki, cebula i bekon - to wydawało się proste.

Zwyczajne, smaczne, sycące, niemające nic wspólnego z elegancką kuchnią, do jakiej przywykła. Ale w tych okolicznościach to powinno wystarczyć. A z pewnością nawet ona była w stanie przyrządzić coś takiego - ostatecznie, czy rzeczywiście było to takie trudne?

Węch zwabił Darragha do kuchni. Ucieszył się, widząc Jeannette przy palenisku. Miała nieszczęśliwą minę.

Metalową szpatułką w dłoni mieszała coś rozpaczliwie w ciężkim, żelaznym rondlu. Klęła przy tym, wyrzucając z siebie słowa, których dama w ogóle nie powinna znać. Patrzył, jak chwytą grubą ścierkę ze stołu i owija nią rączkę rondla, żeby go ściągnąć z ognia.

- Auć. - Wsunęła kciuk do ust. Podbiegł do niej.

- Oparzyłaś się?

Odwróciła się do niego. Jej przejrzyste oczy lśniły mocniej niż wzburzone morze.

- Tak i mam nadzieję, że źle się z tym czujesz, bo to wszystko twoja wina.

- Daj mi spojrzeć. Odepchnęła go. - Wielkie dzięki, obejdzie się.

Tak czy inaczej, chwycił ją za rękę, obejrzał słaby różowy ślad na skórze i ucieszył się, że nie stało się nic poważnego.

- Przynieść ci trochę zimnej wody ze studni, żeby złagodzić ból?

- Nie kłopotz się - odparła tonem męczennicy. - Zniosę go, dopóki nie ustanie. - Zerknęła w stronę rondla z wyraźnym rozczarowaniem. -

Och, spójrz na to. Całkiem spalone.

Cokolwiek to było. W obecnym żalnym stanie nie sposób było stwierdzić, co to za danie, choć podejrzewał, że głównym składnikiem mogły być ziemniaki. Trudno jednak było krytykować ją przy pierwszej próbie. W ten sposób w ogóle zniechęci ją do gotowania.

- Wygląda pysznie - skłamał. - Trochę chrupkie na brzegach, ale właśnie tak lubię.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

- Lubisz spalone ziemniaki?

Ach, a więc miał rację co do tego. Skoro potrafił rozpoznać, co ugotowała, z pewnością zdoła to zjeść. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Klasnął w dłonie, jakby nie mogąc się doczekać posiłku.

- Wezmę talerze i bierzemy się do dzieła.

Stała z boku, kiedy nakrywał stół w małej, przyległej do kuchni jadalni. Pozwolił jej zgarnąć zwęgloną masę na misę i zanieść do pokoju.

Postawiła naczynie, stukając w blat stołu.

Pomógł jej usiąść i sam zajął miejsce naprzeciwko. Zmusił się do radosnego uśmiechu, po czym nałożył na porcelanowy talerz z biało niebieskim wzorem solidną porcję spalonych ziemniaków.

Dobrze się składało, że padał z głodu. Nie zjadł porządnego posiłku, odkąd przyjechali. Ona też z pewnością głodowała, bo to właśnie nieznośny głód musiał zagnać ją do kuchni, dokładnie tak, jak przewidział.

A jednak się niepokoił, że wytrzyma dłużej niż on. Cieszył się, że Jeannette się poddała, bo był bliski tego, żeby zwrócić się do Aine i błagać ją, żeby im coś ugotowała. Coś, czego nie jadło się na zimno.

Oparł się jednak pokusie i zyskał nagrodę. Chociaż, mówiąc uczciwie, pożywienie na talerzu nie wyglądało na nagrodę. Ale przyrzadziła je Jeannette i o to mu chodziło. Modlił się tylko, żeby móc przeżyć na jej błędach dostatecznie długo, żeby nauczyła się gotować.

Jeśli nauczy się gotować. Cóż, w najgorszym wypadku wyjdzie z tego nieco odchudzony.

Żałując, że nie zaopatrzył się w nóż, wbił widelec w coś, co robiło wrażenie ciemnej, spłaszczonej cegły i odłupał kawałek. Jedzenie zgrzytało mu w zębach; na języku czuł smak węgla i czegoś jeszcze, czegoś tłustego i wstrętnego.

Półsurowy bekon, jak się domyślał. I przesadnie przyprawiony.

Dobry Boże, czy ona wsypała do rondla całą zawartość solniczki?

Przeżuł szybko i połknął.

- Pyszne.

Podniosła brwi powątpiewająco, przyglądając mu się. Zmusił się do kolejnego kęsa. Tym razem

trafił mu się duży kawałek cebuli - z jednej strony spalony, z drugiej surowy. Co zdumiewające, pomimo zwęglonej powierzchni, ziemniaki były częściowo niedogotowane i twarde w środku. Bez dwóch zdań, to danie należało do najbardziej paskudnych, jakich w życiu próbował.

Jadł jednak, pochłaniając je w szybkim tempie. Pomiędzy kęsami popijał piwo, wdzięczny za ulgę, jaką przynosiło gardłu i językowi.

Jeannette skubnęła zastygłą masę. Pociągnąwszy nosem, zjadła kawałeczek, marszcząc się z niesmakiem. Odłożyła widelec.

Do pokoju wszedł Witruwiusz. Wpatrywał się w stół z nadzieją, że rzucą mu jakiś smakołyk. Zamiast przepłoszyć psa, postawiła na podłodze swój talerz. Machając ogonem, Witruwiusz podbiegł i połknął

spora porcję. W chwilę później spuścił ogon i zwymiotował jedzenie z powrotem na talerz.

Przez dłuższą chwilę oboje z Darraghiem wpatrywali się w psa, który zawył i wycofał się za drzwi, jakby go coś ugryzło.

- Cóż, to chyba mówi samo za siebie - stwierdziła Jeannette. Nagle dotarł do niej komizm tej sytuacji i zachichotała cicho, po czym roześmiała się na całe gardło.

Darragh przyłączył się do niej i z szerokim uśmiechem na twarzy powiedział:

- Niewychowane stworzenie.

- Ale uczciwe. Biedne zwierzę, czuję się jak morderczyni.

- Zwierzęta nie znają się na jedzeniu.

Przełykając potężny haust piwa, Darragh nabił na widelec kolejny kawałek i podniósł go do ust. Jeannette otworzyła usta ze zgrozy.

- Na litość boską, Darragh, przestań. Nawet pies nie był w stanie tego zjeść. - Położyła dłoń na jego ręce, żeby mu przeszkodzić.

- Nie jest takie złe - stwierdził z pobladłą twarzą.

- Oczywiście, że nie, jest gorsze niż złe. Tak paskudne, że gdyby ktoś podał mi coś podobnego, wpakowałabym go do więzienia za zbrodnię. Odłóż widelec.

Z uczuciem ulgi zrobił, o co prosiła.

- Nie rozumiem, jak mogłeś tyle tego zjeść - powiedziała po chwili milczenia.

Przycisnął pięść do piersi, w żołądku burczało mu głośno na znak protestu.

- Sam zaczynam się nad tym zastanawiać.

- Trzeba było po prostu powiedzieć, że jedzenie jest okropne. -

Jakżebyś mógł? Po tak wspaniałej próbie, jaką podjęłaś.

- Ale to nie było wspaniałe! - krzyknęła. - To katastrofa. Podniósł jej dłoń i pocałował.

- Tak, wspaniała katastrofa, dzięki której jestem z ciebie bardzo dumny.

- Jak możesz być dumny, skoro dostałeś coś tak obrzydliwego, nienadającego się do jedzenia?

- Ty to zrobiłaś i to wystarczy.

Poczuła ciepło w okolicy serca. Zawiodła, pomyślała, haniebnie zawiodła. Nie zdołała przyrządzić dania, które nadawałoby się do zjedzenia. A jednak twierdził, że jest z niej dumny. Nikt nigdy nie był z niej dumny. Podziwiano ją, być może. Olśniewała, budziła zawiść, nawet strach, ale nigdy dumę.

Do tej pory najważniejsze, co chciała osiągnąć w życiu, to doskonałość. Być piękniejszą, bardziej elegancką, mieć większe powodzenie, wzbudzać większe pożądanie niż inne. Wykorzystywać przywileje i bogactwo, żeby wznieść się na wyżyny, jeśli chodzi o status i prestiż.

Ale te rzeczy nie obchodziły Darragha. Dla niego już sama próba zasługiwała na pochwałę, a niepowodzenie było czymś, z czego, z niewytłumaczalnych względów, mógł odczuwać dumę.

Zadziwiał ją i wzruszał zarazem.

- Jednakże - powiedziała, zmieszana uczuciami, które ją ogarnęły -

jestem beznadziejną kucharką i jeśli się upierasz, abym nadal gotowała, z nas obojga zostaną wkrótce tylko skóra i kości.

- Nic nam nie będzie. Mówiłem ci, że się nauczysz. To była pierwsza próba. Nie bądź dla siebie taka surowa.

- Nie jestem. To mój żołądek się buntuje.

- Cóż, jeśli twój się buntuje, to w moim już doszło do rebelii. -

Skrzywił się. - Uważaj z solą następnym razem.

- Chciałam nadać temu jakiś smak.

- Smak? Miałem wrażenie, że łykam ocean. Jej usta zadrżały.

Jego wargi poruszyły się w odpowiedzi.

Oboje roześmieli się głośno.

Kiedy się uspokoili, położył rękę na brzuchu.

- Och, dziewczyno, myślę, że mnie pokonałaś. Czy jest gdzieś maślanka? Jedna szklaneczka mogłaby mi pomóc.

- Jest chyba w spiżarni nad strumykiem. Czy mam poprosić Aine, żeby ją przyniosła?

- Tak. A potem powiedz jej, że chciałbym z nią zamienić słowo.

Dowiem się, czy może zostać trochę dłużej dziś wieczorem i przyjść jutro rano.

- A to po co?

- Żeby ci pokazać parę rzeczy, związanych z gotowaniem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Chyba wolałabym, gdybyś po prostu zatrudnił kucharkę. Nie wychowano mnie, żebym wykonywała pospolite prace domowe, zwłaszcza w kuchni. - Przerwała, widząc stanowczość w jego oczach. -

Ale skoro upierasz się przy tym szaleństwie, dobrze, pomoc Aine bardzo mi się przyda.

- Dobrze - powiedział ucieszony. - Dopilnuję tego. Czekala na uśmiezek samozadowolenia. Wygrał potyczkę, jego męska wola przeważyla.

Na jego twarzy nie pojawił się jednak wyraz triumfu. Tylko miły uśmiech, który uwypuklił zarys kwadratowej szczęki, śmiałe czoło, eleganckie linie nosa i podbródka. Nie ulegało wątpliwości, że jej mąż był niezwykle przystojnym mężczyzną. Na to nie mogła narzekać.

Nie chcąc, żeby zauważył, jak na nią działa, podniosła się od stołu.

- Cóż, pójdę poszukać Aine. - Jeannette? Dziękuję.

- Za co?

- Ze jesteś moją żoną.

Po tych słowach zebrał talerze. Zaskoczył ją, całując szybko w usta, i znikł w kuchni.

„Dziękuję” tamtego popołudnia było pierwszym z wielu, jakie Jeannette usłyszała od Darragha w ciągu kolejnych tygodni, kiedy to wrzesień przeszedł w październik, a jesień okryła ziemię jak chłodny koc. Cokolwiek ugotowała - czy było to dobre, złe czy takie sobie - jej wysiłek spotykał się z żarliwym entuzjazmem.

Pomimo wesołej asysty Aine, nauka gotowania okazała się znużającym i trudnym zadaniem.

Całe życie Jeannette uważała posiłki za coś oczywistego. Jedzenie było czymś, co służba przygotowywała i podawała, a ona i jej rodzina zjadała. Z wyjątkiem tych okazji, kiedy planowano menu z udziałem naczelnego kucharza i gospodyni - co należało do obowiązków jej matki jako pani domu - Jeannette nigdy nie zastanawiała się, skąd się biorą składniki i w jaki sposób się zamieniają w dania, nadające się do podania na stół.

Szybko jednak zrodziły się w niej zrozumienie i wdzięczność dla kucharzy i kuchcików, którzy zawsze z taką pieczołowitością przygotowywali dla niej posiłki.

Po przeprawie z ziemniakami Aine pokazała jej coś łatwego -

jajecnicę. Pomogła jej również ugotować kiełbasę oraz zaparzyć pierwszy czajniczek herbaty.

Kiedy dziewczyna odeszła przed wieczorem, Jeannette usiadła naprzeciwko Darragha przy stole w jadalni. Wzdychając z ulgą, zabrali się, z nieukrywaną rozkoszą, do misy prostego jedzenia.

Pieczenie chleba, gotowanie owsianki, smażenie i pieczenie mięsa, gotowanie warzyw stanowiły kolejne punkty na liście rzeczy, których musiała się nauczyć - pierwsze próby kończyły się sromotną klęską. I chociaż nie pragnęła niczego innego, jak tylko się poddać i powiedzieć Darraghowi, że muszą wrócić do jabłek i sera, zagryzała wargi i zaczynała wszystko od nowa.

Co do Darragha, to za dnia pracował w gabinecie, pogwizdując przy rysowaniu planów, czasami mruczając coś pod nosem podczas przeglądania dzieł architektonicznych i studiowania dawnych projektów. Pewnego ranka, niewiele ponad tydzień od ich przyjazdu, oznajmił, że musi coś załatwić i wyjeżdża na parę godzin.

Poczuła się dotknięta.

- Dlaczego nie zabierasz mnie ze sobą? - zapytała z nadąsaną miną.

- Nie sądzisz, że wycieczka sprawiłaby mi przyjemność?

- Nie - odparł, przypominając, że miała przygotować wieczorny posiłek. Jego sprawy tylko by ją znudziły i z pewnością żałowałyby, że z nim pojechała.

Mogła, oczywiście, pojechać za nim; w stajni był jeszcze jeden koń.

Ale nie znała okolicy, a ponadto - sądząc z tego, co widziała na spacerach - nie było tam naprawdę niczego ciekawego do oglądania.

Sama w wyjątkowo cichym domu, jako że Aine miała akurat dzień wolny, zabrała się do pieczenia chleba. Wszystko szło dobrze, dopóki nie otworzyła drzwi pieca i nie stwierdziła, że bochenki są; płaskie i twarde jak cegły.

- Och! - krzyknęła, wyciągając żelaznymi szczypcami chleb z pieca.

Kosmyki włosów nad czołem poskręcały się z gorąca.

Ocierając pot przedramieniem, popatrzyła na ruinę swoich wy-siłków, zastanawiając się, co zrobiła nie tak. Jej wzrok padł na mały niebieski dzbanek i wtedy zrozumiała. Miała ochotę stuknąć się w czoło.

Zaczyn! Zapomniała dodać zaczynu. Co za głupi błąd! Zrozpaczona, opadła na krzesło kuchenne i się rozplakała.

Darragh zastał ją tam, z oczami czerwonymi i spuchniętymi od łez, pół godziny później.

- Co ci się stało? - zapytał, podchodząc do niej szybko. - Zraniłaś się?

- Nie. - Pociągnęła nosem. - To chleb. Zepsułam go. Rzucił okiem na zapadłe, mizerne bochny, a potem wziął ją w ramiona.

- A więc obejdziemy się bez chleba. Nie dręcz się, dziewczyno, to nie koniec świata.

Znowu pociągnęła nosem i pozwoliła mu wyciągnąć chusteczkę i wytrzeć sobie oczy i nos. Potem ją pocałował. Musnął wargami leciutko, jak letni wietrzyk, jej zamknięte powieki, policzki i brodę. Następnie pocałował jej usta ze słodką stanowczością, która sprawiła, że westchnęła z zachwytem. Posadził ją na kuchennym stole. Mąka wzbiła się w powietrze, tworząc białą chmurę. Po chwili przeżycia związane z pieczeniem chleba zbladły w jej pamięci.

Dużo później tego wieczora podarował jej książkę kucharską.

Powinna się była obrazić, ale kiedy odsunęła na bok zranioną dumę, zrozumiała, jaki wspaniały otrzymała prezent.

Ośmielona, zaczęła robić doświadczenia i poszerzać jadłospis o dania, które mogłyby się znaleźć na stole w domu jej rodziców. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła czerpać przyjemność ze świeżo nabytych umiejętności. Gotowanie dawało jej zaskakująco dużo satysfakcji. Pewnego wieczora poczęstowała Darragha łososiem w sosie śmietanowo - koperkowym. Wywołało to u niego pomruki zachwytem.

Domagał się nawet dokładek!

Nigdy się nie uważała za bezradną kobietkę, ale też nigdy przedtem nie uświadomiła sobie, ile w niej

drzemie zdolności. Nauczyła się robić wiele rzeczy własnymi rękoma i robiła je dobrze.

Stwierdziła także, że może się obyć bez eleganckich ubrań -

przynajmniej w ciągu dnia, jako że nadal się przebierała do kolacji, jak tego wymagały dobre maniery. Jednak londyńskie suknie były zbyt ładne, żeby ryzykować, że je zniszczy przy drobnych pracach domowych. Tak więc z pomocą Aine uszyła z miękkiej wełny cztery znośne sukienki na co dzień.

Jednak najbardziej zdumiało ją odkrycie, że wcale się nie nudzi.

Być może wynikało to z faktu, że była teraz zbyt zajęta w domu.

Starła się uczynić życie u boku Darragha możliwie przyjemnym i rzadko kiedy myślała o dawnych zajęciach i rozrywkach. Wstawiała każdego ranka, chętna, aby podjąć wyzwania kolejnego dnia. I zasypiała co noc zadowolona z tego, co udało jej się osiągnąć, z ciałem przyjemnie rozluźnionym po miłosnych igraszkach z Darraghiem.

Przy tych wszystkich zajęciach nie spędzała całego czasu w domu.

Niemal codziennie przed południem wychodziła na spacer, ciesząc się świeżym powietrzem i słońcem dużo bardziej, niż zdarzało jej się to w przeszłości.

Darragh często spacerował razem z nią. Szli, objęci, i rozmawiali o najrozmaitszych sprawach, poważnych i niepoważnych, a uszczęśliwiony Witruwiusz biegł za nimi, obwąchując ziemię w poszukiwaniu królików i innych zwierząt, zawsze chętny do polowania.

W jedno piękne, słoneczne popołudnie zapakowała do koszyka zimnego kurczaka, suszone owoce, herbatniki i wino. Zabrała akwarele, pędzle i farby. Darragh zaprzągnął konia do małego powozu, żywność i przybory malarskie umieścił z tyłu i pomógł jej usiąść obok siebie.

- Spodoba ci się Shannon - powiedział. - Rzeka wpada tu do morza.

Już wkrótce poczujesz jego zapach. To wymarzone miejsce na spędzenie popołudnia.

Miał rację. Porośnięty trawą morski brzeg robił przyjemne wra-

żenie. Siedząc na dużym kocu, zjedli podwieczorek przy akompaniamencie ptasiego śpiewu, od czasu do czasu machając beztrudnie jak dzieci przepływającym łodziami.

- Zmieścisz jeszcze deser? - zapytała, wyjmując z koszyka ciasto porzeczkowe.

- Tak, jeśli ty je zrobiłaś. - Darragh uniósł się na łokciu, posyłając jej leniwy uśmiech. - Może mnie nakarmisz?

Ukroiła kawałek i zrobiła, o co prosił, podając mu małe kawałeczki, pozwalając lizać palce i całować swoje dłonie. Ukroiła dla siebie mały kawałek i zjadła go, chichocząc, podczas gdy on



coraz goręcej całował jej usta.

Wkrótce potem, ze splątanymi nogami i rękami, turlali się na kocu.

Darragh zaspokoił każde jej życzenie, kochając się z nią pod osłoną dodatkowego koca.

Jakiś czas później wyjęła ołówki i farby, żeby naszkicować morze.

Darragh wyciągnął z kieszeni płaszcza mały notes, pożyczył od niej ołówek i zrobił to samo. Dopóki nie zobaczyła, jak rysuje, nie zdawała sobie sprawy, że posiada jakieś zdolności artystyczne. Chociaż biorąc pod uwagę fakt, że był architektem, powinna się była tego domyślić.

Po dłuższej chwili odłożył notes i zamknął oczy. Odczekawszy, aż zasnął, podniosła notes i zaczęła go przeglądać. Była zdumiona tym, co odkryła.

Rysunek za rysunkiem zwiedzała świat. Rzym, Wenecja i, oczywiście, Londyn. Paryż, jak stwierdziła, sądząc po nazwach ulic, umieszczonych w dole rysunków drobnym pismem. A także Grecja, gorąca, słoneczna i przesiąknięta historią, dokładnie tak, jak to kiedyś opisał.

A potem na dwóch ostatnich kartkach odkryła samą siebie. Serce jej zabiło ze zdumienia. Na jednym obrazku stała z Wildą w ogrodzie, patrząc z nieobecny wyrazem twarzy, jak starsza kobieta przycina róże. Na drugim siedziała w polu, malując, w pobliżu rezydencji kuzynów, zwrócona w stronę starego Celtyckiego krzyża. Rysunek był

naszkicowany pośpiesznie i niedbale, z wyjątkiem jej postaci. Ją narysował niezwykle starannie, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów, czyniąc ją centralnym punktem obrazu.

Kiedy to narysował? - zastanawiała się. Jak je wykonał bez jej wiedzy? Pospiesznie odłożyła notes, tam gdzie przedtem leżał.

Jej pytania pozostały bez odpowiedzi.

Czy to możliwe, żeby ją kochał?

Drżała na tę myśl, zarazem zachwycona i przerażona.

A co ona czuła do niego?

Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała. Jedyne, czego była pewna, to radość, jaką czuła w jego ramionach, i rodząca się świadomość, że nie chciałyby, aby to uczucie kiedykolwiek ją opuściło.

Parę dni później, kiedy Jeannette wkładała do miedzianej bryt-fanny udziec jagnięcy na kolację, rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Zaskoczyło ją to, ponieważ ich dom znajdował się na uboczu i nie mieli w pobliżu żadnych sąsiadów.

Jedynymi ludźmi, których widywała regularnie, byli Aine i starszy mężczyzna o imieniu Redde, który nie mówił po angielsku. Przychodził

dwa razy dziennie, żeby zajmować się końmi, doić krowy, nakarmić kury i zebrać jajka. Raz na tydzień zjawiał się także handlarz ze świeżym zapasem torfowych cegiełek do pieca i kominków.

Przekonana, że to jeden z tych mężczyzn, wytarła rękę w ścierkę i podeszła do drzwi. Otworzywszy je, ujrzała obcego.

Był wysoki i mocno zbudowany. Musiał mieć poniżej trzydziestu lat. Delikatne rysy twarzy ocienione były gęstymi, krótko obciętymi, brązowymi włosami. Miał na sobie strój do jazdy konnej, złożony z tweedowej marynarki, zwykłej płóciennej koszuli, bryczesów i wysokich butów. Przyglądał jej się z nieukrywaniem zainteresowaniem, z dziwnie znajomym błyskiem w srebrzyście błękitnych oczach.

Zacisnęła dłoń na framudze drzwi.

- Co mogę dla pana zrobić?

Kącik jego ust zadrżał, kiedy wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do chaty.

- Czy zastałem może Darragha O'Briena?

- Jaką sprawę ma pan do mojego męża, jeśli wolno spytać?

Otworzył usta ze zdumienia.

- Przepraszam, powiedziała pani: „męża”?

- Owszem - potwierdziła. - Kim pan jest, sir, i czego pan sobie życzy?

Pacnął się dłonią w kolano tak głośno, że podskoczyła.

- Cóż, wykąpią mnie w piwie i podpalą.

Zanim się zorientowała, do czego zmierza, chwycił ją w niedź-

wiedzim uścisku i podniósł do góry. Pisnęła raz i drugi, kiedy pocałował

ją mocno prosto w usta. Uśmiechając się od ucha do ucha, odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Dobry Boże, wpuściła do domu szaleńca. Darragh! Gdzie jest Darragh?

Jakby w odpowiedzi na jej milczące błaganie, w głębi korytarza rozległy się ciężkie kroki. Za człowiekiem, drapiąc pazurami podłogę, szedł pies. Witruwiusz zaszczekał kilka razy ostrzegawczo.

- Co się dzieje? - zapytał Darragh i urwał raptownie. - Wszyscy święci, Michael, postawisz ją na ziemi, zanim ją udusisz?

Szaleniec odwrócił głowę.

- Ładna jest, Darr, skąd ją wziąłeś?

- Znalazłem ją na uroczysku, gdzie mieszkają wróżki, a co my-

ślałeś? A teraz zostaw ją, zanim połamiesz jej żebra.

- Och. Nie ścisnąłem cię za mocno? - Spojrzał na nią. - Prawda, dziewczyno?

- Ja... mógłby pan mnie puścić? Bardzo proszę.

Na te słowa obłąkaniec o imieniu Michael postawił ją na ziemi.

Uśmiechając się do niej wesoło, schylił się, żeby pogłaskać Witruwiusza, który wbiegł między nich.

Spodziewała się, że ogromny pies go ugryzie, albo przynajmniej warknie groźnie. Zamiast tego głupi zwierzak trząsał się z zachwytu, gdy Michael z zapalem gładził wielkimi dłońmi pokręcone psie futro.

- Ależ on urósł - powiedział Michael. - Ostatnim razem, kiedy go widziałem, był szczeniakiem. Ale pamiętasz mnie, prawda, piesku? -

zwrócił się pieszczotliwie do psa. - Ależ tak. Pamiętasz. Wiem, że pamiętasz.

Witruwiusz polizał Michaela w policzek, aż ten się roześmiał.

Mężczyzna się wyprostował, odwracając do Darragha.

- Nie uściskasz brata po roku nieobecności? Brata?

Jeannette popatrzyła na obu mężczyzn, zauważając nagle podobieństwo.

Darragh zrobił krok do przodu, rozkładając szeroko ramiona.

Objęli się z bratem, poklepując po plecach przez dłuższą chwilę.

Darragh spojrział na żonę.

- Na formalną prezentację jest trochę za późno, jako że Michael ma zwyczaj zapominać o dobrych manierach. Ale jeśli zdołasz wybaczyć mu tę napaść, to chciałbym, abyś poznała mojego brata.

Zmusiła się do spokoju. Uprzejmość kazała jej skinąć głową i się uklonić.

- Michael, to moja żona, lady Jeannette.

Twarz Michaela na nowo rozjaśnił uśmiech. Skłonił się, ujął jej dłoń i ucałował z szacunkiem.

- To wspaniale, że jesteś w naszej rodzinie. Przyniósłbym ci prezent, gdybym wiedział, że świętujemy zaślubiny. - Uniósł brew, patrząc na Darragha. - Dlaczego nas nie powiadomiłeś?

Tak, pomyślała, dlaczego tego nie zrobił? Darragh rzadko mówił o swojej rodzinie. Nie miała pojęcia, że jego brat mieszka w sąsiedztwie.

- To nasz miesiąc miodowy. - Darragh chwycił ją w pasie, przyciągając do siebie. - Chciałem zatrzymać ją na trochę tylko dla siebie, zanim cała wasza banda rzuci się na nią.

Banda? Ilu dokładnie było tych O'Brienów? Chociaż mogła przypuszczać, że ma bardzo wielu krewnych, jako że Irlandczycy słynęli z licznych, wielopokoleniowych rodzin. Zerknęła na niego niepewnie.

- Ale ja chciałabym poznać twoją rodzinę, Darragh. Naprawdę, byłoby bardzo niegrzecznie wkrótce się z nimi nie spotkać.

- Poznasz ich, kochana, kiedy przyjdzie odpowiednia pora na wizytę - odparł dziwnie zagadkowo. - Michael przemierzył długą drogę, żeby nas zobaczyć, nieprawdaż, chłopcze?

- Tak. Jechałem cały dzień.

- Musisz być zatem bardzo zmęczony. - Wysunęła się z objęć Darragha. - Odprowadziłabym cię do jadalni, ale naszej służącej nie ma dzisiaj w domu. Może pójdziecie tam we dwóch, a ja przyniosę coś do picia. Czy masz ochotę na herbatę?

Michael wymienił nieodgadnione spojrzenie z bratem.

- Tak, z przyjemnością się napiję.

- Jeśli możesz trochę poczekać, upiekę mięso. Zostaniesz na kolacji, prawda?

- Michael bardzo się spieszy - oświadczył Darragh. - Wręcz przeciwnie, mam nadzieję zostać tu na noc, jeśli macie pokój.

- Nie mamy - stwierdził brat.

- Darragh - skarciła go ostro Jeannette, zdumiona jego grubiaństwem, po czym szybko przeniosła wzrok na Michaela. -

Przechowujemy różne rzeczy w drugim pokoju, ale jeśli ci to nie przeszkadza, będziesz mile widzianym gościem. Czyż nie tak, Darragh?

Darragh sprawiał wrażenie, jakby nie chciał się z tym zgodzić, potem jednak skinął głową.

- Proszę, usiądźcie w salonie - powiedziała. Poczekała, aż posłuchali, a potem wróciła do kuchni.

- Na świętą Brygidę, co ty wyprawiasz?

- To nie twoja sprawa - szepnął Darragh, przechodząc gładko z angielskiego na celtycki. - A kiedy Jeannette tu przyjdzie, masz jej powiedzieć, że nie możesz zostać. Znajdź sobie jakąś gospodę.

Michael odparł w starym, miejscowym języku, którego Anglicy zabronili, ale którego i tak używano, zwłaszcza tutaj, na zachodzie.

- Tu nie ma żadnej gospody, chyba że pojedę aż do Ennis, a to parę godzin jazdy w przeciwną stronę.

Zacisnął szczęki.

- Dlaczego tak ci zależy, żeby się mnie pozbyć? I mówisz *gaei* -

*lege?* Czy jest coś, czego ona nie powinna usłyszeć? Dwa tygodnie temu wpadłem na Dermota O'Shaya. Wspomniał, że podróżował w tych stronach i cię widział. Mówił, że zachowywałeś się bardzo dziwnie i nie bardzo chciałeś rozmawiać. Więc, z ciekawości, wyszedł cię aż tutaj.

Darragh się skrzywił.

- Dermota O'Shaya powinno się wychłostać. Przeklęty pleciuga!

- To pewnie mnie też byś wychłostał, bo sam byłem ciekaw -

ciągnął Michael. - Ciekaw na tyle, żeby tu przyjechać i sprawdzić, dlaczego przybyłeś na zachód i nie uważałeś za stosowne zawiadomić o tym rodziny. Uznałem, że kobieta, z którą mieszkasz, musi być twoją kochanką i chciałeś to utrzymać w sekrecie, ale jeśli jest twoją żoną...

- Jest moją żoną.

- Więc dlaczego ją ukrywasz? Czy dlatego, że jest Angielką? Mary Margaret będzie potrzebowała trochę czasu, żeby się z tym pogodzić, ale dla mnie to nie ma znaczenia. I rozumiem, dlaczego się zakochałeś. Jest tak piękna, że niemal oślepia.

- Cóż, nie gap się na nią i trzymaj buzię na kłódkę, zwłaszcza w obecności Mary Margaret. Czy ona wie, że tu jesteś?

- Nie, i nikomu innemu też nie powiedziałem. Ale wiecznie nie uda ci się utrzymywać ich w niewiedzy.

- Potrzebuję jedynie paru tygodni.

Darragh modlił się o to, aby parę tygodni wystarczyło. Sądził, że Jeannette jest już bliska wypowiedzenia słów, za którymi tak tęsknił.

Ich pierwsze dni spędzone wspólnie nie należały do łatwych, ale ostatnio wyczuwał w niej zmianę. Uśmiechała się do niego tak, jak nigdy przedtem. Rozmawiała z nim, odpoczywała przy nim, nawet go rozpieszczała. Wydawało się, że znajduje przyjemność w wymyślaniu nowych potraw, żeby zadowolić jego podniebienie.

I to, jak reagowała, kiedy byli razem w łóżku... Musiała czuć coś więcej niż zwykłe pożądanie. Czy kobieta tuliłaby się do mężczyzny przez całą noc, obejmując go z całych sił, gdyby nie było w niej

choć trochę miłości?

Nie, to musiało być prawdziwe, głębokie uczucie i wkrótce to od niej usłyszysz.

- Co się stanie za parę tygodni? - powtórzył brat.

- Nic.

- Nic? To nie wygląda na „nic”. Może powinienem pójść i z nią porozmawiać...

Darragh wyciągnął gwałtownie rękę i chwycił brata za ramię.

- Ona nie wie, rozumiesz? Ona nie wie, kim jestem. Michael wytrzeszczył oczy.

- Co to znaczy? Słyszałem parę razy, jak wymawiała twoje imię, więc myślę, że wie, kim jesteś.

- Ale nie wie. To... skomplikowane, nie mam czasu ci tego wszystkiego tłumaczyć, ale mówiąc w skrócie, ona nie zna mojego tytułu. Sądzi, że jestem po prostu Darraghiem O'Brienem. Panem Darraghiem O'Brienem.

- Ale słyszałem, jak nazwałaś ją lady Jeannette.

Darragh pokręcił głową.

- Tak, to córka hrabiego i prawdziwa lady. Myśli, że nie mam tytułu, i pozwoliłem jej w to wierzyć. Myśli także, że ta chata jest naszym jedynym domem. Nic nie wie o majątku, zamku czy ziemiach. Dla niej jestem architektem z klasy średniej i to niezbyt zamożnym.

Srebrzyste oczy Michaela płonęły ze zdumienia. Nagle złapał

Darragha za głowę, pociągnął w swoją stronę i zaczął przeczesywać ręką jego włosy.

Darragh szarpnął się, próbując się uwolnić.

- Co ty, do diabła, robisz?

- Szukam rany, chłopie, od uderzenia w głowę. Bo z pewnością oberwałeś. Koń cię kopnął, czy spadłeś ze schodów w jednym z tych wielkich domów, jakie budujesz?

- Przestań, durniu. - Darragh wyrwał się, masując zmaltretowaną głowę.

- Nie, to ty jesteś durniem. Jesteś szalony, człowieku! Okłamujesz swoją żonę? O ile się nie mylę, to każesz jej siedzieć w kuchni w tym maleńkim domku! Na rany Chrystusa! Kto słyszał, żeby córka hrabiego zajmowała się gotowaniem? I do tego angielska arystokratka. Co cię opętało?

- Mam swoje powody - odparł Darragh, wymijająco.

- Tak, a ona obedrze cię ze skóry, kiedy dowie się prawdy. Lepiej jej powiedz, póki masz jeszcze

szansę. Jeśli sama to odkryje... Cóż, będziesz miał szczęście, jeśli nie chwyci noża i nie pozbawi cię męskości.

Darragh starał się zachować spokój.

- Nie bądź głupi.

- Ty też! Wyznaj jej wszystko, póki istnieje jeszcze cień nadziei, że ci wybaczy.

Ogarnęło go poczucie winy. Wiedział, że Michael ma rację, że Jeannette na pewno będzie zła, kiedy odkryje, że nie był z nią szczery.

Ale czy nie odczuje także ulgi, nawet wdzięczności, kiedy okaże się, że nie musi przez resztę życia mieszkać w skromnym domku, gotując stawę i szyjąc dla siebie ubrania? Czy nie będzie zachwycona, że jest księżną, że ich domem jest wielki zamek z mnóstwem służby, a jej mąż jest dość majątny, żeby zapewnić jej dobrobyt na resztę dni?

Na początku na pewno będzie wściekła. Później jednak zrozumie.

Pojmie, że zrobił to dla nich, dla ich małżeństwa i przyszłego szczęścia.

Przynajmniej taką żywił nadzieję.

- Powiem jej, kiedy będę gotowy - oświadczył Darragh, po -

zwalając, aby upór wziął górę nad wątpliwościami. - Do tego czasu nie wolno ci powiedzieć słowa na ten temat. - Michael otworzył usta, ale Darragh nie dał mu się odezwać. - Ani słowa.

Michael podniósł ręce na znak rezygnacji.

- Rób, jak chcesz, człowieku. Nie byłem dawno na porządnej stypie, a twój pogrzeb dostarczy nam z pewnością sporo rozrywki, A jeśli jakimś cudem żona nie obedrze cię całkiem ze skóry, to masz trzy siostry, które chętnie dokończą dzieła. Mary Margaret będzie zła, że nie zaprosiłeś jej na wesele ani nie zawiadomiłeś, że od paru tygodni jesteś żonaty. Siobhan i Moira również poczują się urażone, że nie miały okazji wystąpić jako druhny.

- Mogą się cieszyć tym przywilejem na twoim weselu. Michael parsknął gniewnie.

- Będą długo czekać. Zadowolam się swoją praktyką weterynarza, lecząc konie i psy, a czasami jakiegoś cierpiącego kota. Nie muszę zajmować się jeszcze żoną.

- Kiedy kochasz kobietę, taka opieka nie jest ciężarem.

- Powiedz mi to samo, kiedy twoja żona się dowie, co zrobiłeś. -

Michael klepnął Darragha po ramieniu. - Jesteś dzielnym człowiekiem, Darraghu O'Brien. Durniem, ale dzielnym człowiekiem.

W tym momencie Jeannette pojawiła się w drzwiach z herbatą na tacy.

- Pozwól, że ci pomogę, najdroższa - powiedział Darragh, przechodząc na angielski.

Z wdzięcznym uśmiechem przyjęła pomoc, potem usiadła, żeby nalać herbatę i podać talerzyki z ciasteczkami.

- A teraz opowiedzcie mi wszystko, co straciłam.



Brat Darragha został na noc, a rano pojechał dalej. Miał się z kimś zobaczyć w sprawie klaczy, która wzbogaciłaby jego inwentarz.

Kiedy Jeannette przeszła do porządku nad niezwykłym powita-niem ze strony szwagra, stwierdziła, że Michael O'Brien jest przyjemnym, interesującym mężczyzną z takim samym przewrotnym poczuciem humoru jak starszy brat. Sprawił, że wszyscy się śmiali z opowieści o ich dzieciństwie, i skłonił ją, żeby przytoczyła parę zabawnych historyjek z własnego życia.

Po jego odjeździe uświadomiła sobie, jak bardzo spragniona była towarzystwa, a zarazem, jak szczęśliwa się czuła, przebywając całymi dniami jedynie z Darraghiem. Zastanawiała się nad tym długo, nie mogąc pojąć zmiany.

Tej nocy Darragh o mało jej nie udusił, kochając ją tak zapamiętale, że krew pulsowała w niej jak oszaląła, a ciało bolało z pożądania, którego, jak wiedziała, nie mógłby zaspokoić żaden inny mężczyzna.

Bez niego, pomyślała, byłaby zgubiona.

I wtedy zrozumiała. Kochała go.

Jak to się stało? I kiedy? To uczucie zagościło w jej sercu nie od razu. Rodziło się pomалу, bez udziału jej woli i świadomości, jak uzależnienie.

Niewiele brakowało, żeby powiedziała o tym Darraghowi. Chciała mu to wyznać, ale ostatnim razem, kiedy zrobiła coś takiego, jej wybranek złamał jej serce. Darragh, choć czuły i pełen troski, nigdy nie powiedział, że ją kocha. A gdyby zdradziła mu, co czuje, i zobaczyła rozbawienie w jego oczach? Albo, co gorsza, litość?

Pobrali się z konieczności, w atmosferze skandalu i w pośpiechu, a to nie wróżyło dobrze żadnemu małżeństwu. Jednak pomimo nader skromnych warunków, w jakich przyszło im żyć, powstała między nimi więź. Może miłość sprawi, że wszystkie wyrzeczenia nabiorą sensu, a oni zwiążą się ze sobą jeszcze bar - dziej.

Przez cały tydzień zastanawiała się nad swoimi uczuciami.

Teraz, kiedy wyglądała prześcieradła, wełniany koc i kołdrę na ich łóżku, a potem przeglądała swoje koszule nocne i jego koszule, żeby brudne odłożyć do prania, znowu wahała się, czy ma porozmawiać z Darraghiem o swoich nowo odkrytych uczuciach, czy nie.

Pocałował ją na pożegnanie dziś rano i udał się w długą podróż do Ennis, żeby kupić stół kreślarski i parę innych rzeczy. Obiecał też wysłać listy, które napisała i sprawdzić, czy nie ma dla nich jakichś przesyłek.

Jak dotąd Jeannette dostała tylko jedną wiadomość od Violet. Siostra napisała, że razem z Adrianem,

Kitem i Elizą wrócili bezpiecznie do domu i że wkrótce znowu się odezwie. Mama i papa nie napisali ani słowa, z pewnością pełni wstydu w związku z kolejnym skandalem.

Teraz jednak była zameżna i będą musieli się pogodzić z tym faktem, jak również nauczyć się akceptować jej męża.

Jak na razie Darragh z niechęcią podchodził do wszelkich rozmów o przyszłości. Nie rozumiała tego. Ale wiedziała, że wkrótce z pewnością dostanie kolejne zadanie do wykonania - tutaj albo na kontynencie.

Może nawet w Anglii.

Przy jej rodzinnych koneksjach, kto wie jaką pracę mógłby otrzymać. Gdyby Darragh zarobił dość, mogliby porzucić małą chatkę i zbudować prawdziwy dom w Anglii. A wtedy mogłaby odbudować swoją pozycję towarzyską - och, nie do końca, ale zawsze. I pomagałaby Darraghowi realizować jego ambicje.

Najpierw jednak musi z nim szczerze porozmawiać. Dziś w nocy powie mu o swoich uczuciach. Kiedy wróci, otworzy serce i wyjawí, jak bardzo go kocha. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak się spodziewała, on odwzajemni jej się podobnym wyznaniem.

Przysięgła sobie nie rozważać innych możliwości.

Na dzisiejszy wieczór przygotowuje specjalny posiłek. To będzie ich święto. Nakryje stół obrusem, który znalazła w szafce w pokoju jadalnym i postawi porcelanę z pięknym, kwiecistym wzorem.

Potem poprosi Aine, żeby pomogła jej włożyć jedną z modnych sukien i upiąć włosy w piękny kok. Spryska się wodą liliową za uszami i włoży kremowe perły.

Darragh na pewno będzie mile zaskoczony.

Nucąc cicho pod nosem, zabrała się do przygotowywania posiłku, który miał się składać z zupy miętowo - ogórkowej, pieczonej wieprzowiny z kapustą, marchwi w maśle i jabłek w cieście na deser.

Zanurzyła ręce w mące, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Wytarła dłonie w ścierkę i poszła do holu, ciekawa, kto to może być tym razem. Chyba nie kolejny brat Darragha?

Gotowa na każdą niespodziankę, otworzyła drzwi, uśmiechając się zyczliwie. Zaskoczył ją widok czwórki dżentelmenów. Wszyscy byli wspaniale ubrani - w świetnie skrojone bryczesy, fraki i wymyślnie haftowane jedwabne kamizelki. Za nimi, na podjeździe, stał wielki czarny powóz, zaprzężony w cztery kare konie.

Najstarszy z grupy, o szpakowatych włosach, z bródką w stylu Van Dyke'a, kojarzącą się z ubiegłym stuleciem, wystąpił naprzód.

Zdjął kapelusz i uklonił się elegancko.

- *Mi scusi, signora* - zaczął. - Jestem hrabia Arnaldo Fiorello, a to moi towarzysze podróży, signori Pio, Guglielmo i Ficuccio.

Przyjechaliśmy do wielkiego *signori*. Błagamy, by łaskawie wybaczył nam, iż zakłócamy mu spokój, ale pragniemy z nim pomówić, jeśli się zgodzi.

Zdziwiła się jeszcze bardziej. Ci dżentelmeni najwyraźniej się zgubili.

- Przykro mi, ale musieli się panowie pomylić. Nie ma tu takiej osoby.

Starszy mężczyzna zmarszczył czoło.

- Ale to niepodobna. Powiedziano nam, żebyśmy tutaj przyjechali.

Że *signore*, lord Mullholland, jest tutaj.

Tym razem to ona zmarszczyła brwi. Lord Mullholland? To nazwisko obudziło w niej jakieś wspomnienie. Ci ludzie szukali arystokraty, który pożyczył im powóz z okazji ślubu? Nigdy nie odkryła, gdzie leży posiadłość owego arystokraty, chociaż napisała do niego list w dzień po przyjeździe, żeby mu podziękować. List, który Darragh potem wysłał.

- *Signori* - powiedziała, przechodząc na zrozumiałą, choć daleki od poprawności, włoski. - Znam nazwisko człowieka, którego szukacie, ale obawiam się, że go tutaj nie ma i nie wiem, gdzie go szukać.

Mężczyźni się ucieszyli, słysząc ojczysty język.

- Pani mówi po włosku.

- Tak, trochę.

- A zatem rozumie pani, że musimy porozmawiać z wielkim architektem, lordem Mullholland. My także jesteśmy budowniczymi i gorącymi wielbicielami jego dzieł. Nasza czwórka przybyła tutaj aż z Italii, żeby zasięgnąć jego mądrej rady. Powiedziano nam, że chwilowo mieszka tutaj, zamiast w swoim majątku.

Westchnęła zmieszana.

- Proszę wybaczyć, ale osoba, która to powiedziała, wprowadziła panów w błąd. Ten dom należy do mojego męża, Darragha O'Briena.

Dżentelmen uśmiechnął się promiennie, jakby słońce zaczęło jaśniej świecić.

- *Si*, lord Mullholland, tak mi powiedziano. Teraz ona niewiele rozumiała.

- Moim mężem jest Darragh O'Brien, nie lord Mullholland. -

Powtórzyła to raz jeszcze, po angielsku.

Mężczyzna posłał jej zdziwione spojrzenie i odezwał się w jej języku.

- Tak. Darragh O'Brien i lord Mullholland, czyż to nie jedna i ta sama osoba?

Niespodziewanie wszystko stało się jasne. Prawda objawiła się w całej okazałości.

Zapadał zmrok, kiedy Darragh wrócił do domu. Szybko odprowadził konia do stajni, osuszył go, напоił i nakarmił. Potem zabrał

zakupy i ruszył w stronę chaty.

Powitał go cudowny zapach pieczonego mięsa, gotowanych warzyw i słodkiego ciasta. Wciągnął głęboko powietrze, ślina napłynęła mu do ust. Poszedł prosto do kuchni.

Jeannette, stojąca obok pieca, podniosła głowę. Biały fartuch przykrywał, jak się wydawało, jedną z jej najlepszych sukien. Jej szyję zdobił sznur pereł, piękne jasne włosy upięła w zachwycający miękki kok, śliczne loczki wiły się na jej skroniach.

Wyglądała tak cudownie! Podeszedł i się pochylił, chcąc ją poca-

łować, ale zwinna i szybka jak nimfa, wymknęła mu się z rąk.

- Już zaczęłam się zastanawiać, czy się nie zgubiłeś - powiedziała, mieszając coś w jednym z garnków. - Kolacja prawie gotowa. Idź się przebrać i siadamy do stołu.

Próbował po raz drugi ukraść jej całusa, kiedy zauważył stół. Był

starannie nakryty koronkowym obrusem. Stała na nim dobra porcelana, a zamiast łojowych świec - cenne, słodko pachnące świece z wosku.

- Cóż to za okazja?

- Och, nic takiego. Miałam ochotę nadać temu wieczorowi uroczysty charakter. - Puknęła drewnianą łyżką z długą rączką o brzeg garnka i odłożyła ją na bok. Podeszła do męża, położyła mu ręce na ramionach i odwróciła go, popychając lekko.

- Idź już. Zdejmij to ubranie, żebyś nie śmierdział jak koń. Schylił

głowę przepaszajaco.

- Tak, kochanie.

Potem, zanim zdążyła się uchylić, schylił się po całusa, dotykając szybko jej ust wargami.

Nie odwzajemniła pocałunku, odsuwając się po krótkiej chwili.

Nie przejął się tym. Pomyślał, że pewnie rzeczywiście pachnie stajnią po całym dniu podróży. W sypialni się rozebrał, nalał chłodnej wody do miski i się umył. Wzorem Jeannette, włożył elegancki ciemnoniebieski strój, który pasował do koloru jego oczu. Uczesał się i wrócił do holu po prezent dla niej. Delikatny złoty medalion z wygrawerowanym pękiem dzikich róż. Zamierzał zamówić do środka miniaturki ich obojga.

Sentymentalne, jak uważał, ale odzwierciedlające jego uczucia.

Waza z zupą czekała na stole, kiedy wszedł do jadalni.

- Czy mam podać?. - zapytał.

- Nie - odparła, wychodząc z kuchni. - Usiądź, a ja zajmę się resztą.

Zasiadł przy stole.

Błada kremowa zupa wyglądała wyjątkowo apetycznie. Chłodniki stanowiły specjał, wiedział więc, że zadała sobie wiele trudu, włącznie z pójściem do lodowni po kawałki lodu, aby schłodzić zupę.

Czekał niecierpliwie. Napelniwszy talerz, odwróciła się do Darragha, żeby go przed nim postawić. Nagle jej nadgarstek drgnął

silnie i jasnozielona rzeka spłynęła na jego pierś i między nogi.

Stłumił przekleństwo i instynktownie poderwał się z krzesła, które się przewróciło z hukiem na podłogę. To tylko pogorszyło sprawę, gdyż zupa zaczęła się dalej sączyć przez koszulę i spodnie, a krople spadały na buty i dywan na podłodze.

- Och, litości! - krzyknęła. - Nic ci się nie stało? Nie wiem, jak to możliwe. Talerz musiał mi się wyslizgnąć. - Spojrzała na niego smutnym wzrokiem. - Moje biedactwo. Tak mi przykro.

- To wypadek - powiedział, biorąc serwetkę i osuszając plamy. Na niewiele to się zdało, mokry materiał ziębił jego skórę i to także w intymnym miejscu. Pociągnął za pasek spodni, ale to nie zmniejszyło niewygody.

- Może pójdziesz zmienić ubranie - zaproponowała. - A ja posprzątam i podam drugie danie.

- A co z zupą?

- Och, zrobiłam tylko odrobinę. Możesz wziąć moją, jeśli masz ochotę.

- Nie, zjedz ją - odparł.

Stłumił rozczarowanie. Rzucił mokrą serwetkę na stół i odwrócił

się, żeby odejść. Wydawało mu się, że widzi na ustach Jeannette cień uśmiechu. Kiedy jednak spojrzał uważniej, wyraz jej twarzy był

poważny.

Uznał, że to wyobraźnia. Energicznym krokiem ruszył do sypialni.

Kiedy wrócił, wszystko było posprzątane, z wyjątkiem dużej, mokrej plamy, która została na podłodze pod jego krzesłem. Siadając, przyglądał się, jak Jeannette wyłania się z kuchni, niosąc półmisek pokrojonej w plastry, pieczonej wieprzowiny, gotowanej kapusty i marchwi.

Postawiła go i wzięła talerz, żeby nałożyć jedzenie.

- Już lepiej?

- Tak. Nie ma nic lepszego na poprawienie humoru niż ciepłe, suche ubranie.

Napełniła kieliszki czerwonym winem. Sięgnął ręką i podniósł

kieliszek do ust, podczas gdy ona postawiła przed nim talerz.

- Przygotowywałam to przez cały dzień - oznajmiła. - Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Uśmiechnął się.

- Wszystko, co przyrządzasz, jest teraz pyszne, a to danie pachnie rajem. Z pewnością będzie mi smakowało.

Był głodny, ale poczekał uprzejmie, aż nałożyła potrawę na talerz.

Dopiero potem chwycił nóż i widelec. Ukroił kawałek wieprzowiny i włożył go do ust.

Poczuł w ustach piekielny żar, który palił mu język i podniebienie.

Zakaszłał. Oczy zaszyły mu łzami, ciekło mu z nosa. Marzył, żeby wypluć mięso, ale się opanował, wiedząc, że nie wolno mu tego zrobić. Nie wówczas, gdy patrzyła na niego tak wyczekująco. Zamiast tego połknął

je i natychmiast tego pożałował, bo wewnątrz jego gardła stanęło w ogniu niczym hubka, na którą padła iskra.

Co ona do tego dodała? - zastanawiał się. To nie był czarny pieprz.

Coś innego, ostrzejszego. Prawie jak... cayenne?

Patrzył, zaszokowany, gdy ukroiła kawałek pieczeni i zjadła go, nie mrugnawszy okiem. Czy jej usta były wewnątrz wyłożone ocynkowaną blachą, że nie zauważyła tego piekielnego smaku?

Uznał, że lepiej się przenieść w bezpieczniejsze rejony i nabrał

spory kęs kapusty. Zamiast maślanej, rozpluwającej się w ustach i przyprawionej kminkiem miękkości, poczuł, jak gotowane liście trzszczę okropnie w jego zębach. I nie przestawały trzszczęć, w miarę jak poruszał szczęką. Wstrętne chrupanie brzmiało mu w uszach, przyprawiając o mdłości.

Przełknął, patrząc, jak Jeannette zajada swoje danie z widocznym zadowoleniem. Chyba nie mogło jej to smakować? To było najgorsze jedzenie, jakie przygotowała od czasu pamiętnej pierwszej katastrofy. W

ciągu paru minionych tygodni stała się świetną kucharką, robiąc na nim wrażenie swoimi umiejętnościami.

Jak mogła przyrządzić tyle rzeczy w sposób nienadający się do jedzenia? Chyba że zrobiła to celowo. Zerknął na marchew, jakby to był

materiał wybuchowy, grożący detonacją w każdej chwili. Jakiej zbrodni dokonała na tych małych, złotych krążkach? I, co ważniejsze, dlaczego?

Co się stało podczas jego wyjazdu?

Spojrzał w jej oczy. Były niewinne jak u anioła.

- Jak ci smakuje?

- To... interesujące. - Odłożył widelec. - Jednak nie jestem taki głodny, jak sobie wyobrażałem.

- Cóż, z pewnością zjadłbyś deser? Jabłka w cieście, twoje ulubione.

Co zrobiła, żeby zrujnować deser? W brzuchu mu zaburczało - z głodu i na znak protestu przeciwko jedzeniu, które dotąd w siebie wmusił. Choć jabłka w cieście brzmiały kusząco, postanowił nie ryzykować.

- Dziękuję, nie.

- Co za szkoda. Może zresztą i lepiej - powiedziała słodko - bo najpierw dałam je Witruwiuszowi do spróbowania.

- Co zrobiłaś?

- Zajadał się nimi. Nie miałam pojęcia, że psy tak uwielbiają jabłka.

Przypuszczam, że trochę zostało, więc mogę wskrobać z jego miski, jeśli rzeczywiście masz ochotę.

Słyszając swoje imię, Witruwiusz wszedł do pokoju i opadł na podłogę. Jęknął. Jego włochaty brzuch wzdał się od jabłek i ciasta, które pożarł.

Darragh miał nadzieję, że zwierzak nie zapaskudzi całej podłogi.

Jeannette zjadła kolejną porcję wieprzowiny z kapustą, popijając winem.

- Jak ci się udał dzień? - podjęła po chwili. - Mój był raczej interesujący. Odwiedziło nas kilku dżentelmenów. Szukali ciebie. Hrabia i jego przyjaciele, przyjechali aż z Italii.

Strach przejął Darragha jak ukłucie nożem.

- Czego chcieli?

- Poradzić się wielkiego architekta, Darragha O'Briena. Zabawne, bo znali cię pod innym nazwiskiem. - Dotknęła palcem policzka, jakby w zamyśleniu. - Niech pomyślę, jak ono brzmiało? Mullholland. Lord Mullholland. - Przeszyła go spojrzeniem równie ostrym, jak diabelska przyprawa, którą dodała do potraw. - Czyż nie tak, milordzie?

Chryste, ona wiedziała. - Ale Jeannette...

- Tylko mi nie mów: „ale Jeannette”. - Uderzyła ręką w stół. - Jak śmiałeś mnie oszukiwać! Jak śmiałeś ukrywać, kim jesteś?! Przed własną żoną!

Próbował zachować spokój.

- Rozumiem, że jesteś rozgniewana, ale jeśli tylko dasz mi wy-jaśnić...

- Wyjaśnić co? Że jesteś zwykłym kłamcą?

Słowa Michaela zadźwięczały mu w uszach. Brat ostrzegł, że Jeannette może sięgnąć po ostre narzędzie i wyrzucić na nim krwawą zemstę. Zerknął podejrzliwie na sztucce.

- Miałem swoje powody - powiedział, wstając od stołu.

- Jakie powody mogłeś mieć? Sądziłeś, że nie muszę wiedzieć o takim drobiazgu, jak to, że jesteś hrabią? Nie wydaje się, żeby ci brakowało okazji, aby mi o tym powiedzieć.

Wyprostował się, gotów do obrony.

- Próbowałem ci to powiedzieć już pierwszego dnia, gdy się spotkaliśmy. Ale mi przerwałaś, uznając, że wiesz o mnie wszystko, co potrzeba.

- A później? Jaką wymówkę wymyślisz?

- Żadnej wymówki. Po prostu nie rozumiałem, dlaczego to ma aż takie znaczenie, toteż pozwoliłem ci wierzyć w to, co chciałaś.

- Nawet po ślubie? - Machnęła ręką. - A ta chata? Hrabia powiedział mi, że masz zamek! Dlaczego mnie tutaj przywiozłeś? Dlaczego powiedziałeś, że to wszystko, na co nas stać? Który z twoich



dzierżawców zamieszkuje w tym dziwacznym domku?

- Nie dzierżawca, ale przyjaciel. - Na jego twarzy wykwitł blady rumieniec. - Sądziłem, że to będzie dobre miejsce na nasz miesiąc miodowy, jak również okazja, abyśmy się poznali bez przeszkód.

- Jakich przeszkód? Masz na myśli służbę i kucharzy? - Przerwała, przypominając sobie coś. - I zwolniłeś Betsy!

- Nie jest tak źle, jak...

- Nie, jest gorzej. Zmusiłeś mnie do gotowania! Zaniepokojony kłótnią, Witruwiusz usiadł, wydając pojedyncze, nerwowe warknięcia.

Darragh uspokoił psa, mruknąwszy parę słów, po czym zwrócił

ponownie uwagę na Jeannette.

- Lubisz gotować. Sama mi to niedawno powiedziałaś.

- To, czy gotowanie sprawia mi przyjemność czy też nie, nie ma żadnego znaczenia. Lady nie pracuje, a jako dżentelmen powinieneś o tym wiedzieć. Ale cóż, ty nigdy nie zachowywałaś się tak, jak dżentelmen powinien się zachowywać, nieprawdaż?

- Dość tego, dziewczyno - ostrzegł cichym głosem.

- Tak? Albo co? Czy wymyśliłeś dla mnie jakieś nowe upokorzenie, żeby mnie torturować? - Łzy wściekłości i żalu zalśniły w jej oczach. -

Dlaczego to zrobiłeś? Z zemsty? Chciałeś mnie ukarać za małżeństwo, którego najwyraźniej nie chciałeś, a do którego cię zmuszono? Musisz mnie nienawidzić, żeby oszukać w sposób tak perfidny i przemyślany.

Darragh się wzdrygnął. Wszystko poszło zupełnie nie tak, jak planował. Oskarżała go o coś złego, co nigdy nie leżało w jego intencjach.

Wyciągnął prosząco rękę.

- To nie tak. Gdybyś mi tylko pozwoliła wyjaśnić. Odepchnęła jego dłoń, zamykając oczy, jakby nie mogła dłużej znieść jego widoku.

- Myślę, że wyjaśniłeś więcej, niż było konieczne. Cokolwiek powiesz, skąd mam wiedzieć, czy to nie nowe kłamstwo?

- Jeannette...

- Jestem zmęczona i chyba się położę.

- Dobrze. Porozmawiamy w sypialni.

- Nie. Nie jesteś tam mile widziany.

- Mile czy nie, wciąż jesteś moją żoną. Jej dolna warga zadrżała.

- Nigdy nie przestanę tego żałować.

Choć wiedział, że mówiła w gniewie i żalu, te słowa zaboląły.

- Tak czy inaczej, jesteśmy małżeństwem. Póki śmierć nas nie rozłączy, jak mówi przysięga. -  
Przerwał. - Gdybyś się chwilę zastanowiła, ucieszyłabyś się z tego.

Zacisnęła usta.

- Z czego? Ze zamieniono mnie w pomywaczkę? Czy z tego, że mnie oszukano?

Żałował, że nie może cofnąć tych słów. Wnioskując po jej wściekłej minie, tylko pogorszył sprawę. Wiedząc jednak, że tak czy siak jest zgubiony, brnął dalej.

- Chciałaś tytułu i oto go masz, jesteś teraz księżną Mullholland. -

Przezesął włosy palcami. - Chciałaś wielkiego domu i będziesz go miała; ogromny stary zamek znany jako Caslean Muir. Pragnęłaś służby i majątku. Cóż, ani jednego, ani drugiego ci nie zabraknie. Tak więc sądzę, że powinnaś czuć ulgę.

- Wziąwszy to wszystko pod uwagę, pewnie powinnam. Albo i raczej, czułabym, gdyby to wystarczyło.

- Czego jeszcze chcesz? - zapytał, poddając się rosnącej rozpacz. -

Czego pragniesz?

W jej oczach pojawił się smutek.

- Tego akurat nie możesz mi dać.

Zmarszczył czoło zaskoczony, kiedy tłumiąc szloch, wybiegła z pokoju. W chwilę później rozległ się szcęk zamka w drzwiach sypialni.

W końcu znalazła klucz. I z pewnością zamknęła również okna.

Cholera!

Odwracając się, kopnął narożną szafkę, aż zabrzączała porcelana w środku.

Witruwiusz zawył i nieśmiało pacnął ogonem o podłogę, po czym zwiesił łeb.

Gniew Darragha minął prawie natychmiast. Schylając się, przywołał psa i pogłaskał wielki, kosmaty łeb, przynosząc pociechę im obu.

- Cóż, psinko, wygląda na to, że śpimy razem. Mam tylko nadzieję, że tak nie zostanie przez resztę naszego życia.

Następnego ranka obudziła się, zmęczona po całej nocy spędzonej na płaczu. Spała niewiele, stale przypominając sobie wydarzenia tego okropnego dnia. Tuż po świcie, kiedy nie mogła już tego znieść, umyła się i ubrała. Poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę. Spodziewała się zastać bałagan. Darragh uprzątnął jednak większość brudnych talerzy i garnki z resztkami jedzenia. Schował także żywność, która nadawała się do jedzenia. Jeśli sądził, że tym sposobem ją ułagodzi, bardzo się mylił.

Po tym, co zrobił, jak mogłaby mu zaufać? Uwierzyć mu? Kochać go? Obdarł ją ze wszystkiego, aż do kości.

Samo wspomnienie oszustwa powodowało, że jej uczucia zaczęły wrzeć niczym woda w czajniczku. Przygotowała dla siebie tosty, stukając naczyniami tak głośno, jak jej się podobało, Co z tego, jeśli go obudzi? Miała nadzieję, że tak będzie. Miała nadzieję, że będzie się czuł

równie źle, jak ona z jego powodu.

Jakaż była głupia, wyobrażając sobie, że mógłby ją kochać.

Darragh, wymizerowany i niewyspany, pojawił się w drzwiach wkrótce potem. Udawała, że go nie widzi.

Witruwiusz wszedł do kuchni i usiadł, czekając cierpliwie na poranny posiłek, jak to mu weszło ostatnio w zwyczaj. Pokroiła dla niego wieprzowinę z poprzedniego wieczoru, uważając, żeby to nie było mięso, które specjalnie posypała pieprzem cayenne dla Darragha.

Zadbawszy o psa, postawiła herbatę i tosty na miedzianej tacy.

Wróciła do sypialni, nie zwracając uwagi na Darragha. Pozostała w pokoju do końca dnia.

Powóz przybył następnego dnia rano. Była to ta sama karoca, którą podróżowała na zachód, z herbem Mullhollandów na drzwiach. Poczowała się, jakby ją spoliczkowano. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości co do jego tytułu, rozwiały się teraz, gdy woźnica zeskoczył na ziemię i przywitał Darragha cichym „milordzie”.

Jej kufry zapakowano i załadowano na wóz. Przyszła Aine, przestraszona ich nagłym odjazdem. Dziewczyna przyrzekła sprzątać, wyprać pościel i zabezpieczyć meble narzutami.

Jeannette dała całą nietrwałą żywność jej i Reddiemu. Stary człowiek uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go poznała. Żywy inwentarz należał do przyjaciela Darragha, który mu pożyczył chatę.

Z pomocą Aine Jeannette włożyła jedną ze swoich eleganckich sukien podróżnych, czując się, po raz pierwszy od wielu tygodni, prawdziwą damą. Ale patrząc na dziewczynę, która jej pomagała, Jeannette zrozumiała, że nie jest już tą samą osobą. Nie zastanawiając się wiele, przyciągnęła Aine

do siebie i podziękowała za jej dobroć i uprzejmość. Obiecała także dziewczynie pracę, gdyby kiedyś znalazła się w potrzebie.

Nadeszła pora wyjazdu. Zignorowała Darragha, a on rozsądnie pozwolił jej na to, postanowiwszy jechać konno, zamiast razem z żoną w powozie.

Wiedziała, że z ulgą opuści to miejsce, ale kiedy spojrzała na chatę po raz ostatni, czuła tylko smutek i żal.

Słońce stało już nisko, kiedy przybyli do zamku. Wyniosłe mury z szarego kamienia, wznoszące się wśród zielonych pól, wyglądały dokładnie tak, jak mówił Darragh. Poczowała jeszcze większe przygnębienie.

Był to z pewnością największy zamek, jaki widziała. Składał się z trzech kondygnacji o wąskich oknach, wykutych jedno nad drugim. Od wschodu stała ogromna wieża, wyraźnie dodana w późniejszym okresie.

Oplatał ją bujny bluszcz.

Obok małego cmentarza i ruin czegoś, co wyglądało na kościół, wybudowano wieżę w kształcie stożka. Surowa konstrukcja zdradzała cel, w jakim ją wzniesiono. Były to niewątpliwie fortyfikacje obronne.

Półprzytomna z żalu, ledwie zdołała objąć to wszystko wzrokiem, kiedy czterokonny powóz się zatrzymał. Lokaj pomógł jej zejść po schodkach karocy. Nagle spostrzegła znajomą twarz wśród zgromadzonej przed schodami służby. Niemal krzyknęła z radości.

- Betsy. - Pobiegła w stronę pokojówki. - Jak dobrze cię zobaczyć.

Myślałam... - przerwała, z trudem wymawiając te słowa - że mój mąż...

odesłał cię z powrotem do Anglii.

- Och, tak zrobił, milady. Spędziłam miesiąc z rodziną w Korn-walii. Potem wróciłam do Irlandii, żeby na panią czekać. - Betsy zniżyła głos, pochylając się w jej stronę. - Chociaż nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie przyjechałam do Caslean Muir, że pan O'Brien nie jest zwykłym panem O'Brienem, tylko utytułowanym dżentelmenem.

Milady nigdy mi o tym nie wspomniała.

- Nie, w istocie - szepnęła, nie dodając, że to niedopatrzenie wzięło się stąd, że sama poznała prawdę przed dwoma dniami.

A więc skłamał, mówiąc, że zwolnił Betsy, pomyślała, dodając kolejne przewinienie do listy jego oszustw. Wysłał pokojówkę na kosztowne wakacje, które ta będzie zapewne wspominać do końca życia.

Teraz Betsy uważała go prawdopodobnie za świętego.

Hm... zżymała się w myślach Jeannette, oto święty patron oszustów.

Ale czy ona była lepsza? Zamieniła się miejscami z Violet, udając własną siostrę, okłamując rodzinę i przyjaciół. Kłamstwa Darragha w świetle jej poczynań nabierały znaczenia poetyckiej zemsty. Co za ironia

- oszustka padła ofiarą oszusta.

Jednak jej własne kłamstwa nie czyniły postępów Darragha bardziej niewinnymi. Czyż nie?

Zastanawiała się, czy tak właśnie czuł się Adrian, kiedy odkrył

prawdę. Czy miał złamane serce? Czy uważał, że jego zaufanie do własnej żony - jedynej osoby, której powinien był ufać bez względu na wszystko - zostało wykorzystane i zdradzone?

Jeśli tak, winna mu była szczere przeprosiny.

- Jak się udał miesiąc miodowy? - zapytała Betsy wesołym głosem.

- Czy było bardzo romantyczne?

Czy to właśnie Darragh wmówił dziewczynie? Ze zabrał ją w jakieś romantyczne miejsce, gdzie miło spędzili czas? Miesiąc wcześniej wyrzuciłaby z siebie całą historię, ze wszystkimi szczegółami, i otwarcie zapłakała na ramieniu Betsy. Teraz jednak opanowała się i nic nie powiedziała. Im mniej wiadomo o jej upokorzeniu i cierpieniach, tym lepiej.

- Byliśmy... odosobnieni - odparła.

Rozległ się dziewczęcy pisk, kiedy jakaś drobna istota wybiegła z drzwi zamku. Powiewał za nią czarny warkocz. Dziewczynka rzuciła się na Darragha; długie do kostek spódnice załopotały, gdy skoczyła w jego ramiona.

- Darragh, jesteś w domu! - zawołała, a potem przeszła na celtycki, zalewając brata potokiem słów.

Darragh się roześmiał i zakręcił dziewczyną dokoła. Pocałował ją w policzek i odpowiedział w tym samym języku, a potem postawił na ziemi.

Dziewczynka rzuciła zaciekawione spojrzenie na Jeannette i zachichotała, szepcząc coś Darraghowi do ucha. Młoda, najwyżej jedenastoletnia panna miała twarz w kształcie serca i wielkie, piękne, zielone oczy. Kocie oczy. Śmiałe i ciekawskie.

Darragh ujął siostrę za rękę i poprowadził w stronę Jeannette.

- Jeannette, jeśli jeszcze nie odgadłaś, to małe półdiabły to moja siostra, Siobhan.

- Lady Siobhan - przywitała ją Jeannette.

Dziewczynka zachichotała ponownie, po czym się uśmiechnęła.

- Pani ma piękny głos, jak na Angielkę.

Jeannette uniosła brwi, zanim jednak zdobyła się na stosowną odpowiedź, przyłączyła się do nich kolejna trójka O'Brienów.

Moira, w wieku około piętnastu lat, jak się domyśliła Jeannette, była piękną kobietą na progu kobiecości. Miała kasztanowe włosy i oczy o takim odcieniu i kształcie, jak oczy Darragha. Jej twarz stanowiła szczuplejszą, kobiecą wersję twarzy starszego brata. Bardziej opa-nowana, o lepszych manierach niż najmłodsza latorośl, ukłoniła się Jeannette z szacunkiem i powitała ją uprzejmie.

Następny był Finn. Potężniej zbudowany niż bracia, wyglądał tak, jakby z łatwością mógł wyrwać drzewo z korzeniami. Musiał mieć około dziewiętnastu lat. Był niemal równie wysoki, jak Darragh. Wbrew sobie polubiła go od razu, za miłe zielone oczy i uprzejmy, pełen szacunku sposób bycia.

Michaela już znała.

Mrugnął do niej okiem i ją pocałował.

- Witaj w Caslean Muir, choć nie spodziewałem się zobaczyć cię znowu tak szybko.

- Cóż, wcale się nie dziwię, skoro wiedziałeś o wszystkim od lorda Mullholland - powiedziała wyniośle.

Wyraźnie się zmartwił, potem jednak uśmiechnął się z ulgą, kiedy szepnęła, przeznaczając słowa tylko dla jego uszu:

- Ciesz się, że mam pretensje tylko do niego.

Reszty rodzeństwa, Hoyta i Mary Margaret, nie było w zamku.

Mieli już własne rodziny i dzieci i nie mieszkali w majątku, ale wkrótce przyjadą z wizytą.

Przypomniawszy sobie widocznie, że powinien przedstawić żonę służbie, Darragh wystąpił naprzód i ujął ją za rękę. Pragnęła się wyrwać, ale świadoma obecności tylu osób, pozwoliła mu położyć swoją dłoń na jego zgiętym łokciu.

Widok dwóch dziesiątków służby - w tym najprawdziwszego francuskiego kucharza - podzielał na nią tak, jakby napiętnowano ją gorącym żelazem. Zniosła powitania, które szczęśliwie nie trwały długo, po czym weszła wraz z rodziną do zamku.

Oczekiwała ciemnego, zimnego, urządzonego w starym stylu wnętrza, toteż zaskoczył ją wesoły, nowoczesny wystrój. Jasny hol zdobiły liczne trofea, a układające się w zawile wzory sztukaterie na ścianach świetnie pasowały do pięknie rzeźbionych tralek wielkiej klatki schodowej. Klan

O'Brienów oprowadził ją po całym zamku. Obejrzała jedną elegancką komnatę po drugiej, jak również wielką, pełną złocień salę balową oraz długą galerię, w której znalazła dzieła malarskie, tapiserie, pałasze, zbroje i inne przedmioty należące do przodków O'Brienów.

Dowiedziała się, że wiele pamiątek rodzinnych uratowała matka O'Brienów. Ukryła je przed laty, nie chcąc, aby poszły na spłatę długów czy podatki.

Bracia i siostry Darragha raczyli ją różnymi historiami, z nieukrywaną dumą opowiadając również o tym, jak Darragh pracował, żeby przekształcić zrujnowany zamek we wspianą siedzibę, jaką był

teraz.

W końcu odeszli, zostawiając najstarszemu bratu oprowadzenie jej po starej wieży. Gdy tylko zostali sami, natychmiast wysunęła rękę spod ramienia O'Briena i odsunęła się o krok.

Popatrzył na nią przenikliwie, jednak na nic nie nalegał. Odwrócił

się i poczekał, aż sama za nim podąży.

Apartament pani domu składał się z trzech przestronnych komnat

- sypialni, garderoby i łazienki - zajmujących całe górne piętro. W

wesołych, urządzonych z myślą o kobiecie pomieszczeniach dominowały blade odcienie różu i żółci, z akcentami zieleni. Orzechowe meble sprawiały, że pokoje były przytulne. I chociaż nie miała zamiaru okazać Darraghowi swojej aprobaty, natychmiast zakochała się w pięknym wnętrzu.

Poinformował ją, że jego komnaty znajdują się piętro niżej i łączą się z jej apartamentem małą, spiralną klatką schodową, która znajduje się w rogu pokoju. Chciał ją po nich oprowadzić.

- Nie, dziękuję - odparła cicho, chowając do kieszeni klucz, który odkryła w drzwiach prowadzących, na schody.

Uśmiechnął się tylko, kiwając głową.

- To mnie nie powstrzyma, dziewczyno, jeśli będę chciał tu wejść.

- A więc lepiej, żebyś nie miał na to ochoty, bo nie jesteś tu mile widziany. Idź do rodzeństwa, któreś z nich może się ucieszyć z twego towarzystwa.

- Jeannette, pozwól...

- Przyślij tu, proszę, Betsy. Chyba że postanowiłeś znów ją zwolnić ze względu na brak środków. - Odwróciwszy się, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Ale nie widziała krajobrazu za oknem. Serce miała ściśnięte.



Westchnął.

- Musimy o tym porozmawiać, teraz albo później. Zachowała milczenie, nie odwracając się, dopóki nie usłyszała, jak odchodzi.

Spuściwszy głowę, wytarła łzę z policzka.

Darragh dał jej tydzień. Dość czasu, miał nadzieję, żeby jej gniew ostygł, a uraza osłabła na tyle, żeby zechciała cierpliwie go wysłuchać.

Litości, ależ ona potrafiła zmrozić człowieka, skuteczniej niż surowy północny wiatr. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ogrzeje się w jej ciepłe.

Wszystkim pozostałym domownikom Jeannette okazywała niezwykłą sympatię. Nawet Mary Margaret, która przybyła z wizytą, pełna niechęci do angielskiej żony brata, wkrótce była pod jej urokiem.

Artystę Hoyta, który żył swoimi opowieściami i poezją, z miejsca olśniła jej uroda, choć nie ucierpiała na tym jego oczywista, głęboka miłość do żony.

Ze względu na okoliczności, w jakich się poznali, Darragh nigdy przedtem nie miał okazji widzieć, jak Jeannette zachowuje się w salonie.

Już po godzinie zrozumiał, dlaczego uznano ją za królową londyńskiej socjety przez dwa lata z rzędu.

Nalewała herbatę, podawała sandwicze, prowadziła rozmowę i zabawiała gości, sprawiając, że każda osoba w pokoju czuła się, jakby przyznawano jej specjalne względy. Była jak promienne słońce, rozsiewające wokół ciepłe światło.

Ogrzewała nim wszystkich, ale nie jego. Omijała go, niczym ospowatego zebra, choć musiał przyznać, że w obecności rodziny ukrywała swoją niechęć do męża.

Mimo to czasem napięcie między nimi musiało być widoczne.

Zwłaszcza dla Michaela, który rzucał mu współczujące spojrzenia, przeplatając je kręceniem głowy gestem „a nie mówiłem”. Darragh zaciskał zęby, starając się zachować cierpliwość. Chciał dać Jeannette dość czasu, żeby zadomowiła się w nowym miejscu i uznała, że być może fakt, iż najpierw mieszkali w wiejskiej chacie, nie był wcale taki zły.

Nie miał przecież zamiaru ukrywać przed nią prawdy na zawsze.

Dawno by jej wszystko wyjaśnił, gdyby tylko zechciała słuchać. Jak się jednak przekonał, Jeannette w gniewie była równie twarda jak hartowana stal.

A to stawiało go w niezręcznej sytuacji. Mógł pozwolić, żeby rozdźwięk między nimi pozostał i zapewne jeszcze się pogłębił, albo musiał podjąć stanowcze kroki, żeby coś zmienić. Tak więc tego wieczoru, czy Jeannette się to spodoba czy nie, zamierzał rozstrzygnąć sprawę. A potem miała

wpuścić go znowu do swojego łóżka.

Po tygodniach dającego najgłębsze zadowolenie, cudownego współżycia, jego brak okazał się torturą. Torturą, której nie łagodziły częste zimne kąpiele.

Darragh zachował spokój podczas kolacji, zgrzytając zębami, kiedy Jeannette gawędziła wesoło z członkami rodziny - każdym, tylko nie z nim. Michael pozostał najdłużej przy stole, kończąc rozmowę z Jeannette i dopijając porto.

Pochwycił spojrzenie Darragha i zrozumiał jego wymowę.

- Ach, no cóż - westchnął - jeśli pozwolicie, pójdę w ślad za innymi i udam się do siebie. Mam... nowy... eee... żurnal weterynaryjny do przejrzenia.

- Och. - Jeannette odstawiała filiżankę z herbatą. - W takim razie ja chyba zrobię to samo. Przyjemnego czytania i miłych snów.

Michael wstał i się skłonił.

- Wam również. Dobranoc, Jeannette. Darragh...

Darragh podszedł, żeby pomóc jej odsunąć krzesło. Wstała, spięta.

Za jej plecami Darragh skinął głową Michaelowi, który szepnął:

„powodzenia”, zanim Darragh wyszedł, za Jeannette, z pokoju.

Szedł za nią po schodach, blisko, tak żeby nie wysforowała się z nadmierną szybkością. Udawała, że go nie zauważa, dopóki nie dotarli na półpiętro, powyżej którego znajdowały się jej pokoje.

Kiedy chciał iść za nią, odwróciła się.

- Dokąd się pan wybiera?

- Na górę, razem z tobą. Pokręciła głową.

- Pana pokoje są dalej w korytarzu. Sugeruję, żeby się pan tam udał, milordzie.

Oficjalny ton denerwował go, dokładnie tak samo, jak każdego dnia, odkąd przybyli do Caslean Muir. Jej obyczajowi nazywania go

„milordem” również zamierzał dziś wieczorem położyć kres.

Do jutra rana Darragh miał znowu karmić się z jej ust, zakładając, że wszystko się ułoży, jak planował.

- Ta sytuacja między nami trwa zbyt długo - powiedział. - Musimy porozmawiać i tym razem mnie

wysłuchasz. Pomyślałem, że będzie ci wygodniej odbyć tę rozmowę w apartamencie, gdzie nikt postronny nas nie usłyszy.

- Później porozmawiamy. Jestem zmęczona i chcę się położyć.

Zdając sobie sprawę, że te słowa oznaczają w gruncie rzeczy:

„Nie chcę z tobą rozmawiać teraz ani w ogóle”, Darragh chwycił ją za rękę, zanim zdążyła się odwrócić.

- Porozmawiamy teraz.

Jeannette spojrzała na niego wyzywająco. Był stanowczy. A jednak czuła jego ciepło i ledwie skrywane, niecierpliwe pożądanie. Pomimo rozdźwięku między nimi wiedziała, że wystarczy jeden dotyk, a oboje ogarnie płomień. Obywała się jednak bez niego i przyjemności, jaką jej dawał, przez wiele dni. Mogła więc wytrzymać jeszcze dłużej.

Nie chciała ustąpić.

- Proszę pozwolić mi odejść, lordzie Mullholland. Zacisnął szczęki, ściskając także mocniej jej rękę.

- Nie możesz odsuwać mnie od siebie bez końca, Jeannette.

- Może nie, ale z pewnością mogę próbować. - Wyrwała ramię z jego uścisku. - Dobranoc, milordzie.

- Możesz mi to powtórzyć po rozmowie. Proszę - wskazał schody -

panie przodem. Ogarnęła ją złość.

- Nie pójdzie pan ze mną.

- Jestem twoim mężem, a to jest mój dom. Pójdę tam, gdzie mi się podoba.

Stojąc tuż przed nim, uświadomiła sobie, że jej pierś wznosi się i opada gwałtownie, tak ze złości jak i z namiętności, za którą się przeklinała. Przesuwał wzrokiem po jej drżącym ciele. W jego spojrzeniu rozpoznawała głód, błękitny płomień, gorący i nieopanowany.

Wiedząc, że nie powinna kusić losu, bo inaczej zacznie się z nim kochać tutaj, na schodach, podniosła spódnice i zaczęła biec.

Darragh znieruchomiał na chwilę, niczym drapieżnik wietrzący ofiarę, zachwycając się widokiem jej zgrabnych kostek.

Parsknął niecierpliwie i ruszył za nią.

Zrównał się z nią na piętrze, chwytając ją za łokieć. Szarpnęła się i chciała go uderzyć. Złapał ją za

nadgarstek.

- Dostyć! Już ci mówiłem, że nic z tego - skarcił ją gniewnie. -

Wygląda na to, że o tym zapomniałaś.

- Drań. - Wykręcała się, usiłując się uwolnić. Objął ją ramieniem w pasie.

- Jeśli cię puszcze, czy pójdziesz grzecznie do pokoju?

W odpowiedzi kopnęła go w goleń.

Stęknął boleśnie.

- Jak sobie życzysz, kochanie. Zrobimy po twojemu. - Podniósł ją i zarzucił sobie na ramię.

Krzyknęła, uderzając go pięściami po plecach. Zwisła głową w dół. Kiedy zadała mu cios w okolice nerki, dał jej solidnego klapsa przez grubą warstwę spódnic i halek.

Pokojówka, która czekała w pokoju, otworzyła szeroko oczy, kiedy wkroczył do sypialni żony z jej panią przerzuconą przez ramię.

- Dobry wieczór, Betsy - powitał ją.

- D... dobry wieczór, milordzie. Milady...

- Pani hrabina nie będzie cię teraz potrzebowała. Sam dopilnuję, żeby dostała wszystko, czego chce.

- To nieprawda. Wezwij lokaja - poleciła Jeannette, głosem stłumionym przez jego koszulę. - Wezwij Michaela albo Finna, kogoś, kto jest dość silny, żeby wyrwać mnie z łap tego barbarzyńcy.

- Właśnie mamy drobną sprzeczkę, Betsy, nic poważnego, wierz mi. Jest bezpieczna jak dziecko w moich ramionach. Możesz już odejść.

Pokojówka wahała się długą chwilę, nie wiedząc, co robić. Potem dygnęła szybko i uciekła z pokoju.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Jeannette znowu walnęła go pięścią, aż wypuścił powietrze z płuc.

- Jak śmiesz odsyłać moją służącą! - krzyknęła. - Puść mnie natychmiast.

- Chyba tak będzie lepiej, bo inaczej zostanę kaleką - odparł, czując ból w plecach.

Podszedłszy do łóżka, rzucił ją na materac. Usunął się szybko, kiedy się wyprostowała, wściekła, jak obłany wodą kot. - Wynoś się! -

warknęła.

- Dopiero co wszedłem. Poza tym, jeszcze nie odbyliśmy naszej pogawędki.

Z płonącymi oczami, zeskoczyła z łóżka i przeszła obok niego.

Przy toaletce usiadła na wyściełanym krześle.

- Chcesz rozmawiać? Świetnie, no to rozmawiaj. Tylko szybko, bo chcę iść do łóżka.

Kąciki jego ust uniosły się w górę.

- Możesz iść do łóżka, kiedy masz ochotę, dziewczyno. Nawet pomogę ci się rozebrać.

- Trzymaj ręce przy sobie, ty zuchwalcze.

- A to ładne. Tak mnie chyba jeszcze nie nazwałaś.

- Będę cię nazywać tak i gorzej, jeśli nie wyjdiesz. Idź stąd, O'Brien.

Podniósł brwi.

- Wróciliśmy do O'Briena, czy tak? Biorąc pod uwagę, jak jesteś przywiązana do form towarzyskich, Mullholland byłby bardziej odpowiedni.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Nie przypominaj mi o tym, milordzie.

Szybkimi, gwałtownymi ruchami zaczęła wyjmować szpilki z włosów, rzucając je na intarsjowany, polerowany blat toaletki. Spadały, stukając cicho. Jej włosy, uwolnione, spłynęły złotą chmurą na ramiona i plecy.

Jedno spojrzenie i ogarnęło go pożądanie. Wciąż jeszcze czuł jej zapach - lilii i kwiecica jabłoni. Doprowadzało go to do szaleństwa.

Sięgnęła po szczotkę.

Podszedł do niej. Schylił się, nie myśląc, i pocałował ją w kark.

Uderzyła go szczotką.

Odskoczył, krzyknąwszy z bólu. Ich oczy spotkały się w lustrze nad toaletką.

- Myślałam, że chcesz porozmawiać - rzuciła.

- Tak, chcę - mruknął, pocierając czoło. - Ale chciałbym także czegoś innego.

- O tym możesz zapomnieć.

- A co takiego straszego zrobiłem, dziewczyno, poza tym, że uraziłem twoją dumę?

- Tak myślisz? Że jestem przygnębiona, bo uraziłeś moją dumę?

- A nie jest tak? Sama powiedziałaś, że czujesz się upokorzona, bo musiałaś gotować i wykonywać prace domowe. Nie czułaś się tak jednak, kiedy to robiłaś, prawda?

- Czułabym się, gdybym wiedziała, jak mnie wykorzystano.

- Nie byłaś wykorzystana. Byłaś po prostu moją żoną.

- Twoja żona nie jest służącą. Okłamałeś mnie, Darragh. Oszukałeś w najgorszy możliwy sposób.

- A ty nigdy nikogo nie oszukałaś?

Zaczerwieniła się. Oskarżenie wywarło odpowiedni skutek.

Odwróciła się do lustra. Darragh mówił dalej.

- Wiem, że cię oszukałem. Nie powiedziałem ci, kim jestem i że mam ten dom. Jest mi przykro, jeśli zraniłem twoje uczucia, ale sądziłem, że powinniśmy spędzić razem trochę czasu, sami. Bez tych wszystkich obciążeń, które wiążą się z tytułem, włącznie z moją rodziną i zamkiem, a także armią służby, przyglądającej nam się z każdego kąta.

- A więc dlaczego po prostu mi tego nie powiedziałeś? Po co wymyślać niestworzone historie i wmawiać mi, że jesteś kimś, kim nie jesteś?

- Nigdy nie udawałem innego człowieka. W sprawach, które są naprawdę ważne, zawsze byłem uczciwy.

- Ja także. Jestem damą. Kobieta, którą wychowano z pewnymi oczekiwaniami co do jej przyszłego życia. Damy nie pracują. Masz rację, zraniłeś moją dumę. W gruncie rzeczy, obdarłeś mnie z niej, celowo poniżyłeś. Wciąż nie rozumiem, dlaczego.

- Nie poniżyłem cię. Udzieliłem ci lekcji, której bardzo potrzebowałaś.

Otworzyła usta, znowu ogarnięta gniewem. - Jesteś łajdakiem.

- A ty jesteś zepsuta i rozpieszczona. W każdym razie, taka byłaś.

Zanim zamieszkaliśmy w chacie, wątpię, żebyś kiedyś myślała o kimś innym niż o sobie. Czasem może o swoich przyjaciółach i rodzinie, ale i to tylko wtedy, kiedy było to dla ciebie wygodne.

Wskazała mu drzwi.

- Usłyszałam dość. Odejdź. Skrzyżował ramiona.

- Odejdę, kiedy będę gotowy. Od samego początku dawałaś mi do zrozumienia, że nie jestem dla ciebie dosyć dobry. Dla ciebie, wykwintnej angielskiej piękności. Z nędznym irlandzkim architektem

można się po kryjomu całować, ale ktoś taki nigdy nie zasłużyłby na twój szczerzy szacunek i uwagę.

- To nieprawda.

- Nie? Zaledwie parę godzin przed tym, jak niemal oddałaś mi się na balu, powiedziałaś, że powinienem odejść, ponieważ tam „nie pasuję”. Ze ci ludzie nie należą do „towarzystwa, w którym zwykłem się obracać”...

- To niesprawiedliwe. Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś dżentelmenem? - broniła się.

- To było najistotniejsze? Poznaliśmy się. Rozmawialiśmy. Kłó-

ciliśmy się. Raz nawet spałem obok ciebie na kocu na trawie, jak sobie przypominam. W ciągu tych paru tygodni miałaś mnóstwo okazji, żeby się przekonać, jakim jestem człowiekiem. Dlaczego coś miałoby się zmienić tylko dlatego, że uważałaś, iż nie posiadam tytułu?

Zmarszczyła czoło, patrząc w ziemię i obejmując się ramionami.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego zabrałem cię do małego domku -

ciągnął. - Zrobiłem to nie po to, żeby cię upokorzyć czy złamać, ale dać nam czas, żebyśmy żyli jak zwykle małżeństwo. I jest jeszcze jeden powód - powiedział głębokim głosem. - Może najważniejszy powód ze wszystkich.

- A cóż to za powód?

- Miłość.

Jej oczy, piękne jak greckie morze, podniosły się, żeby napotkać jego wzrok.

- Chciałem się przekonać, czy możesz mnie kochać. Nie mój tytuł, ziemię czy pieniądze, ale mnie, mężczyznę, którego poślubiłaś.

Przez moment wydawała się zaskoczona. Zamyśliła się. Potem wyraz jej twarzy stał się znowu surowy.

- I sądziłaś, że umieszczając mnie na jakimś odludziu, zmuszając do gotowania, sprzątanania i zajmowania się tobą, jak przystało na szczęśliwą żonę wiejskiego gospodarza, spowodujesz, że cię pokocham?

- Tak się stało, czyż nie? Przyznaj, dziewczyno. Kochasz mnie.

Wiem, że tak jest.

Roześmiała się, ale bez wesołości. Przejął go chłód, nie był już pewien swojej racji. Stłumił to uczucie i wyciągnął ramiona, żeby ją objąć.

- No, dalej. Powiedz, że mnie kochasz.

Wzruszyła ramionami i oparła dłonie płasko na jego piersi, żeby go odepchnąć.

- Ale nie kocham. Puść mnie.

- Teraz to ty kłamiesz. - Nie chciał jej uwolnić. - Od dnia naszego pierwszego spotkania powstała między nami jakaś więź.

- To się nazywa pożądanie. Sądzę, że już omówiliśmy przedtem ten temat.

- Tak, to jest pożądanie, ale istnieje coś więcej. Spuściła wzrok, blade rzęsy zatrzepotały na policzkach.

- Nie ma nic więcej.

- Czym zatem były gry, które prowadziliśmy ze sobą w majątku twoich kuzynów, jeśli nie zalotami, jak by nie były niezwykle? I dlaczego pozwoliłaś mi się pocałować w ogrodzie Merriweatherów i potem, obok stawu?

Pokręciła głową, wydając cichy pomruk.

- Mówiłam ci. Pożądanie.

- A dlaczego w noc balu, wiedząc, że za parę godzin się ode mnie uwolnisz, pozwoliłaś mi robić te wszystkie cudowne, przewrotne, pełne namiętności rzeczy w mroku oranżerii?

- Nie pozwoliłam ci.

- Nie? Dama z towarzystwa, która wie, jak prowadzić grę dużo poważniejszą niż niewinny flirt, pozwala się przyłapać z takim jak ja.

Jej oczy rozbliły.

- To niedorzeczność. Cała twoja teoria to zwykła bzdura.

- Czyżby? To dlaczego twoje piersi nabrzmiały i są takie śliczne? -

Przesunął kciukiem po jej staniku.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, usiłując się wyrwać.

Trzymał ją mocno, pochylając głowę, żeby wziąć jej usta w po-całunku śmiałym i proszącym jednocześnie. Poddała się przez chwilę.

Potem, jakby przytomniejąc, ugryzła go w wargę. Mocno.

Cofnął się, czując smak krwi. Jego oczy się zwęziły, w głowie szumiało z pożądania. Pochylił się i



ugryzł ją, chwytając jej dolną wargę zębami na tyle mocno, żeby zabolalo, ale nie tak mocno, żeby wyrządzić jej krzywdę.

Odchyliła głowę, oddychając ciężko. Ich spojrzenia się starły, żadne nie chciało ustąpić. A potem, kiedy już się bał, że go odrzuci, jęknęła i objęła dłońmi jego głowę.

Jęcząc z ulgą, pozwolił jej pociągnąć się w dół, żeby ich usta mogły się zewrzeć w pocałunku.

Jego smak wypełnił jej usta i rozpalił zmysły. Pod palcami czuła sprężyste włosy, drugą dłonią przytrzymywała jego głowę, żeby jego usta mocniej przywarły do jej warg - dokładnie tak, jak chciała. Przyjęła jego język, włączając się z namiętym zapałem w jego grę, całując go gorączkowo, łapczywie.

Jakaś część jej duszy chciała go odepchnąć nawet teraz, odmówić przyjemności, płynącej ze zbliżenia ciał, której pragnął z oczywistą desperacją. Ale odmówić mu oznaczało odmówić samej sobie, a tego nie byłaby w stanie znieść. Jej ciało pragnęło rozkoszy, jaką mógł jej dać jego dotyk.

W tym byli tacy sami, równi. Każde wygłodniałe i spragnione, marzące o tym, co mogli osiągnąć tylko razem, dając z siebie wszystko.

Tłumiąc wszelkie myśli, szarpnęła jego koszulę, wyciągając poły ze spodni tak, żeby móc przesunąć dłońmi po ciepłej, twardej płaszczyźnie piersi. Wplotła palce w ciemne włoski. Gładziła go zachłannie, wywołując drzenie w jego ciele.

Potem sięgnęła niżej, pieszcząc go, aż zaczął pulsować. Zachwycalo ją, że przynajmniej w tym ona nad nim panuje.

Zanim się zorientowała, przejął prowadzenie. Miażdżył jej usta w nowym, gwałtownym pocałunku. Jakby spuściła z uwagi dziką bestię.

Całował ją, nie przestając, jakby nie mógł się nasycić.

Nawet nie zauważyła, kiedy bluzka zsunęła jej się z ramion. Po niej koszula, odsłaniając jej piersi dla jego spragnionych rąk. Krzyknęła, kiedy ją pieścił i kiedy robił to także ustami i językiem.

Uwolniła go z koszuli, żeby móc przesuwać dłońmi po jego ramionach i lekko wilgotnej skórze pleców.

Jej suknia, gorset i halki osunęły się nagle na podłogę. Została jedynie w pończochach. Poruszyła się, żeby je zdjąć, ale nie pozwolił jej, podnosząc ją w ramionach.

Położył ją na łóżku, z nogami poza krawędzią. Zrzucając z siebie resztę ubrania, rozsunął jej uda i stanął między nimi. Spodziewała się, że wejdzie w nią. Zamiast tego pochylił się, umieścił swoje wielkie dłonie po obu stronach jej głowy i zaczął ją całować. Ich nagie ciała dzieliła odległość może paru centymetrów.

Czuła wściekły głód. Chwyliła go, usiłując przyciągnąć do siebie.

Oparł się jednak.

Jęknęła, odpowiadając brutalnym, żądającym, namiętym po-całunkiem. Odpowiedział równie namiętnie, co jeszcze wzmogło jej pożądanie. Odsuwając się, obsypał jej ciało pocałunkami, lizząc,

gryząc i ssąc jej skórę w sposób, który musiał zostawić ślady.

Tak jakby chciał wycisnąć na niej swoje piętno. Może tak właśnie było. Czy nie postawił jasno swoich żądań? A dotyczyły one czegoś więcej niż tylko jej ciała.

Właśnie wtedy, kiedy nie mogła już tego znieść, rozchylił jej kolana jeszcze bardziej i ujął jej biodra mocnymi dłońmi. Krzyknęła, kiedy wszedł w nią, przenosząc ją w świat zmysłów, aż rozkosz zmała jej rozum.

Nagle wsunął rękę pod jej plecy i ją odwrócił. Znalazłszy się niespodziewanie na górze, patrzyła na niego zdumiona, dysząc ciężko.

Przesunął ręką po jej ciele - ramionach, piersiach, talii, biodrach i udach - drażniąc wszystkie nerwy.

- Powiedz, że mnie kochasz, dziewczyno - szepnął chrapliwie, nie przestając jej pieścić.

Powiedzieć? Westchnęła, oszołomiona przyjemnością.

- Wiem, że mnie kochasz. Powiedz to, droga moja.

- Ja... Oooch! - Zagryzła wargi, czując jego ciało wewnątrz siebie.

- Powiedz. Chcę to usłyszeć. - Poruszył się znowu, aż całą ją przejęła rozkosz. - Powiedz! - rozkazał miękko, wsuwając się w nią.

- Ja... - szepnęła. - Cię.

- .. .Cię - powtórzyła z zamętem w głowie.

- Kocham.

- .. .kocham - szepnęła głośniej. Och, Boże, co ona właśnie powiedziała?

- A więc? Kochasz mnie? Powiedz, Jeannette.

- Tak! - krzyknęła, wijąc się z rozkoszy. - Kocham. Kocham cię!

Uśmiechnął się, przyciągając ją do siebie i całując mocno.

- A teraz pokaż mi to, kochanie.

Nie panowała nad sobą. Tuliła się do niego, całując go z nieukrywaną, nieopanowaną namiętnością.

Poruszała się coraz szybciej i szybciej. W końcu, kiedy zabrakło jej sił, przyciągnął jej biodra, żeby doprowadzić ją do spełnienia. Krzyknęła i oparła się o niego, wyczerpana i wstrząśnięta.

W końcu zasnęła, bezpieczna w jego ramionach, pod kołdrą, którą przykrył ich oboje.

Ale kiedy się obudziła przed świtem, nie było w niej spokoju i radości.

Co on jej zrobił? Dlaczego zmusił ją, żeby to powiedziała?

„Powiedz mi, że mnie kochasz”, zażądał. „Pokaż, że mnie kochasz”.

I zrobiła to, dając mu dokładnie to, czego chciał.

A jednak nie odpowiedział tym samym. Nie powiedział, że czuje to samo.

Przejął ją chłód. Usiadła, patrząc, jak śpi z chłopięcym uśmiechem na ustach.

Czy on ją kochał? Czy też chciał, żeby wypowiedziała te słowa, żeby poddać ją swojej woli? Przywiązać ją do siebie, zgodnie z przysięgą.

Mogła zapytać, co czuł. Obudzić go i powiedzieć: „Darragh, kochasz mnie?”

A gdyby odparł „tak”? Co wtedy? Czy mogła mu wierzyć?

Oszustwo zachwiało jej zaufaniem, wzbudziło wątpliwości, tam gdzie ich przedtem nie było.

Inny mężczyzna też ją oszukał. Toddy szeptał jej do ucha miłe słówka i obietnice wiecznej miłości, żeby potem ją odrzucić.

Czy Darragh też pewnego dnia odwróci się od niej? Prawda, nie był niewierny, ale człowieka można było oszukać na wiele sposobów, nie tylko zdradą cielesną, jak sam tego dowiódł.

Kochała go. Nie wątpiła w to ani przez chwilę. Ale czy to wystarczało? Wiedziała, że jeśli straci czujność i odda mu swoje serce bez zastrzeżeń, kolejna zdrada ją zniszczy.

Zakryła twarz dłońmi, usiłując zebrać myśli. Co powinna zrobić?

Czuła się taka zagubiona. Nie wiedziała, czego naprawdę chce.

Dom.

Byłoby cudownie, gdyby mogła wrócić do Anglii. Do rodziny.

Violet udzieliłaby jej wszelkiej pomocy, tego była pewna. Parę tygodni w towarzystwie siostry pozwoliłoby jej nabrać dystansu, uporządkować swoje sprawy. Pomimo kłótni z przeszłości, Violet zrobiłaby dla niej wszystko, gotowa wysłuchać i okazać współczucie. A może ona sama mogłaby pomóc Violet. Na pewno się boi, w końcu niedługo powinna urodzić.

Darragh poruszył się pod kołdrą. Nie zareagowała, kiedy wyciągnął rękę i położył ją na jej ramieniu, obrysowując palcami niezwykle znamię w kształcie kota. Przesunął palce niżej, jej zdradzieckie

ciało wygięło się z przyjemności. Wiedząc, jak łatwo przychodzi jej poddać się jego pragnieniom, wyszła z łóżka.

Przeszła przez pokój i włożyła kwiecisty szlafrok z miękkiej wełny, który Betsy zostawiła dla niej zeszłego wieczoru.

Czuła, że Darragh na nią patrzy, słyszała szelest pościeli, kiedy się podnosił. Podeszła do toaletki i wzięła szczotkę. Rozczesała włosy i przewiązała je na karku wstążką, znaną w szufladzie toaletki.

Jego boscie stopy stąpały cicho po dywanie. Nie usłyszała, kiedy podszedł i zadrżała lekko, zaskoczona, gdy przycisnął usta do jej szyi.

Wyprostował się powoli, podsuwając jej przed oczy dłoń.

Leżał na niej owalny medalion, połyskujący złotem w bladym świetle poranka.

- Dla ciebie, *stoirin*.

Przyglądała mu się długo, zanim przyjęła prezent. Na powierzchni medalionu wygrawerowano proste, ale pięknie oddane róże.

- Podoba ci się? Kupiłem to podczas ostatniej podróży do Ennis.

Kiedy go zobaczyłem, pomyślałem o tobie z powodu róż. To jedno z twoich imion.

Zesztywniała na wzmiankę o Ennis, przesunęła kciukiem po wzorze.

- Tak, jest śliczny.

Był. Uroczy, piękny prezent, skażony jednak pamięcią jego postępków. Kłamstw, którymi ją raczył, i przemyślnego podstępów, którego padła ofiarą. Zacisnęła palce na medalionie. Metal wbił jej się w skórę.

- Może go włożysz, zobaczysz, jak wygląda - szepnął. - Potem wróć do łóżka.

Odsunęła się.

- Raczej nie.

- Dlaczego? Całe rano przed nami. Nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli zostaniemy w sypialni trochę dłużej.

- Mnie będzie.

- O co chodzi, Jeannette? Co jest nie tak?

- Nic. Wszystko. - Zwróciła się twarzą w jego stronę, pocierając dłońmi ramiona. - Zastanawiałam się i... chcę pojechać do domu.

Zmarszczył brwi. - Co?

- Chcę pojechać do domu, do Anglii. A ponieważ wiem, że masz dość pieniędzy, nic nie powinno stać na przeszkodzie.

Oczy mu pociemniały i przez chwilę wydawało się jej, że błysnęła w nich panika. Potem poruszył powiekami i ich wyraz się zmienił.

- Czy zajmiesz się przygotowaniem podróży, czy ja mam to zrobić?

- zapytała.

Jego twarz stała się zacięta.

- Nie.

- Jak to, nie?

- Właśnie tak. Nie pozwolę ci jechać do Anglii.

- Ale ja chcę jechać. Poza tym Violet jest bliska rozwiązania i chciałaby, żebym przy niej była.

- Czy pisała w tej sprawie? - Nie, ale...

- Zatem poradzi sobie bez ciebie, a ty wytrzymasz tutaj. Ponadto, to nie jest dobra pora na podróż. Może wrócimy do tego na wiosnę.

Sądząc z tonu jego głosu, nigdy nie zamierzał do tego wracać.

- Chcę jechać teraz, nie na wiosnę - oznajmiła. Zacisnął szczęki.

- Musisz się pogodzić z faktem, że zostaniesz w domu. - Jesteś brutalem i nienawidzę cię.

- Nie to mówiłaś w nocy.

Przez chwilę stała oniemiała, nie mogąc uwierzyć, że użył tego argumentu. Wydobył z niej to wyznanie podstępem!

- Wynoś się! Wynoś się i zabieraj swoje świecidełko. - Z furią rzuciła medalionem w jego pierś.

Złapał go zręcznie, z wyrazem zawodu i urazy na twarzy.

- Jeśli go nie chcesz, wystarczyło powiedzieć.

- Nie chcę go - skłamała. Ani ciebie.

Te słowa wisiały w powietrzu między nimi, zupełnie tak, jakby je wypowiedziała głośno.

- Jak chcesz. - Z napiętą twarzą, schylił się po spodnie, leżące na podłodze. Wsunął w nie nogi, naciągnął jednym szarpnięciem na biodra i gwałtownymi, szybkimi ruchami zapiął guziki.

- Jedyne, czego chcę, to jechać do domu - powiedziała.

Jego twarz spochmurniała.

- Jesteś w domu. Ten zamek jest twoim domem i lepiej, żebyś o tym pamiętała. W dniu, w którym przyjechałaś moje nazwisko, stałaś się częścią tego miejsca. W tym dniu stałaś się Irlandką.

Chciała zaprotestować, ale zobaczyła w jego oczach chłód. Nigdy przedtem Darragh nie wpadł przy niej w taką złość. Uznała, że nie należy go drażnić jeszcze bardziej.

Narzucił koszulę, chwycił buty i kubrak.

- Miałem nadzieję, że dziś rano wszystko się między nami ułoży.

Widzę jednak, że tak nie jest. Życzę zatem miłego dnia, lady Mullholland, do zobaczenia, kiedy nie będę w nastroju, żeby uczynić ci jakąś krzywdę.

Podszedł do drzwi, łączących ich apartamenty, przystanął, wsunął

dłoń do kieszeni i wyciągnął klucz.

Zaskoczyło ją to. Zauważyła wzgardę w jego wzroku.

- Tak, zgadza się - potwierdził. - Mam zapasowy klucz, którego mogłem użyć. I jeśli będę chciał to zrobić w przyszłości, nie zadawaj sobie trudu, żeby mnie powstrzymać. Pokazałem ci zeszłej nocy, że to bezskuteczne. Nie będzie trudno przekonać cię znowu.

Przekręcił klucz i zniknął w mroku klatki schodowej, zatraskując drzwi z siłą, która sprawiła, że zatrzęsły się gwałtownie. Drżąc na całym ciele, upadła na łóżko i zaczęła płakać.

Darragh zbiegł po schodach do sypialni.

A więc chciała jechać do domu, tak?

Ostatnia noc, jak się wydaje, nic nie znaczyła. Wyznanie, które z niej wydobył, było tylko wyrazem namiętności. Powiedziała przecież, że chce go opuścić. Żołądek ścisnął mu się na tę myśl. Wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Być może powinien jej na to pozwolić. Niech pojedzie do Anglii, żeby pomóc siostrze, kiedy się urodzą bliźniaki. Ale co, jeśli Jeannette postanowi, że chce tam pozostać na zawsze? A jeśli dawne życie wciągnie ją do tego stopnia, że odmówi powrotu?

Bał się tego. I dlatego tak stanowczo sprzeciwił się jej wyjazdowi.

Lękał się, że zostawi go na zawsze.

Oczywiście, zawsze mógłby za nią pojechać. Przeprowadzka do Anglii na pewno wzbudziłaby jej zachwyty. Ale on nie chciał mieszkać w Anglii, nie na stałe. Wzdychając ciężko, dorzucił torfu do ognia i usiadł

w fotelu.

Kilka lat cieszył się podróżami po świecie, podniecały go nowe miejsca, poznawanie interesujących ludzi. Zawsze jednak wiedział, że wróci do Irlandii. Do rodzinnej ziemi, gdzie chłodna, przyjazna człowiekowi przyroda i tradycja napełniały spokojem jego duszę. Stracić to wszystko... cóż, nie mógł się na to zdobyć. Nie na zawsze. A przerażało go, że właśnie do tego Jeannette mogła dążyć.

Nawet jeśli mieliby osiąść w Anglii tylko na jakiś czas, nie mógł

sobie pozwolić, żeby jej towarzyszyć. Nie teraz. Przebywał stanowczo zbyt długo z dala od Caslean Muir. Zebrał się natłok spraw związanych z majątkiem. Musiał także poświęcić trochę czasu młodszym siostrom.

Moira i Siobhan wpadłyby w rozpacz, gdyby je tak szybko opuścił.

Ogarnęło go poczucie winy z powodu długiej nieobecności. Zwłaszcza że zdawał sobie sprawę, jak obie dziewczynki cierpiały po stracie rodziców. Szczególnie Ma potrzebowała jego wsparcia i opieki.

A to oznaczało, że Jeannette będzie musiała przywyknąć do życia w zamku. Może z czasem zdoła pokochać to miejsce. Może, jeśli zechce dać ich małżeństwu szansę, zapomni o zranionych uczuciach i nada prawdziwy sens słowom, do których wypowiedzenia nakłonił ją zeszłej nocy. Zaciśnął wargi. Czuł się urażony, że nie chciała mu wybaczyć. Czy nie mogła pojąć, że zrobił to dla dobra ich obojga? Że stali się sobie bliżsi dzięki tym paru spokojnym, spędzonym w samotności, tygodniom?

Rozumiał, że okłamywanie jej było niewłaściwe, ale nie żałował tego, co zrobił. Tak, jak nie żałował decyzji zatrzymania jej przy sobie w tej chwili.

Była jego żoną. To był jej dom, jej miejsce. Może na wiosnę rozważy to ponownie, zaskoczy ją propozycją podróży przez morze, żeby odwiedzić rodzinę. Do tego czasu musi się pogodzić z sytuacją.

W ciągu następnych tygodni Jeannette odkryła, że nie jest jedyną osobą zdolną do długiego milczenia. Darragh, jak się przekonała, był

równie utalentowany w tej dziedzinie.

Wobec rodziny okazywał jej troskę i dbałość, zachowując się, jakby gotów był rzucić jej świat do stóp. Kiedy zostawali sami, milczał tak, jakby to ona go zraniła, a nie odwrotnie.



To, oczywiście, nie przeszkodziło mu przychodzić do jej sypialni w nocy. Kiedy już się tam znalazł, wydawał się czerpać przyjemność z pobudzania jej powoli, stopniowo, rozpalając w niej namiętność, aż wiała się i błagała o spełnienie. A kiedy następowało, karał ją dalej, sprawiając, że wykrzykiwała swoją rozkosz tak głośno, iż bała się, że słyszy ją cały zamek.

Nigdy nie powiedział tego wprost, ale dał jej do zrozumienia, że do niej należy naprawa stosunków między nimi. Wystarczyłoby powiedzieć, że nie chce już jechać do Anglii, i wszystko zostałoby jej wybaczone.

Problem w tym, że Jeannette pragnęła tam jechać z całego serca i nie zamierzała od tego odstąpić. Nie zamierzała więcej kłamać. Mogła mieć swoje wady, ale w tym wypadku nie zawiniła w żaden sposób. To Darragh źle postąpił i odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Tak więc za dnia znosiła jego chłód, w nocy zaś spalała się w ogniu pożądania.

Poza tym życie ułożyło się całkiem przyjemnie. Coraz lepiej poznawała swoją nową rodzinę. Wzięła na siebie odpowiedzialność za prowadzenie domu i służbę.

- Dobrze, że pan się wreszcie ożenił - oznajmiła gospodyni, pani Coghlan, podczas pierwszej rozmowy. - Pora, żeby przestał się włóczyć i zaczął płodzić gromadkę dzieciaków. Przypuszczam, że pragnie pani dużej rodziny?

Jeannette uznała, że na to najmądrzej będzie nie odpowiadać.

Dzieci? Tak, bardzo chciała mieć dzieci. Gromadka? Cóż, splodzenie własnej drużyny krykieta z pewnością nie leżało w jej planach.

Kiedy nie zajmowały ją sprawy domowe, spędzała czas na haf-towaniu, malowaniu, pisaniu listów i grze na pianinie w pokoju muzycznym. Kiedy nie padało, chodziła na spacer z siostrami Darragha, które pomimo młodego wieku okazały się interesującymi, wesołymi towarzyszkami. Wieczorami grywała z Finnem albo Michaeliem w wista albo serca. Szybko stwierdziła, że wszyscy mężczyźni z rodu O'Brienów mają talent do kart. Zwłaszcza Finn, który wyglądał jak niewiniątko, ale tasował karty jak stary szuler.

Co jakiś czas przyjmowała też gości. Jako pierwszy przybył

miejscowy proboszcz, czcigodny Whitsund, z żoną. Niemal całą wizytę spędzili na wspomnianiu dawnego życia w Anglii. Domagali się od niej informacji o „domu”. Choć cieszyła się towarzystwem, rozmowa o Anglii w bolesny sposób przypominała jej obecne, nader chłodne stosunki z Darraghem, i do czasu, kiedy się pożegnali, wpadła w melancholijny nastrój.

Potem zjawili się państwo MacGintys, rubaszna, zakochana w koniach para z ósemką dzieci. Mieli stadninę, a ich końmi opiekował się Michael. W prezencie ślubnym przynieśli jej czarnego kotka o ogromnych, bursztynowych oczach. Cudowne stworzonko, które natychmiast ułożyło się jej na kolanach i zaczęło mruścić. Patrząc na kociaka, poczuła ciepło w okolicy serca i, ku swojemu zdumieniu, przyjęła dar z uśmiechem zadowolenia.

Nazwała kotka Smoke. Początkowo bała się go pokazać Witruwiuszowi - ogromny wilczur mógłby zrobić kociakowi krzywdę.

Ale maleńki kotek i potężne psisko spojrzeli sobie raz w oczy i natychmiast zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Teraz, prawie dwa miesiące później, delikatnie wyjęła kłębek z łapek Smoke'a, po czym włożyła nici do koszyka z szyciem, gdzie kotek nie mógł ich znaleźć. Rzuciła mu małą, obszytą aksamitem piłeczkę, przeznaczoną specjalnie dla niego, kiedy do drzwi salonu rozległo się pukanie.

- Proszę - powiedziała, patrząc z uśmiechem, jak Smoke poluje na piłeczkę.

Wszedł lokaj z listem. Podziękowała mu i rzuciła okiem na ciężką welinową kopertę. Zobaczyła czerwoną woskową pieczęć księcia Raeburna. Zawiadamiał ją o narodzinach dzieci Violet.

Bliźniacy, jak pisał Adrian, przyszli na świat po piętnastu godzinach męczącego porodu. Raeburn obawiał się nawet, że Violet może go nie przeżyć. Jednak jego droga żona dała sobie wspaniałe radę, podobnie jak bliźniaki, które odziedziczyły uśmiech po matce.

Postanowili nadać im imiona Sebastian i Noah. Starszy o siedem i pół minuty Sebastian był teraz nowym markizem Ashton.

Violet dochodziła do siebie. Adrian nie czekał, aż żona będzie mogła zająć się korespondencją, tylko sam to zrobił, chcąc przekazać Jeannette wiadomość jak najszybciej. Zapraszał ją i Darragha w odwiedziny i przysyłał słowa miłości od Violet i wyrazy szacunku.

Jeannette położyła list na kolanach, w jej głowie kłębiły się niespokojne myśli, kiedy nieobecny wzrokiem rozglądała się po pokoju.

Nowiny były wspaniałe, ale nastroiły ją melancholijnie.

Tak chciała być przy porodzie. Chciała uczestniczyć w szczęśliwym

wydarzeniu osobiście, a nie za pośrednictwem listów. Choć zdawała sobie sprawę, że to się na nic nie zda, próbowała raz jeszcze, przed czterema tygodniami, poruszyć temat podróży do Anglii. Kiedy tylko zaczęła mówić, Darragh stał się zimny jak lód i zakończył dyskusję.

Teraz, przez jego upór, ominęło ją jedno z najważniejszych wydarzeń w rodzinie.

Zmienne, władcze zachowanie Darragha nie pomagało jej dojść do ładu z własnymi uczuciami. Żyli oboje w jakimś dziwnym zawieszeniu. Jak długo, zastanawiała się, mogło to jeszcze potrwać?

Przeczytała jeszcze raz list Raeburna'a, po czym złożyła go i schowała do koszyka z szyciem. Napisze do Violet z życzeniami szczęścia i gratulacjami. O własnych trudnościach, jak zwykle, nie wspomni ani słowem. Nie powinna teraz odrywać uwagi Violet od dzieci. Gdyby ją odwiedziła, znalazłaby odpowiedni moment i mogłyby porozmawiać, jeśli zdrowie Violet by na to pozwoliło.

Ale listy tylko zmartwiłyby bliźniaczkę. Tak więc najlepiej będzie pominąć to milczeniem.

Trzeba będzie posłać prezent. Ale jaki? I gdzie kupić coś odpowiedniego? Nie miała przecież dostępu do londyńskich sklepów - cóż, nie byłoby to, w każdym razie, łatwe. Może powinna poprosić o radę panią Coghlan. Może były jakieś miejscowe wyroby, pięknie tkane kocyki albo koronkowe koszulki do chrztu, które mogłyby się spodobać Violet.

Jeannette westchnęła. Wstała właśnie, żeby napisać list do Violet, kiedy lokaj ponownie zapukał do drzwi.

- Milady, przybył gość, który pragnie się z panią widzieć.

- Czy ów gość się przedstawił?

Lokaj otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy niepokojąco znajomy głos, którego nie spodziewała się już usłyszeć, odezwał się od progu:

- Owszem, przedstawił się - oznajmił - chociaż, jak powiedziałem temu chłopcu, formalności nie są potrzebne, jako że jesteśmy starymi i dobrymi przyjaciółmi. Nieprawdaż, *cara mia*?

Usta Jeannette ułożyły się w pełne zdumienia „O”, kiedy do pokoju wkroczył Toddy Markham, mężczyzna, który kiedyś ukradł jej serce i niewinność.

Stanął przed nią i ukłonił się tak elegancko, jakby był na dworze królowej. Chwyciwszy jej rękę, złożył na nich kilka ciepłych pocałunków. Zbyt intymnych - sprawiły, że cofnęła szybko rękę, świadoma ciekawego spojrzenia stojącego obok lokaja.

- Możesz odejść, Steven - poleciła. Poczekała, aż wyjdzie, zanim ponownie spojrzała na dawnego wielbiciela. Trudno byłoby się domyślić, że jest to człowiek wiecznie stojący na progu bankructwa. Był

nienagannie ubrany, wedle wskazań najnowszej mody i dobrego smaku.

Dzisiaj miał na sobie starannie odprasowane brązowe pantalony, białą koszulę i wykrochmalony halsztuk, brązową kamizelkę i zielony kubrak, który z pewnością wyszedł spod igły nie kogo innego, jak samego Westona. Jego ozdobione frędzlami wysokie buty były wypolerowane do połysku. Jak się kiedyś szczyił, uzyskiwał ten efekt, mieszając czernidło do obuwia z dwudziestoletnim francuskim szampanem. Na prawej ręce pobłyskiwał sygnet z szafirem, który wygrał kiedyś w karty.

Miał kasztanowe włosy i przyjemne, patrycjuszowskie rysy twarzy, choć tę trudno byłoby opisać jako przystojną. A jednak promieniował od niego jakiś magnetyzm, aura, która przyciągała ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Kiedyś przyciągnął i ją. Ale to już minęło.

- Co pan tu robi? - zapytała.

Miał czelność przybrać zdziwioną minę.

- Cóż co za piękne powitanie! I to po całej tej podróży, którą odbyłem, żeby cię zobaczyć. Jeannette, moja najdroższa, ta zapadła dziura wywiera najwyraźniej rujnujący wpływ na twoje maniery.

- Moje maniery mają się dobrze. I proszę nie nazywać mnie

„najdroższą”. Będę wdzięczna, jeśli zechce pan o tym pamiętać, panie Markham.

- Jak oficjalnie. Byłaś cieplejsza, ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy.

- Byliśmy we Włoszech. Oczywiście, że było cieplej. Jego usta drgnęły.

- Wiesz, co mam na myśli. No, no, wiem, że gniewasz się na mnie i masz rację, ale przyjechałem, żeby to naprawić.

- Dlaczego? Co się stało z pańską contessą? O tej porze roku powinniście już państwo być oboje w drodze na południe.

Jego oczy błysnęły kpiąco.

- Carlotta i ja postanowiliśmy się rozstać. - Pod wpływem jej spojrzenia wzruszył ramionami. - Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie spodobałem się jej braciom, którzy przekonali mnie, abym ponownie rozważył swoje uczucia wobec ich siostry.

- Grozili panu? - Toddy nie był człowiekiem, który by cofnął się przed walką. - Ilu ich było?

Roześmiał się.

- Ośmiu i do tego dwóch wujów. Dałbym sobie z nimi radę, ale Włosi mają paskudny obyczaj vendetty. Kosztowałyby to więcej kłopotów, niż było warte.

Był również obdarzony zmysłem praktycznym.

- A więc wyjechał pan i zjawił się u mnie.

- Najpierw zatrzymałem się w Londynie. Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy usłyszałem, że udałaś się do Irlandii. Uznałem, że nie mogę pozwolić, abyś cierpiała ani chwili dłużej.

- Może nie powiedziano panu wszystkiego. Wyszłam za mąż.

- Tak, wiem. Lady Mullholland, czyż nie? Wiem także, że nie chciałaś tego małżeństwa, że ślub odbył się w pośpiechu, żeby uniknąć kolejnego niefortunnego skandalu. Jakże musisz być niepokieszona.

Ujmując znowu jej rękę, obdarzył ją swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- Moja droga, tak mi przykro. Nigdy nie powinienem cię opuścić.

Prawda jest taka, że za tobą tęskniłem. Nadal cię uwielbiam. Przez głupotę pozwoliłem, aby chciwość stanęła na drodze prawdziwej miłości. Proszę, wybaczyć i pozwól naprawić zło, jakie się stało. Pozwól zabrać się z tej zapomnianej przez Boga dziczy. Wrócimy do miasta, gdzie znowu będziesz błyszczeć, jak na to zasługujesz.

Rok, nawet pół roku wcześniej, może dałaby się złapać na jego pochlebstwa, uwierzyłaby w kłamstwa. Niedługo musiałby ją przekonywać, żeby rzuciła się w jego ramiona. Ale nie teraz. Teraz widziała go dokładnie takim, jakim był - draniem i pasożytem.

Zrozumiała też coś innego. Pomimo jego wyćwiczonych, wy-

kalkulowanych sposobów nie miał już nad nią władzy. Nie kochała go, ponieważ obdarzyła uczuciem innego.

- Toddy, ja...

- Steven zawiadomił mnie, że mamy gościa. Spojrzała ku drzwiom, w których stał Darragh.

Boże, jak długo tam stał? A co ważniejsze, ile usłyszał? Chyba dość dużo, bo w jego zazwyczaj pogodnych oczach pojawiły się niepokojące, gniewne ogniki.

Skrzywiła się niedostrzegalnie, kiedy Darragh spojrzał na jej ręce, które nadal spoczywały w uścisku Toddy'ego. Wyswabadzając je pośpiesznie, zrobiła krok do tyłu, zdając sobie sprawę, że ten gest musi wywołać wrażenie, że czuje się winna, podczas gdy nie uczyniła niczego złego.

Darragh wkroczył do pokoju i stanął obok niej.

- Przedstaw nas, kochanie, bądź tak dobra.

Wrogość wisiała w powietrzu. Mężczyźni obserwowali się, jak wilki z dwóch rywalizujących stad przed walką. Niemal się spodziewała, że zaczną warczeć.

- Pozwól mi przedstawić pana Theodore'a Markhama. Panie Markham, to mój mąż, hrabia Mullholland. Darragh, pan Markham jest moim znajomym z Londynu.

Mężczyźni skinęli głowami, ale nie uścisnęli sobie dłoni, jak wymagała uprzejmość.

- Znajomy, powiadasz? - odezwał się Darragh.

- Tak, właściwie stary przyjaciel. - Toddy posłał jej ciepły uśmiech.

- Zbyt stary na nudne formalności. Skąd ten „Markham”, moja droga?

Jeszcze przed chwilą byłem po prostu Toddym.

- A zatem, Toddy, co sprowadza cię do Irlandii? - zapytał Darragh chłodnym tonem. Po cóż to podróżowałaś tak daleko na zachód o tak niesprzyjającej porze roku? Anglicy zwykle nie są dość

wytrzymali i uciekają przed naszymi surowymi zimami.

- Och, jestem bardzo wytrzymały - odparł Toddy, przeciągając słowa. - Nieprawdaż, Jeannette?

Ciało Darragha zeszywniało, ledwie powstrzymana wściekłość biła od niego niewidzialną falą. Rzuciła Toddy'emu karcące spojrzenie, niezdolna uwierzyć, że mógł wygłosić tak niedelikatną i dwuznaczną uwagę.

Do diabła z nim, o co mu chodziło? Czy celowo chciał przekonać Darragha, że między nimi nadal coś jest? Chciał sprowokować Darragha do pojedynku?

Jakkolwiek to było szalone, po jego minie można było sądzić, że taki w istocie ma plan. Toddy ubierał się jak modniś, ale szpadą i pistoletem posługiwał się z morderczą precyzją. Co do walki na pięści, trudno byłoby zgadnąć, który z nich miał większe szanse, jako że była pewna zręczności Darragha w tym względzie. Nie miała jednak ochoty tego sprawdzać.

Zdecydowana zapobiec ewentualnemu rozlewowi krwi, stanęła między nimi.

- Panie Markham, musi pan być zmęczony po długiej podróży.

Wezwę służącego, aby odprowadził pana do pokoju, i każe podać podwieczorek. Może pan odpocząć przed kolacją. Jadamy o szóstej. -

Przeszła przez pokój i pociągnęła za sznurek dzwonka.

- Pamiętam czasy, kiedy jadaliśmy o dziesiątej, czasami później, po tańcu o północy.

- Cóż, nie jesteśmy w Londynie.

- Wielka szkoda. Przyszła pokojówka.

- Zaprowadź, proszę, pana Markhama do czerwonej sypialni.

Zostanie u nas na noc.

- Może zatrzymać się w gospodzie - warknął Darragh. Zerknęła w jego stronę. Starła się być miłą.

- Tu nie ma gospod, jak dobrze wiesz. - Zwróciła się ponownie do służącej. - Noro, zaprowadź pana Markhama do jego pokoju.

Dziewczyna patrzyła na całą trójkę szeroko otwartymi oczami, jakby stanowili część karnawałowego przedstawienia. Otrząsnąwszy się, dygnęła grzecznie.

- Tak, milady. Proszę za mną.

Toddy, z płonącymi bursztynowymi oczami, postąpił naprzód i ujął Jeannette za rękę.

- Do kolacji, moja droga. - Pochylając się, raz jeszcze wycisnął

ciepły, zbyt poufały pocałunek na wierzchu jej dłoni. Zabrała rękę, zanim dał Darraghowi powody do jeszcze większego niezadowolenia.

Toddy się wyprostował i kiwnął głową w stronę Darragha.

- Mullholland. Darragh odsłonił zęby.

- Markham.

W momencie, kiedy Markham wyszedł z pokoju, Darragh obrócił

się twarzą w jej stronę.

- On nie zostanie.

- Oczywiście, że zostanie. Sam powiedziałaś, że jest zima. Nie możemy go wyrzucić, żeby zamarł na dworze.

- Może spać w powozie. Z tym jego bajecznym, rozdmuchanym ego będzie mu gorąco.

- A co ze służbą i końmi? Chcesz ich skazać na noc na łasce żywiołów?

Spojrzał gniewnie.

- Ze względu na niego, może by należało. - Położył na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie. - Dobrze, niech zostanie, ale tylko na noc.

Rano ma odjechać.

- Zobaczymy - odparła, zirytowana rozkazującym tonem Darragha.

Zamarł, patrząc na nią zmrużonymi oczami.

- Nie „zobaczymy”. Odjedzie o świcie, taka jest moja wola. -

Zapadła męcząca cisza. - To ten, czy tak?

Serce zabiło jej żywiej. Do diabła z Toddym i jego dwuznacznymi uwagami.

- Jaki „ten”? - odparła, postanawiając udawać niewiedzę.

- Drań, który odebrał ci niewinność i porzucił, żebyś sama poradziła sobie z konsekwencjami. Mówiłaś, że to skończone.

- Bo jest skończone.

- Więc co on tutaj robi? Taki cwany hultaj nie podróżuje przez dwa kraje i jedno morze, jeśli nie ma ważnego powodu?

- Nie mam pojęcia.

- Czyżby? - Zmrużył oczy. - A może po prostu nie życzysz sobie o tym mówić?

Głęboko wzburzona odparła jego zimne spojrzenie.

- Nie mam nic do powiedzenia. To, co sugerujesz, jest obrzydliwe.

Odwołaj te słowa.

- Nie zrobię tego, dopóki nie uzyskam zadowalającej odpowiedzi.

Czy napisałaś do niego, żeby tutaj przyjechał?

Oskarżenie było jak sztylet wbity w serce. Po tym wszystkim, on ją oskarża o oszustwo! O to, że przyprawia mu rogi? Uderzyła go w twarz.

Na jego policzku wykwitła szkarłatna plama. Z płonącymi wściekłością oczami, przykrył to miejsce dłonią.

- Nie zniosę go w domu dłużej niż do rana, a jeśli złapię go gdzieś w pobliżu twojego pokoju, będzie martwy. Powiedz to swojemu kochankowi.

Zakręcił się na pięcie i wypadł z pokoju.

Trzęsąc się, powlokła się do kanapy i opadła na nią. Przycisnęła pięść do drżących ust, usiłując zapanować nad rozpaczą.

Kolacja upłynęła w napiętej, nieprzyjemnej atmosferze.

Toddy zabawiał się, flirtując z nią i racząc ją najnowszymi plo-teczkami z Londynu - informując, co kto zrobił i dopytując się, czy słyszała o tym czy o tamtym? A czy pamięta...

Po pięciu minutach miała ochotę go udusić. Raz czy dwa rozważała pomysł, czyby nie wbić mu w dłoń widelca tak, żeby wrzasnął, a potem wreszcie się zamknął. Jednak poza użyciem przemocy czy zrobieniem sceny, nie było sposobu, żeby ukrócić jego zupełnie świadome prowokacje.

Przez cały czas pozostali domownicy ich obserwowali.

Rodzeństwo Darragha patrzyło na nich uważnie, w milczeniu, jak widzowie na bardzo zaciętym meczu tenisa. Ona z Toddym zasiadali w jednym końcu stołu, Darragh w drugim, pijąc jeden za drugim kieliszek czerwonego jak krew bordeaux.

Darragh nigdy nie pił dużo alkoholu. To był pierwszy raz, odkąd pamiętała, kiedy na jej oczach upijał



się powoli i systematycznie. Pod koniec posiłku nawet Michael uważał na słowa, żeby nie rozdrażnić wyraźnie ponurego brata. Na szczęście, ponieważ była to najzwyczajniejsza rodzinna kolacja, panie nie musiały zostawiać panów na poobiednie porto i cygara. Darragh udał się zaraz po kolacji do swojego gabinetu, a dziewczęta poszły na górę.

Ostrożność nakazywała, żeby również się wycofać, myślała Jeannette, ale był wczesny wieczór i nie miała ochoty zmykać, jak jakaś przestraszona myszka, przed gniewem Darragha. Jego brak wiary głęboko ją uraził.

Nie posłała po Toddy'ego. Między nią a dawnym kochankiem nic nie było. Powiedziała o tym Darraghowi, skoro jednak wolał wierzyć w co innego, jego sprawa.

Przeszła do salonu, pozwalając Toddy'emu usiąść obok siebie i rozmawiać. Każde słowo przypominało jej dawne życie i to, co zostawiła. Wspomnienia, które ożywiały, budziły w niej smutek i tęsknotę, tęsknotę za przyjęciami i rozrywkami, na których mogłaby nawet teraz spędzać czas.

Uznała, że zbyt długo siedziała na wsi, w Irlandii. To, że jej życie w zamku nie było ani trochę tak ponure, jak sobie wyobrażała, nie oznaczało wcale, że miała ochotę dać się na zawsze pogrzebać na prowincji.

Miała prawo do zabawy i frywolności. Prawo uczestniczenia w życiu towarzyskim. Paru co bardziej wyniosłych przedstawicieli socjety może kręcić nosem na jej irlandzki tytuł, ale nie ośmielą się jawnie jej odrzucić, jak się kiedyś obawiała. Stosując odpowiednią strategię, mogła znowu objąć należną sobie pozycję wśród londyńskich pań. Ostatecznie, czyż nie tego zawsze pragnęła? Czy nie takie miała od dawna plany?

Gdyby z Darraghiem lepiej jej się układało, to być może nie miałoby takiego znaczenia. Ale czy nawet wtedy, gdyby jej małżeństwo było szczęśliwsze, nie chciałyby tamtych rzeczy? Czyż on nie pragnąłby widzieć jej szczęśliwą?

Mówił o miłości. O tym, że ona go kocha. Ale nie na odwrót.

Uczucie z jego strony wydawało się polegać tylko na oczekiwaniu od niej posłuszeństwa i oddania, ale nie wzajemności. Czy to duma go powstrzymywała, czy też jej nie kochał, poza oczywistą fizyczną przyjemnością, jaką czerpał z ich pożycia? A jeśli ją kochał, dlaczego tego nie wyznał i nie błagał o przebaczenie, obiecując, że już nigdy jej nie oszuka?

Podczas gdy ona i Toddy pograżyli się w rozmowie, szwagrowie usiedli przy szachach; posyłając jej raz po raz pełne dezaprobaty spojrzenia. W końcu uznała, że ma dość i ich, i Toddy'ego. Podniosła się, mówiąc wszystkim dobranoc.

Toddy towarzyszył jej do holu. Zatrzymał ją, dotykając lekko ramienia.

- Rozważ moją propozycję, moja droga. Anglia jest niewiele dalej niż tydzień drogi stąd. Powiedz słowo, a będę twoim wdzięcznym towarzyszem, narzędziem triumfalnego powrotu na łono socjety. Widzę, że jesteś nieszczęśliwa, i wbrew temu irlandzkiemu filistynowi, za którego wyszłaś, nie

odjadę, dopóki ty tego nie zechcesz. - Schylił się, całując ją w dłoń. - Pomyśl o tym, *ma petite*. Zaslługujesz na coś lepszego niż gnicie w zapomnianej kupie celtyckich kamieni.

Marszcząc czoło, bardziej poruszona niż chciałaby to przyznać, szepnęła pospiesznie dobranoc i schroniła się w pokoju.

Parę godzin później, kiedy leżała w atramentowych ciemnościach nocy, obudziła się z lekkiego snu i stwierdziła, że obok jej łóżka, skryty w mroku, stoi mężczyzna. Jej serce zadrżało, a potem wróciło do normalnego rytmu, kiedy rozpoznała jego zarys.

Darragh.

Czekała, spodziewając się, że wejdzie do łóżka, niepewna jak się zachować, jako że odurzył się przedtem alkoholem i był na nią zły. Ale się nie poruszył. Stał z ręką na kolumience przy łóżku, patrząc na nią.

Nie odezwała się, nie drgnęła, tak jakby nadal spała.

Upłynęły długie minuty, zanim odszedł, równie bezgłośnie, jak wszedł. Nie słyszała jego kocich kroków na schodach, łączących ich apartamenty.

Zaniepokojona, zwinęła się na boku i tak pozostała przez całą noc, zmęczona, ale niezdolna zasnąć. W głowie kłębiły jej się myśli i uczucia.

Wraz z nadejściem świtu postanowiła, co musi zrobić, aby zachować zdrowy umysł i godność.

Kiedy Betsy już nie spała, zadzwoniła po nią. Nienaturalnie spokojna, zjadła śniadanie złożone z tostów i twarożku cytrynowego, popijając mocną, irlandzką herbatą, którą teraz lubiła najbardziej. Potem umyła się i ubrała wygodnie, w morwową aksamitną suknię. Na ramiona zarzuciła śliwkowy kaszmirowy szal.

Opatulając się szalem, ruszyła przez zamek na poszukiwania Darragha. Znalazła go w pracowni, z bladą wymizerowaną twarzą, podkrążonymi oczami, jakby on także nie spał. Brak powściągliwości w pićiu, pomyślała, musiał mu zaszkodzić.

Podniósł głowę, obracając bezmyślnie w palcach ołówek.

- Jeannette.

- Chciałabym z tobą pomówić, jeśli zechcesz poświęcić mi chwilę.

Odłożył ołówek ostrożnie na blat stołu kreślarskiego.

- Tak, oczywiście. Usiądziesz? - Ruszył po krzesło, odsuwając na bok stos książek i zwojów.

Powstrzymała go stanowczym pokręceniem głowy.

- Nie, wolę stać. - Nie dając sobie czasu na wahanie, ciągnęła dalej, zaciskając dłonie na plecach. - Dużo o tym myślałam i podjęłam decyzję.
- W jakiej sprawie? - Wyjazdu do domu. Ściągnął brwi.
- Rozmawialiśmy już o tym...
- Tak, i dałeś mi jasno do zrozumienia, co o tym sądzisz. Ale okoliczności uległy zmianie.
- Jakie okoliczności?
- Mam teraz taką możliwość wyboru. Uważam jednak, że uczciwie będzie zapytać cię po raz ostatni. Darragh, czy zabierzesz mnie do Anglii?

- Darragh wpatrywał się w Jeannette przymrużonymi oczami. W

głowie łupało go bezlitośnie od wypitego poprzedniego dnia wina.

Jakby tego nie było dosyć, zmęczenie, jak ołowiany ciężar, przygniatało go do ziemi. Pomimo alkoholu prawie nie spał, wino nie przyniosło ukojenia. Zamiast tego leżał całą noc z otwartymi oczami, pełen wściekłości zupełnie niezgodnej z jego zwykłym usposobieniem.

Jej przyczyną była Jeannette, wiedział o tym. Tylko ona, ze wszystkich znanych mu osób, potrafiła obudzić w nim tak gwałtowne uczucia.

Ona i ten łajdak, Markham.

Jak ten firecyk śmie zjawiać się w jego domu! Jak śmie zasiadać przy stole Darragha, jeść jego jedzenie, pić jego wino i praktycznie kochać się z jego własną żoną pod jego bokiem, podczas gdy przyglądali im się wszyscy, włącznie z młodszymi siostrami.

Jak on śmie!

I jak Jeannette śmie na to pozwalać.

Ze wszystkich sił powstrzymywał się, żeby nie wycisnąć życia z Markhama, nie chwycić angielskiego drania za szyję i ścisnąć, aż jego twarz stanie się czerwona jak gotowany burak, a potem martwa.

Zamiast tego pił kieliszek wina za kieliszkiem, spodziewając się, że alkohol złagodzi ból. Tak się jednak nie stało. Później poszedł do jej pokoju, kipiąc z zazdrości. Podejrzewał, że zastanie Markhama w jej łóżku.

Spała, sama, spokojna i niewinna jak dziecko. Bojąc się jej dotknąć, zmusił się do odejścia, podczas gdy naprawdę marzył tylko o tym, żeby położyć się koło niej i zagłębić w jej słodko pachnącym cieple.

Teraz stała przed nim, oznajmiając, że chce jechać do domu. Czy wciąż nie mogła zrozumieć, że to był jej dom?

Pocierając nasadę nosa, stłumił westchnienie.

- Mówiliśmy już o tym przedtem. To nie jest dobra pora na podróż, zbliża się zima. Wiosną może znowu o tym porozmawiamy.

Zacisnęła wargi.

- Chcę pomówić o tym teraz. Nie miałam okazji wspomnieć o tym wcześniej, ale wczoraj dostałam list od Raeburna. Moja siostra urodziła dzieci, chłopców, bliźniaków, zdrowych i silnych. Violet, jak

zrozumiałam, szybko dochodzi do siebie.

Szczery uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- To wspaniałe nowiny. Poślemy im niezwłocznie prezent.

- Wolalabym dać im go osobiście. Jeśli teraz wyruszymy, moglibyśmy zostać przez parę tygodni w Winterlea, zanim wybierzemy się w podróż do Londynu koło Świąt Wielkanocnych. Dzięki temu zjawilibyśmy się na rozpoczęcie sezonu.

Wielkanoc? Od Wielkanocy dzieliło ich parę miesięcy. Poczul znowu ukłucie bólu pod czaszką.

Najwyraźniej ośmielona jego milczeniem, Jeannette mówiła dalej.

- Sądzę, że moglibyśmy wynająć dom w Mayfair. Przypuszczam, że Berkeley czy St. James Square są nieco za drogie, ale Jermyn Street może być. Mount Street czy Upper Brook Street to także bardzo eleganckie adresy. Tak, każdy z nich byłby bardziej niż odpowiedni.

Będziemy musieli znaleźć agenta nieruchomości, żeby dopatrywał formalności. Zapytam Raeburna, kogo mógłby polecić.

Darragh zacisnął ręce na oparciu krzesła i zapatrzył się na nią zdumionymi oczami. Chyba nie proponowała tego, co myślał, że proponuje? W obecnych warunkach, nie mógł myśleć o wprowadzeniu tego pomysłu w życie, więc powinien to jasno powiedzieć.

- Jeśli proponujesz, żebyśmy przenieśli się do Anglii na następne pół roku czy dłużej, musisz wybić to sobie z głowy. Po pierwsze, nie mogę znowu zostawić Moiry i Siobhan, nie po tym, jak nie było mnie w domu tyle miesięcy.

- Zatem zabierzmy je ze sobą. Finna także, jeśli by sobie życzył. Jest młody, miejska ogląda mu się przyda. Michael pewnie zostanie z powodu zwierząt. Szkoda, bo przygoda by mu się spodobała.

Rytm jego krwi przyspieszył, w ciele poczul dziwne napięcie.

Poprzedniej nocy, przy kolacji, widział, jak zapalają się jej oczy pod wpływem wspomnień z Londynu, jak szybko uwiodły ją słowa Markhama.

Wróciły wszystkie obawy, które dręczyły go w ostatnich tygodniach. W Anglii, wśród starych przyjaciół i wielbicieli, z pewnością wróci do życia, jakie prowadziła kiedyś. Nowy dom w Irlandii, którego nie zdołała polubić, zblednie w jej pamięci, aż całkiem o nim zapomni.

No i jeszcze Markham, który z pewnością przy pierwszej sposobności będzie jej nadskakiwać. I kto wie, jacy jeszcze mężczyźni.

Jeannette była niewiarygodnie piękną kobietą. Nawet teraz cierpiał

niewymownie, zastanawiając się, czy rzeczywiście zaprosiła tutaj dawnego kochanka. Oskarżenie oburzyło ją, ale...

- Londyn to nie miejsce dla dziewcząt - oświadczył, tonem stanowczym i celowo lekceważącym. - Co do Finna, w tak wielkim mieście prawdopodobnie wpakuje się w kłopoty. Nie, mam pracę do wykonania w majątku oraz projekt dla nowego klienta, który mieszka niedaleko stąd.

Sztywno wyprostowana, przyglądała mu się długą chwilę.

- Twoja odpowiedź, zatem, jak rozumiem, brzmi: „nie”. Zmusił się, żeby na nią spojrzeć, wzdrygając się wewnętrznie na widok przygnębionego wyrazu jej twarzy.

- Zgadza się, odpowiedź brzmi: „nie”. - Zakończywszy dyskusję, odwrócił się i chwycił ołówek.

- A więc nie dajesz mi wyboru - powiedziała. - Jak to?

- Jeśli mnie tam nie zabierzesz, pojedę sama.

- Nie będziesz podróżować sama. Nie pozwolę na to.

- Nie martw się, nie będę sama. Toddy ofiarował mi swoje towarzystwo.

Twarz mu drgnęła.

- Toddy? Cóż, chyba się minęliście, bo widziałem jak jego powóz odjeżdża tuż po świcie.

- Czeka w pobliżu. Powiedział, że nie odjedzie, dopóki go nie zwolnię. - Podniosła brodę. - Mam go zawiadomić, że jedziesz ze mną, czy też pojechać z nim?

Ołówek, o którym zapomniał, trzasnął w jego dłoni, łamiąc się na pół. Odrzucił go na bok.

- Tego chcesz? Uciec z kochankiem?

- On nie jest moim kochankiem i nie uciekamy. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Po prostu odwozi mnie do domu.

- To jest twój dom. Pokręciła głową.

- Czyżby? Czasami czuję się taka samotna, odcięta od wszystkiego, co bliskie, w tym rodziny. Wtedy uświadamiam sobie bardzo wyraźnie, że to wyspa.

- Anglia też jest wyspą.

- Ale to moja wyspa, tak jak ta jest twoja.

Panika przejęła go nagłym chłodem. Nie mógł pozwolić jej odjechać. Jakżeby mógł, skoro pragnął chwycić ją w ramiona i błagać, żeby została? Powiedzieć jej, że ją uwielbia i chce zakończyć kłótnię.

Jednak duma nie pozwoliła mu okazać słabości ani ustąpić wobec jej żądań.

Była jego żoną, powinna trwać u jego boku. Gdyby go kochała, nie mówiłaby o wyjeździe do Anglii bez niego. Gdyby zależało jej na ich małżeństwie, nie czuliłaby się do dawnego kochanka i nie groziłaby, że z nim ucieknie. Powinna odrzucić Markhama i otrzepać ręce.

Te myśli obudziły na nowo gniew. Ból głowy sprawiał, że tracił panowanie nad sobą.

- Zabraniam ci wyjechać.

- A w jaki sposób chcesz mnie zatrzymać? Zamierzasz trzymać mnie pod kluczem?

Te słowa nim wstrząsnęły. Nagle poczuł zmęczenie.

- Nie - odparł. - Jeśli rzeczywiście nie możesz znieść życia ze mną, nie będę cię więził. Jedź z nim, jeśli takie jest twoje życzenie.

Nogi ugięły się pod Jeannette. Miała wrażenie, że ziemia rozstępuje się pod jej stopami. Wiedziała, że ryzykuje, starając się go nakłonić do zgody na jej plany, jednak nie spodziewała się, że po prostu ją puści. Miała nadzieję, że jej słowa popchną go do działania, zmuszą do wyznania, że nie może się bez niej obyć. W jej wyobraźni chwycił ją w ramiona, szepcząc czułe słowa i kładąc usta na jej ustach. Potem powiedziałaby, oczywiście, że muszą pojechać, żeby zobaczyć Violet, a stamtąd do Londynu, jeśli naprawdę sobie tego życzy.

Tylko że to ona znalazła się w ślepych zaułku. Żadne wyjście nie było dobre. Albo podda się i przyzna, że to wszystko były puste groźby -

że nie chce nigdzie jechać bez niego - albo postąpi zgodnie z ultimatum, jakie postawiła, i wyjedzie.

Poczuła ból w sercu, podejmując decyzję.

- Dobrze zatem. Spakuję się i wyjadę jeszcze dzisiaj. Darragh wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w stół kreślarski, nie chcąc, aby dostrzegła piekło w jego oczach.

- Jak chcesz, ale nie wyobrażaj sobie, że w ten sposób się uwolnisz.

- Co?

- Gdziekolwiek zamieszkas, nadal będziesz moją żoną. Nigdy nie dam ci rozwodu, choćbyśmy byli nie wiem jak nieszczęśliwi. Ty i ja jesteśmy związani na całe życie. Jeśli więc miałaś nadzieję, że możesz się mnie pozbyć i poślubić kochanka po powrocie do Anglii, zapomnij o tym raz na zawsze.

Jej śliczna twarz zdradzała głęboki smutek.

- Nie mam takich zamiarów.

- Jedź, zatem, jeśli tego chcesz - polecił szorstko. Odejdź, szepnął w duchu, zanim padnę na kolana, błagając, żebyś została.

Stała jeszcze długą chwilę, po czym odwróciła się z szumem spódnicy i wybiegła z pokoju.

Kuląc się na krześle, objął głowę trzęsącymi się rękoma, zastanawiając się, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy.

- Milady, przykro mi, że panią budzę, ale właśnie przyjechaliśmy.

Łagodny głos Betsy przebił się przez senne zamroczenie Jeannette.

Otworzyła oczy i przez okno powozu ujrzała ogromną, elegancką kamienną fasadę Winterlea, rezydencji rodziny Winterów od blisko dwustu pięćdziesięciu lat. Jedną z najwspanialszych rezydencji w całej Anglii, ogromna budowla, rozciągała się niczym odpoczywający lew, królewska i dumna, imponująca rozmachem i świetnością architektury.

Darragh uznałby ją za fascynującą. A mógłby jej się przyglądać w tejże chwili, gdyby zgodził się towarzyszyć jej do Derbyshire.

W ustach czuła gorzki smak. Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystko ułożyło się tak źle. A może tak było lepiej. Nigdy nie przystałaby na to, żeby na stałe zamieszkać w Irlandii. Zawsze tęskniłyby za powrotem do Anglii, przynajmniej na część roku. Nawet jeśli Darragh nie lubił Londynu, to ona go uwielbiała. Nigdy nie ukrywała swoich pragnień w tym względzie. Wiedział, kim była i z jakiej sfery się wywodziła, kiedy się z nią żenił.

Ale prawda, on przecież nie miał ochoty się z nią zenić. Wpadł w pułapkę, podobnie jak ona. Żałowała tylko, że ceną okazało się w końcu jej serce.

Cóż, to nie miało znaczenia. Jakoś otrząśnie się z tego i znajdzie pocieszenie na łonie socjety, tak jak planowała. Z czasem rozpacz minie i znowu poczuje się sobą. Kiedy tylko osiadzie na dobre i pozwoli życiu płynąć pełnym, naturalnym nurtem, przestanie płakać z byle powodu i nie będzie poświęcać Darraghowi O'Brienowi więcej niż przelotną myśl od czasu do czasu.

A kto wie, może za parę lat postanowi znaleźć sobie kochankę.

Teraz jednak nie pragnęła mężczyzny, a już z pewnością nie Toddy'ego Markhama.

Cztery dni temu, ku jego widocznemu niezadowoleniu, rozstali się w gospodzie w Londynie, gdzie zmieniano konie.

- Jeannette, najdroższa - powiedział Toddy, biorąc jej dłonie w swoje. - Zostań ze mną. Pozwól mi uczynić cię szczęśliwą. Skrzywdziłem cię przedtem, wiem o tym i żałuję bardziej, niż potrafię



wyrazić. Proszę, daj mi szansę to wszystko naprawić. - Ucałował kostki jej dłoni, jednej, a potem drugiej. - Pamiętasz, jak świetnie się razem bawiliśmy? Będziemy się bawić tak samo i jeszcze lepiej. Wynajmę dom, blisko ciebie. Nie będzie tak trudno się spotykać, zwłaszcza że twój mąż mieszka w Irlandii. Mullholland to skończony głupiec, że pozwolił ci odejść.

Wyrwała rękę z jego uścisku.

- Być może, ale nadal jest moim mężem i nie zdradzę go z innym mężczyzną. Dziękuję ci jednak, że przywiozłeś mnie do domu.

Zacisnął wargi.

- I tylko tyle? Zwykle „dziękuję, że odwiozłeś mnie do domu” i nic więcej?

- Nie ma nic więcej. Wszystko między nami skończone, Toddy.

Było skończone od dawna.

Wyciągnął znowu ramiona, ale mu się wymknęła.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - powiedział. - Jesteś zraniona, zazdrosna. Kocham cię, Jeannette, i ty mnie nadal kochasz.

- Przykro mi, ale nie. Już nie.

Zbladł, przez chwilę miała wrażenie, że dostrzega szczery ból w jego wzroku. Potem mrugnął oczami i, prostując ramiona, skłonił się elegancko.

- Mam nadzieję, że ten głupiec, twój mąż, szybko pójdzie po rozum do głowy i będzie cię błagał o wybaczenie. Naprawdę nie jest ciebie wart.

I Toddy odszedł.

Spojrzała na Betsy i wróciła do rzeczywistości.

- Wreszcie przyjechaliśmy. Bardzo się cieszę i spodziewam się, że ty i Smoke również.

Opuszczając Caslean Muir, postanowiła zabrać kotka ze sobą. Poza tym, że pomiaukiwał od czasu do czasu w swoim wielkim wiklinowym koszu, okazał się dobrym podróżnikiem. Powierzając go opiece Betsy i lokaja, weszła do domu.

March, majordomus Winterlea, powitał ją z całym szacunkiem należnym jej pozycji. Uświadomiła sobie, jak bardzo przywykła do dużo swobodniejszego, nie tak oficjalnego zachowania służby w Irlandii.

March nie był nieprzyjazny, tylko bardzo formalny. Wydawał się uosobieniem wszystkich cech, jakie powinien posiadać majordomus jednej z najświetniejszych rodzin Anglii.

- Zawiadomię księcia o pani przybyciu. Księżna jest w bibliotece, milady - zameldował. - Pokażę pani drogę.

Mogła tam trafić sama, ale nic nie powiedziała, bowiem etykieta wymagała, aby ją zaanonsowano, nawet własnej siostrze.

Jakie to podobne do Violet, żeby wrócić do swoich ukochanych książek, nawet po niedawnym porodzie. Usadowiona w wygodnym skórzanym fotelu, Violet zerknęła znad okularów w drucianej oprawie, kiedy weszli do pokoju. Rozpromieniła się w radosnym uśmiechu.

- Lady Mullholland, wasza wysokość. - March skłonił się i zostawił siostry same.

Odkładając na bok książkę, Violet podniosła się na nogi dużo szybciej i zręczniejsz niż ostatnim razem, kiedy się widziały. Jej ciało, wciąż bujne, wyraźnie wracało do dawnych, skromniejszych rozmiarów.

Uścisnęły się serdecznie.

- Na Boga, co ty tutaj robisz? Nic nie mówiłaś o wizycie.

- Kiedy dostałam list Adriana o dzieciach, po prostu musiałam je zobaczyć, ciebie także. Moja kolej, żeby zjawić się niespodziewanie i wszystkich zaskoczyć.

- Cóż, udało ci się, i to w bardzo przyjemny sposób. Jednak rodzina zdążyła się już rozjechać. Wszyscy przybyli na wakacje, jak zwykle, chociaż Adrian, ze względu na poród, chciał zerwać z tą tradycją. Jego matka nie chciała jednak o tym słyszeć, a mnie to, w gruncie rzeczy, nie przeszkadzało. Kolejny najazd nastąpi za miesiąc, na chrzciny, ale na razie Adrian ich przegnał. Powiada, że potrzebuję odpoczynku i spokoju, żeby wrócić do zdrowia, ale sądzę, że tak naprawdę to on potrzebuje spokoju, żeby dojść do siebie. - Uśmiechnęła się i spojrzała na drzwi. - A gdzie Darragh? Grzebie się przy powozie, czy też Adrian zdążył go już przechwycić?

Jeannette podeszła do stolika, podniosła książkę, która na nim leżała, po czym odłożyła ją na miejsce.

- Nie. On... hm... nie mógł mi towarzyszyć. Sprawy majątku i nowy klient, sama rozumiesz.

Mogła zwierzyć się Violet, marzyła o tym od długiego czasu. Ale teraz, kiedy miała okazję, zawahała się, obawiając się zdradzić prawdę o katastrofie swojego małżeństwa.

- Och - powiedziała Violet. - Może będzie mógł przyjechać później, na chrzciny.

Jeannette unikała wzroku siostry. - Może...

- A zatem całą drogę podróżowałaś sama?

- Nie... towarzyszyła mi służąca. - Uznała, że lepiej nie wspominać Toddy'ego, znając mniej niż

pochlebną opinię Violet o tym człowieku. - I mój kotek. Mam ślicznego kotka. Nie masz nic przeciwko temu, żeby spał w moim pokoju, prawda?

Violet uśmiechnęła się zaskoczona.

- Oczywiście, że nie, kocham koty. Jak się nazywa?

- Smoke. To był prezent ślubny od jednego z sąsiadów. - Który już nie był jej sąsiadem, jak uświadomiła sobie Jeannette, jako że nie mieszkała już w hrabstwie Clare i prawdopodobnie już tam nie wróci.

- O co chodzi z tym dymem? [\\*1](#) Czy coś się pali? - Adrian wkroczył

do pokoju w swobodnym, wakacyjnym stroju, który nie odbierał mu ani odrobiny dostojności.

Violet wybuchnęła śmiechem. - Ależ skąd. Jeannette opowiadała mi o swoim kocie. Adrian skłonił się nad dłonią Jeannette, szepcząc słowa powitania.

- Masz kota?

- Tak, to słodkie stworzenie i cudowny towarzysz.

Zauważyła, jak Adrian i Violet wymieniają zdziwione spojrzenia, postanowiła jednak nie przejmować się tym. Miała zbyt wiele zmartwień, żeby dodawać jeszcze jedno do długiej listy.

- Jak wspaniale znowu się tutaj znaleźć - ciągnęła Jeannette. -

Podróż z Irlandii była dosyć wyczerpująca.

- Z całą pewnością - stwierdziła Violet. - Kiedy ostatnio jadłaś?

Musisz być głodna i spragniona. Przejdźmy może do salonu, a ja zadzwonię po coś do jedzenia.

Jeannette zgodziła się chętnie i wszyscy troje powędrowali na górę; Adrian przystanął, żeby ująć Violet pod ramię, wyraźnie nadal traktując ją jak rekonwalescentkę, chociaż wydawało się, że już całkiem doszła do siebie po porodzie.

- Gdzie jest Mullholland? - zapytał Adrian, kiedy weszli do salonu i zajęli miejsca - Jeannette z Violet na kanapie, Adrian naprzeciwko, na 1\* *Smoke* w języku angielskim oznacza „dym” (przyp. tłum.).

krześle. - Sądzę, że nie ma potrzeby nazywać go dalej O'Brienem.

Jeannette zacisnęła usta na wspomnienie oszustwa, jakiego do-puścił się Darragh.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Poznałam jego prawdziwą toż-

samość, jak pisałam ci o tym w liście. Oczywiście, znałeś prawdę, zanim my wszyscy ją poznaliśmy, prawda, wasza wysokość?

Spojrzała Adrianowi w oczy.

Odwzajemnił spojrzenie, nie mrugnawszy powieką.

- Przyznaję, że tak. Wówczas wydawało się, że to będzie wspaniały rewanż. Oszustwo za oszustwo.

Milczała dłuższą chwilę.

- A zatem myślę, że można uznać, że każde z nas rozumie ból drugiego. Wobec powyższego, wydaje mi się, że jestem ci winna przeprosiny. Zostać wyprowadzonym w pole to raczej niezbyt przyjemne doświadczenie, prawda?

Wyraz zaskoczenia przemknął po jego twarzy.

- Masz rację.

Przeniósł wzrok na Violet, patrząc na nią z takim ciepłem i mi-

łością, że Jeannette musiała odwrócić głowę, mając wrażenie, że jest intruzem.

- Ale teraz to nie ma znaczenia. Nagroda, jaką otrzymałem -

szeptął - dała mi więcej niż zadośćuczynienie za doznany dyskomfort.

Nie zmieniłbym niczego w podróży, która doprowadziła mnie do punktu, w którym się dzisiaj znajduję.

Violet się rozpromieniła i wyciągnęła rękę. Adrian ujął ją i uścisnął

lekko.

Potem ponownie zwrócił uwagę na Jeannette i skinął głową, na znak, że przyjmuje jej przeprosiny, kładąc kres wszelkim niesnaskom między nimi, jakie miały miejsce od dnia nieszczęsnego ślubu.

Jeannette wciągnęła powietrze.

- A więc, odpowiadając na twoje poprzednie pytanie, nie, Darragh mi nie towarzyszył. Ma... pracę w Irlandii.

Nic więcej nie zostało powiedziane na ten temat, dyskretne pukanie do drzwi rozległo się w najważniejszym momencie. Weszły dwie pokojówki z tacą herbaty i pysznościami do jedzenia.

- Ach, świetnie, mamy podwieczorek - stwierdziła Violet.

- Kitowi będzie przykro, że go to ominęło.

- Tak, a gdzie jest Christopher? - Jeannette zsunęła rękawiczki.

- Na polowaniu z przyjaciółmi w Yorkshire. Wróci na chrzciny.

Wszedłszy w rolę dobrej gospodyni, Violet naląa herbaty i ustawiła talerze z jedzeniem.

Jeannette wypila łyk herbaty i zjadła trójkątną kanapkę, po czym odstawiła talerz na bok.

- Mam nadzieję, że nie sprawię wam przykrości, ale ogarnęło mnie zmęczenie. Chciałabym pójść do swojego pokoju, żeby odpocząć i zdjąć ubranie podróżne.

- Och! Powinnam była o tym pomyśleć. - Siostra zaczęła się podnosić, żeby zadzwonić po gospodynię, ale Adrian uprzedził żonę i sam pociągnął za dzwonek.

- Później chciałabym zobaczyć dzieci - powiedziała Jeannette.

Violet rozpromieniła się z radości.

- Wspaniale. Zwykle karmię je o drugiej. Może przyjdiesz do pokoju dzieciennego koło wpół do trzeciej.

- Oczywiście.

O umówionej godzinie Jeannette weszła na trzecie piętro, gdzie znajdował się pokój dziecienny. Wykąpana, wypoczęta i przebrana w świeżą suknię, czuła się dużo lepiej, bardziej też była w stanie trzymać na wodzy rozchwiane emocje.

Zapukawszy cicho do drzwi, weszła do pokoju. Wesole, pogodne pomieszczenie miało ściany w kolorze wiosennej zieleni i ciepłą orzechową podłogę. Dwie duże kołyski ustawiono między oknem a kominkiem, tak żeby niemowlęta miały dużo światła i ciepło, ale żeby ich zdrowie nie ucierpiało od nadmiaru jednego i drugiego.

Violet siedziała na bujanym fotelu z dzieckiem przy piersi. Siostry uśmiechnęły się do siebie, po czym Jeannette pozwoliła Violet dokończyć karmienie, nie przeszkadzając jej rozmową.

Niania o różowych policzkach podeszła do młodej mamy, żeby pomóc przy dziecku, kiedy skończyło jeść. Violet zapięła suknię i pozwoliła służącej zanieść śpiące maleństwo do kołyski. Równie bezgłośnie, jak się pojawiła, służąca odeszła.

- Są piękne. - Jeannette stanęła przy kołyskach, przyglądając się uśpionym niemowlętom.

Violet stanęła obok siostry.

- Może to matczyne zrozumiałstwo, ale też tak uważam. Sądzę, że to najśliczniejsi chłopcy na planecie. Mają oczy Adriana.

- I jego brodę. Przysięgłabym, że są tak samo identyczni, jak my.

Potrafisz ich rozróżnić?

- Tylko dzięki włosom na głowie Noaha, urodził się z nimi.

Podczas gdy mały Sebastian jest łysy jak jajo.

Jeannette spojrzała uważniej i rzeczywiście, na głowie jednego z malców rosły czarne włosy, wystające spod maleńkiego, koronkowego czepeczka.

- Kiedy obu urosną włosy, będę musiała wymyślić jakiś nowy sposób.

- Żadnych różnic, co?

Violet uśmiechnęła się leciutko.

- Dokładnie. Czy nie oczekujesz przypadkiem własnego? Jeannette zerknęła na siostrzeńców, niespodziewanie ogarnięta smutkiem.

- Nie, nie oczekuję.

Dostała miesiączki podczas podróży do Anglii. Powinna ten fakt przyjąć z ogromną ulgą, ponieważ ciąża tylko skomplikowałaby teraz jej stosunki z Darraghiem. A jednak, patrząc na dzieci, czuła smutek w sercu.

- Chciałabyś o tym porozmawiać? - zapytała Violet po długiej chwili milczenia.

Palce Jeannette zacisnęły się na poręczy łóżeczka.

- Porozmawiać o czym?

- O prawdziwych powodach, dla których tutaj jesteś. Tych samych, dla których twojego męża tu nie ma.

Chciała udawać, że wszystko jest, jak być powinno. Ale kiedy otworzyła usta, zaczęła z siebie wyrzucać całą tę ponurą historię. Violet słuchała, nie przerywając, pozwalając siostrze wypowiedzieć wszystkie żale.

- A więc my... cóż, sądzę, że można powiedzieć, że jesteśmy w separacji. On i ja mamy różne pragnienia, różne potrzeby, a nasze małżeństwo nigdy nie było łatwe, od samego początku. On chce mieszkać w Irlandii, a ja chcę mieszkać tutaj. Powiedz mi, czy to takie niemądre, chcieć mieszkać we własnym kraju?

- Nie. Ale, Jeannette, on jest twoim mężem.

- Dlatego właśnie dałam mu możliwość, żeby pojechał ze mną.

Praktycznie błagałam go o to, ale odmówił.

- Kochasz go? Skinęła głową.

- Tak, ale jakie to ma znaczenie? On i ja to dwa odrębne światy i nie wydaje się, aby to się mogło zmienić.

- Może nie cała nadzieja jeszcze stracona...

- On mnie nie kocha. Czasami myślałam, że jest inaczej, ale on nigdy tego nie powiedział. Och, Violet, myślę, że moje małżeństwo się skończyło.

Violet położyła rękę na jej dłoni i ścisnęła ją lekko.

- Przykro mi. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Jeannette odwzajemniła uścisk.

- Tak. Możesz mi pozwolić tu zostać. Na trochę, póki nie stanę na własnych nogach i nie uporządkuję swoich spraw. To nie potrwa długo, przyrzekam. Może parę tygodni.

- Jak długo zechcesz. - A Adrian?

Violet wzruszyła ramionami.

- Jesteś moją siostrą. Adrian będzie po prostu musiał się przyzwyczaić, że w domu jest więcej niż jedna para bliźniaków.

Jeannette została w Winterlea przez cztery tygodnie.

Będąc tam, spędzała czas z Violet i Adrianem oraz chłopcami, ciesząc się dziećmi bardziej, niż mogła przypuszczać. Kładąc ich po południu na kocu w salonie, bawiła się z nimi, póki na ich buziach nie pojawiły się uśmiechy. Raz usłyszała, jak sądziła, chichot Sebastiana, ale nikt jej nie wierzył, a Violet - zmęczona po niespokojnej nocy z bliźniakami - spała akurat na krześle. Violet chciała karmić chłopców piersią tak długo, jak się dało, twierdząc, że taka bliskość tworzy między nimi jedyną w swoim rodzaju więź.

Ze swej strony, Jeannette wróciła do starego obyczaju wysypiania się do późna, pozwalając Betsy i reszcie służby dbać o swoje potrzeby.

Była jednak świadoma, jak nigdy przedtem, jaką wkładają w to pracę i zawsze pamiętała, aby im podziękować i nie zmuszać do dodatkowego wysiłku.

Dlatego też, kiedy nie mogła zasnąć, co ostatnio zdarzało jej się coraz częściej, schodziła do kuchni i przygotowywała sobie kubek gorącego mleka. Rozgarniała nawet potem węgle w piecu i myła naczynia, żeby nikt się nie domyślił, że tam była.

Powinna być za to wdzięczna Darraghowi. Nauczył ją czegoś tak zwyczajnego, jak samodzielne przygotowanie dla siebie kubka gorącego mleka. Powinna mu także podziękować za bezsenność, gdyż to wspomnienia wspólnie spędzonego czasu dręczyły ją w mroku nocy.

Nie pozwalała sobie jednak na zwątpienie.

Dzieci ochrzczono podczas ostatniego tygodnia jej pobytu. Rodzina zjechała się z całego kraju, w tym także rodzice jej i Violet.

Pierwsze spotkanie było pełne napięcia. Rodzice zasypali ją gradem pytań na temat tajemniczego Irlandczyka, którego poślubiła.

Dlaczego, pytali, nie powiedziała od razu, że jest księciem? I dlaczego przysłał tylko list i prezent dla Violet i Adriana, zamiast stawić się na chrzcinach osobiście?

Trochę później lody zaczęły topnieć. Matka podjęła z nią ożywioną dyskusję o najnowszej modzie, przedstawionej na stronicach „La Belle Assemble”. Można było odnieść tego wieczoru wrażenie, że w przeszłości nie wydarzyło się nic nieprzyjemnego. Jeannette uzyskała przebaczenie.

Przebaczyli jej także przyjaciele, którzy zaczęli do niej pisać. Pod koniec wizyty w Winterlea miała zaproszenia na cztery przyjęcia w wiejskich rezydencjach i zimowy bal w Bath. Wybrała przyjęcie wydawane przez jej dobrą przyjaciółkę Christabel Morgan, obecnie lady Cloverly.

Christabel, jak się wydaje, wyszła za mąż w sierpniu, kiedy Jeannette przebywała w domu kuzynów w Irlandii. Mąż Christabel był



starszym dżentelmenem, wdowcem z dorastającą córką, który pragnął

dziedzica tytułu. Poza atrakcyjnym majątkiem w Kent, miał także luksusową rezydencję w Londynie, w której spędzał większość czasu, jako aktywny członek Izby Lordów. Christabel była zachwycona, że będzie mieszkać w Londynie, i w ogóle, jak twierdziła, korzystne małżeństwo ją uszczęśliwiało.

Oczywiście, małżeństwo Christabel nie było związkiem dwojga zakochanych, o czym Jeannette przekonała się osobiście wkrótce po przybyciu do Kent. Jednak jej przyjaciółka, nie doznawszy uniesień miłosnych, nie miała także nigdy doświadczyć miłosnych zawodów. A lord Cloverly nie był złym człowiekiem, ani okrutnym, ani niemiłym, po prostu bardziej interesowały go polityka i sprawy majątku niż dostarczanie rozrywki młodej żonie.

Teraz, kiedy wróciła do przyjaciół, Jeannette postanowiła wybawić się za wszystkie czasy i z zapałem wzięła udział w przyjęciu. Wraz z piętnastoma innymi gośćmi jeździła konno, brała udział w strzelaniu do celu - panie strzelały z łuku, panowie z pistoletu - o ile pogoda pozwalała. A kiedy było za zimno na spacer, grano w karty i zabawiano się szaradami, a także słuchano muzycznych popisów pań.

Przyjęcie u Christabel odpowiadało wyobrażeniom Jeannette o najlepszej rozrywce. Bawiła się świetnie. Naturalnie, że tak. Śmiała się przecież pół dnia, czyż nie?

Jednak zabawa nie zapełniała tajemniczej pustki, której nie była w stanie się pozbyć. Kiedy kolejny dzień dobiegał końca, a ona leżała w łóżku, czekając na litościwy sen, zamiast przyjemnego znużenia po przyjemnościach dnia, ogarniała ją niechęć i ogromne rozczarowanie.

Przyczyną musiał być list od Darragha. Tuż zanim wyjechała z Winterlea, otrzymała od niego pismo - utrzymane w suchym, oficjalnym tonie, który sprawił, że przez długą chwilę siedziała jak zmartwiała na krześle.

W liście poinformował ją, że otworzył jej rachunek w banku w Londynie, na który miały wpływać pieniądze na tyle duże, że nie powinna mieć powodów do narzekania. Ponadto nabył dla niej dom w Mayfair i wynajął służbę, którą mogła zarządzać w sposób, który uzna za właściwy. Jeśli dom jej się nie spodoba, miała jego zgodę na znalezienie innego; zajmie się kupnem i sprzedażą pierwszego. Będzie miała również do dyspozycji konie, karetę i lekki powóz. Gdyby potrzebowała czegoś jeszcze, powinna porozumieć się z jego agentem w Londynie, który dopilnuje, żeby jej potrzeby zostały zaspokojone.

Do listu dołączył karteczki od Moiry i Siobhan, które pisały, że za nią tęsknią, i pytały, kiedy wróci. Od Darragha nie dostała żadnego ciepłego słowa. Powiedział, co prawda, że nie zgodzi się na rozwód, ale jego postępowanie wydawało się temu przeczyć.

Płakała całe popołudnie i wieczór, obracając na palcu złotą obrączkę, którą dostała w dniu ślubu. Następnego dnia wytarła oczy i postanowiła wyrzucić go ze swoich myśli i serca.

Powinna być szczęśliwa. Miała wszystko, czego chciała. Własny dom w Londynie, hojną pensję i swobodę obracania się w towarzystwie -

była kobietą zamężną. To było życie, o którym zawsze marzyła, a żeby je prowadzić, nie musiała nawet znosić męża u swego boku. On będzie mieszkać w Irlandii, a ona tutaj. Czyż mogło się lepiej ułożyć? A jeśli kiedyś w przyszłości jej mąż uzna, że pragnie dziedzica, wypełni swój obowiązek i zdobędzie się na to, żeby mu go dać. Teraz jednak nie będzie się nad tym zastanawiać. Nadszedł czas zabawy. I będzie się bawić, zwłaszcza że sezon miał się wkrótce rozpocząć. Przyjęcie u Christabel, choć przyjemne, było jednak tylko przyjęciem na wsi.

Jeannette stwierdziła, że tęskni za miastem. Za Londynem, który dostarczał stałej podniecającej rozrywki.

Kiedy wyjedzie od Christabel, uda się na kolejne przyjęcie, a potem jeszcze inne. A potem nastanie wiosna i socjeta zjedzie do miasta. To wtedy rozpocznie się jej nowe życie. Wtedy znowu będzie szczęśliwa.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

- Twój ruch.

- Hm? - mruknął Darragh. Michael poruszył się na krześle.

- Powiedziałem, że to twój ruch, chłopie. A jeśli dalej nie będziesz uważał, to w paru następnych ruchach stracisz wieżę.

- Co? - Darragh otrząsnął się z zamyślenia i popatrzył na szachownicę.

Do diabła, pomyślał, nie mam pojęcia, jaki powinienem zrobić ruch. Nie był w stanie skupić się na grze. Ostatnio w ogóle wydawało się, że na niczym nie mógł się skupić. Zdając sobie sprawę, że brat czeka, podjął decyzję i przesunął czarnego, marmurowego konia, żeby zbić jeden z białych pionków Michaela.

Brat mlasnął językiem, wykonując szybki ruch, który pozwolił mu stracić dwa czarne pionki Darragha i ustawić królową w takiej pozycji, żeby zbić wieżę przeciwnika w następnym posunięciu.

- Dlaczego nie przyznasz, że jesteś nieszczęśliwy i za nią nie pojedziesz?

Darragh się skrzywił.

- A ty dlaczego nie zajmiesz się swoimi sprawami i nie trzymasz nosa z daleka od moich?

Michael podniósł kieliszek whisky do ust i wypił łyk.

- Trzymałbym, gdyby nie to, że doprowadzasz nas wszystkich do szaleństwa swoimi humorami. Jesteś naładowany wściekłością. -

Podniósł cygaro do ust, zaciągnął się i wypuścił powoli smużkę dymu w powietrze. - Wczoraj Moira przez ciebie płakała.

- Przeprósilem ją, że na nią warknąłem. Zrozumiała.

- Tak. My wszyscy rozumiemy. Chcesz żony z powrotem. Więc przestań się dusić we własnym, kwaśnym sosie i jedź po nią.

Gdyby to było takie łatwe, pomyślał Darragh. Odkąd Jeannette wyjechała, nie był sobą. Początkowo trzymał się słabej nadziei, że zmieni zdanie, każe temu draniowi Markhamowi zawrócić powóz i jechać z powrotem. Tak się nie stało. Jeden dzień przeszedł w drugi. Z pięciu dni zrobił się tydzień. Z trzech tygodni miesiąc i więcej, aż zima przejęła ziemię chłodem, żeby później ustąpić ciepłej, zielonej wiosnie.

Przez cały ten czas dostał od niej tylko dwa listy, oba krótkie. W

pierwszym zawiadamiała go, że przybyła bezpiecznie do Anglii i zatrzyma się przez jakiś czas u siostry i jej męża w majątku w Derbyshire. Drugi list nadszedł parę tygodni później. Dziękowała mu za hojną pensję i dom w Londynie, który określiła jako „atrakcyjny i wygodny”.

Nie wspomniała ani słowem o swoich uczuciach do niego. Nie napisała, czy nadal widuje Toddy'ego Markhama czy nie. Nie na-pomknęła również, czy zamierza kiedykolwiek wrócić do Irlandii.

Oczywiście, on także nie poruszał spraw osobistych. Najpierw był

zbyt rozgniewany, potem zbyt zrozpaczony.

Dopił whisky, czerpiąc ponure zadowolenie z palącego smaku, jaki rozszedł mu się po gardle.

- To jasne, że ona nie chce wrócić. Wyraziła to dość otwarcie w dniu wyjazdu.

- Zatem jesteś głupcem, że pozwoliłeś jej wyjechać.

- A co powinienem był zrobić? Przykuć ją łańcuchami w starym lochu? Zamknąć w wieży? Chciała wyjechać. Musiałem zwrócić jej wolność.

- Pomyślałeś o tym, żeby jej powiedzieć, że ją kochasz?

- Zna moje uczucia.

Ale czy tak rzeczywiście było? Czy chociaż raz zdarzyło mu się powiedzieć: „kocham cię?” Myślał o tym dziesiątki razy. Wyrażał miłość na niezliczone sposoby, zwłaszcza kiedy się kochali. Być może jednak z powodu napięcia między nimi, odkąd zamieszkali w Caslean Muir, to właśnie uczucie gdzieś się zagubiło. Może gdyby jej wprost powiedział, jak bardzo mu na niej zależy, zostałyby przy nim.

Z drugiej strony, po tym wszystkim, co przeżyli razem, czy naprawdę mogła sądzić, że on jej nie kocha? Wobec szaleńczej namiętności, jaka ich łączyła, to wydawało się niemożliwe.

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał Darragh, odstawiając kieliszek na stół z taką siłą, że pionki

zatańczyły na szachownicy. - Ona uważa, że to nie jest jej dom, i chce mieszkać w Anglii. Cóż, ja chcę mieszkać tutaj.

Gdzie tu może być mowa o kompromisie?

- Zawsze można znaleźć kompromisowe rozwiązanie, jeśli naprawdę się tego chce. Pytanie tylko, ile ona jest dla ciebie warta? Czy kochasz ją na tyle, żeby zapomnieć o obawach oraz uporze i odsunąć na bok irlandzką dumę? Czy też zrezygnujesz z niej i pozwolisz odejść na zawsze? Wybór należy do ciebie.

Jeannette wirowała w ramionach przystojnego lorda, w świetle setki świec i ciepłe bijącym od trzech dziesiątków par ściśniętych na parkiecie. W powietrzu unosił się zapach goździków i róż, z którym mieszał się zapach szampana, pomady do włosów i ludzkiego potu.

Na balu było tłoczno, goście gnietli się niczym owce w zagrodzie na targu. Dokładnie tak, jak życzyła sobie gospodyni, ponieważ dzięki temu przyjęcie będzie miało opinię udanego. W jutrzejszej kronice towarzyskiej znajdzie się opis balu i lista gości. Toalety, menu, kto z kim tańczył i ile razy, to wszystko dostarczy pożywki zarówno arystokratom, jak i gminowi.

Był to ten rodzaj przyjęcia, jakie Jeannette zawsze uwielbiała.

Jednak dzisiejszego wieczoru musiała przyznać, że po raz kolejny nie bawi się tak dobrze, jak powinna. Siedem tygodni sezonu, miriady przyjęć, wieczorków, spotkań muzycznych, spotkań przy kartach, wystawnych śniadań, kolacji i rautów - to wszystko zaczęło się ze sobą zlewać w jeden nieustający wir zabawy. Kazała sobie uszyć nową garderobę, ale szybko jej się znudziła. A przyjemność odwiedzania przyjaciół w porze podwieczorku, żeby poplotkować o najnowszych wydarzeniach i skandalach, zamieniła się w męczący obowiązek. Nie cieszyły jej nawet względy mnóstwa atrakcyjnych mężczyzn, którzy pragnęli gorąco zaskarbić sobie jej łaski. Nie chciała żadnego z nich w charakterze kochanka, a po pewnym czasie nawet najelegantszy mężczyzna z towarzystwa okazywał się zwykłym nudziarzem.

Była pewna, że Londyn uleczy jej melancholię, podniesie ją na duchu. Początkowo tak się właśnie stało, zachwycała się szybkim tempem i zgiełkiem miejskiego życia, podniecając się widokami, zapachami, dźwiękami. Jednak bardzo szybko zaczęło ją to męczyć.

Oglądała te same twarze, grała w te same gry, miała te same zajęcia dzień w dzień. Bywała na najelegantszych przyjęciach, które sprawiały na niej wrażenie zwyczajnie nudnych. Ludzie z towarzystwa wydawali jej się teraz często próżni i płytycy.

A więc to ma być moje życie? - zastanawiała się. Nieustanna karuzela przyjęć i innych spotkań towarzyskich? Czy już nic innego jej nie czekało?

Czego innego jednak chciała? Czyż nie było to właśnie takie życie, za które kiedyś oddałaby własną duszę? Co się zmieniło?

Darragh, szepnął głos w jej głowie. Darragh i Irlandia, to się zmieniło. Z jego powodu, z powodu

tamtego kraju nie była już tą samą osobą, co rok temu. Czuła się tak, jakby zdjęto jej zasłonę z oczu, ukazując jej życie z zupełnie innej perspektywy. Bez wątpienia nadal lubiła zabawę i ludzi, ale bez Darragha u boku wszystko wydawało się szare i nijakie.

Muzyka umilkła, taniec dobiegł końca. Podziękowała partnerowi po tym, jak sprowadził ją z parkietu. Wysoki, ozdobny zegar, stojący przy ścianie, wskazywał blisko pierwszą. Niezbyt późno, jak na obyczaje towarzystwa, ale dla niej późno. Wzdychając lekko, udała się na poszukiwanie matki, z którą przyjechała na przyjęcie.

- Mamo, jadę do domu. Matka spojrzała na nią z troską.

- Ale dlaczego? Czy nie czujesz się dobrze, moja droga? Czy boli cię głowa? Duszno tutaj, tylu jest gości. Sheila powinna kazać otworzyć parę okien, ale wiesz, jak ona się boi przeciągów.

Gospodyni, lady Farnham, słynęła ze strachu przed przezię-

bieniami i chorobami. Dlatego też okna u niej były szczelnie zamknięte, a w pokojach zbyt ciepło.

Jeannette pokręciła głową.

- Nie. Jestem po prostu zmęczona. Jeśli masz ochotę zostać, każę odesłać ci powóz.

- Pozwól mi powiedzieć „dobranoc” paru osobom i zaraz po-jedziemy.

Zajęło to prawie godzinę i wprawiło Jeannette w rozdrażnienie. W

końcu wsiadły do czekającego na nią powozu, aby odbyć podróż przez miasto.

Jeannette wsparła się na satynowych poduszkach, wpatrując się w ciemność za oknem. Monotonny stukot kopyt na miejskim bruku działał

uspokajająco.

- Cóż, co za udany wieczór - stwierdziła matka, chowając wachlarz do torebki. - Pomimo tłoku, trudno winić Sheilę Watt za gościnność.

Podają u niej najlepsze jedzenie, jakie jadłam. Wiesz, zabrała Oxneyom szefa kuchni! Jakiś Austriak, o ile wiem. Mam nadzieję, że spróbowałaś medalionów wołowych. Twój ojciec byłby zachwycony, siedząc dzisiaj z nami przy stole, wiesz, jak lubi dobrą kuchnię. Uparł się jednak, żeby pójść do klubu. - Parsknęła pogardliwie. - Mężczyźni. Nic się z nimi nie da zrobić. Stworzenia, które nie potrafią się do niczego przystosować.

Jeannette, obeznana z opiniami matki na ten temat, milczała.

- Co do nieużytecznych mężczyzn, naprawdę powinnaś napisać do tego swojego męża. Do czego to podobne, żeby zostawić cię samą w sezonie, i to w pierwszym roku małżeństwa. To wywołało plotki. Gdyby twoja pozycja w towarzystwie nie była ugruntowana, obawiam się, że niektórzy ludzie

mogłoby się od ciebie odwrócić.

Jeannette spojrzała na matkę.

- Słucham?

- Cóż, nie chcę cię wprawiać w przygnębienie, moja droga, ale doprawdy, czego można się spodziewać? Człowiek, którego poślubiłaś, jest, ostatecznie, Irlandczykiem.

Jeannette poczuła, jak zaciskają jej się szczęki.

- Nic w tym złego, że ktoś jest Irlandczykiem.

- Skoro tak mówisz. Ale gdyby był Anglikiem, miałby dość manier, żeby się przedstawić teściom i towarzystwu. Dlaczego się ukrywa?

Wielu ludzi chciałoby to wiedzieć.

Jeannette zwinęła dłonie w pięści.

- Nie ukrywa się. Już to wyjaśniłam, Mamo, to bardzo zajęty człowiek. On... po prostu nie mógł przyjechać.

- Tak, jego prace architektoniczne, czyż nie? - I sprawy majątku.

- Sprawy dotyczące majątku można powierzyć zarządcy, przynajmniej na okres sezonu. Co do innych rzeczy, ta cała architektura, to naprawdę niedopuszczalne, Jeannette. Chodzą plotki, że brał zapłatę za swoje usługi - dokończyła tonem pełnym oburzenia.

Jeannette uniosła brodę do góry.

- Owszem. Żeby pomóc rodzinie. Jej matka westchnęła cicho.

- Cóż, musi natychmiast z tym skończyć. Bawienie się w architekta jako hobby to jedno, ale zarabianie na tym pieniędzy... No cóż, prawdziwy dżentelmen nie zarabia na życie.

Jeannette ogarnął gniew.

- Darragh zarabia. I nie widzę w tym niczego złego. - Jeannette...

- To, czym się zajmuje, jest właściwie i pożyteczne. A nawet piękne. Nowe skrzydło, jakie wybudował dla naszych kuzynów, jest wspaniałe. Nigdy nie widziałam lepiej wykonanej pracy. A to, co zrobił, żeby przywrócić blask własnemu domowi, zamkowi, który niegdyś stał

niemal w ruinie, jest po prostu zachwycające. Studiował i poświęcał się, żeby przywrócić majątek rodzinie i świetność nazwisku. I jeśli przyjmuje wynagrodzenie za swoje wysiłki, nie widzę w tym niczego wstydliwego, mimo że urodził się dżentelmenem.

- Żaden szanujący się angielski dżentelmen nie przyjąłby pieniędzy za pracę.

- Nie, za to ożeniłby się dla pieniędzy. Dużo mniej szacowny sposób, żeby napełnić szkatułę rodzinną, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Matka przyłożyła rękę do piersi.

- Co, na Boga, w ciebie wstąpiło? Prawdę mówiąc, nie chciałam o tym wspominać, ale nie jesteś całkiem sobą, odkąd wróciłeś z tej dziczy.

I odkąd poślubiłaś tego niecywilizowanego człowieka.

- Darragh jest bardzo cywilizowany. - Nagle uświadomiła sobie prawdę tych słów. Darragh, na swój własny, wyjątkowy sposób, był

niezwykle cywilizowany. Może najbardziej z ludzi, jakich знаła. Był

mężczyzną o silnych przekonaniach, zdolnym do działania, który w postępowaniu kierował się nie tym, co mu wmawiano, ale tym, co uważał za słuszne i właściwe.

- Jeśli takie poglądy wbijał ci do głowy - ciągnęła matka - to szczerze jestem uradowana, że wróciłaś. Nie wywiera na ciebie dobrego wpływu. Może lepiej, jeśli nie przyjedzie do Londynu. Ciągnąłby cię tylko w dół.

- W żadnym razie. Jest księciem Mullholland i moim mężem. I byłabym dumna, stojąc u jego boku w każdym miejscu i w każdym czasie.

- Nawet jeśli doprowadziłby cię do zguby? Pomyśl, moja droga, zawsze chciałaś przewodzić w towarzystwie. Gdyby pewne szczegóły na jego temat dotarły do publicznej wiadomości, to marzenie ległoby w gruzach. Nigdy nie stałabyś się taką kobietą, jak twoja babka.

Jeannette spodziewała się ukłucia strachu, że nie potrafi sprostać swojej roli. Nie poczuła jednak niczego. Żadnego żalu czy roz-czarowania. Tylko jakąś zdumiewającą ulgę, jakby nagle zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. Jej cele, rzeczy, których głęboko pragnęła, nie wydawały się już takie ważne. Co do socjety, to cóż, ludzie mogli myśleć i postępować, jak im się podobało.

- Nie chcę być swoją babką. Była piękna i popularna, i dokładnie taka, jak matrona z towarzystwa być powinna. W gruncie rzeczy jednak była słaba, raczej zimna i nieszczęśliwa.

- Jeannette! - wykrzyknęła zaszokowana matka. - Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

- Dlaczego nie? Przecież to prawda! Czy nigdy nie pragnęłaś, żeby choć raz wyciągnęła ręce i cię przytuliła? Powiedziała, że jesteś wspaniała taka, jaka jesteś? Czy nie myślałaś nigdy, że dostosowywać swoje życie do wymagań innych to rzecz zupełnie pozbawiona sensu?

Violet postępuje inaczej. Och, zachowuje się tak, że jest akceptowana, ale w rzeczywistości kieruje się tym, co w głębi serca uważa za słuszne, nie licząc się z socjetą. Tak samo jak Darragh. Dopiero

teraz zacznym dostrzegać, że oboje mają rację.

- Jak tylko dojedziemy do Wightbridge House, poślę po lekarza -

jęknęła matka.

- Nie potrzebuję lekarza, mam. Potrzebuję męża, nie rozumiesz?

Dlatego nie jestem tutaj szczęśliwa. Dlatego nic nie podoba mi się tak, jak myślałam, że będzie. Kocham go i tęsknię za nim. A odeszłam, kiedy powinnam była zostać i poradzić sobie z tym, co nas różni, zamiast od tego uciekać.

Najpierw jednak, uznała Jeannette, musiała wybaczyć mu oszustwo, jego kłamstwa i podstępny w wiejskim domku. Powiedział, że zrobił to dla nich, i wtedy uważała, że to kompletny nonsens, marna wymówka.

Może jednak nie chciał jej wcale dokuczyć. Teraz rozumiała, że miał, w gruncie rzeczy, rację co do niej. Była straszliwie rozpieszczona i samolubna. I była snobką, którą bardziej obchodził status niż prawdziwy człowiek.

Czy mogła mu ufać? Zataił przed nią, kim był. Czy mogła o tym zapomnieć i żyć dalej? Kochać go otwarcie i całym sercem? Mógł ją zranić. Ale czy teraz nie czuła się zraniona? Czy nie była nieszczęśliwa bez niego? Jeśli już musi być nieszczęśliwa, dlaczego ma być sama?

Zaufanie wiązało się z ryzykiem, koniecznym jednak, jeśli kiedyś chciała zaznać miłości. I czyż miłość w istocie nie wiązała się z ryzykiem?

A jeśli jej nie kochał?

Przez chwilę ogarnęło ją przygnębienie, potem jednak wrócił

optymizm. Jeśli jej nie kochał, to musiała go przekonać, że jest warta miłości. Pragnął jej, wiedziała o tym. A kiedy roztoczy wokół niego swój czar, Darragh O'Brien nie będzie wiedział, co się z nim dzieje ani jak w ogóle mógł kiedyś bez niej żyć.

- To się uda - szepnęła Jeannette.

- Co takiego? Co mówisz? - zapytała matka, marszcząc czoło z niepokoju.

- Mówię, że wracam do Irlandii. Wracam do Darragha, żeby ratować to, co zostało z mojego małżeństwa. Kocham go i, aż do tej chwili, nie rozumiałam w pełni, dlaczego. To dlatego, że pozwala mi być sobą. Przy nim nie ma żadnego udawania, żadnych kłamstw. Tylko on i ja, tacy, jacy jesteśmy. Chcę to odzyskać. Chcę jeszcze jednej szansy. A przy odrobinie szczęścia, on także wkrótce odkryje, że chce tego samego.



Betsy, czy pamiętałaś, żeby spakować moje brzoskwińowe, jedwabne rękawiczki do walizki, zamiast do kufra?

- Tak, milady. Położyłam je tuż obok chusteczek i wstążek do włosów.

- A prezenty? Przypomniałaś lokajowi, że te pudełka zawierają delikatne, kruche rzeczy? Miśnieńskie przybory toaletowe dla dziewcząt i serwis do herbaty z Sevres dla Mary Margaret? O prezenty dla mężczyzn tak się nie martwię, bo tam raczej nic nie może się zniszczyć.

Chociaż posążek konia dla Michaela może się wyszczerbić, jeśli ktoś niewłaściwie będzie się z nim obchodzić.

Pokojówka zawinęła w płachtę materiału jedną z wieczorowych sukien Jeannette.

- Z każdym z lokajów rozmawiałam osobiście, milady, i wskazałam, które pudła wymagają specjalnej uwagi. Thomas zapewnił mnie, że dołożą wszelkich starań, żeby nic nie uległo zniszczeniu w podróży.

Jeannette skinęła głową z zadowoleniem.

- Dziękuję, Betsy, jesteś niezawodna, jak zwykle. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez ciebie.

Oczy Betsy się rozjaśniły.

- Przypuszczam, że milady dałyby sobie radę całkiem dobrze, ale miło mi słyszeć, że jest pani zadowolona z mojej pracy.

- Jestem i cieszę się, że będziesz mi towarzyszyć w drodze do Irlandii. Cóż, zostawię cię z resztą rzeczy do spakowania. Wyruszamy jutro wcześnie rano, jak tylko przybędzie lord Christopher.

Kit Winter zaskoczył ją propozycją odwiezienia aż do walijskiego portu Swansea, choć z pewnością czynił to na żądanie Violet. Jednak to bardzo ładnie z jego strony, że się zgodził. Z Walii Jeannette, Betsy i zaufany służący mieli odbyć długą podróż morską do Corku, gdzie zamierzali wynająć powóz, żeby udać się na północ, do Caslean Muir.

W ciągu ostatnich, niezwykle gorączkowych dni, napisała pośpiesznie liściki do przyjaciół i rodziny, w których wyjaśniała, dlaczego nie weźmie udziału we wszystkich balach i przyjęciach, na które ją zaproszono. Wraz ze służbą przygotowywała dom do zamknięcia. Tego ranka zostawiła majordomusowi polecenie, by nie wprowadzać gości, ponieważ ostatnio przyjaciele i znajomi nachodzili ją tłumnie, chcąc dowiedzieć się, dlaczego tak nagle postanowiła wyjechać.

Nie miała czasu ani ochoty zaspokajać ich ciekawości.

Betsy włożyła suknię Jeannette do kufra i sięgnęła do wielkiej, mahoniowej szafy po następną.

Jeannette postukała się palcem w policzek.

- Och, przypomniałam sobie właśnie, że mój koszyk z szyciem jest we frontowym salonie. Lepiej zaraz go stamtąd zabrać, inaczej jutro, w pośpiechu, zapomnimy o nim.

Betsy znieruchomiała, z pelisą zarzuconą na ramię.

- Czy jaśnie pani życzy sobie, żebym poszła, czy poprosić jedną ze służących?

- Nie, nie zawracaj sobie głowy. Ty i pozostali macie dość pracy. A to nie zajmie dłużej niż minutę. Pójdę sama.

Z szumem liliowych spódnic wyszła z pokoju, udając się do salonu. Ciepłe słońce wpadało przez wysokie okna. Zielony, pełen świeżych płatków róż, jaspisowy wazon z Wedgwood stał na stoliku pod ścianą, rozsiewając słodki zapach. Obok kanapy, dokładnie tam, gdzie go zostawiła poprzedniego wieczoru, stał koszyk z szyciem.

Tyle że w koszyku było teraz coś jeszcze. Smoke leżał zwinięty w doskonały kłębuszek na robótce. Jego czarne futro lśniło jak księżycowa noc.

Pochyliła się.

- Niegrzeczny kotek. Położyłeś się na moim tamborku. - Nie przegoniła go jednak, ale wyciągnęła rękę i pogłaskała aksamitne futerko. Otworzył jedno złote oko i zaczął mruczeć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Milady, proszę wybaczyć - powiedział lokaj. Jeannette się wyprostowała. - Wiem, że nie przyjmuje pani gości, ale jest tu dżentelmen, który domaga się, aby panią zobaczyć. Mówi, że jest pani...

- Mężem - oznajmił głęboki, melodyjny głos zza pleców służącego.

Serce jej zadrzało.

- Darragh!

Na pierwszy rzut oka wydawał się szczuplejszy, wyższy i szerszy w ramionach, niż pamiętała. Przystojny i silny, zdawał się wypełniać cały pokój, gdy przekroczył próg. Nagle zaczęło jej się robić gorąco. Jej serce biło tak szybko, jak skrzydełka kolibra.

Co on tutaj robi? Dlaczego przyjechał?

Ledwie widziała, jak służący się uklonił i wyszedł. Utkwiła wzrok w Darraghu. Chciała rzucić się w jego ramiona i zasypać jego twarz pocałunkami. Zamiast tego przycisnęła dłonie do boków, marzyła, żeby mu tyle powiedzieć, ale z jakiegoś powodu, teraz, kiedy stał w odległości paru centymetrów, nie mogła się na to zdobyć.

- Dzień dobry, Jeannette. Ładnie wyglądasz. Dobrze ci w tym kolorze.

Dotknęła spódnicy.

- Och, tak? Jest nowa. Dziękuję... Ty też ładnie wyglądasz. -

Wydawał się zmęczony, poważny, ale jakże kochany. - Dlaczego przyjechałeś?

- Musiałem cię zobaczyć. Ja... - Przerwał, patrząc na swoje nogi, o które ocierał się Smoke, mrucząc i uderzając w nie łebkiem. Kot miauknął żałośnie i podskoczył. - Czy to Smoke? Jak on urósł.

- Tak. Już nie jest małym kociątkiem. Smoke, chodź tutaj! - za-wołała pieszczotliwie, klepiąc się w udo.

- Nie szkodzi. - Darragh schylił się i podniósł kota, gładząc jego miękkie futerko. Żałowała, że to nie ona otrzymała tę pieszczotę.

Po długiej chwili pozwolił kotu zeskoczyć na kanapę i się odwrócił.

- Wybacz, że się zjawiam bez uprzedzenia, ale prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jakiego przyjęcia mogę się spodziewać. Wynająłem pokoje w hotelu, więc nie musisz się obawiać, że będę ci się narzucać.

Zagryzła wargi. Czy stosunki między nimi były tak okropne, że nie mógł znieść przebywania z nią pod jednym dachem? Jeśli tak, to dlaczego odbył taką długą podróż? Chyba że przyjechał, ponieważ jego obecność była konieczna. Ponieważ zdecydował, że chce rozwiązać ich małżeństwo... Panika ścisnęła ją za gardło.

- Darragh, proszę, ja...

- Nie - poprosił, podnosząc rękę. - Pozwól, że będę mówił

pierwszy. Myślałem o nas w ciągu tych paru miesięcy. I o tym, co ci powiem, gdy cię zobaczę. Ale teraz, kiedy tu jestem, cóż, słowa wyleciały mi z głowy.

Przezesął włosy palcami, burząc je. Podniósł głowę, patrząc jej w oczy.

- Byłem głupcem, dziewczyno. Zarozumiałym, głupim, prze-konanym o swojej racji szaleńcem. Nawet jeśli moje intencje były dobre, nie należało cię okłamywać, oszukiwać co do chaty i co do tytułu. Ale bałem się, że jeśli tego nie zrobię, to zobaczysz tylko mój majątek. Może cię nie doceniłem, dziewczyno. Przyjmij moje spóźnione, ale najszczerze przeprosiny.

Otworzyła usta, zdumiona.

Podszedł do niej blisko, chwycił ją za ręce i ukląkł na jednym kolanie.

- Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że budzisz we mnie coś niezwykłego. Tracę rozum,

kiedy tylko znajdziesz się w pobliżu.

Powiniem ci powiedzieć, jak tylko to rozumiałem, ale wtedy naprawdę uznałabyś, że oszalałem.

- Powiedzieć co? - zapytała, patrząc w jego błyszczące, niebieskie oczy.

- Ze cię kocham. Ze pokochałem cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem. Kiedy patrzyłem, jak zgniatasz tę przeklętą muchę, siedząc w powozie, który ugrzązł w błocie. Byłaś najdumniejszą, najpiękniejszą, najwspanialszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Pozbawiłaś mnie tchu.

- Darragh...

- Wiedziałem jednak, że mnie nie zechcesz, nie na początku. A potem bałem się, że nadal nie będziesz chciała, nawet gdybyś знаła prawdę, więc ukrywałem ją przed tobą, żeby sobie udowodnić, że pokochasz mnie dla mnie samego. Ale wszystko poszło nie tak.

Wszystko zepsułem, zniechęciłem cię do siebie, podczas gdy powiniem był cię zatrzymać, powiedzieć, ile dla mnie znaczysz. Byłem nieszczęśliwy, doprowadzałem wszystkich do rozpaczki melancholią i złością, odkąd wyjechałaś. Dlatego przyjechałem, żeby cię odzyskać. Czy dasz mi szansę?

Przełknął ślinę, patrząc na nią błagalnie.

- Chyba że jest za późno. Proszę, powiedz, że nie jest. Czy kochasz tego dra... Markhama?

- Nie - zapewniła pośpiesznie. - Między nim a mną niczego nie ma.

Żadnej sympatii, odkąd rozstaliśmy się rok temu w Italii. Przyjechał do Irlandii nieproszony, żeby mnie odszukać. Nie prosiłam go o to, przysięgam. Nie chciałam go ani nie chcę. Odesłałam go, jak tylko przyjechaliśmy do Londynu, i od tamtego czasu go nie widziałam.

Na jego twarzy odmalowała się ulga. Ponaglony przez Jeannette, wziął ją w ramiona.

- A zatem moglibyśmy zacząć od początku. Czy pozwolisz, abym cię na nowo uwiódł, tym razem jak należy? Będę ci przysyłał ogromne bukiety kwiatów, zabierał na przejażdżki po parku, chodził z tobą na wszystkie przyjęcia, na które będziesz chciała pójść. Zostało jeszcze parę tygodni sezonu. Czas na to, żebyśmy się poznali od nowa.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją, musnąwszy jej wargi palcami.

- Wiem, że chcesz mieszkać w Anglii, więc tu zostaniemy. Blisko twojej rodziny i przyjaciół. Czasami będę musiał wracać do Irlandii, ale przez większość roku możemy mieszkać tutaj, jeśli tego chcesz.

Przywiozę Moirę i Siobhan, żeby z nami mieszkały, bo nie mogę pozwolić, żeby dorastały same, w zamku. Finn i Michael, cóż, oni poradzą sobie sami.

- To znaczy, że przeprowadziłbyś się do Londynu, dla mnie?

Spoważniał.

- Tak, jeśli tego potrzeba, żeby cię odzyskać. Myślałem, że potrafię żyć bez ciebie, dziewczyno, ale to niemożliwe.

Zarzuciła mu ręce na szyję, przepelniona miłością.

- Och, Darragh, tak bardzo cię kocham! Ja też byłam bez ciebie nieszczęśliwa. I myliłam się, tak bardzo się myliłam. Miałaś rację, twierdząc, że jestem zbyt dumna, wyniosła, samolubna i zepsuta. Nie powinnam była wyjechać, nie mówiąc ci, co czuję, jak bardzo cię kocham. Przyznaję, że z tym walczyłam. Nie chciałam cię kochać, ale nie potrafiłam się temu oprzeć. Jesteś wszystkim, czego kiedyś nie chciałam, i wszystkim, czego potrzebuję.

Ujął dłońmi jej policzki.

- Już dobrze.

- Byłam w rozpacz, odkąd się rozstaliśmy. Nie zostawię cię już nigdy więcej.

Przyciągnął ją mocno do siebie, całując z dzikim, nieokiełznanym pożądaniem. Pozbawił ją tchu i przyprawił o szaleńcze bicie serca.

- Czy jest gdzieś w tym domu sypialnia? - zapytał chrapliwym głosem.

- Tak, choć obawiam się, że przerazilibyśmy Betsy, gdybyśmy się tam udali. Służba właśnie pakuje moje rzeczy.

Ściągnął brwi. - Wyjeżdżasz?

- Do Irlandii. Wracałam do ciebie, kochany. Gdybyś zjawił się jutro, nie zastałbyś mnie tutaj, byłabym w drodze tam, gdzie moje miejsce. Nie widziałeś pudeł w holu?

- Tak, ale nie wyobrażałem sobie... Nie rozumiem.

- Sądziłam, że tęsknię za Londynem, ale tak nie jest. Nie tutaj jest moje miejsce, nie bez ciebie.

- Ale możesz mieć i mnie, i Londyn. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Uśmiechnęła się.

- I będę. W domu z tobą, w Irlandii.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Chcę być twoją żoną. Żoną pod każdym względem, na zawsze.

Powiedz, proszę, że mnie pragniesz.

- Oczywiście, że tak. Ale nie musisz znosić takich wyrzeczeń.

Przyjechałem gotów na kompromis, więc co powiesz na to, żebyśmy spotkali się w połowie drogi?

- Co to znaczy?

- Część roku tutaj, część w Irlandii, albo gdziekolwiek indziej na świecie, dokąd przyjdzie nam ochota się udać.

Jej twarz rozjaśnił piękny uśmiech. - Jesteś pewien?

- Dopóki będziesz ze mną, będę miał wszystko, czego potrzebuję.

- Och, Darragh, tak cię kocham. Pocałuj mnie jeszcze, proszę, zanim zemdleję z pożądania.

Posłuchał jej prośby, trzymając ją w ramionach.

# Table of Contents

[\\*1](#)